

*Porywająca opowieść  
o miłości, jedynej sile zdolnej  
przeciwstawić się największemu  
złu. Polecam z całego serca!*

**Maria Paszyńska**

SYLWIA  
TROJANOWSKA

ŻONA  
NAZISTY

MARGINESY





SYLWIA  
TROJANOWSKA

ŻONA  
NAZISTY

MARGINESY



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

## I. CORAZ MNIEJ ODDECHÓW

Prawdy i półprawdy

Przyjaciel

## II. NA ZACHODZIE RODZI SIĘ NADZIEJA

Nowa tożsamość

To nowe miasto

Julia Guderian

Zasłona wspomnień

Kropla blichtru, dzbanek dziegciu

Rola życia

Wzór dla Niemek

## III. POCZĄTEK NOWEGO

Niczym feniks z popiołów

Gra pozorów

Tajemnica

Studnia łez, bezkres szczęścia

Matczyne łzy

Ta, która zaplanowała śmierć

Michelle LaCour

W cieniu i w blasku

Podarunek  
Uśpione polskie serce  
W ciemnościach rodzą się potwory  
Niebezpieczne związki  
Najbardziej pamiętne odwiedziny  
Jedno życie do uratowania  
Gross Born  
Poślaniec  
Herbatka u komendanta  
Najpiękniejsze, najlepsze, wspólne  
Wyczekiwanie  
Życie pomiędzy  
Ostatni okruszek  
Dwa imiona  
Niepewność  
Aktorka prawie doskonała  
Najsłabsze ogniwo  
Zupełnie inna kobieta  
Dziewczyna z rysztoła  
Anioł stróż  
Rzadko, coraz rzadziej  
Szarotka

#### IV. TAM, GDZIE CISZA MIMO BURZY

Powołanie  
Niespodziewany gość  
Śledztwo  
Druga twarz  
Prawda o smaku łez  
Czas ostatni  
Zazdrość, miłość i śmierć

#### V. ROZLICZENIE Z PRZESZŁOŚCIĄ

Prawda i tylko prawda

Od autorki

Przypisy

Wydawca, redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja MALWINA KOZŁOWSKA  
Konsultacja historyczna dr TOMASZ ŚLEPOWROŃSKI  
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki i stron tytułowych KATARZYNA BORKOWSKA  
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK  
Zdjęcia na okładce © Sergey Mironov / Shuttertock, Inc.  
© Plasted / Shutterstock, Inc.  
© Zelena / Shutterstock, Inc.  
Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura**

Copyright © by Sylwia Trojanowska  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Warszawa 2023  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67510-36-3

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, jednak pewne zdarzenia i postaci są prawdziwe. Autorka przedstawiła je w oparciu o materiały źródłowe z zachowaniem należytej staranności.

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A  
01-527 Warszawa  
tel. 48 22 663 02 75  
[redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)  
[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Malwinie – z wdzięcznością za dziesięć literackich podróży  
oraz moim Chłopcom: Tomaszowi i Alanowi



I

CORAZ MNIEJ ODDECHÓW

*Szczecin, rok 2000*

## PRAWDY I PÓŁPRAWDY

To był jeden z tych poranków, podczas których wspomnienia dopadały mnie tak gwałtownie, że miałam ochotę zacząć życie od kieliszka wina, by jakkolwiek je ujarzmić. Wiedziałam jednak, że tego dnia muszę zachować jasny umysł, choćby miało potwornie boleć. Bo prawda, moja prawda, bywała bolesna. „Przetrwasz to – powtarzałam sobie pod nosem. – Przecież przyjechałaś tu po to, aby opowiedzieć jego historię”.

Na spotkanie z Arturem Wolnym przyszedłam o umówionym czasie. Młody dziennikarz stał przed wejściem do studia nagrań i palił papierosa. Zaciągał się nim raz za razem, jakby się spieszył albo czymś denerwował. Kiedy mnie dostrzegł, wyrzucił peta i sięgnął po odświeżacz do ust.

Pokuśtykałam w jego stronę.

– Dzień dobry – powiedział głośno, co najmniej tak, jakbym oprócz zrujnowanych kolan miała również przytępiony słuch.

Nieznacznie skinęłam głową.

– Miło, że przyjechała pani na czas. Studio gotowe. – Zerknął na zegarek. – Zaraz możemy zacząć.

Otworzył drzwi i puścił mnie przodem.

– I jak Szczecin? Podoba się pani? – zagadnął, ale nie było to szczerze zainteresowanie, lecz sztuczna grzeczność. Przecież jedyne, na czym mu zależało, to to, bym ze szczegółami, najlepiej dramatycznymi i krwawymi, opowiedziała historię Gustawa Guderiana.

Mruknęłam twierdząco, kolebiąc się w stronę korytarza, nad którym widniał napis „Do studia”.

– A zwiedzała pani trochę? Może Stare Miasto? – ciągnął beznamiętnie.

Przystanąłam, obróciłam się i hardo spojrzałam mu w oczy.

– Może umówmy się, panie Wolny, że nie musi pan mnie zagadywać, że cisza nie jest niczym złym i że nie dowie się pan o mnie niczego poza tym, co sama chcę panu opowiedzieć. Dobrze?

Mężczyzna uniósł ręce w poddańczym geście.

– Jasne, nie ma sprawy. Myślałem, że...

– To niech pan po prostu nie myśli – przerwałam mu stanowczo.

Ten człowiek potwornie mnie irytował. Niczego się nie uczył. Przecież rozmawiał już ze mną wcześniej, więc powinien wiedzieć, że nie lubię czczych pogaduszek. Zaczynałam wątpić, czy dobrze zrobiłam, decydując się na spowiedź przed tym bufonem. Gówniarzeria, kompletnie niewychowany dzieciak! Ale szłam za nim, a on bez słowa otwierał kolejne drzwi. Czasami wymieniał grzeczności z mijanymi osobami. Kiedy dotarliśmy do studia nagrań, usiadłam przy owalnym stole, na krześle, które wskazał mi Wolny.

– Słuchawki. – Podał mi je. – Proszę sprawdzić, czy pasują.

– Wolę bez – stwierdziłam.

– Jak pani chce. – Usiadł naprzeciwko mnie.

Wyciągnął notatki. Było ich sporo. Rozłożył je przed sobą i powiódł po nich wzrokiem. Mruknął znacząco, po czym zaczął sprawdzać przyciski na konsoli i wymienił się spostrzeżeniami z dźwiękowcem. Wyglądał na zadowolonego.

– Możemy zaczynać – oznajmił.

– A woda? – zapytałam.

– A tak, przepraszam. Miała tu być. Zośka znowu zapomniała. Zaraz przyniosę.

Wyszedł, a ja, wiedziona jakimś tajemniczym instynktem, wstałam i podeszłam do jego stanowiska. Bezcelnie zajrzałam do rozłożonych notatek i... skamieniałam. Znalazłam tam pytania, całkiem trafne i sensowne, ale poraziło mnie coś zupełnie innego... Odręczne notatki. Mnóstwo odręcznych notatek.

*Musi przyznać, że Guderian to kat. MUSI.*

*Ciśnij o tego volksdeutscha.*

*Męcz o morderstwa.*

*Nie zapomnij o tym doktorze...*

*Mów o podpisanych zeznaniach.*

*Dokumenty. Sprowokuj ją...*

Było ich wiele, ale nie przeczytałam wszystkich; nie zdążyłam, bo do pokoju wrócił Artur Wolny. Kiedy zobaczył, jak sterczę nad jego zapiskami, poczerwieniał na twarzy.

– To, że zna pani pytania, niczego nie zmienia – stwierdził butnie, stawiając na stoliku szklanki z wodą.

– To, że zamierza pan iść po trupach, by udowodnić swoją bezpodstawną tezę o Guderianie mordercy Polaków, zmienia wszystko. Nie jest pan obiektywnym reporterem, na co w gruncie rzeczy miałam nadzieję, lecz subiektywnym dziennikarzyną, który szuka taniej sensacji i pragnie się wybić na nierzetelnym opowiedzeniu historii. Gustaw Guderian święty może nie był, ale na pewno nie zasłużył na to, by nazywać go zbrodniarzem.

– Dokumenty świadczą inaczej.

– Pytanie brzmi: kto te dokumenty stworzył? Nie rozważał pan tego?

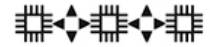
– To są potwierdzone informacje.

– Przez kogo? Przez pana? Przez człowieka zaślepionego nienawiścią do Guderiana czy nawet wszystkich, w czyich żyłach płynie germańska krew? Nie nadaje się pan do tej roboty! Nie ma pan bladego pojęcia o uczciwym dziennikarstwie.

Zacisnął szczęki i głośno wypuścił powietrze przez nos. Ooo! Jakże był wściekły! Czułam, że ma ochotę wypluć agresywną wiązanekę gorzkich słów, że już, już zamierza się odszczeknąć. Widziałam to w jego oczach. Pohamował się jednak, przetaił twarz dłonią i powiedział:

– Nieważne. Wszystko gotowe. Możemy nagrywać.

– Nie będzie nagrania – oznajmiłam cierpko.



Studio opuszczałam w pośpiechu. Wolny cały czas szedł obok mnie, gardłując coś o dźwiękowcu, rezerwacji, poniesionych kosztach... W końcu – o podpisanych zobowiązaniach.

– Przecież to pani zależało na nagraniu. To był pani pomysł i co? Nagle taka zmiana zdania? – mówił z wyraźną pretensją. – W ten sposób zrywa pani umowę! Właśnie! Umowa! – Zatrzymał się gwałtownie.

Ja również przystanęłam i spojrzałam na niego z ukosa.

– To się może wiązać z kosztami. Jest pani na nie gotowa?

Zgromiłam go wzrokiem.

– Potworny z pana dyletant, panie Wolny! Mówi pan o czymś, o czym nie ma pan zielonego pojęcia.

Chciał mi przerwać, wydał nawet z siebie jakiś bliżej niezidentyfikowany dźwięk, ale na więcej mu nie pozwoliłam, uciszając go zdecydowanym ruchem dłoni.

– Nie przeczytał pan umowy. Pewnie skupił się pan na paragrafie pierwszym, drugim, może dotarł do piątego – kpiłam – ale na pewno nie zna pan treści ósmego, prawda?

Nie odpowiedział, nie musiał.

– To proszę doczytać. A na przyszłość mieć na względzie, że brak profesjonalizmu zazwyczaj wychodzi na jaw. Czasem wcześniej, czasem później. Zależy od jasności umysłu drugiej strony. Ja, choć może nie wyglądam, tę jasność na swoje szczęście, a pana nieszczęście, jeszcze posiadam.

Wolny odchrząknął i na chwilę uciekł wzrokiem, jakby w tym świetlistym korytarzu szukał sprzymierzeńca. Nikogo jednak nie znalazł, bo akurat było pusto.

Nie czekając, aż jakkolwiek się zreflektuje, ruszyłam w stronę wyjścia. Wolny jakby się ocknął i podążył za mną. Otworzył mi nawet szklane drzwi i kiedy miałam już nadzieję na opuszczenie tego miejsca, zastąpił mi drogę.



– Proszę mnie posłuchać – brzmiał łagodnie, zupełnie inaczej niż przed chwilą. – I wybaczyć to drobne... hmm... nieporozumienie... Przyznaję, mam pejoratywny stosunek do Guderiana. I wiem, że jako dziennikarz nie powinienem. Jednak jako człowiek nie potrafię zdobyć się na nic innego po tym, co o nim przeczytałem – westchnął. – Mój dziadek zginął w Auschwitz, moja ciotka i dwie niczemu niewinne siostry dziadka rozstrzelano podczas łapanek. Rozumie pani, zostałem wychowany w atmosferze nienawiści do nazistów – wyznał. – Od kiedy zacząłem wykonywać zawód dziennikarza, pragnąłem zrobić materiał o nazistowskich zbrodniach. Nie chciałem, by dotyczył oczywistych spraw, o których można przeczytać w książkach. Marzyłem, aby dokonać odkrycia czegoś wielkiego, a Guderian... To jest coś wielkiego, a przede wszystkim nieznanego. Mój dokument... On jest szeroko komentowany, poddawany analizom historycznym, a to, co pani chce powiedzieć o Guderianie, jednym z tych cwanych nazistów... Niezależnie od tego, czy chce go pani wybielić czy oczernić... Rozumiem, że to pierwsze. – Popatrzył na mnie, oczekując potwierdzenia, ale nawet powieka mi nie drgnęła. – Pani zeznanie byłoby kapitalnym uzupełnieniem opowieści o człowieku, który ma krew na rękach. Bo ją ma, oboje to wiemy. Ja naprawdę chętnie wysłucham pani opowieści i... I nie będę na nic naciskał. Zrobi to pani po swojemu.

Spuściłam głowę i spojrzałam na czubki swoich wypolerowanych butów. Świeciły jak dawniej, jak wtedy, gdy spacerowałam alejami Grabower Anlagen<sup>[1]</sup> albo gdy szłam na potańcówkę do Haus Ponath<sup>[2]</sup>. Gdy mieszkałam w Stettinie<sup>[3]</sup>, moje buty zawsze były lśniące jak lustro. Wcześniej też o nie dbałam, ale dopiero w tym nadodrzańskim mieście – sama to zauważyłam – robiłam to nazbyt przesadnie.

– Proszę pani? – Artur Wolny wyglądał na zatroskanego. Ten wyraz twarzy zupełnie do niego nie pasował. – Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. Ale nie, nie potrafię teraz wrócić do studia. Mam w głowie chaos.

– To może jutro, pojutrze? Dopasuję się.

– Pan się dopasuje?

Skinął głową.

– Pomyślę, a tymczasem...

– Odwiozę panią – zaproponował.

Zdziwił mnie tą przesadną uprzejmością. Nie ufałam mu. Chyba nigdy nie zasłużyłby sobie na moje zaufanie.

– Proszę sobie darować te uprzejmości. Przyjechałam sama i sama wrócę. A do pana odezwę się z odpowiedzią. Jutro. Albo za kilka dni.

– To chociaż wezwę dla pani taksówkę. Jaki adres?

A więc chodziło mu o to, by – jeśli bym się nie odezwała – mieć jakikolwiek punkt zaczepienia. Cwany lis! Nie wiedziałam, czy myślał o tym, by przyjechać pod wskazany adres i walić w drzwi, aż je otworzę, czy o tym, by nasłać na mnie kogoś innego, bardziej przekonującego, wzbudzającego sympatię. Obydwa rozwiązania wydawały mi się absurdalne, ale wcale nie mało prawdopodobne. Wolnego zaliczałam bowiem do ludzi, którzy w imię swych celów są gotowi na wszystko. Znałam ten typ bardzo dobrze...

– Do widzenia panu – rzuciłam i wyminęłam mężczyznę, który wpatrywał się we mnie z lekko rozchylonymi ze zdumienia ustami.

## PRZYJACIEL

Wieczorem zasiadłam przy oknie. Było prawie idealnie. Brakowało mi jedynie znajomych dźwięków: restauracyjnego gwaru, brzęku szklanek, pokrzykiwań wstawionych turystów i stukotu końskich kopyt. Jak w Krakowie.

Z kieliszkiem wina w dłoni i przy jazzowej nucie puszczonej w radiu wpatrywałam się w jeden punkt, w miejsce, w którym kiedyś znajdował się Teatr Miejski. Zmierzchało, ale ja oczyma serca widziałam go w promieniach słońca. I tęskniłam za jego murami i zaułkami, skrywającymi moje tajemnice.

Po wypiciu dwóch kieliszków wina poczułam oszołomienie i rozluźnienie. W końcu myśli o nieudanym spotkaniu z Wolnym ucichły. Jeszcze nie podjęłam decyzji, kiedy do niego zadzwonię, ale wiedziałam, że to zrobię. Chciałam to zrobić.

Wstałam i podeszłam do kanapy. Nocny stolik oświetlała lampa z czerwonym abażurem, mocno nadszarpniętym zębem czasu. Ciężko opadłam na siedzisko, które stęknęło niemal tak głośno jak ja. Sięgnęłam po telefon. Był w tym samym kolorze co abażur i przez moment nawet pomyślałam, że ktoś o tę spójność specjalnie się postarał. Wybrałam numer i cierpliwie czekałam. Mój rozmówca odebrał, kiedy już miałam odkładać słuchawkę.

– Tomasz Redmer, słucham.

Mmm... Lubiłam ten jego ciepły, pełen ufnej akceptacji głos. Nie miał pojęcia, kto do niego dzwonił, ale i tak zawsze witał się z sympatią.

– Dzień dobry, Tomaszu – odezwałam się.

– O! W końcu! Nie mogłem się doczekać wiadomości od ciebie. Wszystko dobrze? Jesteś zadowolona?

– Zadowolona? Daj spokój. Byłabym, gdyby grali mi *Marsza pogrzebowego*.

– Czyli zadowolona – stwierdził, a ja pokiwałam głową.

Tomasz znał mnie dobrze. Byłam usatysfakcjonowana: odwiedziłam miasto duchów, wsłuchałam się w jego puls, jakże inny od tego krakowskiego. Odkurzyłam wspomnienia i odważyłam się patrzeć tam, gdzie mój wzrok miał już nigdy nie sięgać.

– A jak u ciebie?

– Dowiesz się, kiedy przyjadę.

– Chcesz przyjechać? – palnęłam bezmyślnie i natychmiast, nie czekając na odpowiedź, rzuciłam stanowczo: – Nie! Nie rób tego! Nie przyjeżdżaj. Chcę być sama. Potrzebuję tej samotności.

– Na pewno?

– Dawno niczego nie byłam tak pewna.

Pochrząkiwał, szukając odpowiednio dyplomatycznych słów, przez które nie poczułabym się jak dziecko.

– Wedle życzenia – powiedział w końcu. – Po prostu pomyślałem, że chciałabyś mieć towarzystwo w obcym mieście. Choćby ramię jakiegoś dziarskiego kawalera – roześmiał się, ale chyba na siłę – by nie obawiać się spacerów. No wiesz, potknięcia o jakiś nierówny chodnik.

– Kiedy wrócę do Krakowa, chętnie z ramienia tegoż kawalera skorzystam.

– No dobrze, dobrze. Zawsze byłaś uparta. Bo wiesz... Ja bym nie miał nic przeciwko wyprawie do Szczecina.

– Tomasz, proszę.

Znał mnie na tyle dobrze, że wiedział, iż dalsza dyskusja nie ma sensu. Podjął więc temat, który należał do najbezpieczniejszych. Rozmawialiśmy o pogodzie, a raczej o niemiłosiernych upałach w Krakowie i o całkiem przyjemnej aurze w Szczecinie. Potem Tomasz rozwodził się nad wnukami, a ja po raz tysięczny poczułam ukłucie zazdrości.

Kiedy skończyliśmy, nalałam sobie kolejny kieliszek wina i wypiałam go duszkiem, a potem z sekretnej przegródki w portfelu zdecydowanym ruchem wyciągnęłam czarno-białą fotografię, przymknęłam oczy i znowu wybrałam się w podróż śladami wspomnień.



## II

# NA ZACHODZIE RODZI SIĘ NADZIEJA

*Stettin i okolice, rok 1939*

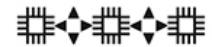
## NOWA TOŻSAMOŚĆ

Anna Łabędź nie chciała czuć się dobrze w Stettinie, w pięknym, majestatycznym Stettinie. Pragnęła znienawidzić to miasto z szerokimi alejami i wielkimi placami, a parkami tak rozległymi, że nie sposób było z jednego krańca dostrzec drugiego. Miasto ze szpalerami kamienic, których architektura przywodziła jej na myśl paryskie kadry widziane w albumach. Miasto żyjące w zgodzie z rzeką, w którym spokój, śmiech i zwykłe, zwyczajne życie tworzyły mieszanekę dla niej nie do zaakceptowania. Przecież kilkaset kilometrów dalej szalała wojna, ludzie walczyli, ginęli, umierali ze strachu. A tu? Tu czuć było jedynie lekkie podenerwowanie; owszem, toczyły się rozmowy, dyskusje o wojnie, ale nikt nie płakał, nie panikował. Albo prawie nikt. Łzy ronili tylko ci, którym ta daleka wojna kogoś odebrała. Tu nikt się nie obawiał, że może zginąć na ulicy, że ktoś go zastrzeli, wtargnie do jego domu i odbierze mu wolność. Nikt nie przemykał między kamienicami, nie krył się po piwnicach. Nikt nie nasłuchiwał wystrzałów i nie kulił się pod łóżkiem, myśląc o jutrze. Stettin był w oczach Anny oazą spokoju. I dlatego chciała go nienawidzić, ale... nie potrafiła. Mimo flag ze swastyką, mimo plakatów z wizerunkiem Hitlera, mimo run na niemieckich mundurach... Nie potrafiła, bo Gustaw o to zadbał. Dał jej poczucie bezpieczeństwa, otoczył szalem utkanym z nitek troski, szacunku i miłości, zadbał, by nie pogrążyła się w nienawiści do miasta, które wybrał dla niej na azyl.

Pomimo tego słabo sypiała. Czasami przez całą noc nie zmrużyła oka. Chodziła wtedy po mieszkaniu od okna do okna i wyglądała na ulicę, jakby kogoś wypatrując. Tylko kogo? Gustaw czuwał nad nią, ale nie robił niczego na siłę, nie zmuszał, do niczego nie namawiał. Czuł, że Anna potrzebuje czasu, że musi pozwolić jej wszystko sobie poukładać, by przywykła

do nowego miejsca, nowego życia, nowej roli, a nawet, a może przede wszystkim, do obrączki i nowego nazwiska.

Była przecież Anną Guderian, choć stała się nią w okolicznościach, których nigdy nie brała pod uwagę.



Gustaw przyjechał po nią do rodzinnego Fordonu dokładnie w chwili, gdy jej świat legł w gruzach, gdy została sama, samusieńka, gdy jej najbliżsi stracili życie podczas bestialskiej egzekucji. Przyjechał i obiecał ją uratować. Pamiętała jego słowa: „Zabiorę cię tam, gdzie będziesz bezpieczna. Zabiorę cię do Stettina”. Zgodziła się, choć to miasto знаła tylko z jego opowieści. Musiało jej jednak wystarczyć. Zresztą nie zastanawiała się nad tym. Uciekała, by ratować życie.

Gustaw wręczył jej dokumenty na nazwisko Anny Schmidt i polecił przyswoić wszystkie fakty z życia nieznaney jej kobiety. Choć nauka wcześniej przychodziła jej z łatwością, teraz nie potrafiła się skupić. Jakże bowiem miała myśleć o datach, imionach, miejscach, o czymkolwiek, kiedy w głowie przewijał się film z mordowania jej rodziny? Musiała jednak się przemóc. Wykonała polecenie Gustawa, a on przepytął ją dokładnie, jak na przesłuchaniu. Precyzyjnie zadawał pytania, punktował błędy. Znał wszystkie odpowiedzi, zapewne sam wcześniej wyuczył się ich na pamięć. Głęboko odetchnął, kiedy po kilku próbach Anna odpowiedziała na każde pytanie bez najmniejszego zawahania i pomyłki.

– To ważne, byś dobrze znała swoje alter ego. W końcu od dzisiaj jesteś Niemką – stwierdził. – Choć w pewnym sensie tylko na moment. Nie mogę zabrać pod swój dach Anny Schmidt. To byłoby niemoralne i niedopuszczalne na moim stanowisku. Ale Annę Guderian i owszem.

Zatrzymał samochód na poboczu, ujął dłoń Ani i spojrzał jej głęboko w oczy.

– To nie jest dobry moment, ale innego nie będzie. – Wręczył jej jakąś kartkę.

Rozłożyła ją i przeczytała, najpierw pobieżnie, a potem raz jeszcze, uważniej.

– Ale jak to? Jesteśmy małżeństwem?

– Jeśli mam cię chronić, to tak. Musisz stać się moją żoną. Z urzędu.

Nie mogła oderwać wzroku od dokumentu i od swojego nowego nazwiska: Guderian.

– Ten dokument... To, że jesteśmy według niego małżeństwem, to niczego między nami nie zmieni, obiecuję. To tylko formalność, która pozwoli mi cię chronić. Dla mnie cały czas będziesz Anną Łabędź, ale dla wszystkich dookoła Anną Guderian, z domu Schmidt.

– Rozumiem – powiedziała spokojnie.

– A jeśli kiedykolwiek zapragniesz naprawdę stać się moją żoną, to tak się stanie. Zaczekam tyle, ile będziesz potrzebowała.

Z wewnętrznej kieszeni Gustaw dobył materiałową sakiewkę i wyjął z niej dwie złote obrączki.

– Mogę? – zapytał, chcąc wsunąć mniejszą na palec Ani.

Podąła mu dłoń.

– Musimy zachować wszelkie pozory. Musimy dobrze udawać – stwierdził.

Wsunął jej obrączkę na palec, a potem drugą na swój.

Ania uważnie przyjrzała się dłoni. Ileż razy marzyła o tym lśniącem na palcu cudeńku, które oznajmiałoby światu, że oto na jej drodze stanął niezwykle mężczyzna. Jej mężczyzna, jedyny do końca życia, ten, którego sobie wybrała. Dokładnie tak myślała. Nigdy na odwrót. Bo to ona chciała wybierać, ona chciała decydować o tym, za kogo wyjdzie za mąż.

Nagle przypomniała sobie ich ślubowanie. To, jak na fordońskiej łące Gustaw wzruszył ją przysięgą małżeńską, którą wypowiedział łamaną polszczyzną. To, jak patrzył na nią, jak szklily mu się oczy.

– Wcale nie musimy udawać. Przecież... My już sobie ślubowaliśmy.

– Wiem, ale to były zupełnie inne okoliczności, Anno. I pomyślałam, że... – Spróbował się uśmiechnąć, jednak wyszło to niezdarnie.

– Marzyłam o tym, by być twoją żoną, i kiedy wypowiadałam przysięgę, robiłam to z pełnym przekonaniem. Teraz jestem rozdarta, a przed oczami widzę tylko zło, lecz... Wcale nie muszę udawać, że jestem twoją żoną. Mogę po prostu spróbować nią być. – Ściągnęła z jego palca obrączkę, którą przed momentem sam sobie założył, ucałowała ją i ponownie wsunęła na jego palec. – Na dobre i na złe. W zdrowiu i w chorobie. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy – powtórzył i z szacunkiem złożył pocałunek na jej dłoni.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Musisz mi jednak pomóc w byciu... Niemką – odezwała się w końcu Anna, z trudem wypowiadając ostatnie słowo. – Z tym mogę mieć większy problem.

– Pomogę, ale pamiętaj, musisz być nią tylko na zewnątrz, dla innych. Ja chciałbym, byś pozostała Anną Łabędź, Polką, którą pokochałem. Wojna się skończy, mam nadzieję, że wkrótce, a wtedy ta cała maskarada nie będzie nam już potrzebna. To tylko na chwilę. Na chwilę, kochanie.

Ania wtuliła się w Gustawa i w tym mocnym splocie, w którym czuć było i miłość, i oddanie, i zgodę na bycie razem mimo wszystko, trwali do momentu, aż z naprzeciwka nadjechała ciężarówka i oślepiła ich światłami.



W drodze mało rozmawiali, Ania głównie spała, a raczej udawała, że śpi. Nie płakała. Nie miała już siły, nie miała łez.

Próbowała ułożyć sobie wszystko w głowie. Ale czy to w ogóle było możliwe – nowe życie? Na razie nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Tyle zła wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, i to takiego, którego nie dało się niczym wytłumaczyć. Zła, które ludzie wyrządzili ludziom. Pośród tego zła były też okruchy dobra. Jak Gustaw, jej... mąż.



Nie wiedziała, co ją czeka w Stettinie, ale jednego była pewna – mężczyzna, który siedział obok, był dla niej w tej chwili jedynym ratunkiem. Musiała się go chwycić i w pełni mu zaufać, zwłaszcza na tak nieznanym morzu, jakim był Stettin.

## TO NOWE MIASTO

Stettin powitał ich nawet wdzięcznie, bo promieniami słońca. Jechali szerokimi alejami, gdzie na jasnych ciałach kamienic niczym znamiona pstrzyły się niemieckie flagi. Ania wpatrywała się w chodniki, po których bez pośpiechu przechadzali się ludzie. Rozmawiali, palili papierosy, zatrzymywali się, by kupić gazetę, czytać anonse, podziwiać witryny. To był inny świat, a ona podskórnie czuła, że zupełnie nie był jej...

– Pamiętaj, by nigdy z nikim nie rozmawiać o swojej przeszłości. W żadnym obcym pomieszczeniu, nawet gdybyśmy byli tam tylko we dwoje, nie wolno ci o niej wspominać. Nigdy. Możesz mówić i pisać tylko po niemiecku. Musisz się pilnować, bardzo, a najlepiej, przynajmniej na początku, mało mówić.

– Tak. Rozumiem – powiedziała, choć chyba nie zdawała sobie sprawy, co ta deklaracja tak naprawdę oznacza.

Gustaw zaparkował przed elegancką kamienicą przy König-Albert Strasse<sup>[4]</sup>. Brama wejściowa ze szprosami z motywami roślinnymi przywozowała Ani na myśl te, które widywała w Bydgoszczy na najlepszych ulicach. Wyglądała bardzo wytwornie i Anna w zetknięciu z nią poczuła się mała i kompletnie obca. To miejsce ani odrobinę nie przypominało jej znajomych fordońskich zabudowań. Nie było zeń znajome ciepło, a jedynie wyniosłość.

– Poczekaj. Otworzę ci drzwi.

– Nie musisz.

– Muszę. Ludzie patrzą, a nie chciałbym, byśmy od razu znaleźli się na językach. Zachowujmy się tak, jak zwyczajowo zachowują się inne małżeństwa, dobrze?

Zgodziła się, a kiedy wysiadła, od razu pojęła, że Gustaw miał rację. W oknie na pierwszym piętrze natknęła się bowiem na ciekawskie spojrzenie.

Gustaw również dojrzał starszą, siwowłosą kobietę i niejako w odpowiedzi na jej zaciekawienie szarmancko ujął dłoń Ani i ledwie dotknął jej wargami.

– Cały czas ktoś będzie patrzeć – szepnął. – Dla niektórych to jedyne zajęcie. Muszą do ciebie przywyknąć, a ty musisz wtopić się w krajobraz. Wtedy przestaną cię zauważać.

Kiedy przeszli przez bramę, Ania zatrzymała się i utkwiała spojrzenie w sklepieniu, na którym ktoś bardzo wiarygodnie odzwierciedlił farbami błękit letniego nieba.

– To ponoć najpiękniejsze sklepienie na całej ulicy – stwierdził Gustaw. – Tak mówi pani Handtke spod szóstki. Jej syn namalował to kilka miesięcy temu. Jeślibyś z nią rozmawiała, pochwal. Zyskasz wówczas jej przychyłność.

– Pochwałę z przyjemnością – stwierdziła zachwycona, nie odrywając wzroku od malowidła.

– I koniecznie zagadnij o syna. Jest z niego bardzo dumna, bo jako pierwszy z naszej kamienicy oddał życie za ojczyznę.

Natychmiast oderwała wzrok od sklepienia.

– Co?

– Tu żyją sami niemieccy patrioci – wyjaśnił jej szeptem. – Niemal z każdej rodziny ktoś poszedł na wojnę, walczy albo już nie...

– I ja mam tu mieszkać? – zapytała równie cicho.

– Najciemniej pod latarnią, nie wiedziałaś?

Na pierwszym piętrze natknęli się na staruszkę, którą wcześniej widzieli w oknie. Kobieta przedstawiła się, Ania jednak nie była w stanie odpowiedzieć tym samym, nie potrafiła wydobyć z siebie najprostszych słów. Zrobił to za nią Gustaw, a ona jak zahipnotyzowana wpatrywała się w niego, kiedy z lekkością mówił: Anna Guderian, moja żona.

– A więc to jest ta pana wybranka serca? – zagadnęła sąsiadka, nie odrywając wzroku od Ani. Przyglądała jej się, jakby dziewczyna stanowiła rzadki muzealny eksponat. – Nie szepnął pan o niej ni słowa, panie Guderian. W tajemnicy taaaki skarb trzymać?

Złapała Anię za lodowatą dłoń, poklepała po niej i cicho, jakby zdradzała jakąś tajemnicę, powiedziała:

– Miałam trzech mężów i akuszerką byłam. Jakby trzeba pani jakiejś porady małżeńskiej, proszę przyjść. Służę pomocą, bo znam się na tych sprawach. Dobrze się znam.

Ania uprzejmie potaknęła.

– Dziękuję za chęć pomocy, pani Koch, ale musimy już iść – wtrącił się Gustaw. – Żona jest zmęczona po podróży.

– A tak, tak... Przepraszam, panie Guderian, najmocniej przepraszam. – Kobieta spuściła wzrok i wycofała się w głąb mieszkania, zamknąwszy za sobą drzwi.



Kiedy weszli do mieszkania, uderzył ich zapach kiszonych ogórków.

– Przepraszam. Wychodziłem w pośpiechu i musiałem zapomnieć zakręcić słoik. Zazwyczaj mi się to nie zdarza.

Ania nie zareagowała. Lubiała zapach kiszzonek. Przecież kojarzył jej się z domem, z mamą.

– Oprowadzę cię, chcesz?

Potaknęła.

– I... z góry przepraszam za nieporządek – powiedział, kiedy z przedpokojem weszli do kuchni. – Nie mam służącej, a nie zdążyłem posprzątać – tłumaczył się, choć całkiem niepotrzebnie.

Wszędzie bowiem panował idealny ład. Żadnych śmieci, okruchów, porozrzucanych ubrań, otwartych komód, niedomkniętych szaf. No, może poza słoikiem z ogórkami i dwoma talerzami w zlewie. Ale Ania nigdy nie nazwałaby tego nieporządkiem.

Mieszkanie Gustawa zdawało się większe od rodzinnego domu Łabędziów. Tak. Od razu porównała je z fordońską lichą chałupą, którą mimo braków jakichkolwiek luksusów i tak kochała nade wszystko. Tutaj pannał przepych, do którego nie nawykła. Dostrzegła lakierowane meble w kolorze orzecha i włoskie dywany, tak miękkie jak świeży mech. W sypialni łożo z baldachimem, stolik z finezyjnie giętymi nogami i dwa fotele obite cielecą skórą. We wszystkich oknach firany gęsto marszczone i tak eleganckie, że poczuła się zawstydzona splendorem, jaki wprowadzały do wnętrza. Do tego lodówka... Lodówka! I duże radio ze złożonymi pokrętłami oraz gramofon z kolekcją płyt.

– Nudzę cię? – zagadnął.

– Nie. Nie o to chodzi, Gustawie. Jestem... Jestem zauroczona twoim mieszkaniem i szczerze mówiąc, odrobinę nim przytłoczona. Tu jest jak w pałacu.

– Myślisz? Nigdy tak na to nie patrzyłem. – Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. – Po prostu przejąłem mieszkanie po moim poprzedniku. Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa – dodał z przekonaniem, a ona pokiwiała głową, choć nie do końca umiała to sobie wyobrazić.

Czuła jakiś chłód bijący z tego wyniosłego i sterylneę wnętrza.



Wiedziała, że aby nie wzbudzać podejrzeń, musi uśmiechać się do sąsiadów. Musi grać szczęśliwą Niemkę z Rigi<sup>[5]</sup>, która zaczyna nowe życie w ramionach przykładnego obywatela Trzeciej Rzeszy. Musi to robić, by przetrwać. I robiła. Zagadywana, odpowiadała uprzejmie, ale bez wylewności. Kiedy czegoś nie rozumiała albo nie potrafiła nazwać, a czasami się to zdarzało, konsternację tuszowała skromnym uśmiechem bądź kaszlem, co korpulentna pani Koch, najbardziej wścibska i rozgadana sąsiadka, brała za oznakę astmy i za każdym razem odsyłała ją do swojego lekarza płucnego. Innej przyczyny niż choroba nie mogła brać przecież pod uwagę.

Czasami Ania rozmawiała też z panią Handtke. Głównie o chmurach, bo ta smutna kobieta nie znajdowała innego tematu do rozmów.

– Mój syn od małego kochał niebo i je malował – powiedziała raz, gdy stały na parterze i patrzyły na wymalowane sklepienie. – Mam nadzieję, że jak oddawał życie za ojczyznę, to też patrzył w górę.

Zdarzało się, że ktoś do niej zachodził, podpytując o zdrowie (pani Koch bez cienia zażenowania rozsiewała plotki o dręczącym ją kaszlu), samopoczucie, przynosząc kawałek strucli lub mały garnek z eintopfem<sup>[6]</sup>. Dbali o nią, jakby była członkiem ich rodziny, a może dlatego, że w szczególny sposób traktowali Gustawa? Od razu zauważyła, że darzą go szacunkiem, a niekiedy wydawało jej się, że schodzą mu z drogi.

– To przez nazwisko. Czują respekt do mego stryja – odpowiadał, gdy pytała go o powód.

Ania wychodziła z domu głównie z Gustawem. Sama rzadko. I wcale nie ze strachu o siebie, o dokumenty, które notabene wyglądały na prawdziwe, ani o to, że ktokolwiek mógłby rozpoznać w niej Polkę. Nie znała w Stettinie nikogo, nigdy tutaj nie wizytowała, a przed poznaniem Gustawa niewiele słyszała o tym mieście. Czowała się tu zupełnie obco, a zatem była idealna, by grać przybyszkę z odległego Wschodu. Poza tym rzadko opuszczała mieszkanie z innego powodu. Bała się, że widząc na ulicy polskich robotników przymusowych, stygmatyzowanych plakietką z literą P, mogłaby niewłaściwie zareagować, podejść do nich albo po prostu gapić się na nich – jak w dzieciństwie, kiedy do Fordonu przyjeżdżali kuglarze, a ona nie potrafiła oderwać od nich wzroku. To na pewno nie uszłoby uwadze Niemców, a przecież chciała – musiała – być przezroczysta. Bała się też, że słysząc uliczne dyskusje o słuszności wojny, o podłości Polaków i wspaniałości Hitlera, mogłaby zrobić coś głupiego, nawrzucać komuś po polsku i zaszkodzić sobie, i przede wszystkim Gustawowi. A tego nie chciała. O niego bała się nawet bardziej niż o siebie. On już wystarczająco się dla niej narażał, każdego dnia. Przecież ukrywał ją, Annę Łabędź, przed całym światem. W niemieckich murach chronił Polkę. Za to groziła mu kulka między oczy. Sam fakt, że w jakiś tajemniczy sposób zdobył dla niej dokumenty Niemki, która w rzeczywistości, wynosząc się z Rigi, zginęła

w nieszczęśliwym wypadku samochodowym, był dla niej dowodem jego wielkiego oddania.

Czasami myślała o Annie Schmidt, nawet miała wyrzuty sumienia, że zabrała jej tożsamość.

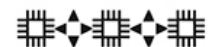
– Dałaś jej drugie życie – tłumaczył łagodnie Gustaw, kiedy podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami. – To przecież lepsze od niepamięci, prawda?

– Ale jej rodzina na pewno się o nią martwi.

– Rodzina zginęła wraz z nią. To ich dokumenty dla was wiozłem. Wtedy... Samochód Schmidtów od kilku dni leżał w rowie. Nie było dla nich żadnego ratunku.

– Straszne...

– Cały ten świat jest teraz straszny.



Był dla niej dobry. Kochał ją. Czuła to każdego dnia. Nikt nigdy się tak bardzo o nią nie troszczył. W rodzinnym domu zawsze wyczuwała miłość, wszyscy byli bardzo mocno związani, poszliby za sobą w ogień, ale jednocześnie każde z nich żyło swoim życiem. A tu, przy Gustawie, Ania odnosiła wrażenie, że to ona jest dla niego całym życiem. Kochała go, tak, ale ta jej miłość się zmieniła. Dużo ze sobą rozmawiali, razem słuchali radia, jedli posiłki, spacerowali. Razem sypiali, choć to razem było zupełnie inne niż kiedyś.

Gustaw był cierpliwy i na nic nie naciskał, niczego od niej nie wymagał, poza tym, by dbała o pozory. Wychodząc do pracy, zegnał się cmoknięciem w policzek i krótkim „kocham cię”. Po powrocie, ujmował jej dłoń, całował i pytał: „Tęskniłaś?”.

Nie tęskniła, choć nigdy mu się do tego nie przyznała. Kiedy zniknął za drzwiami, zatapiała się w ponurym wspomnieniu, pełnym krzyków, strzałów i ciemnych barw. Utrata bliskich, ucieczka z rodzinnego Fordonu, wojna były tak traumatyczne, że nawet wielkie, odwzajemnione uczucie nie

cieszyło jak dawniej. Czasami w głowie Ani pojawiała się myśl o ucieczce ze świata, do którego zabrał ją Gustaw. Ale gdzie byłaby bezpieczniejsza? Zdawało jej się, że nigdzie. Może jedynie tam, w rowie na stoku góry. Martwa, ale z nimi... Teraz jednak nie mogła już tam uciec.

Została, mając w pamięci list od swojego ukochanego ojca i zdanie: „Zaufaj mu, bo być może on będzie jedyną przepustką do życia, a Ty musisz żyć, jakeś Łabędź”, które stało się dla niej swoistym kompasem, życiowym imperatywem. Traktowała ów list jak testament, a prośbę ojca jak jego ostatnią wolę, której nie wolno było się przeciwstawić. Musiała więc żyć.

Guderian zdawał sobie sprawę, jak ważna była dla niej rodzina. Ojciec, bracia i przyszła bratowa, Jola. Ania straciła wszystkich, których kochała, ale przecież miała jego.

– Będziemy tu szczęśliwi. Zobaczysz, z czasem wszystko się ułoży – deklarował, choć widział w jej oczach niepewność i jakiś nieopisany żal.

Czas jednak nie koił jej ran, a ona nikła w oczach.

Musiał coś zrobić.

I zrobił.



## JULIA GUDERIAN

Gustaw nastawił gramofon i puścił *Cztery pory roku* Vivaldiego. Wiedział, że sprawi tym Annie przyjemność. Ta muzyka, choć w Fordonie nigdy jej nie słyszała, jakoś tak samoistnie kojarzyła jej się z domem, z radością i ciepłem, którego u Łabędziów nigdy nie zabrakło.

Zasiedli do stołu, kiedy ich uszu dobiegło pukanie do drzwi. Ania wstała, by otworzyć. W drzwiach stała starsza, niezwykle elegancka kobieta, ubrana w długi płaszcz z karamulów i kapelusz z dużym rondem. Jej szyję osłaniała jedwabna chusta, a dłonie otulały cieliste, skórzane rękawiczki. Buciki miała na obcasach, i to wcale nie niskich. W ręku trzymała niedużą walizkę, elegancką i bez śladów zużycia. Uśmiechała się szeroko, a czerwień jej ust biła soczystością.

– Dzień dobry, Anno. Nazywam się Julia Guderian.

Anna drgnęła. Doskonale wiedziała, kim była stojąca przed nią starsza pani. Gustaw wielokrotnie opowiadał o swojej babce, z którą mieszkał w Marienwerder<sup>[Z]</sup>. Widziała ją na zdjęciach, na których nie wyglądała na siedemdziesięciolatkę. Na żywo również zdawała się młodsza i, jeśli to w ogóle możliwe, bardziej elegancka.

– Marzyłam, by cię poznać. – Ciepły, niski i dźwięczny ton idealnie pasował do jej entourage'u. – Dużo dobrego nasłuchiwałam się o tobie i w wyobraźni stworzyłam portret, zdawało mi się, idealny. Jak widzę jednak, nie dość. – Lekko nachyliła się w jej stronę, jakby chciała zdradzić Annie jakiś sekret, ale nadal mówiła głośno i wyraźnie: – Gustaw nigdy o nikim tak malowniczo nie opowiadał, jak o tobie.

– Bardzo się cieszę – odpowiedziała Ania z lekkim zawstydzeniem.

Ruchem ręki zaprosiła gościa do środka, ale dama ani drgnęła. Nadal stała na klatce schodowej.

– Mam nadzieję – odchrząknęła, zakrywając usta wierzchem dłoni – że niebiosa będą nam sprzyjały i poznamy się znacznie lepiej, a ta znajomość obu nam posłuży.

Anna nie zdążyła odpowiedzieć, bo zza niej wyłonił się Gustaw i cała uwaga przybyszki skoncentrowała się właśnie na nim.

– Gustawie! – powitała go, szeroko otwierając ramiona.

– Cieszę się, że jesteś, babciu.

– No, no! A spróbowałbyś się nie cieszyć! – rzekła radośnie.

– Jak podróż? – zagadnął, łapiąc za walizkę i wprowadzając kobietę do środka.

Nie domknął jednak drzwi.

– Ooo! Mogło być lepiej, ale w obecnej sytuacji nie powinnam narzekać. Tak właściwie spodziewałam się znacznie gorszych warunków, jakiegoś stetryczalego szofera, a dostałam niezgorszego, tyle że potwornego gadułę, który przez całą podróż opowiadał dowcipy. – Cmoknęła z gracją i przewróciła oczami. – Niektóre zabawne i od śmiechu pewnie zmarszczek mi przybyło, inne nazbyt sprośne, bym się w ogóle zaśmiała, ale... Mogło być gorzej.

– A przeszkody? Nie było żadnych?

Pokręciła głową i uciekła wzrokiem, jakby chciała coś ukryć.

– Najmniejszych, Gustawie. – Poklepała go po policzku i zdjęła płaszcz.

– Czy ja czuję zupę jarzynową?

Przez chwilę odgrywali jeszcze swoje role i przy nadal niedomkniętych drzwiach mówili przesadnie głośno. Kiedy Anna udała się do kuchni po dodatkowe nakrycie, Gustaw starannie zamknął drzwi i zapytał cicho:

– Powiedz, jak droga?

– Okropna, straszna – odparła Julia szeptem.

– Dużo niebezpieczeństw?

– Lepiej nie mówić. Dobrze, że dałeś mi tego szofera. Wiedział, jak jechać, by mi oszczędzić okropieństw tej wojny. – Przyłożyła dłoń do ust i na

moment zamilkła. – Widziałam spalone domy... Mnóstwo spalonych domów. I trupy. Rozstrzelanych na poboczach. Wydawało mi się, że życie pokazało mi już wiele, ale bardzo się myliłam – westchnęła ciężko.

– Nie możesz już tam wrócić. Do Marienwerder.

– Na razie nie zamierzam, ale czas pokaże, co z tych zamiarów wyjdzie...

Gustaw z serdecznością uściskał babcię. Darzył ją wielkim szacunkiem i jeśli miałby wybrać jedną osobę z rodziny Guderianów, która była dla niego najważniejsza, to bez wahania wskazałby na Julię.

– A jak z Anną?

– Słabo sypia, chodzi zamyślona, stara się nie okazywać smutku, ale ja swoje widzę. I wydaje mi się, że z każdym dniem zamiast lepiej, jest gorzej.

– Wie, że wiem?

– O tym, że jest Polką, tak, oczywiście. O tym, że przyjechałaś tu w jednym celu... Nie. Bądź delikatna, babciu.

Julia obrzuciła go karcącym spojrzeniem. Nie pozwalała nikomu na takie odzywki i zazwyczaj natychmiast na nie reagowała. Teraz jednak przemilczała słowa wnuka, gdyż w salonie pojawiła się Ania.

– Prawdziwie zgłodniałam, Anno. Pachnie wybornie – ciągnęła tonem wyuczonym zapewne na potrzeby salonowego życia.

– Miło mi – odparła młoda gospodyni, stawiając przed Julią nakrycie.

Podczas posiłku prowadzili rozmowę na bardzo bezpieczne tematy, najpierw o jedzeniu, później o modzie. Julia opowiadała o ciotce Lotcie, która w Stettinie posiadała ekskluzywne modowe atelier.

– Ale cóż to za niedopatrzenie, jeszcze nie zaprowadziłeś tam swojej żony, Gustawie?

– Jakoś nie było okazji.

– To moja wina. Nie miałam do tego głowy – wtrąciła Anna. – Gustaw wspominał o tym miejscu, ale ja...

– Nadrobimy to, kochanie. – Julia weszła jej w zdanie. – Pokażę ci, co dobra krawcowa potrafi uszyć, jakiego szyku dodać. – Spojrzała na jej

skromną błękitną sukienkę w białe szarotki. Materiał może i był gustowny, choć absolutnie nie w stylu Julii, skłaniającej się ku suknom w kolorach granatu i bordo. – Do Lotty przyjeżdżają klientki z München<sup>[8]</sup>, z Berlina. Ona ubiera żony polityków i – ściszyła głos – ich kochanki – dokończyła żartobliwym tonem. – Słynie w całej Rzeszy, bo kobiety wychodzą od niej odmienione.

– Być może, ale... Ja naprawdę nie mam do tego głowy, kiedy... – Ania rzuciła łyżkę na talerz i wybiegła z pokoju.

Gustaw spojrzął na babcię, wzrokiem ciskał gromy.

– Prosiłem...

– Przecież nic nie powiedziałam. – Wzruszyła ramionami. – Delikatna jest.

– To najtwardsza kobieta, jaką znam – wyszeptał. – Najtwardsza. Niejedna po tym, co przeszła Anna, wyłudowałyby w zakładzie dla obłąkanych. Niejeden mężczyzna pewnie też.

Julia Guderian mruknęła przeciągle, po czym wstała i podeszła do okna.

– W porządku – powiedziała po chwili. – Zrobimy to zatem inaczej. Mógłbyś gdzieś wyjść? Zniknąć na kilka godzin? Na kilka długich godzin?

– A co zamierzasz?

Odwróciła się i podeszła do torebki, wydobyła z niej srebrną papierosnicę z ozdobnym rytym składającym się z liter JG i wyjęła papierosa. Gustaw natychmiast wstał i użył jej ognia.

– Zaufaj mi – powiedziała spokojnie, wydmuchując spory kłęb dymu.

## ZASŁONA WSPOMNIENÍ

Julia w samotności wypaliła jeszcze jednego papierosa, po czym udała się do sypialni młodych i zapukała.

– Mogę wejść?

– Proszę – usłyszała słaby głos.

W pokoju panował półmrok. Ania leżała na łóżku i wpatrywała się w ciemniejącą powoli szczelinę między kotarami. Tuż obok łóżka znajdował się głęboki fotel; Julia w nim usiadła. Miała przygotowaną długą i wspierającą mowę. Wiedziała, co i jak chce powiedzieć, dobrze to przemyślała. Nie zdołała jednak wypowiedzieć nawet słowa.

– Przepraszam za moje zachowanie – ubiegła ją Anna, siadając na łóżku.

Zapaliła lampkę nocną rzucającą intymne światło przez ciemny abażur.

– Nie masz za co. To moja wina. Źle się wyraziłam.

– Nie jestem sobą – ciągnęła Anna, jakby nie usłyszała słów Julii. – I nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę. To, co się wydarzyło w Fordonie... To mnie zmieniło. Ta wojna, choć dopiero się zaczęła, mnie zmieniła.

– Domyślałam się, że nie jest ci łatwo. Wojna... Ona dla nikogo nie jest łatwa.

– Nie jest łatwa? Wojna jest straszna, okrutna, zabiera to, co najcenniejsze – mówiła coraz szybciej, nie kryjąc nerwowości. – I nie myślę o przedmiotach ani o dachu nad głową. Wiele rzeczy można odbudować, kupić, zrobić własnymi rękoma, ale ciała ludzkiego nie da się ulepić na nowo. Ducha nie da się wtłoczyć, kiedy w głowie kulka. – Zamilkła na moment, a potem cicho dodała: – Wojna jest najgorszym złem.

– Nie przeczę. I jestem wściekła na to, co robią moi rodacy. Nie chodzi mi tylko o okrucieństwa względem Polaków, ale i względem Niemców.

Tylu chłopców poszło na rzeź i tylu jeszcze pójdzie. Jednak... Jednak póki jeszcze nasze płuca wypełnia powietrze, trzeba nam z godnością kroczyć przed siebie, próbować żyć jak ludzie, na ile się da. Pamiętać o tych, którzy odeszli, i walczyć o tych, którzy jeszcze są.

– Moja mama powiedziała by to samo. – Anna uśmiechnęła się cierpko. – A potem machnęła ścierką i wróciła do obowiązków, do gotowania rosółu albo cerowania ubrań papy... Może jeszcze rzuciłaby przez ramię, że na przeszłość nic nie poradzimy, z przyszłością możemy jeszcze zrobić wszystko.

– Mądre słowa.

– Bo taka była moja mama. Była...

– Ale widzisz, ty nadal o niej pamiętasz, nosisz w sobie jej słowa, a to bezcenne, najważniejsze. By pamiętać. Życie się zmienia, czasem nas okrutnie doświadcza, ale skoro daje nam szansę na przetrwanie kolejnego dnia, godziny czy choćby minuty, to trzeba z niej korzystać, bo to znaczy, że ma wobec nas jakiś plan, że jest jeszcze coś ważnego, co mamy do zrobienia tu, wśród żywych.

– Bez Gustawa bym tego nie przetrwała.

– Przetrwałabyś, bo jesteś silną kobietą.

Ania potrząsnęła głową.

– Nie wiem, czy wystarczająco. Nie wiem, czy po tym wszystkim dałabym sobie radę sama, tam, w Fordonie. Czy nie oszalałabym z rozpaczyny albo po prostu nie wpadła w ręce Selbstschutzu<sup>[9]</sup>.

– I nie zastanawiaj się nad tym. Nie ma sensu. Żyjesz tu i tu jesteś potrzebna.

– Potrzebna? Komu?

– Gustawowi.

– Dla niego jestem tylko ciężarem.

– Co też ty mówisz?

– Taka prawda. Jestem ciężarem. Na dodatek po tym wszystkim, co dla mnie zrobił, jak bardzo narażał się dla mnie, dla mojej rodziny, ja... ja nie

potrafię się w żaden sposób odwdziaczyć.

– Ale on nie oczekuje wdzięczności. On cię po prostu kocha.

– Po prostu kocha... Hmm... Nie wiem, czy to nie za mało. – Anna przy-  
mknęła powieki, a potem szepnęła: – Czasami myślę, że może nie powin-  
nam tu być. Leżeć wygodnie na łóżku, kiedy inni śpią gdzie bądź. Jadać  
wyborne posiłki, gdy innym brakuje chleba. Żyć, gdy innym śmierć tylko  
dana.

– Los chciał, byś była tu, nie w Fordonie – oznajmiła kategorycznie Julia.  
– Nie zastanawiaj się już nad tym, gdzie powinnaś być, a gdzie być może  
nie. Teraz twoim domem jest Stettin i to jedyny pewnik, jaki masz w życiu.  
Oraz Gustaw. I wasza miłość.

– Łatwo powiedzieć, ale ciężiej zrobić. Kiedy przed oczami ma się śmierć  
braci i rodziców, przyjaciółki, która była jak siostra, nic nie jest już takie  
samo. – Anna głośno przełknęła łzy.

– Domyślam się i... w pewnym sensie doskonale cię rozumiem. Wiem, co  
znaczy stracić najbliższych. Mimo że szczęśliwie, choć wzdragam się przed  
używaniem tego słowa akurat w tym znaczeniu, nie musiałam patrzeć na  
ich śmierć. Ani razu.

Anna uniosła wzrok na Julię.

– Zazdroścę...

– Ale raz tę śmierć słyszałam i przez to omal nie postradałam rozumu. –  
Westchnęła chrapliwie. – Chcę ci o czymś opowiedzieć, ale proszę, abyś nie  
powtarzała tego Gustawowi. On zna sprawę, ale dość ogólnie i chciałabym,  
by tak zostało.

– Oczywiście.

– Miałam kiedyś kochanka – oznajmiła Julia, zupełnie jakby napomykała  
o tym, że miała kiedyś czworonożnego pupila. – Szanowałam swojego  
męża, czyli dziadka Gustawa, ale to dla kochanka byłam gotowa zrobić  
wszystko, porzucić swój świat, odciąć się od niego. To była piękna miłość.  
Zdarzyła się dokładnie wtedy, kiedy z mężem oddaliliśmy się od siebie, gdy  
spotykał się z młodziutką aktoreczką i częściej spędzał czas w jej skromnej

alkowie niż w naszej przestronnej sypialni. Nie miałam do niego żalu, bo coś po prostu między nami gasło i taki układ nawet mi odpowiadał. A potem zdarzył mi się romans i całkiem przestałam myśleć o mężu. Z tamtym mężczyzną na nowo poznałam smak szczęścia. Tak naprawdę byłam wtedy najszczęśliwsza w całym swoim życiu. Śmiałam się głośno, o świcie tańczyłam boso na trawie, a gdy przychodził zmierzch, liczyłam gwiazdy na niebie. – Uniosła głowę i mruknęła, jakby starała się coś sobie przypomnieć. – Pachniał piżmem i drzewem cedrowym. Takiej wody toaletowej używał, a może nawet – lekko się uśmiechnęła – nadużywał. Zawsze był elegancki, czarował spojrzeniem, a kiedy palił, puszczał dym kólkami, rozśmieszając mnie tym. Nie pamiętam już dokładnie rysów jego twarzy, ale emocje niemal każdej wspólnej chwili tak. A minęło ponad ćwierć wieku... Pewnego dnia siedzieliśmy razem w samochodzie, gotowi uciec od wszystkich. Taki był nasz plan: uciec, by rozpocząć wspólne życie na nowo. Spakowani, każde do jednej walizki. Szaleństwo... To było szaleństwo. Raz w życiu się na takie zdobyłam. Raz jeden. – Przesunęła palcami po włosach, a potem po szyi. Cicho westchnęła. – Zatrzymaliśmy się na poboczu, bo coś mu w kole stuknęło. Wysiadł się zorientować, co się stało. Pamiętam, jak patrzył na mnie zza szyby, jak puszczał te idealne kółka z papierosowego dymu. Hmm... I nagle osunął się na ziemię. Wysiadłam z auta i zobaczyłam, że leży tuż przy masce, a potem... Potem podzieliłam jego los. Ocknęłam się w piwnicy starego, zawilgotniałego domu. Miałam zakneblowane usta, zasłonięte oczy, związane ręce i nogi. Ale słyszałam wszystko. Oni chcieli, żebym słyszała ich słowa, posapywania, przekleństwa. Chcieli, bym się bała, a przede wszystkim, bym była świadoma tortur, jakim poddawano mojego kochanka. I jego jęków. Bym słyszała, jak charczy i rzezi, a potem jak jego oddech zwalnia, a w końcu zanika – mówiła coraz wolniej, z nieskrywanym trudem. – Myślałam, że tam zwariuję, chciałam z nim umrzeć. A nawet byłam pewna, że tak się stanie. Że i mnie zabiją. Ale nie. Zależało im tylko na nim. Chcieli od niego jakieś złoto, a on przysięgał, że go nie ma. Do końca mu nie wierzyli. Do jego ostatniego tchnienia...

Wywlekli mnie stamtąd po jakimś czasie, wrzucili do samochodu i wywieźli. Zostawili w rowie pod Frauenburgiem<sup>[10]</sup>. Myślałam, że mam zdartą



skórę na plecach od ich razów. Myślałam, że mam obite wnętrzności od ich kopniaków. Wszystko mnie bolało, całe ciało wyło z bólu. Ale to nie był mój ból, a jego. Czułam go, choć nie powinnam, bo na moim ciele były tylko drobne zadrapania. Nic ponad nie.

Myślę, że później znalazłam się w podobnym stanie jak ty teraz. Z jednej strony chciałam zniknąć, przestać istnieć, a z drugiej ze wszech miar pragnęłam żyć. Balansowałam na krawędzi. Dziś cieszę się, że na tej krawędzi się utrzymałam, ale wtedy nie miałam pewności, co byłoby dla mnie lepsze: trwanie za wszelką cenę czy upadek i koniec tęsknoty.

– Ja wiem, że życie jest lepsze – wyszeptała Ania – ale mam w sobie tyle złości na to, co się stało, jest mi ciężko... Muszę sobie z tym jakoś poradzić. Muszę, bo to ostatnia wola mojego taty. On chciał, bym zrobiła wszystko, by przetrwać. – Anna westchnęła. – Niektórzy mówią, że czas leczy rany, a u mnie jest chyba inaczej. Dla mnie każdy kolejny dzień jest trudniejszy od poprzedniego. Nic mnie nie cieszy. Prawie nie śpiam, bo boję się zamknąć oczy. Pod powiekami widzę ich ciała. Jak padają od strzałów. Widzę wszystko tak wyraźnie, tak beznadziejnie wyraźnie.

Anna poczuła na swej dłoni pocieszający dotyk Julii, matczyny i pełen czułości. Tego jej było trzeba, tak ogromnie za tym tęskniła, że w jednej chwili padła u kolan Julii, a ta przyjęła ją niczym córkę i zaczęła tulić i gładzić po włosach. Przez chwilę milczały, a potem Ania odezwała się przez łzy:

– Nie potrafię sobie z tym poradzić. Chcę odpędzić te obrazy, twarze, głosy, jęki. Chcę wyrzucić z głowy tamtą noc, ale nie potrafię.

– To jej nie wyrzucaj.

– Co? – Podniosła głowę i spojrzała na kobietę ze zdziwieniem.

– Nie wyrzucaj jej.

– Jak to? Przecież to mnie będzie dręczyć przez całe życie.

Julia pokiwała głową.

– Miałam dokładnie takie samo nastawienie jak ty teraz, a potem ktoś mi powiedział, że ostatnie chwile z moim ukochanym były darem, nie prze-

kleństwem. Mogłam być przy nim w najboleśniejszej chwili jego życia, mogłam mu towarzyszyć w jego strachu, cierpieniu, bólu. To był mój przywilej. I powinnam za niego podziękować.

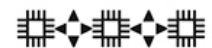
– Podziękować?

– Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak. Pozwól sobie na złość za to, że odebrano ich tobie, ale postaraj się także o wdzięczność za to, że w pewnym sensie do końca z nimi byłaś.

– Ale...

– Po prostu spróbuj. Mnie to pomogło.

Anna nie wyobrażała sobie, jak miałyby dziękować za bycie świadkiem śmierci swoich najbliższych. Za wszystko chyba by potrafiła, ale nie za to. Milczała jednak i pozwoliła, by Julia uspokajająco gładziła ją po włosach.



Anna może i nie potrafiła czuć wdzięczności za scenę okrucieństwa, której była świadkiem, ale czuła wdzięczność za obecność Julii, która sprawiała, że z każdym wspólnym dniem Annie wracała chęć życia. Zaczęła się uśmiechać, już nie na siłę, rozmawiać z ciekawością, z pasją słuchać muzyki. W parku karmiła ptaki i nadawała imiona liściom, jak zwykła robić kiedyś. Powoli przypominała sobie radość, jaką czerpała z dawnego życia.

– Musi zacząć się pokazywać w środowisku – oznajmiła pewnego dnia Julia, kiedy z Gustawem przemierzali szeroką aleję przy Kaiser-Wilhelm Strasse<sup>[11]</sup>. – Ludzie pytają. Nie sposób kłamać w nieskończoność o jej niedyspozycji w związku z powrotem z Rigi i jakimiś tam ciężkimi przeżyciami. Nie daj Boże, zaczną o te ciężkie przeżycia wypytywać i wtedy znów trzeba będzie kłamać. A wiesz, że kłamstwo nosi krótką spódnicę.

– Uważasz, że jest gotowa?

– A czy w innym wypadku bym ci to sugerowała? – rzuciła z irytacją. – Jej żałoba bez wątpienia będzie długa, może nigdy się nie skończy, bo Anna była... bo jest bardzo zżyta z rodziną. Jednak wydaje mi się, że powoli wraca do normalności. A w tym powrocie pomogą jej wyjścia, na przykład

do kina, do teatru czy nawet do Lotty, która niecierpliwie oczekuje jej wizyty.

– Myślisz, że dzięki temu łatwiej zapomni?

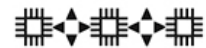
Julia z dezaprobatą pokręciła głową.

– Gustawie! Ona nigdy nie zapomni ani o tym, że jest Polką, ani o tym, że nasi zabili jej całą rodzinę. Ty też byś nie zapomniał. Pokochałeś kobietę z naprawdę trudną przeszłością. Pogódź się z tym.

Względem Gustawa Julia Guderian rzadko bywała delikatna. Nawet kiedy miał kilka lat, była raczej surowa i bezpośrednia, a przy tym sprawiedliwa i uczciwa. Chwaliła za wyniki, wytykała błędy. Podziwiała, kiedy ubierał się z klasą, ganiła, gdy zjawiał się z choćby niedogoloną kępą brody albo w ubłoconych butach – nawet podczas pluchy. A od kiedy zamieszkali pod jednym dachem w Marienwerder, stała się jeszcze bardziej wymagająca.

Gustaw uważnie spojrzał na babkę.

– Masz rację. Trzeba spróbować.



Usiedli do obiadu. Anna naląa zupę i opowiadała o wizycie sąsiadek, pani Handtke i pani Koch, która obdarowała ją tortem z wiśniami.

– Miło. – Julia zerknęła na ciasto i zdziwiła się. – Wygląda jak ten najmodniejszy Schwarzwälder Kirschtorte<sup>[12]</sup>. Mmm... Myślę, że Lotta doceniłaby, gdybyśmy pojawiły się z nim na późnej popołudniowej herbatce. Kiedy dziś z nią rozmawiałam, zapraszała nas do siebie. Co ty na to, Anno?

Gustaw wyczekująco patrzył na ukochaną.

– Z chęcią. – Anna zdobyła się na uśmiech.

– Doskonale. – Julia się rozpogodziła. – Nie masz nic przeciwko, Gustawie?

– Nie, w żadnym wypadku. Nawet was podwiozę. I tak miałem odwiedzić znajomego. Poza tym dopiero co odebrałem nowy samochód. Chyba nie zrezygnujecie z okazji na przejażdżkę.

- Daj spokój. Przejdziemy się, to niedaleko.
- Wykluczone. Robi się ciemno, nigdzie samych was nie puszczę.



Godzinę później wysiadały z samochodu przy Pölitzer Strasse<sup>[13]</sup>, nieopodal atelier mody Lotty Bramen.

– Na pewno poradzicie sobie z powrotem? – upewnił się Gustaw, zamykając za nimi drzwi nowego stoewera<sup>[14]</sup>.

– Nie musisz pytać tyle razy. – Babka zgromiła go spojrzeniem. – Nie mamy mleka pod nosem. Damy sobie radę.

Kiedy odjechał, Anna rozejrzała się wokół siebie. Wcześniej to miejsce widziała tylko z okien samochodu, kiedy przejeżdżała tędy z Gustawem. Wtedy przyglądała się kamienicom jakoś bez emocji. Chciała je przecież nienawidzić. Teraz, kiedy stała na chodniku i zadzierała głowę, po raz pierwszy poczuła się częścią Stettina. Patrzyła na szpalery eleganckich kamienic, na wymyślne wykuszowe okna, kute bramy, które zdawały się prowadzić do pałacowych wnętrz, a nie do oficyn. Łapczywie chłoneła metr za metrem, szyld za szyldem, witrynę za witryną.

– Pięknie tu – stwierdziła. – Z samochodu wygląda to inaczej.

– Masz rację. – Julia również się rozejrzała. – Jest naprawdę pięknie, a na chodnikach jak elegancko! A sporo już w życiu widziałam! Najpiękniejsze stolice Europy. Berlin, Paryż, Rzym... Mówią, że Stettinowi do nich daleko, ale czy na pewno? Nie jestem przekonana...

W ich stronę zmierzały dwie dostojne damy, ubrane w karakułowe płaszcze i długie suknie, których rąbki wystawały nieco spod wierzchniego okrycia. Na głowach miały kapelusze o miniaturowych rondach. Szły wolno, z gracją, oszczędnie rozmawiając. Kiedy je minęły, Julia westchnęła.

– No może przesadziłam z tą elegancją – stwierdziła z wyższością. – Tutaj kobiety są jakby z innej epoki. Przecież nikt się już tak nie nosi. – Raz jeszcze im się przyjrzała, a potem zwróciła spojrzenie na Anię, która też nie była ubrana specjalnie sztywnie. Zreflektowała się. – Ale nie ma co wy-

brzydzać. W Marienwerder noszą i starsze fasony. No. – Opiekuńczo zagarnęła Anię ramieniem. – Chodźmy już do Lotty.

## KROPLA BLICHTRU, DZBANEK DZIEGCIU

Ania z drżącym sercem stanęła przed szklanymi drzwiami atelier. Odkąd przyjechała do Stettina, nie była jeszcze w tak eleganckim miejscu, w żadnej kawiarni, restauracji, u modystki. Nie chciała. Teraz też czuła strach, ale zdawała sobie sprawę, że musi go pokonać. Że musi być taka, jak zawsze mówiła jej mama: silna i odważna. Wzięła głęboki wdech i spojrzała na Julię.

– Będzie dobrze – powiedziała tamta pocieszająco. – Zobaczysz. Zresztą będę tuż obok i w razie czego możesz na mnie liczyć. A poza tym Lotty nie musimy się obawiać. Jest specyficzna, ale – Julia jeszcze bardziej ściszyła głos, choć wcześniej i tak mówiła dość cicho – również ogromnie przydatna. Jej sympatia może nam się przysłużyć.

Ania pokiwała głową i postarała się o skąpy uśmiech na twarzy. Julia poklepała ją dobrotliwie po dłoni.

– Chodź. – Złapała za klamkę i otworzyła drzwi.

Dzwoneczek, który zabrzączał, przywołał młodą ekspedientkę: wysoką, o wąskiej talii i przesadnie szerokich biodrach. Nosiła się elegancko. Biała bluzka z drobnymi pliskami zapięta pod samą szyją i ciemna spódnica rozkloszowana tuż za kolanem sprawiły, że Anna spojrzała na nią z nutą zazdrości.

– Jesteśmy umówione z Lottą Bramen – oznajmiła Julia, nie przedstawiając się.

– Dzień dobry szanownym paniom Guderian. – Kobieta ukloniła się najpierw starszej, potem młodszej. Julia z satysfakcją przyjęła tak wykwintne powitanie. – Pani Bramen czeka w swoim saloniku.

Ania rozejrzała się. Oprócz nich w atelier były jeszcze cztery klientki, które z pomocą bliźniaczo wyglądających ekspedientek przymierzały w garderobach sukienki. Zachowywały się głośno, jak podekscytowane podlotki: szczebiotały i kwieciście komentowały przymierzane stroje. Ania pojęła powód tak przesadnie wesołego zachowania, gdy dojrzała na okrągłym stolczku opróżnioną butelkę szampana.

– Proszę tędy. – Po zabranii od nich wierzchnich okryć ekspedientka skierowała się w stronę ogromnych luster.

Kiedy je rozsunęła, oczom Anny ukazało się niezwykle wnętrze. O ile sala dla klientek była oszczędna w detale, nie emanowała przepychem, lecz czarowała przestrzenią, czystością i jasnością, bo tam miała olśniewać klientka, o tyle w saloniku Lotty Bramen błyszczało samo wnętrze. Ania nigdy nie widziała tak strojnego pokoju na własne oczy, jedynie w żurnalach. Nie był to zwykły pokój, a raczej buduar z szezlongiem, sekretarzykiem z niezliczoną ilością szuflad i toaletką, na której stały flakony z perfumami, pudry i szczotki. Była mała biblioteczka, dwa głębokie fotele i sofa z miękkimi poduchami, a przy niej niski stolik na trzech nogach, a raczej lwich łapach. Tuż przy starannie osłoniętym gęstą firaną oknie uśmiechał się kobiecy manekin odziany w bardzo kusą halkę, kapelusz z ogromnym rondem i sznur pereł sięgający bioder.

– Witajcie, kochane!

Lotta Bramen przywitała je z otwartymi ramionami. Ania pomyślała, że właścicielka idealnie pasuje do wnętrza swojego saloniku utrzymanego w kolorze pudrowego różu. Ubrana w prostą sukienkę w drobne kwiaty, dodawała sobie szyku długim szyfonowym szalem, nonszalancko zarzuconym na ramiona.

Ania podała gospodyni rękę na powitanie, bo tamta wyciągnęła ku niej swoją, ale nie zdołała wykrzesać z siebie ani słowa.

– To żona Gustawa, Anna – wyręczyła ją Julia. – Zapewne, tak jak miliony innych osób, od zachwyty tobą zaniemówiła.

– Ach, Julio, ty to wiesz, jak sprawić przyjemność kobiecie, która w samotności przeżywa upływ siódmej dekady życia.

– Ani odrobinę ci nie wierzę! Nigdy nie martwiłaś się upływającym czasem, a ponadto obie wiemy, że akurat tobie lata służą, kokietko.

Kobiety roześmiały się kurtuazyjnie, co rozluźniło Anię i sprawiło, że się odezwała:

– Przyniosłam ciasto dla cioci. – Wręczyła Lotcie paczuszkę przewiazaną tasiemką.

– Tylko proszę cię, Anno, nie ciotkuj mi jak Gustaw. Strasznie staro się wtedy czuję. Jestem Lotta, po prostu Lotta.

Julia zaśmiała się w duchu, bo dokładnie takiego powitania ze strony Lotty się spodziewała. Jej kuzynka miała bzika na punkcie młodości i sposobów na zatrzymanie procesów starzenia. I nie chodziło tylko o ziołowe, paskudnie pachnące mikstury na twarz, które namiętnie stosowała, ale i sposób, w jaki się do niej zwracano.

Lotta łakomie zabrała się za otwieranie pakunku.

– Schwarzwälder Kirschtorte! Uuu! – Jej oczy błyszczały. – Uwielbiam!

– I właśnie dlatego się na niego zdecydowałyśmy – skłamała gładko Julia.

– Bardzo się cieszę. W tych jakże oszczędnych w serdeczne gesty czasach to wiele dla mnie znaczy. Siadajcie, kochane, siadajcie. Już wołam o herbatę i jakąś naleweczkę dla nas.

Rozsiadły się, a po chwili do pomieszczenia weszła drobna kobieta w schludnej, acz skromnej sukience, za dużej co najmniej o dwa rozmiary. Miała delikatne rysy twarzy, wydatne usta, cienkie brwi, a rzęsy tak gęste i długie, jak te doklejane aktorkom na czas przedstawienia. Uprzejmie dygnęła, nie podnosząc wzroku.

– Trzy herbaty, butelkę z nalewką, tę z różową etykietą, i kieliszki. Zrozumiałaś? – Lotta brzmiała oschle.

Kobieta pospiesznie, jakby zląkniona, skinęła głową i wyszła.

– W końcu doczekałam się nowego nabytku. – Bramen westchnęła. – Jest u mnie dopiero od tygodnia i nadal się uczy – tłumaczyła. – Ale nie narzekam. Ważne, że ją mam.



– Pod twoimi skrzydłami rozkwitnie.

– A gdzieżby! Wcale mi na tym nie zależy. Ważne, żeby dobrze wykonywała polecenia. Nic ponadto. Musi znać swoje miejsce. Przecież to Polka! – rzuciła z niesmakiem.

Ania poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Zacisnęła zęby. Nie uszło to uwadze Julii, która dla niepoznaki parsknęła śmiechem.

– A wiesz, Lotto, przypomniało mi się, jak kiedyś miałaś takiego kulawego lokaja, Polaka, co to, w rzeczy samej, kulawy nie był, ale tak na niego wołałiśmy, bo potykał się o własne nogi. Ile on ci szkód narobił! Myśmy w głowę zachodzili, po coś ty go u siebie tak długo trzymała.

– Rzeczywiście! – Właścicielka atelier zaśmiała się w swoim stylu: gardłowo i cicho, przesłaniając usta dłonią. – Kto by pomyślał, że kiedykolwiek przyjdzie mi wspominać Jędrzeja. – Nieudolnie wymówiła jego imię.

Lotta z rozrzewnieniem opowiadała o niezdarnym lokaju. Potem snuła historyjki z życia wykwintnej rezydencji Bramenów nieopodal Berlina. To miejsce słynęło z hucznych przyjęć i polowań na bażanty, ze stołów uginających się od jadła, z muzyki na żywo i z rozpustnych bali, które w programie miały nie tylko tańce, ale i striptiz oraz... sceniczne orgie. Lotta uwielbiała rodzinną rezydencję i w pełni korzystała z jej możliwości. Zapewne nadal by to robiła, ale w wyniku perturbacji finansowych straciła niemal cały majątek i musiała zastawić rezydencję, by spłacić dług. Ze wstydu przed berlińską elitą uciekła do Stettina i zadekowała się w swoim atelier. Musiało upłynąć kilka lat, zanim zapomniała o hańbie. Wróciła na salony, choć na tak głośne i spektakularne przyjęcia jak tamte w podberlińskiej rezydencji nigdy już nie chadzała ani sama też nie śmiała takowych organizować.

– Przyznam, moja droga Julio, że czasami, a szczególnie wtedy, gdy uszczknę ciut za dużo z butelki z likierem, wspominam ten nasz bal maskowy w stylu weneckim. Pamiętasz?

– O, jakże mogłabym nie pamiętać – odparła Julia, odrobinę zmieszana.

– Miałaś wtedy taki wytworny strój! To głębokie wycięcie na plecach...

– Cóż tam mój strój w stosunku do twojego. – Julia spróbowała oddalić uwagę od swojej osoby. – O ile mnie pamięć nie myli, miałaś na sobie dziesięć metrów włoskiego tiulu!

– Jedenaście! – sprostowała Lotta, nie kryjąc satysfakcji.

Do saloniku wróciła Polka. Dygnęła uprzejmie, rozstawiła kieliszki, po czym nalała do nich likieru. Kiedy wyszła, Lotta głośno westchnęła.

– Do usługiwania to one się nawet nadają. Te – rzuciła z nieskrywaną kpinią – Polki. A wracając do balu...

Ania nie potrafiła się skupić na dalszych opowieściach Bramen. Skrzywiła się i zagryzła wargę. Po chwili jednak, widząc ostre spojrzenie Julii, przykleiła do ust firmowy uśmiech, którym niegdyś obdarowywała klientów restauracji Wiślana, dodatkowo wzmacniając go grzecznościowym potakiwaniem. W jej głowie jednak nachalnie rozbrzmiewało jedno zdanie:

„Te Polki”.

Wiedziała, że nie wolno jej okazywać emocji, słysząc takie słowa. Wiedziała też, że musi być na nie gotowa. Wielokrotnie rozmawiała o tym z Gustawem. To on bardzo cierpliwie przygotowywał ją do bezpiecznego chodzenia po mieście. To on, odgrywając scenki z życia, uodparniał ją na złowrogie i okrutne określenia dotyczące Polaków, jakie słychać było na ulicach. Z każdą rozmową, z każdym teatrykiem, w którym gardził polskością, hartowała się, stawała się twardsza, mocniejsza, pewniejsza swoich reakcji.

Kiedy podczas jednej z pierwszych samotnych wizyt w piekarni usłyszała nieprzyjemności rzucone przez podstarzałego mężczyznę w stronę bezimiennych „plugawych miernot, które dokonują zamachu na rasę panów”, jak ów człowiek określał Polaków, zadrzała, ale nie odezwała się. Może wprawniejszy obserwator zauważyłby zmianę w jej ciele, napięte barki, lekko zmrużone oczy i pobladłą twarz, ale w małej, pachnącej mąką i makiem piekarni o aktualnej sytuacji politycznej gorąco dyskutowali niezbyt spostrzegawczy, podstarzali Niemcy. Ania wzięła wtedy głęboki wdech i po raz kolejny zagrała swoją wielką rolę tak, by spełnić prośbę ojca:

„Musisz żyć, jakieś Łabędź”.

W przytulnym salonie Lotty Bramen również o niej pamiętała i po chwili słabości grała już swoją rolę wyśmienicie.

– Tak mi przypomniałaś tego polaczka, Julio... – Tajemniczy chichot Lotty sprawił, że Ania na dobre wróciła z uwagą do rozmówczyń. – On miał też swoje zalety. Uuaa! I to niebagatelne.

– Zalety? Teraz to już mnie prawdziwie zaintrygowałaś. – Julia oblizwała wargi, jakby dawała znak, że jest gotowa na wysłuchanie pikantnych szczegółów.

– Nie dziwię się! Gdybyś go tylko zobaczyła w całej okazałości! Jestem pewna, że też byś mu darowała te wszystkie szkody, bo rozumiesz... W tych miejscach był wybitnie łaskawie obdarowany. Pamiętam twoje upodobania w tych kwestiach i Jędrzej... – Ponownie z trudem wymówiła jego imię. – Ech! Zwariowałabyś dla niego.

Julia zmieszała się i sięgnęła po kieliszek.

– Stare czasy, Lotto.

– Może i stare, ale warte wspomnienia.

Szczęśliwie dla Julii, która za nic w świecie nie chciała, by Lotta drążyła temat jej seksualnych upodobań sprzed lat, do pomieszczenia weszła służąca, dzierżąc półmisek z cynamonowymi ślimaczkami, i Bramen na chwilę przeniosła na nie uwagę. Anna tymczasem przyglądała się Polce. Patrzyła na jej niezbyt wprawne ruchy, drobne niezdarności. Widać było, że wcześniej dziewczyna wykonywała inną pracę. Dostrzegła odcisk na jej palcu i pomyślała, że Jola miała taki sam od częstego trzymania długopisu.

„Może to nauczycielka?” – przemknęło jej przez głowę.

Myślała o niej jeszcze krótką chwilę, a potem dała się pochłonąć opowieściom Lotty, która, na nieszczęście Julii Guderian, znowu rozplýwała się nad intymnymi parametrami służącego.

– Tak tu o tym lokaju opowiadam przy świeżej małżonce. – Oderwała kawałek ciastka i włożyła go do ust. – A nie wiem, czy to aby nie gorszące. I czy Gustaw byłby zadowolony.

– Zapewniam, że nie gorszę się zbyt łatwo. – Anna zabrzmiała tak, jakby była doświadczoną kobietą, a nie dziewczęciem, które w świecie dorosłości stawia pierwsze kroki. – A jeśli chodzi o Gustawa, nie zamierzam go wtajemniczać w arkana tego wieczoru.

Lotta cmoknęła, i to nie raz, a Julia z satysfakcją pokiwała głową.

– Mówiłam ci, że Anna idealnie pasuje do klanu Guderianowych kobiet.

Lotta wzniosła kieliszek i ruchem ręki zachęciła towarzyszkę do tego samego.

– A zatem wypijmy. Za mądre, wyemancypowane pokolenie niemieckich kobiet!



Kiedy skończyła się pierwsza butelka likieru, rozweselona Lotta za pomocą dzwoneczka przywołała służącą. Z satysfakcją spojrzała na drzwi, gdy po bardzo krótkiej chwili stanęła w nich Polka.

– Ej, ty! – Lotta machnęła ręką w jej kierunku. – Prędziutko mi tu drugą butelkę przynieś.

– Przepraszam, proszę pani, ale ta była ostatnia – powiedziała cicho dziewczyna łamaną niemczyzną.

– Niemożliwe. – Lotta przewróciła oczami i spojrzawszy na Julię, z typową dla siebie beztróską dodała: – Mogłabym przysiąc, że wczoraj były dwie.

– Może ktoś ci podkradł? – zażartowała Julia. – No wiesz, takie rarytasy to ty powinnaś pod kluczem gdzieś trzymać.

Wyraz twarzy Lotty radykalnie się zmienił.

– Podejź tu! – przywołała Polkę.

Tamta natychmiast się zbliżyła. Wzrok nadal wbijała w podłogę.

– Ukradłaś mi butelkę schwanengesang?

– Nie, proszę pani – odpowiedziała Polka bez wahania i po raz pierwszy spojrzała na Lottę. – Jak dzisiaj sprawdzałam spiżarnię, była tylko jedna. Nie śmiałabym niczego tknąć.

– Czy na pewno? Wam, Polakom, kleją się łapska. Mówili mi, że nie wolno wam ufać. – Lotta uniosła rękę i zaczęła wygrażać palcem. – Może powinnam to zgłosić! To się do Gestapo nadaje! – rzuciła tonem, jaki Julia znała z nazistowskich spotkań w rodzinnym domu.

Anna pobladła. Julia spojrzała na nią i pomyślała, że jeżeli czegoś nie zrobi, żona Gustawa za moment zemdleje. A tego zdecydowanie nie chciała.

– Ach, Lotto! – rzuciła z celową dozą beztroski. – Kiedy człowiek pije takie smakowitości jak schwanengesang, gubi się w tym, czy wypił jedną czy więcej butelek. Kto by to liczył?

– Czyżbyś sugerowała, że za dużo piję?

– Skądże! Za dużo to piją Wolfie i Johann. Andrea także, ale na pewno nie ty, moja droga. Ty pijesz tyle, ile powinnaś – stwierdziła z przekonaniem Julia.

Zapanowała cisza z gatunku tych, które zwiastują katastrofę. Aż nagle z gardła Lotty wydobył się... cichy chichot.

– Jak ty mnie dobrze znasz, Julio! Za dobrze! – parsknęła, kołysząc się ze śmiechu. – Aż się zaczynam ciebie bać, bo jeszcze wyjdzie, że znasz mnie lepiej, niż ja sama siebie!

Atmosfera natychmiast się oczyściła. Lotta chichotała, a Julia jej wtórowała. Anna przyglądała się kobietom z niedowierzaniem. Dla niej taka zmienność nastrojów była czymś obcym. Dla Polki, która cały czas stała obok Lotty, również.

– Ty jeszcze tutaj? – Gospodyni z niesmakiem zwróciła się do służącej.

Ruchem ręki odprawiła ją, a kiedy tamta wyszła, zaczęła naśmiewać się z niej i szydzić. Na koniec cicho podsumowała:

– Śmiech śmiechem, ale ja wam mówię: Polaków to trzeba krótko trzymać, za mordę, na smyczy i w kagańcu, bo inaczej jeszcze mi tu gotowi jakieś rewolucje wszczynać. Znani są z tego. Naczytałam się o tych ich powstaniach, kiedy nierobom zachciało się wolności. Teraz przynajmniej znają swoje miejsce. Polacy... – Wypluła z odrazą ostatnie słowo.

– Ta wojna... Okropna jest – stwierdziła Julia.

– Czy ja wiem? – Lotta mruknęła przeciągle. – Moje atelier ma się lepiej niż przed wrześniem. Klientek mi przybywa, bo tu, w Stettinie, nie do końca się znają, a do Trudi Stark chodzą chyba jedynie z przyzwyczajenia. Zasadniczo ona była tu przede mną. Ale... – cmoknęła – ...mam nadzieję, że co lepsze damy już niedługo zawitają właśnie do mnie.

– W ogóle w to nie wątpię – wtrąciła Julia.

– No ale atelier to jedno, a mój zakład krawiecki to drugie. Dzięki moim wspaniałym przyjaciółom z Berlina właśnie zaczęłam szyć mundury dla naszych dzielnych żołnierzy. Radość i duma! Może pokażę wam mój zakład? Tak pięknie się rozrasta. Chodźcie.

Lotta pospiesznie wstała, poprawiła sukienkę i ruszyła ku drzwiom na za-  
plecze, za którymi ciągnął się wąski, długi korytarz prowadzący do oficyny.  
Kobieta wskazała ręką w stronę rozświetlonych okien.

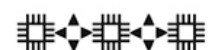
– Dwa lata się starałam, a we wrześniu ekspresowo przyznali mi zgodę na przebudowę magazynów na halę krawiecką. I od razu dziesięć robotnic dali. Dostanę ich więcej, ale muszę jeszcze trochę poczekać. Powiem wam, że się cieszę, że Polacy mogą w naszych fabrykach odpokutować swoje grzechy względem Rzeszy.

– Grzechy? – zapytała Anna z wyraźną pretensją.

Natychmiast tego pożałowała, ale nie mogła już cofnąć słów. Lotta spoj-  
rzała na nią chmurnie, wyraźnie zaskoczona. Nieoczekiwanie jednak jej  
twarz pojaśniała.

– Masz rację, Anno! To nie są grzechy, a zbrodnie! Tak! Sprawy należy  
nazywać po imieniu. – Pokiwała głową. – Aleś się wpasowała w tę naszą  
rodzinę! Idealnie!

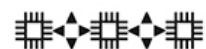
Julia ukradkiem spojrzała na Annę i porozumiewawczo zmrużyła po-  
wieki. Odetchnęła.



Kiedy weszły do zakładu, powitał je terkot maszyn do szycia. W dużej hali znajdowało się jakieś pięćdziesiąt stanowisk szwalniczych, może i więcej. Na tyłach zalegały bele materiału, pod oknami ustawiono drewniane skrzynie. Było ciepło i pachniało krochmalem, bo w sąsiednim pomieszczeniu urządzono magiel.

Żadna z Polek nie zaprzestała pracy, choć wszystkie od razu dostrzegły obecność właścicielki. Lotta przywołała spojrzeniem szczupłą, bardzo wysoką kobietę, z którą zamieniła prędko kilka zdań.

Anna w tym czasie wpatrywała się w pracownice przy maszynach, w ich ponure twarze i szczupłe, poranione palce przeciągające materiał pod igłą. W pochylone głowy owinięte chustkami, spod których wystawały cienkie kosmyki włosów lub grube warkocze. Obraz ten miała przed oczami, nawet kiedy opuściły już szwalnię. I wcale nie chodziło o poczucie solidarności narodowej. Przecież na ulicach Stettina widywała polskich robotników, którzy szli do pracy albo z niej wracali, robili sprawunki w sklepach i kioskach. Rozpoznawała ich bez trudu po naszywkach z literą P na płaszczach i kurtkach. Po raz pierwszy jednak zobaczyła Polki w pracy, i to w takiej, której zapewne nigdy nie chciałyby wykonywać. W pracy na rzecz znienawidzonej Rzeszy. Od razu pomyślała, że mogłaby być na ich miejscu. Gdyby nie Gustaw...



Z atelier Lotty Bramen wyszły po kilku godzinach. Chodnikiem przemykali nieliczni przechodnie, co jakiś czas na ulicy pojawiała się taksówka lub prywatny samochód. Większość okien była szczelnie osłonięta, z rzadka w niektórych jaśniały lampy. Z dali dobiegł dźwięk skręcającego tramwaju, jakieś męskie podniesione głosy, szczekanie psa.

– Nie miałam pojęcia, że Lotta aż tak się zmieniła – odezwała się Julia, gdy stanęły tuż przy słupie ogłoszeniowym, kilka metrów od atelier, by poczekać na zamówioną taksówkę. – Wiedziałam, że sympatyzuje z nazistami, jakoś nigdy się z tym nie kryła, ale nie myślałam, że jest im tak

szczerze oddana. I nie miałam pojęcia o tych robotnicach. Gdybym wiedziała, nie zabrałabym cię tam.

– Dlaczego? Muszę się mierzyć z takimi sytuacjami, jeśli chcę... Jeśli mam przetrwać.

– Ale było ci ciężko.

– Tak. Każdego dnia jest mi ciężko, jednak zdaję sobie sprawę, że w porównaniu do innych moje życie wygląda jak raj. A te kobiety... One na pewno też kogoś straciły, też kogoś oplakiwały. Tylko że teraz jeszcze muszą płakać nad swoim losem.

– Pociuszające w tym wszystkim jest to, że fizycznie Lotta ich nie krzywdzi. Zawsze była przeciwna karom cielesnym. Ale dużo mówi. Wierzę, że jej złośliwości, z których zawsze słynęła, to tylko oratorskie popisy.

Nadjechała taksówka. Kobiety zamilkły, a każda pogрузyła się we własnych myślach.



## ROLA ŻYCIA

Po wieczorze pełnym sprzecznych emocji, podczas którego Ania przeszła drogę od zachwytu nad kreacjami atelier i przepychem saloniku Lotty do smutku, a nawet złości na myśl o niesprawiedliwościach społecznych, marzyła tylko o kąpieli i pójściu spać. Pragnienie to pogłębiło się, kiedy w bramie spotkały panią Handtke. Kobieta mimo późnej pory stała na dole i zadarłszy głowę, wpatrywała się w malowidło, dzieło zmarłego syna. Na widok Anny i Julii uśmiechnęła się nieco nieprzytomnie i nawet nie odpowiedziała na grzecznościowe „dobry wieczór”. Annę na ten widok coś zakłuło w piersi. Wspinała się po schodach, przed oczami mając smutną twarz sąsiadki. Kiedy przekroczyła próg mieszkania, od razu skierowała się do łazienki, by uspokoić myśli. Zagadywana jeszcze przez Julię, zbyła ją, wymiugując się bólem głowy.

Leżała już w łóżku, w ciemnościach, kiedy do sypialni wślizgnął się Gustaw. Zrobił to po cichu, jak zawsze, kiedy wracał późno z męskich spotkań.

– Śpisz? – zagadnął szeptem.

Wyczuła woń alkoholu i tytoniu.

– Nie. Jakoś nie mogę.

Mężczyzna bez namysłu włączył lampę i usiadł na łóżku.

– Rozmawiałem z babcią. Powiedziała, że u Lotty wszystko dobrze poszło.

– A spodziewałeś się, że będzie inaczej?

– Mówiąc szczerze, trochę się obawiałem tej wizyty.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałem cię w żaden sposób nastawiać do tego spotkania. A czułem, że ono jest dla nas bardzo ważne. I nie pomyliłem się, bo Lotta ponoć piała z zachwytu nad tobą. A musisz wiedzieć, że to wcale nie takie oczywiste. Nigdy nie lubiłem ciotki Lotty. Jej towarzystwo jakoś mnie odrzucało, bo zawsze uważała się za lepszą, lubiła się wywyższać. Kiedy była personą w Berlinie, głowę nosiła tak wysoko, że strach było podchodzić. Co prawda, mimo że, jak powiedziałem, nie lubiłem jej, ona zawsze lubiła mnie. Komplementowała i chwaliła. Nigdy nie wykorzystałem jej sympatii, ale teraz wraz z babcią uznaliśmy, że skoro trwa wojna, a ty jesteś tu ze mną, zacieśnienie więzi z ciotką Lottą zapewni ci większe bezpieczeństwo. Co by o niej nie mówić, jest znana, a przez swoje nazistowskie upodobania stała się też wpływowa. Ma kontakty z wysoko postawionymi ludźmi od Stettina, przez Berlin, po München. Może nam się przydać. Jej przychylność może być dla nas bardzo korzystna.

– Cieszę się, że wywarłam na niej dobre wrażenie, choć nie mam pojęcia, z jakiego powodu – szepnęła Ania. – Nie zrobiłam niczego wielkiego. Po prostu byłam i się uśmiechałam.

– Najwyraźniej to wystarczyło.

– Najwyraźniej. – Uciekła wzrokiem w bok i głośno westchnęła. – Widziałam z bliska polskie robotnice i... to nie był miły obraz. Co ja mówię „miły”... To słowo tu w ogóle nie pasuje. To było okropne. Wiesz... W tym atelier stały wieszaki z sukniami. Najnowsze kroje, kwiatowe desenie. Suknie wieczorowe, koktajlowe, na co dzień i od święta. Wyjęte z marzeń. A na zapleczu? Smutne twarze Polek. One są tam jakby w niewoli, tylko że bez krat. To takie okropne...

– Wiem, ale dobrze, że je widziałas – wyznał Gustaw. – Chciałem, byś zobaczyła je z bliska, te kobiety. Byś zmierzyła się z tym obrazem. Bo może się powtórzyć, a raczej na pewno się powtórzy. Widok Polaków na ulicy to nie to samo, co ich widok przy pracy. Chciałem, byś to zobaczyła. I... odpowiednio zareagowała, ale... – Speszył się. – Wiesz, chodzi mi o to, byś nauczyła się reagować jak Niemka, to znaczy nie okazała współczucia, zainteresowania. Rozumiesz...?

Ania westchnęła.

– Babcia była z tobą – ciągnął Gustaw – więc nie bałem się o ciebie. Miałem pewność, że gdybyś nagle straciła panowanie nad sobą, gdybyś przestała grać, ona by w porę zareagowała...

– Ale dobrze grałam, prawda? – zapytała nieco uszczypliwie, a potem dodała nonszalancko: – Zawsze byłam dobrą aktorką, najlepszą w klasie. Potrafiłam wcielić się w każdą rolę: Aliny i Balladyny, wiedźmy i księżniczki. Byłam mężczyzną, raz jeden nawet drzewem. Brali mnie do wszystkiego, bo grałam dobrze. Teraz też gram, codziennie, w każdej godzinie. Nie martw się o mnie. To będzie rola mojego życia. Rola o życie. Obiecuję ci, że nigdy nikomu nie dam najmniejszych powodów do zwątpienia, że jestem Niemką i nazywam się Guderian.

Gustaw zaniemówił. Anna ucichła. Ich przyspieszone oddechy zdradzały podenerwowanie.

– To chciałeś usłyszeć, mężu? – Ostatnie słowo wypowiedziała z estymą.

– Może nie powinienem cię tam wysłać bez uprzedzenia. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Chciałeś to zrobić, chciałeś mnie sprawdzić. I sprawdziłeś. Zawsze przecież osiągasz to, co chcesz.

– Nie bądź złośliwa. To nie tak! Ja też się narażam, Anno. I swoją babcię również, nawet ojca, o którego nie dbam. Narażam wszystkich Guderianów tym, że tu jesteś. A nie chcę tego. Nie chcę nikogo narażać, ale nie chcę też ciebie stracić. Wysłałem cię tam, bo cię kocham. Bo jesteś dla mnie najważniejsza. Bo chcę być z tobą na dobre i na złe. Teraz jest to złe, ale wierzę, że za jakiś czas się skończy i będzie już tylko to dobre. I żadne aktorskie popisy nikomu już nie będą potrzebne. – Dotknął jej policzka i starł kciukiem słoną strużkę. – Kiedyś powiedziałem ci, że dla mnie zawsze będziesz Anną Łabędź. Tak było, jest i będzie. Wojna za chwilę się skończy. Wszyscy tak mówią, a ja w to wierzę. I wtedy, jeśli tylko będziesz chciała, na nowo staniesz się Anną Łabędź. Tymczasem na zewnątrz bądź jak Niemka, ale w środku zostań Polką. Proszę.

Anna spojrzała Gustawowi głęboko w oczy. Cała złość, którą jeszcze przed momentem czuła, teraz z niej uleciała. Patrzyła na mężczyznę, któ-

rego kochała miłością tak szczególną, o jakiej nie czytała w książkach, o jakiej nie słyszała, kiedy podsłuchiwała baby plotkujące na rynku w Fordonie. Była gotowa zrobić dla Gustawa wszystko i czuła, że on też był gotów.

– Jestem Polką, ale nazywam się Anna Guderian i niezależnie od wszystkiego nie chcę wracać do przeszłości. Jestem twoją żoną. Przecież ślubowaliśmy, a to najważniejsza z przysiąg. Mnie nie są potrzebne dzwony kościelne ani urzędnik z pieczęcią. Mnie jesteś potrzebny tylko ty, Gustawie.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w Anię, w jej ciemne źrenice, które teraz zdawały się jeszcze ciemniejsze. Po chwili zaś złożył na jej ustach pocałunek, a potem kolejny i następny. Nie odrywał od niej ust przez dłuższą chwilę. Nie odrywał też dłoni. Dotykał jej szyi, dekoltu, całował ogniście, jakby to miało stanowić wyznanie miłości. Najszczerzej i pełnej oddania.



Ania obudziła się skoro świt. Przez szparę między zasłonami do pokoju wpadała struga szarego poranka. Dziewczyna uśmiechnęła się. Trochę do siebie, trochę do Gustawa, który jeszcze spał. Zupełnie bezkarnie mogła mu się teraz przyglądać. Dawno tego nie robiła, bo dawno nie czuła się tak szczęśliwa. Może to właśnie za sprawą Gustawa, który niemal przez całą noc trzymał ją w ramionach. A może przez to, że w końcu pojęła – mimo dziury w sercu, jaka została po śmierci najbliższych – po co znalazła się tu, w majestatycznym Stettinie. Pachnąca drogimi perfumami, ubrana w wytworne stroje i buciki na obcasach, o których w Fordonie mogła tylko marzyć, do wczoraj czuła się w tym mieście obco.

Postanowiła jednak, że nauczy się kochać Stettin tak, jakby był bratem jej najdroższego Fordonu. Zapragnęła poznać to miasto w najdrobniejszych szczegółach, oswoić zaułki i miejsca z niemieckich *Ansichtskarten*, wędrować zapomnianymi zakątkami i szerokimi parkowymi alejami, wzdłuż których rosły potężne platany i delikatne lipy. Postanowiła stać się przykładną żoną Gustawa, swojego męża, Niemca.

Może jesień nie była ku temu najlepszą porą roku, ale już następnego dnia, mimo niesprzyjającej aury, wyszła na spacer – i tak w kolejne dni. Spacerowała z Julią albo z Gustawem, a czasem nawet sama. Właściwie te samotne spacerowanie lubiła najbardziej, bo wtedy budziła się w niej Ania Łabędź, na co dzień skryta pod kostiumem przykładowej Niemki. Penetrowała wówczas nieoczywiste uliczki, nieco posępne nawet, w których nie pokazałyby się raczej z Gustawem czy Julią. Zaglądała do sklepików, gdzie zaopatrywali się Polacy, i innych miejsc, w których słyszała język polski. Uśmiechała się wówczas w duchu i napawała jego brzmieniem. Wśród tych ludzi czuła się dobrze, jak u siebie. W tych miejscach symbole najeźdźcy nie były też tak wszechobecne. Owszem, powiewały flagi ze swastyką, ale nie w takiej liczbie, co w centralnych miejscach miasta. Portretów Hitlera także było tu jakby mniej.

Nowa Ania zaczynała lepiej rozumieć miasto, powoli wyczuwała jego puls i charakter. Stawała się jego częścią.

## WZÓR DLA NIEMEK

Lotta Bramen z pełnym przekonaniem postanowiła zostać twórczynią nowych kreacji Anny Guderian.

– W pewnym sensie czuję się odpowiedzialna za ciebie, moja droga – oświadczyła podczas rozmowy telefonicznej. – Za twój szyk i elegancję. Nie mogę dopuścić, by ktokolwiek mówił, żeś ubrana nie podług najwyższych standardów Rzeszy Niemieckiej.

– Ale...

– Z tak klasyczną filmową urodą mogłabyś śmiało zastąpić tę zdrajczynię Dietrich. I w przeciwieństwie do niej do ciebie pasują tylko najlepsze tkaniny i najnowsze fasony – ciągnęła, nie zważając na to, że Anna chciała coś dodać. – I ja ci to wszystko zapewnię. Dziś o dziewiętnastej u mnie. Możesz przyjść sama lub z Julią. Z Julią nawet lepiej, bo i dla niej dawno niczego nie uszyłam. Ale jeśli moja szanowna kuzynka ma inne plany, zapraszam cię w pojedynkę.

Julia nie miała innych planów, a i nie wyobrażała sobie, by mogła puścić Annę samą do pieczary tak bardzo odmienionej Lotty.

Zjawiły się przed dziewiętnastą i zostały powitane przez tę samą ekspedientkę co wcześniej.

– Pani Bramen już czeka – oznajmiła kobieta, wprowadzając je do saloniku.

Lotta przyjęła je gorąco. Widać było, że niecierpliwie na nie czekała. Ania od razu przekazała jej torcik, który kupiły w pobliskiej cukierni.

– Aaaach! – Gospodyni westchnęła z zachwytem. – Doceniam po sto kroć! Kawalek Schwarzwälder Kirschtorte bywa cenniejszy od świecidełek,

choć... – Zakryła usta dłonią, jakby zdradzała sekret. – Do świecidełek też mam słabość.

Lotta zachichotała, a potem otworzyła pudełeczko z ciastem i zaczęła komplementować Annę za doskonały wybór. Dziewczyna wcale nie była głodna pochwał, a w dawnym życiu prychnęłaby, machnęła na nie ręką. Ale to nie było jej dawne fordońskie życie. W tym musiała grać według określonych reguł, do których, co ją samą zdumiewało, zadziwiająco szybko przywykła.

Zjadły po kawałku ciasta, a potem Lotta zaprowadziła je do zakładu, trajkocząc po drodze w wielkiej uciechu.

– Mam taki pomysł na suknię dla Anny, że spać nie mogłam! Krojąc z łóżka ściągnęłam szybciej niż zwykle – spojrzała na Anię – bo od razu chciałam jej przekazać, co ma ci, skarbie, przygotować.

Kiedy weszły do zakładu, ogłuszył je terkot maszyn do szycia. Wszystkie pracowały pełną parą. W powietrzu znów unosiła się woń krochmalu. Lotta poprowadziła Annę i Julię do bocznego pomieszczenia, gdzie pośrodku stały trzy manekiny prezentujące sukienki jak z marzeń.

– I co myślisz, Anno? – zapytała podekscytowana Lotta.

– Piękne.

– Tylko piękne? – Z ust gospodyni wypłynęło rozczarowanie. – A ja myślałam, że nadzwyczajne, niesamowite, absolutnie czarowne.

– Tak! Są wyjątkowe – zreflektowała się Ania, podchodząc do manekinów. – Nigdy na żywo nie widziałam tak pięknych strojów!

Z zaciekawieniem zaczęła dotykać rąbków sukienek, jednej po drugiej. Przyglądała się fastrygom, badała fakturę materiału.

– I przygotowałaś to w kilka godzin? – zapytała zdziwiona Julia.

– Oczywiście.

– Skoro w tak krótkim czasie udaje ci się zrobić takie cuda, to ja się nie dziwię, że przyjeżdżają do ciebie klientki z całej Rzeszy.

– To prawda. W okamgnieniu jesteśmy w stanie stworzyć prawdziwe dzieło sztuki. A jak jeszcze uda mi się skłonić Emmy Göring, by zechciała

przyjąć ode mnie suknię, to nie opędzę się od klientek. Wszystkie oczy są teraz skierowane w jej stronę.

– Gdybym osobiście знаła żonę Göringa, już bym do niej depeszowała w twojej sprawie!

– Wiem, wiem, kuzyneczko. Próbuję do niej dotrzeć przez naszego wspólnego znajomego, Gustafa Gründgensa.

– A on nadal w Preussisches Staatstheater?<sup>[15]</sup>

– Żeby tylko! Ma niezwykle wpływy, dostaje najlepsze role. Kogo on nie zna?! I otacza się takim bogactwem! Domy, samochody, konie! – wyliczała Lotta z wypiekami na policzkach. – Przygotowałam mu tyle kreacji teatralnych, że jest mi to po prostu winien. To jak, Anno, zechcesz przymierzyć?

– One naprawdę są dla mnie?

– No a coś ty myślała? Przecież nie wołałabym was na oglądanie czyichś sukien. Julia wspominała mi, żeś z tej Rigi ewakuowała się w pośpiechu – spojrzała na Annę ze szczerym współczuciem – i potrzebujesz nowych ubrań. Ja wiem, że Gustaw już o ciebie zadbał, ale myślę, że zasługujesz na najlepsze. Niemiecka kobieta musi się nosić dumnie, w najlepszych materiałach i najszykowniejszych krojach. Zasługujemy na to, ku chwale Rzeszy Niemieckiej.

Anię ukłuły te słowa, ale po raz kolejny odegrała swoją rolę.

– Dziękuję. Z radością będę je nosiła – oznajmiła podekscytowanym tonem.

Kiedy przymierzała suknię, na chwilę zapomniała o bożym świecie. Uśmiechała się do kobiet, które brały z niej miarę, okręcała się na podeściku, kiedy prosiły, cieszyła się krótką, beztroską chwilą, bo teraz czuła się niczym wielka gwiazda berlińskiego teatru.

– Masz w sobie tyle gracji, skarbie – stwierdziła Lotta. – Jakoś mnie nie dziwi, że nasz Gustaw się na ciebie zdecydował.

– Ależ Lotto! To Anna zdecydowała się na Gustawa!

Bramen na krótką chwilę jakby zamarła, a potem z nagłą się ożywiła. Podeszła do Anny i mocno ścisnęła jej dłoń.



– Pokażę cię światu! Będiesz wzorem dla młodych Niemek!

Anna przymknęła oczy i choć w jej wnętrzu rozlewało się złowrogie gorąco, uśmiechnęła się szeroko.

„Na zewnątrz bądź jak Niemka, w środku zostań Polką”, pomyślała.

# III

## POCZĄTEK NOWEGO

*Stettin, lata 1939–1941*

## NICZYM FENIKS Z POPIOŁÓW

Ania postanowiła żyć pełną piersią. Mimo wszystko. Mimo ogromnej tęsknoty za swoim Fordonem, za domem rodzinnym, ukochanymi uliczkami, wydeptanymi dzikimi ścieżkami nad brzegiem Wisły, za szumem tataraków, za opuszczonym dworem Rosenthalów, który świadczył jej pierwszym intymnym chwilom z Gustawem. Tęskniła za ludźmi: za doktorem Naborowem, za Ewą, swoją szkolną przyjaciółką, lecz przede wszystkim za najbliższymi, których bezpowrotnie utraciła. Za nimi najbardziej. Ileż by dała, by móc przytulić się do mamy i braci, spotkać się z Jolą przy naparze z melisy, z tatą zjeść klapszulę z leberką... Jedyne, co jej po nich zostało, to wspomnienia, którymi karmiła obolałą duszę. I, o dziwo, to przynosiło ulgę.

Niemkę grała tak doskonale, że Lotta podawała ją innym klientkom za wzorzec aryjskiej kobiety. Ania prędko wkradła się w łaski tej wpływowej przedsiębiorczynie, tak jak tego chciała. Czuła, że to jej pomoże w zrealizowaniu planu, który narodził się w jej głowie.

– Co tak cię do nich przyciąga? – zapytała Lotta, kiedy po raz kolejny natknęła się na Annę w zakładzie w hali maszyn. – Lubisz patrzeć, jak pracują?

– Tak. Sprawia mi to przyjemność – odparła Ania bez zastanowienia, z wyższością.

Spodziewała się takiego pytania od Lotty i chciała, by jej odpowiedź tak właśnie wybrzmiała – z poczuciem bycia wartościowszą niż robotnice. Chciała przekonać Lottę, że Polki nic dla niej nie znaczą, że uważa je za gorszą nację. Pragnęła po prostu uśpić czujność Bramen.

Już podczas pierwszej wizyty w zakładzie dostrzegła, że jedna z kobiet jest w zaawansowanej ciąży. Wydatny brzuch przeszkadzał jej w pracy, tego

nie dało się ukryć. Ania postanowiła wtedy coś zrobić dla tej młodej, bladej niczym papier dziewczyny.

– Za przyzwoleniem. – Skłoniła głowę w stronę Lotty. – Chciałabym, by ona – wskazała na brzemienną – uszyła mi sukienkę, którą zamówił Gustaw. Tę na Nowy Rok.

– Ale dlaczego akurat ona? Jest ślamazarna. – Lotta z kwaśną miną spojrzała na pracownicę. – I ten brzuch... Nosi polskiego bachora.

– Ja nie patrzę na brzuch, a na włosy. Ma podobne do moich. Poza tym ponoć dość dobrze mówi po niemiecku. Głównie dlatego bym ją chciała. Mogę prosić o taki drobiazg? – wypowiedziała pytanie niemal śpiewająco.

Czuła, że Lotta nie będzie w stanie jej odmówić.

– Skarbie! Oczywiście! Nie wiem, czy zadowolili cię tempo, ale uszyte zostanie wzorcowo. Jak wszystko u nas. Zadbam o to!

– Dziękuję! – Anna skinęła głową, a potem spojrzała na krawcową. – Chciałabym osobiście nadzorować szycie tej sukni.

– Osobiście?

– Nigdy tego nie robiłam, a czuję, że sprawi mi to niemałą przyjemność – powiedziała niczym rozkapryszona nastolatka, która oznajmia swojemu papie, że pragnie dostać szczeniaka, tu i teraz.

– Dobrze. Nie widzę przeciwwskazań.

W ten sposób Lucyna Nadolna, dwudziestopięciolatka o orzechowych oczach i wydatnych, acz zbielejących ustach, policzkach zapadniętych i wyblakłych, stała się osobistą krawcową Anny. Znała się na fachu, bo choć przed wojną była kwiaciarką na Starym Mieście w Warszawie i kochała układanie bukietów z róż, frezji, goździków i lilii, to dzieciństwo spędziła w szwalni ojca, który zwykł mawiać, że Lucyna przyszła na świat przy akompaniamencie terkotu krawieckich maszyn. Cóż, ojciec Lucyny lubił koloryzować. Prawdą jednak było to, że w dzieciństwie więcej czasu spędzała na zabawie materiałowymi ścinkami niż na szaleństwach na podwórku.

Na początku Lucyna była nieufna. Wykonywała polecenia Ani, nic ponadto. Po kilku dniach jednak zorientowała się, że Ania jest inna od Lotty. Inna niż surowa nadzorczyńni o zrosniętych brwiach, inna niż wszyscy, którzy odwiedzali zakład. Spokojna, cierpliwa, cicha. Nie krzyczała i nie patrzyła bykiem, nawet kiedy Lucynie wyszedł krzywo szew. Zaczęła też przynosić jedzenie. Na początku wcisnęła jej do kieszeni tabliczkę czekolady, potem pajdę chleba, plastry wędliny, kawałek placka drożdżowego, a nawet pomarańczę.

– Musisz lepiej jeść – mówiła.

Lucyna kiwała głową i pospiesznie zjadała wszystko do ostatniego okruszka. Anię na ten widok kłuło coś w środku.

– Przyniosę więcej, mleka może. Chcesz?

Chciała. Nie potrafiła odmówić, nie mogła. Wiedziała przecież, że dzienne porcje jedzenia są wystarczające dla niej, ale zbyt małe dla maleństwa, które za chwilę miało przyjść na świat.

– A mąż twój? Gdzie jest? – zapytała kiedyś Anna.

Tamta spojrzała na nią i odpowiedziała po niemiecku:

– Nie żyje.

– Przykro mi.

Lucyna zwiesiła głowę, a potem pogłaskała brzuch.

– Ale tutaj jest jego częśćka. Zawsze będzie.

– Jak miał na imię mąż?

– Andrzej. Jeśli urodzi się chłopiec, dam mu na imię Andrzej, po tacie. Jeśli dziewczynka, Apolonia. Mąż tak chciał.

– Bardzo ładnie.

– Ja wolałam Marysię, ale uszanuję wolę męża. Choć tyle mogę.

Anna zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa; wiedziała, że nie powinna sobie pozwalać na taką poufałość. Co innego podtykanie jedzenia, z tego mogłaby się nawet wytłumaczyć, gdyby Lotta ją przyłapała. W głowie ułożyła już sobie historyjki o trzęsących się z głodu rękach. Dałaby sobie radę,

bez problemu. Ale nie wytłumaczyłaby bratania się z Polką. Postanowiła nie kusić zbyt losu.

Uznała, że pomoże Lucynie w sekretny sposób. Mogła swobodnie przemieszczać się po Stettinie, a zatem spacerowanie w okolicy budynku, w którym mieszkała krawcowa, nie byłoby podejrzane, tym bardziej że znajdował się nieopodal atelier Lotty.

– Mieszkasz za zakrętem, przy numerze dwudziestym piątym, prawda? – wyszeptała do Lucyny podczas ich ostatniego spotkania w zakładzie.

Lucyna skinęła głową.

– Obok waszego domu stoi stara drewniana skrzynia. Zapadła się, nikt jej nie używa. Poza tym zasłania ją krzew laurowiśni. Postaram się w każdy czwartek zostawiać ci tam jedzenie. A ty, wracając z zakładu, zabierz je. Podrzucę też bieliznę.

W oczach Lucyny pojawiły się łzy wzruszenia.

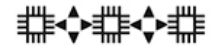
– Jest pani zbyt łaskawa. Dziękuję.

Anna nie odpowiedziała. Nie mogła mówić, bo w jej gardle rosła wielka gula. Nie czuła się łaskawa. Była po prostu zwyczajnym człowiekiem, którym kierują zwyczajne odruchy w niezwykłych czasach. Serdecznie dotknęła ramienia Polki i pomyślała, że gdyby nie ta sytuacja, nie te parszywe czasy, mogłyby zostać przyjaciółkami, koleżankami najmniej. Mogłyby teraz pić kawę w obleganej przez Niemców kawiarni Geheimmisse und Lügen<sup>[16]</sup>, iść razem do kina albo na spektakl teatralny. Mogłyby, gdyby nie ta wojna.

Teraz Ania po polsku powiedziała tylko krótkie „na zdrowie”, jak zwykła mawiać jej matka, kiedy częstowała niezapowiedzianego gościa szklanką mleka i kawałkiem placka, a potem odprawiła krawcową z powrotem na halę maszyn, do innych robotnic.

Osiągnęła to, czego chciała. Na krótką chwilę odciągnęła Lucynę od pracy ponad jej siły. Dała jej wytchnienie, okrucieństwo normalności, jedzenie oraz... kostkę mydła pachnącego olejkiem różanym. To ostatnie wzbudziło w Lucynie wielki zachwyty. Ania obiecała sobie zachować w pamięci ten

widok, gdy kobieta wzięła mydło w obie dłonie, przymknęła powieki i zaciągnęła się jego zapachem, a potem, jakby w obawie, że ktoś zabierze jej zdobycz, pospiesznie i bez słowa ukryła je w biustonoszu.



W następny czwartek o poranku Anna udała się na zakupy. Nie mogły być zbyt wielkie, by nie budziły podejrzeń. Kupiła trzy konserwy, kawałek sera, słodką bułkę i dwie pomarańcze. Zapakowała to wszystko w papier i owinęła sznurkiem, a w drodze na herbatkę do Lotty zostawiła w umówionym miejscu. Tym razem szła sama, bez Julii, bo babcię Gustawa od kilku dni dręczyła tajemnicza choroba, która przykuła ją do łóżka.

Ania stanęła po przeciwnej stronie ulicy i przez chwilę patrzyła na budynek, chcąc się upewnić, że jest bezpiecznie. Kilka minut później przekraczała już próg atelier. Od razu natknęła się na przerażoną twarz ekspedientki.

– Dzień dobry, pani Guderian. To chyba nie najlepszy czas, żeby pani tu była, bo... – Kobięcie drżał głos, a jej profesjonalny dryg, którym zawsze Annie imponowała, ustąpił miejsca konsternacji. Na jej czole połyskiwały drobne krople potu. – Po prostu nie dziś.

– Ale byłam umówiona.

– Ja wiem, jednakże... Chyba lepiej, żeby pani tu nie było. – Ekspedientka nerwowo spojrzała w stronę zaplecza. – Naprawdę. – Ściszyła głos. – Dla pani dobra...

Ania od razu pomyślała, że na tyłach jest ktoś z Gestapo albo jakichś innych służb, które rozszyfrowały jej tajemnicę. Wzięła głęboki wdech i po kiwała głową.

– Dobrze, w takim razie... – Nie zdążyła dokończyć, bo oto zza lustrzanych drzwi z impetem wypadła Lotta.

– A żeby tych wszystkich polaczków szlag jasny trafił! – wyrzuciła z siebie z obrzydzeniem, a potem rozejrzała się nieco spłoszona, jakby w obawie, że w salonie natknie się na klientkę. Kiedy dostrzegła tylko Anię, natychmiast do niej podeszła. – Skarbie mój, przepraszam za te słowa! – Uści-

snęła jej dłoń. – Dziś będzie problem z tą naszą herbatką, bo wyobraź sobie, że mamy w zakładzie dość kłopotliwą sytuację.

– Co się stało?

– Co się stało? Co się stało? – Lotta zamachała rękoma niczym wzbudzona wiatrem wierzba. W normalnych okolicznościach rozbawiłoby to Annę, ale to nie były normalne okoliczności, a wyraz twarzy Lotty ją zaniepokoił. – Sama zobacz!

Anna czym prędzej podążyła za gospodynią korytarzem prowadzącym do zakładu. Lotta otworzyła drzwi. Przywitał je terkot maszyn i... puste stanowisko Lucyny. Ania zadrżała; Lotta tymczasem szła dalej, do pomieszczenia, w którym zdejmowane były miary. Ledwo otworzyła drzwi, a do ich uszu doszedł stłumiony krzyk kobiety.

Lucyna leżała na podłodze, na prowizorycznym legowisku. Pomiędzy jej nogami klęczała dobrze zbudowana kobieta o silnych ramionach, którą Ania zawsze widziała przy żelazku. Głaskała Lucynę po kolanie i próbowała uspokoić.

– No, Lusi. Jest dobrze. Nie bój się. Nie ty pierwsza, nie ostatnia. Główka jest. I włoski. No, Lusi. Jest dobrze. Nie bój się – powtarzała niczym mantrę.

Ania natychmiast zdjęła płaszcz, szal i kapelusz i spojrzała na Lottę, jakby prosiła ją o przyzwolenie na udzielenie pomocy, ale Lotta nie zrozumiała jej zachowania.

– Znam się na tym, mogę pomóc – wydusiła w końcu Ania.

– A dajże spokój! – Lotta prychnęła z oburzeniem. – Brudzić sobie ręce rynsztokową krwią?! Jeszcze coś od niej złapiesz. Przecież to Polka.

– To kobieta i na moje oko umiera, a jeśli tak, to nie będzie dobrze dla zakładu. Karawan będzie musiał przyjechać, a policja zrobi dochodzenie. A jak policja, to pewnie jakiś pismak się napatoczy i w gazetach zrobi się głośno – wymyśliła Anna naprędce.

Lotta pobladła.

– Trup niczego dobrego nie wróży! – dodała szeptem Anna.



– Trup?

Ania pokiwała głową. Czuła, że Bramen połknęła haczyk.

– Mój zakład to poważne przedsiębiorstwo, a nie speluna, burdel czy Bóg jeden raczy wiedzieć, jaki marny przybytek, żeby mi tu karawan, policja i pismaki przychodziły. A rób z tą Polką, co chcesz! – Machnęła ręką. – Byle stąd wylazła o własnych siłach na koniec zmiany. I nie darła się wniebogłosy, bo jeszcze sąsiedzi usłyszą.

Ania uklękła obok Lucyny i uspokajająco poklepała ją po dłoni.

– Nic się nie martw. Będzie dobrze.

Lucyna Nadolna zdobyła się na krótki, ledwie widoczny uśmiech, który szybko ustąpił miejsca grymasowi bólu i cierpienia. Przy kolejnym skurczu z gardła Polki wydobył się stłumiony krzyk.

Ania porozumiewawczo spojrzała na prasowaczkę.

– Odbierałaś już porody?

– Wiele – odpowiedziała tamta zdawkowo.

Ania poczuła ulgę. Widziała kilka porodów, ale głównie przez szpary w drzwiach, kiedy podglądała fordońskie kobiety podczas tej jakże intymnej okoliczności. Raz tylko uczestniczyła w akcie narodzin jako asystentka. Doktor Naborow zabrał ją do Ostromecka, do położnicy, której przedwcześnie odeszły wody. Przyglądała się wtedy jego pewnym ruchom, sumiennie wykonywała polecenia i starała się nie przeszkadzać. Jednak asystować a odbierać poród to dwie odrębne rzeczy.

Z ostromeckiego porodu pamiętała, że doktor obsesyjnie zabiegał o czystość w pomieszczeniu.

– Jest za brudno – stwierdziła po chwili. – Trzeba posprzątać, bo wda się zakażenie, dziecko umrze albo matka. Trzeba ciepłej wody, mydła i białych prześcieradeł.

– Białych prześcieradeł? Co to za fanaberie? – oburzyła się Bramen.

– Yyy... Nie muszą być białe i nie muszą być prześcieradła. Potrzebny duży i czysty materiał.

– Prześcieradła... – sarknęła Lotta pod nosem.

Za chwilę jednak przysłała dwie robotnice. Jedną ze ścierką do podłóg, a drugą z ręcznikami, balią z gorącą wodą i mydłem. I małą flaszką spirytusu.

Ania przyglądała się prasowaczce, która przyjęła rolę akuszerki: wprawnie nagniała brzuch, markowała oddech i kontrolowała położenie dziecka. Mówiła: „przyj, nie przyjm”, „teraz nie wolno, teraz trzeba”, „no już, jeszcze raz”. Była zdecydowana i jednocześnie delikatna. Chwaliła położnicę i głaaskała po kolanach, kiwała głową, kiedy ta wykonywała jej polecenia. Ania zachłannie przyglądała się tej jakże dramatycznej scenie, w której ból mieszał się ze szczęściem, krzyk nie wróżył przerażenia, a płacz nie smucił, lecz radował. Patrzyła i zapamiętywała, bo czuła, że ta wiedza jeszcze kiedyś jej się przyda.



– Co za sytuacja! – mruknęła Lotta, kiedy Andrzejek był już na świecie, a ona wraz z Anią zasiadły w gabinecie do herbaty wzmocnionej rumem.

Ania była zmęczona i wołałaby wrócić do domu, ale wiedziała, że Lotcie się nie odmawia.

– Porody mają w sobie coś pięknego – stwierdziła.

– Szczerze? W tym czymś niczego pięknego nie ma. Osobiście nie polecam. Sama nigdy bym się nie zdecydowała, bo na cóż mi te krzyki, pot, łzy. A krew to już w ogóle. Brr...!

– A ja bym chciała mieć dzieci – odparła Anna. – I nie obawiam się porodu. Jeśli akuszerka ma odpowiednią wiedzę, to raczej nic strasznego się nie stanie.

– No właśnie... Jeśli. Ja wolę mieć pewność aniżeli się domyślać. Dla mnie białe jest białe, a czarne jest czarne. Uch, ta Polka... Cholera jasna...! Bałaganu mi narobiła i nerwy mam poszarpane jak nieobleczony nicią len.

– Nerwy?

– No przecież! W głowę zachodziłam, co powinnam robić, jeśliby jaka policja mnie naszała. Przez te krzyki.

– Przecież poród to normalna rzecz, a skoro są tu kobiety, to może się zdarzyć i poród, i wypadek przy pracy. Różne sytuacje, prawda?

– W moim zakładzie nigdy nie było żadnego porodu ani wypadku. Szczęśliwie policji też nie. No chyba że któryś inspektor czy komisarz zjawił się z żoną albo utrzymanką! – Lotta westchnęła. – Że też wcisnęli mi tę ciężarną. Same z nią kłopoty.

W Ani się zagotowało. Chciała wykrzyczeć Lotcie prosto w twarz, że jedyną poszkodowaną w tej sytuacji jest Lucyna, której Trzecia Rzesza odebrała i męża, i dom, i spokojne dzieciństwo jej dziecka. Że Lotta nic nie wie o prawdziwych kłopotach. Nic! Chciała, ale, rzecz jasna, stłumiła w sobie wściekłość, skrywając zaciśnięte z gniewu usta za porcelanową filiżanką z jakimiś głupimi wrąbkami. Grała swoją rolę.

– Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło – odezwała się, kiedy Bramen zamilkła i sięgnęła po papierosa. Brzmiała zadziwiająco spokojnie, lekko.

– Zasadniczo masz rację. Nie ma co już nad tą robotnicą myśli kotłować. Mam inny powód do frasunku.

– Inny?

– A tak. – Lotta wydmuchała duży kłęb dymu. – W moim niedzielnym domu wyprawiam raut, oczywiście bez tańców, jak to raut, ale za to z muzyką.

„Raut” – z niesmakiem pomyślała Anna, nie rozumiejąc, jak tak szybko zmienił się jej nastrój.

– Sam Heinrich Ponath, syn mojego oddanego przyjaciela, Ottona – ciągnęła Bramen – obiecał pomóc. Jego szef kuchni przygotowuje dobre jedzenie, dużo dobrego jedzenia. Mięsiwa wszelkiego rodzaju, szynki i golonki. Grochowe i ziemniaczane purée. Zresztą łatwiej wymienić, czego nie będzie! Drobiu pod żadną postacią, nawet jako *foie gras*<sup>[17]</sup>. Nie cierpię go i się nie ugnę, choć Heinrich namawiał, bo to ponoć modne. Ale nie dla mnie. Dla mnie za to przyjedzie wino i piwo z Bawarii. Tym razem żadnych zagranicznych trunków, wszystko nasze.

Lotta ze szczegółami rozprawiała o rozrywkach podczas rautu, o menu. Wymieniła nazwy potraw, a potem przeszła do nazwisk gości, którzy mieli uświetnić wieczór. Nie było ich wiele i Ania praktycznie o nich nie słyszała, ale w ustach Lotty brzmiały tak, jakby to były najznamienitsze osoby Trzeciej Rzeszy.

– A! Jeszcze najważniejsze! Zaprosiłam ulubieńca dam, wyjątkowego Gustafa Gründgensa. – Spojrzała na Annę, czekając na entuzjastyczną reakcję.

Ale ona przecież nie miała pojęcia, kim był rzeczony mężczyzna. Dla niepoznaki jednak gorliwie pokiwała głową, satysfakcjonując tym Lottę.

– Ja też jestem jego wielką fanką – ciągnęła gospodyni. – Widziałam go kilka razy w teatrze. Świetny! Świetny bez dwóch zdań! Ty go pewnie jeszcze nie uświadczyłaś na własne oczy, co?

– Nie miałam okazji.

– No tak, no tak. Wy z tej Rigi to tacy trochę... – ściszyła głos – ...zaco-fani, jeśli chodzi o kulturę. Ale nic się nie martw. Tu, w naszym wielkim Stettinie, odżyjesz, a jak cię Gustaw będzie do Berlina zabierał, to rozkwitniesz. No ale to przyszłość. A teraz po prostu będziesz mogła osobiście ocenić owianą legendą przystojność Gründgensa.

– Z wielką chęcią.

– Raut już niedługo i pamiętaj, że nie przyjmuję odmowy!

– Przyjdziemy z przyjemnością. Nie wiem, czy Gustaw cokolwiek dla nas zaplanował na ten czas, ale jeśli nawet, to dla takiego wydarzenia jak raut u ciebie wszystko byśmy zarzucili.

Na policzkach Lotty pojawiły się ogniste rumieńce. Anna wiedziała, że swoimi słowami połechtala jej ego. Taki był zamiar.

– Doceniam to i... postaram się, byś wypłynęła na szerokie wody, byś była na ustach wszystkich. Nie mogę pozwolić, by twój talent towarzyski się zmarnował – zaszcebiotała Lotta.

– Szczerze mówiąc, nie zależy mi na tym – rzuciła Anna z nonszalancją.  
– Wolę być kobietą owianą tajemnicą.

Lotta wstała z sofy, obeszła stolik, zbliżyła się do manekina i poprawiła długi sznur pereł, który zwisał teraz nie do biodra, a do pępka. Potem nagle odwróciła się i spojrzała Annie w twarz. Na ułamek chwili jakby zamarła.

– Skłamałam – odezwała się w końcu, zaskakując tym wyznaniem Annę. – Skłamałam i tobie, i wszystkim innym, którym kiedykolwiek powiedziałam o dzieciach. Zawsze chciałam mieć dziecko, córkę. Nigdy syna. Córkę. Mądrą, niezależną, diabelnie wygadaną. Nawet hucpiarską, byle nie rozlazłą. Co ma olej we łbie, a nie kiszonkę. Chciałam mieć córkę... córkę! – Nabrała powietrza do płuc i długo je wydychała. – Dokładnie taką jak ty.

Anna głośno przełknęła ślinę. Oto spełniał się scenariusz, jaki stworzyła dla niej Julia. Oto stawała się kimś bardzo ważnym dla Lotty. Oto, żyjąc w jaskini lwa, mogła zacząć czuć się prawdziwie bezpiecznie.

„Nikt cię nie tknie, kiedy trafisz pod jej skrzydła. Nikt nie śmie dopatrywać się w tobie kogoś innego niżli prawdziwej Niemki” – przypomniała sobie słowa Julii.

– Aż dziw bierze, że nie jesteśmy spokrewnione – ciągnęła Lotta. – Boś podobna do mnie z czasów mej młodości. I z urody, i z charakteru. Z tego drugiego bardziej nawet. Byłam niemal taka jak ty. Przykro mi, że przez tych Polaków utraciłaś swoich rodziców i bliskich. Że nie mogłaś w spokoju mieszkać tam, w Ridze. Ale też się cieszę. Bo trafiłaś tutaj i przyniosłaś mnie, poznażonej przez życie kobiecie, tyle uciechy u kresu drogi. I obiecuję ci, że póki mam jakieś wpływy, włos ci z głowy nie spadnie!

## GRA POZORÓW

Na raucie u Lotty Bramen miało się zjawić wielu znamienitych gości, nie tylko ze Stettina. Przy ulicy Hoerningweg<sup>[18]</sup> w Podejuch<sup>[19]</sup>, w niedzielnym domu, jak ciotka Gustawa zwykła nazywać swoją elegancką, przypominającą klasycystyczny pałac rezydencję, pojawiło się ponad pięćdziesiąt osób. Nie było tłoczno, bo jeden z pokoi, w którym ustawiono stół – przyozdobiony świerkowymi stroikami z zielonymi i fioletowymi tasiemkami, złożonymi kandelabrami i porcelanową zastawą z wrąbkami – bez trudu pomieściłby dwa razy więcej przybyłych.

Ania przebiegła wzrokiem po półmiskach z mięsiwem wszelakim, po kryształowych karafkach wypełnionych bursztynowymi i rubinowymi trunkami, tacach pełnych kremowych ciast i kruchych ciasteczek. Po twarzach gości rozprawiających nad paterą z egzotycznymi owocami, których nazwy słyszała pierwszy raz w życiu. Nie miała pojęcia, czym były mango, liczi, granadilla. Nie miała też pojęcia, jak smakują kraby i szczerze mówiąc, nie chciała się o tym przekonać. Przez chwilę patrzyła na rozanielone wielbiicielki Gründgensa (rzeczywiście był przystojny!) i na mężczyzn ucinających zapewne biznesowe pogawędki z Heinrichem Ponathem.

Z zaproszonych gości Anna nie знаła niemal nikogo, za to Gustaw chyba wszystkich. A raczej wszyscy znali jego. Witali się i byli przesadnie uprzejmi, a ponadto obsypywali Annę komplementami.

– Dlaczego tak ci nadskakują? – zapytała Anna.

– Bo jestem krewnym Lotty. To wystarczy.

Ania czuła, że to nie był jedyny powód, że za tym zachowaniem kryje się coś więcej. O słuszności swych podejrzeń upewniła się już po chwili, kiedy to dokolebał się do nich krępy mężczyzna w przydługim fraku.

– O, pan Guderian. Jak miło, jak miło! Ja to szukałem kontaktu z panem od kilku tygodni, a tu, proszę, jaka sposobność się nadarzyła. Doprawdy wyjątkowa... Bo pozwoli pan – przybliżył się o krok – ja chciałbym nawiązać współpracę.

– Raczy pan żartować? – Gustaw zrobił groźną minę.

– Nie, absolutnie nie. Mówię szczerze.

Przy mężczyźnie pojawiła się równie krępa kobieta. Miała rude włosy upięte w kok, wąskie oczy, a do uszmińkowanych na czerwono ust przyklejony szeroki uśmiech.

– Nie wątpię, że tak jest, panie Kaufmann. – Gustaw zabrzmiał nad wyraz oficjalnie. – Jeśli jednak raz jeszcze wspomni pan o jakiegokolwiek współpracy w obecności mojej żony, proszę się liczyć z tym, że szans na żadną pan nie dostanie. Nigdy.

W jednej chwili mężczyzna jakby się skurczył. Ramiona mu opadły, szyja ukryła się w za dużym kołnierzyku koszuli. Z groteskowej twarzy jego towarzyszki zniknął uśmiech.

Ania poczuła ogromne napięcie, takie, jakie wisi w powietrzu tuż przed wybuchem kłótni. Zawsze starała się rozładowywać je uśmiechem, żartobliwym słowem, czymkolwiek. Tym razem też nie pozostała bezczynna.

– Anna Guderian. – Wyciągnęła rękę w stronę Kaufmanna, który otępiąły wpatrywał się w Gustawa i tylko zwilżał językiem wargi.

Natychmiast oderwał od niego wzrok i rzucił się na zawieszoną w powietrzu rękę Anny, jakby była kołem ratunkowym, ucałował ją i się przedstawił.

– Najmocniej panią przepraszam za mój brak taktu. Powinienem przywitać się zrazu pierwszego, ale... – Błądził wzrokiem, jakby szukał odpowiednich słów. – Najwyraźniej pani blask tak mnie oślepił, że nie dopełnił konwenansów.

– Bardzo pan miły, choć to zapewne nie mój blask na pana zadziałał, lecz naszej gospodyni i o ile dobrze spostrzegłam, a stoję naprzeciwko drzwi wejściowych, z nią jeszcze pan uprzejmości nie wymienił, a to duży błąd.

Być może nawet niewybaczalny. Więc niech pan natychmiast spróbuje go naprawić.

Pucołowate policzki mu pokraśniały, spojrzenie opadło na czubki butów, a z ust zaczęły wydobywać się szarpane oddechy i przedziwne pomruki. Po krótkiej chwili Kaufmann się oddalił, a jego żona wraz z nim.

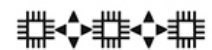
Gustaw spojrział na Annę, ujął jej dłoń i ucałował, a potem nachylił się i wyszeptał:

– Jesteś niemożliwa. Zaskakujesz mnie każdego dnia.

– Ja? – Spojrzała mu prosto w oczy. – To ty mnie zaskakujesz. Kim ty jesteś, Gustawie?

– Twoim mężem.

Pokiwała głową, bo zdawała sobie sprawę, że to miejsce i ten czas nie były odpowiednie na dopytywanie o pana Kaufmanna ani innych patrzących z estymą na Gustawa. Obiecała sobie jednak, że wróci do tej rozmowy. I jak znała siebie, wiedziała, że zrobi to wcześniej niż później.



Jak się okazało, Ingemar Kaufmann był bankierem i Lotcie, pomimo jego niezbyt eleganckiego zachowania, którego nie omieszkała mu wytknąć, zależało na jego obecności. Planowała bowiem odzyskać nieruchomość pod Berlinem i w związku z tym myślała o pożyczce bankowej, a Kaufmann mógł jej bardzo ułatwić skomplikowane procedury.

Na wieczerzy zjawili się poza tym kilka innych osób, które Bramen zaprosiła wcale nie z sympatii, lecz ku podtrzymaniu kontaktów.

– Nawet w takim dniu – szepnęła do Anny, która zasiadła po jej prawicy – kobiecie nie wolno zapominać o interesach. Organizujesz kolację, myśl o interesach, udajesz się na zakupy, myśl o interesach, idziesz z facetem do łóżka – mruknęła przeciągle – wtedy przede wszystkim myśl o interesach. – Przywołała gestem służącą i poleciła dolanie gościom wina. – Niech no tylko wywalą Kaufmanna z banku, a chodzą słuchy, że jego kariera wisi na włosku, to od razu spalę jego wizytówkę. Nie cierpię tego gada – dodała



i chwyciła za kieliszek, po czym uniosła go, dając sygnał Kaufmannowi, żeby uczynił to samo. – Nigdy nie mieszaj prywatnych animozji i interesów, moja droga Anno. Nigdy! – zakończyła i głośno roześmiała się na pokaz.

Ania jeszcze długo analizowała słowa Lotty, przyglądając jej się z boku. Nie chciała stać się taka jak ona. Ciotka Gustawa była pełna wyższości, sztuczności i pragnienia poklasku. Anna wiedziała jednak, że w czasach wojny, kiedy nikt nie czuł się bezpieczny, a każdy węszył pieniądze, informacje i znajomości po to, by przetrwać, takie zachowanie było normą.

Kolacja dobiegała końca, a niektórzy goście już wychodzili. Do Guderianów podszedł postawny mężczyzna z lekko przerzedzoną czupryną. Spojrzawszy na Annę, skinął głową.

– Miałem nadzieję, że poznamy się lepiej, pani Guderian. – Charakterystyczny miękki tembr jego głosu był nie do podrobienia. – Zamieniliśmy raptem kilka zdań. Ale proszę mi wybaczyć, miałem zobowiązania. Jednakże, jeśli pan pozwoli, panie Guderian – zwrócił się do Gustawa – chciałbym to nadrobić i zaprosić państwa na wystawny obiad. Mówię to w imieniu własnym i mojej szanownej małżonki. – Wskazał ręką na krąg zebranych wokół Heinricha Ponatha, z którego Magda Fengler zdecydowanie się wyróżniała. – W najbliższym czasie niestety nie będzie to możliwe, bo wyjeżdżam na wschód, ale z końcem stycznia wracam i z przyjemnością państwa podejmę.

– Z chęcią przyjdziemy – odparł Gustaw.

– Doskonale. W końcu będę mógł porozmawiać z kimś, kto zna Rigę. Mieszkałem tam kilka lat i muszę przyznać, że choć od tego miasta bije prostota, to jest w nim również coś czarującego.

– Panie Fengler... – Gustaw już chciał wypowiedzieć formułkę, którą uzgodnili z Anną na wypadek podobnej sytuacji, kiedy ona powstrzymała go uściskiem dłoni.

– Potwierdzam, jest piękna, wręcz niezwykła, ale chciałabym o coś prosić. – Spojrzała na Fenglera.

– Oczywiście.

– Proszę nigdy więcej o niej nie mówić w mojej obecności. Nie jestem w stanie o niej rozmawiać. Nawet nie wymawiam tej nazwy. To zbyt bolesne.

– Ach... – Mężczyzna się zasepił. – Rozumiem i przepraszam, że wywołałem temat.

– Nie winię pana. Nie mógł pan wiedzieć.

– Proszę mi wierzyć, mogłem i... szczerze przepraszam.

## TAJEMNICA

Zbliżała się północ, kiedy wracali do domu. Lotta nalegała, by zostali na noc, i Julię, mimo że nie czuła się najlepiej, rzeczywiście skusiła ta propozycja. Anna jednak wymigała się bólem brzucha. Tak naprawdę nie była w stanie wyobrazić sobie spania w nie swoim łóżku. Jeszcze nie.

To było ich pierwsze oficjalne przyjęcie i Gustaw przez cały wieczór przyglądał się jej zachowaniu. Widział, jak udaje kogoś, kim tak naprawdę nie była, a kim tylko nauczyła się być. Podziwiał ją: obserwował, jak wyciąga szyję, jak prostuje ramiona, zarzuca włosami, czaruje uśmiechem i zgrabnym zdaniem. Jak na chwilę staje się jedną z nich – Niemką, autentyczną, idealną. Jak dołącza do wianuszka adoratorek Gründgensa i rozmawia z nimi o sprawach, na których zazwyczaj nie strzepiła sobie języka. Jak przysłuchuje się biznesowym dysputom w kręgu Heinricha Ponatha, a po chwili z zachwytem rozprawia o tradycyjnej sałatce ziemniaczanej z żoną redaktora z „Ostsee-Zeitung”. Nie uszło jego uwadze także to, jak sprawnie dyskutuje o sztuce wynaturzonej, zdobywając tym uznanie Lotty i jej kłakierów. A tych na przyjęciu poznali wielu, bo Bramen, choć obecnie była jedynie właścicielką zakładu krawieckiego i szanowanego atelier z damską modą, to każdy, kto wiedział, jakie życie wiodła uprzednio, i kto rozumiał, że jej przychylność może być równoznaczna z załatwieniem intratnych kontraktów w różnych, bardzo różnych branżach – nadskakiwał jej i liczył się z jej zdaniem.

– Jak się czujesz? – zapytał Gustaw, kiedy wsiedli do samochodu.

W sąsiednich domach panowały ciemności, na ulicach nie było żywego ducha. Latarnie strumieniami ciepłego światła otulały bielusieńkie od śniegu chodniki i ulice. Gustaw jechał bardzo uważnie.

– Jestem zmęczona. To całkiem inny świat niż ten, który znałam kiedyś, nawet inny niż ten, który dla mnie stworzyłeś.

– Wiem, ale prawdą jest też to, że jeśli nie staniesz się jego częścią, nie będziesz bezpieczna.

– I dlatego gram najlepiej, jak potrafię.

Mijali kolejne puste ulice, domy samotne, jakby opuszczone. Stettin jawił się srogo, mrocznie. Anna poczuła, że nadszedł moment na trudną rozmowę.

– Zdradź mi, proszę, swoją tajemnicę.

– Nie rozumiem.

– Dlaczego wszyscy ci się kłaniali? Dlaczego czuli przed tobą respekt? Większy nawet niż przed Lottą.

– Respekt? – Gustaw rzucił jej zdzwione spojrzenie. – To niedorzeczne.

– Nierozumny jest fakt, że temu zaprzeczasz. Wiesz, że nie jestem głupia, choć czasami głupią udaję. Ale ustaliliśmy, że w okolicznościach, w jakich przyszło mi żyć, tak jest wygodniej. Ja naprawdę dużo widzę i dużo rozumiem. Czasami mam wrażenie, że więcej, niż bym nawet chciała.

Gustaw się nie odezwał. Zacieśnił chwyt na kierownicy i patrzył na drogę.

– Na milczeniu też niczego nie zbudujemy – dodała. – Możesz mi wszystko powiedzieć, Gustawie. Zrozumiem.

– Ale tu naprawdę nie ma niczego do rozumienia – powiedział powoli, z pełnym przekonaniem. – Jestem krewnym Lotty, a dla niektórych to absolutnie wystarczający argument, by, jak to nazwałaś, się kłaniać. Poza tym, jak doskonale wiesz, jestem urzędnikiem. Bardzo pożądanym, bo mogę załatwić ludziom bezpłatnych robotników. I robię to. Bez tych robotników nie da się prowadzić fabryczki szamotu, cegielni czy zakładu krawieckiego. Czy to dziwne, że ludziom zależy, by mieć ze mną dobry układ? Rzekłbym, że to nawet dobrze, bo dzięki temu żyje nam się lepiej. Wygodniej.

– I Kaufmann o tym właśnie mówił? O robotnikach? Przecież on pracuje w banku. Tam nie ma pracy dla robotników!

– To prawda, nie ma. Ale, czego zapewne nie wiesz, Kaufmann jest na wylocie. – Anna od razu wspomniała słowa Lotty i zdała sobie sprawę, że Gustaw nie mógł ich słyszeć. – A że jest człowiekiem, który nade wszystko na świecie kocha dźwięk monet, na wszelki wypadek szykuje nowy interes. Nasłuchał się o tokarniach i chce taką otworzyć. Potrzebuje robotników, taniach, najlepiej darmowych. Dlatego szukał ze mną kontaktu.

Gustaw mówił z tak wielkim przekonaniem, że zwyczajna Ania uwierzyłaby mu natychmiast. Zwyczajna Ania nie śmiałaby wątpić w słowa wypowiedziane z niezwykłą lekkością, na dodatek poparte faktami. Jednak o Annie Łabędź można było powiedzieć wiele, ale nie to, że była zwyczajna, więc nie uwierzyła. Nie uwierzyła własnemu mężowi, bo nie mogła. Nie chodziło jej przecież wyłącznie o ten jeden świąteczny wieczór, o Kaufmanna czy tlenioną blondynkę, która bała się do niego podejść. Chodziło jej o to, co dostrzegła już wcześniej. O nocne telefony, wieczorne zniknięcia Gustawa, jego gabinet, w którym wszystkie szafki były zamknięte na klucz, i o ludzi, którzy nisko mu się kłaniali, ale nigdy nie uśmiechali na jego widok. Chodziło jej też o Julię, która nie była chętna do rozmów, gdy Ania zagadywała ją o pracę Gustawa. Julia zbywała ją wówczas, twierdząc, że to zwykła urzędnicza robota, o której nic nie wie, bo jest mało ciekawa.

– Rozumiem – powiedziała, kiedy skończył. Zbliźali się już do centrum.  
– Rozumiem, Gustawie, ale i tak czuję, że masz przede mną tajemnice.

– Oczywiście, że mam – stwierdził z rozbijającą szczerością. – Życie bez tajemnic byłoby nudne, prawda?

Zatrzymał samochód naprzeciwko kamienicy, w której mieszkały krawcowe z zakładu Lotty. Spojrzał na Annę, a ona na niego.

– Każdy ma tajemnice, prawda?

Światła samochodu padały wprost na zabielony śniegiem krzak, za którym kryła się drewniana skrzynia.

– Dlaczego tu jesteśmy? – zapytała Anna, choć czuła, że zna odpowiedź.

– Bo tajemnice, prędzej czy później, objawiają swoją naturę. Czasami wystarczy poczekać. A czasami tylko uważniej patrzeć.

– A ty patrzyłeś wyjątkowo uważnie? – stwierdziła uszczypliwie. – Śledziłeś mnie?

– Tak, śledziłem – przyznał. – Ale wcześniej sprawdziłem tę kobietę, o której wspominałaś. Tę, która urodziła dziecko w zakładzie Lotty.

– Lucynę Nadolną?

– Tę samą. Leży w szpitalu.

Anna spojrzała na niego przestraszona.

– Jak to? Ale nic jej nie jest, prawda?

– Miała jakiś zabieg. Nie wiem, nie znam się na tym. Do zakładu wróci za tydzień.

– To dobrze, bo jej synek na pewno tęskni. I pewnie jest głodny.

– Nie jest.

– Jak to? Skąd wiesz? Widziałeś go?

– Nie, ale... Oddali go w dobre ręce.

– Do jakiejś mamki? Na czas leczenia Lucyny? – spytała pełna nadziei, ale w oczach Gustawa dostrzegła niepokojący błysk.

– Robotnicom nie przysługują mamki – wyjaśnił. – To dziecko przewieziono w głąb Rzeszy. Zostanie wychowane przez niemiecką rodzinę.

– Co?

Gustaw przymknął oczy.

– Ma teraz nową rodzinę.

– Ale jak to? Zabrali Andrzejka? Na zawsze? – Ania zakryła usta dłonią.  
– Przecież tak nie można!

– Wiem, jak to brzmi, i sam nie jestem przekonany do słuszności tej idei, ale pocieszeniem w tej sytuacji jest to, że nowi rodzice nie pozwolą, by stała mu się jakakolwiek krzywda.

– Krzywda?! Tu też by mu się żadna nie stała. Tu też byłoby mu dobrze. No, może nie miałyby takich luksusów jak zapewne u jakichś Schmidów czy Braunów, ale Lucynka nie pozwoliłaby go skrzywdzić. Rozumiesz?

Gustaw uspokajająco złapał ją za rękę, ale ona mu ją wyrwała. Nigdy wcześniej tak się względem niego nie zachowała. Przyjął to jednak ze spokojem.

– Rozumiem. Wszystko rozumiem, ale taki jest system.

– System? Odbieranie dzieci macie wpisane w system? Przecież wojna zaraz się skończy i co? I mały polski chłopiec będzie gdzieś u jakichś Niemców, a Lucyna zostanie sama? To dziecko to ostatni ślad po jej ukochanym mężu, który zginął. Tylko ono jej zostało. Syn powinien być przy niej, a nie w Rzeszy.

– Jest przy nowej matce.

– Nawet tak nie mów! Ta kobieta, która go teraz hołubi, nie jest jego matką! I nigdy nie będzie! Może mówić, co chce, ale nigdy, przenigdy nią nie będzie!

Była zła na Gustawa jak nigdy. Za to, co powiedział i z jakim spokojem to zrobił. Była zła na Trzecią Rzeszę, na system, który pozwalał na bezkarne odebranie matce dziecka.

– I co jeszcze? Może już nie nazywa się Andrzej, a Andreas? Mów!

– Nie mam pojęcia, jak się nazywa.

– Ale możesz się tego dowiedzieć? Możesz, prawda? Powiedz, że możesz! Powiedz to!

– Niestety, nie mogę.

– Nie chcę, byś tak mówił. Chcę, byś powiedział: „Oczywiście”, „Tak, dowiem się najszybciej, jak się da”. Wiem, że możesz! Skoro załatwiłeś dokumenty, które pozwalają mi teraz spokojnie żyć, na pewno masz sposób na to, by dowiedzieć się czegoś o Andrzeju Nadolnym, synu Polki imieniem Lucyna! Gustawie, błagam! Zrób to dla mnie!

Gustaw zacisnął szczęki i nieznacznie zmrużył oczy. Wyglądał groźnie, a skroń pulsowała mu tak, jakby ostatkiem sił powstrzymywał się przed powiedzeniem żonie czegoś bardzo przykrego. Mimo to odparł dość łagodnie:

– Nie obiecuję, że się uda, ale spróbuję – powiedział, choć miał pewność, że tym razem nie dotrzyma słowa. – A ty obiecaj mi, że przestaniesz znosić

do tej skrzyni jedzenie. To niebezpieczne. Takim zachowaniem narażasz się na pytania.

– Ale to jest tylko jedzenie. Nic wielkiego.

– Przekazuj je więc u Lotty. Na tyle mogę się zgodzić. Ale nie wkładaj niczego do tej skrzyni – zażądał. – Nie tylko ja na ciebie patrzę.

– Co masz na myśli?

– Nic, co bym chciał ci wyjawić. Po prostu zapomnij o tej skrzyni i tym budynku!

– Gustawie, nie jestem dzieckiem, żebyś tak do mnie mówił!

– A jednak jesteś, bo ta skrzynia... To naprawdę dziecinny pomysł – rzucał ze złością, szybko jednak złagodniał. – Proszę cię, nigdy więcej tu nie przychodź. Ta skrzynia... Ona i tak jutro stąd zniknie...



## STUDNIA ŁEZ, BEZKRES SZCZĘŚCIA

Ania bała się świąt Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Bała się własnych łez, nostalgii, wspomnień rozdzierających jej serce. Bała się, że rozczaruje Gustawa, bo nie da mu świąt idealnych, wesołych, pełnych blichtru. Takich, jakich on być może oczekiwał.

– Nie musimy obchodzić świąt – oznajmił, kiedy powiedziała o swoich wątpliwościach. – Szczerze mówiąc, ja ich nawet nie lubię. Źle mi się kojarzą. W moim domu wszystkie największe rodzinne kłótnie zawsze odbywały się przy wigilijnym stole. A zatem, jeśli chcesz, możemy spędzić te dni jak każde inne. Możemy gdzieś wyjechać.

– Wyjechać? Przecież mamy wojnę – rzuciła rozgoryczona.

Czasami odnosiła wrażenie, że dla Gustawa ta wojna, ta straszna wojna, która w jej przekonaniu każdego dnia odbierała ludziom życie, w ogóle nie istnieje albo... nie ma znaczenia. Starał się o niej nie mówić, a kiedy pytała, zbywał ją. Kupował za to gazety codzienne i dawał Annie do przeczytania, zawsze jednak podkreślając, że nie znajdzie w nich całej prawdy. Była tego świadoma, ale chciała czytać, choćby i półprawdy, bo pół to zawsze więcej niż nic.

– Oczywiście, że mamy wojnę, ale nie tam, gdzie mógłbym cię zabrać. Wyjedźmy gdzieś, na przykład nad morze. Mój przyjaciel Uwe ma lokum w Swinemünde<sup>[20]</sup>, przy głównej promenadzie. Wiele razy proponował mi pobyt. Albo do Gross Born!<sup>[21]</sup> To co prawda nie nad morzem, a nad jeziorem, ale za to zatrzymalibyśmy się we wspaniałej willi mojego stryja Heinza. Mamy tam otwarte drzwi.

– Marzy mi się morze, choć pobyt nad jeziorem byłby równie wspaniały.  
– Spojrzała za okno.

– Byłby?

– Byłby, bo myślę, że na przekór moim lękom i twojej niechęci do świąt powinniśmy je wyprawić zgodnie z tradycją. Z ciastami, rybą w galarecie, z opłatkiem i choinką. I z twoją babcią. Nie zapominaj, że mieszka z nami.

– Nie mógłbym zapomnieć... I w gruncie rzeczy cieszę się, że zostaniemy. – Gustaw się rozpromienił. – Zrobimy, jak chcesz. Ale mam jeden warunek. Muszą być prezenty.

– Hmm... Zgoda. Byle to były drobne, symboliczne podarunki. Nie chcę niczego wyszukanego, Gustawie. Sprawmy, by te święta były po prostu piękne, a nie zawstydzające.



Julia również ucieszyła się na wieść o wspólnych świątach, bo nie miała ochoty nigdzie wyjeżdżać. Zapowiedziała nawet Gustawowi, że gdyby jednak zdecydowali się z Anną na święta poza domem, nie dołączy do nich.

– Jestem zmęczona tym dziwnym półroczem. Tyle się wydarzyło, że muszę nabrać sił w domowym zaciszu. Doktor zresztą zalecił mi odpoczynek.

– Bez ciebie i tak byśmy nie pojechali. Albo razem, albo wcale.

– A gdyby Ania uparła się na wyjazd?

– Wiesz, że ona taka nie jest. Nigdy by cię nie zostawiła samej. Jesteś naszą najbliższą rodziną.



Czas Bożego Narodzenia w mieszkaniu na drugim piętrze kamienicy przy König-Albert Strasse był wyjątkowy. Pełen łez smutku i radości.

Ania przygotowała polskie potrawy według maminych przepisów, które zachowała w pamięci. Nie potrzebowali aż dwunastu potraw: wystarczyły im pierogi z kapustą i grzybami, barszcz oraz smażona ryba, a ze słodkości niemiecki przysmak, drożdżowa strucla z bakaliami. I tak nie zjedliby więcej, a Ania nie nawykła do wyrzucania jedzenia.

– Jak pięknie wszystko zorganizowałaś – pochwaliła ją Julia, kiedy zasiadli przy zastawionym stole ozdobionym tradycyjnymi świerkowymi stro-

ikami ze wstążkami, szyszkami oraz srebrnymi świecznikami.

Pokój jawił się wyjątkowo bogato również dzięki dorodnemu drzewku, które Ania przyozdabiała razem z Gustawem.

– Staralam się. Bardzo mi zależało.

Gustaw nachylił się, by sięgnąć dłoni żony. Uścisnął ją i uśmiechnął się do niej serdecznie.

– Nawet goły stół i pusty pokój wzbudziłyby mój zachwyt, jeśli ty byś tu była.

Pokręciła głową nieco zawstydzona, bo nadal nie przywykła do tych przesadzonych komplementów męża.

Po głównym daniu Gustaw zaproponował obdarowanie się prezentami.

– To drobne upominki, tak? – upewniła się Ania.

– Zgodnie z umową.

Wymienili się niewielkimi kartonikami obwiązanymi tasiemką. Pierwsza swój prezent, na prośbę Gustawa, otworzyła Julia.

– Wspaniała! – wykrzyknęła na widok złotej broszki z rubinem. – Dziękuję! Ale teraz wasza kolej!

Ania z ciekawością dziecka rozplątała starannie zawiązaną kokardę i czekała, aż Gustaw zrobi to samo.

– Razem – zarządziła, a jej mąż przytaknął.

W puzderku Ani znajdował się drobny złoty łańcuszek z zawieszka w kształcie... No właśnie... Kiedy zobaczyła zawieszka, rozpląkała się. Wstała, okrążyła stół i rzuciła się Gustawowi na szyję, bez końca powtarzając: „Dziękuję, kochany, dziękuję...”.

– To nic wielkiego, Aniu – powiedział wzruszony jej reakcją.

– Dla mnie to znaczy bardzo wiele. Bardzo. – Otworzyła dłoń i raz jeszcze spojrzała na wisiołek. – Łabędź... Gustawie, to najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Mężczyzna kątem oka spojrzał na swój podarek.

– Moja zapalniczka też jest wspaniała.

– Podoba ci się? Naprawdę?

– Mam ich kilka, ale od dziś ta będzie moją ulubioną. – Wyjął ją z pudełka i wprawnie obrócił w dłoni.

– Jest też grawer! – Pokazała palcem. – „Aaa... Gie...”, czyli oczywiście Anna i Gustaw. Chciałam, żebyś miał przy sobie coś, co będzie ci o mnie przypominało.

– Nie potrzebuję materialnych rzeczy, żeby o tobie pamiętać.

– Wiem, ja też nie, ale czasami, kiedy się tęskni, kiedy tak bardzo pragnie się bliskości, taki drobiazg może uratować przed szaleństwem, Gustawie. – Dotknęła drobnego pierścionka, który nosiła na lewej dłoni, a z którym od ponad roku niemal się nie rozstawała. Był prezentem od mamy.

– Święta prawda, Anno. Myślę dokładnie tak samo.



Niepotrzebnie bała się wieczery wigilijnej, niepotrzebnie bała się rozpaczy i łez. Bo choć te ostatnie się pojawiły, to podczas świąt spędzonych z Julią i Gustawem otrzymała też dużo radości. W zasadzie radości nawet jakby więcej. I śmiechu, bo Julia przez cały wieczór czuła się wyśmienicie, a Gustaw był wyjątkowo pozytywnie usposobiony. Żartami sypał jak nigdy, recytował zabawne, nieco rubaszne wiersze zaczerpnięte zapewne z gazet, o których istnieniu Ania nie miała pojęcia. A po tym, jak Julia poszła do swojego pokoju, by odpocząć, porwał ją do tańca, i to skoczno, pozornie nieadekwatnego do powagi jeszcze adwentowej Wigilii, ale dla nich oczyszczającego.

– Jesteś szalony – stwierdziła, kiedy po fokstrotowych wygibasach opadła na krzesło, łapiąc oddech.

– Postanowiłem zrobić coś, żebyś w końcu zaczęła się uśmiechać, bawić życiem, być szczęśliwa.

– Ale ja jestem szczęśliwa.

– Wiem. Tylko że pamiętam twoją twarz sprzed kilku miesięcy. Zdziorne spojrzenie, szeroki uśmiech i coś jeszcze. Coś, czego nie potrafię

nazwać inaczej jak tylko lekkością. Kiedy szłaś obok mnie, byłaś niczym powiew wiatru. Teraz jesteś inna.

Ania spoważniała.

– Ale jeśli pozwolisz, pomogę ci choć częściowo odzyskać dawną siebie.

Gustaw podszedł do żony i ukląkł u jej kolan.

– Obiecujemy sobie, że zrobimy wszystko, aby przeżyć te dziwne czasy najlepiej, jak się da.

Ania ujęła jego głowę w obie dłonie, lekko zmrużyła oczy i potaknęła.

## MATCZYNE ŁZY

Po świętach, tuż przed sylwestrem, Anna zjawiała się w atelier Lotty z sukienką, którą szyła dla niej Lucyna. Odciągnęła dziewczynę od maszyny i zaprowadziła do pokoju przymiarek.

– Czy trzeba coś poprawić? Coś źle leży, nie tak się układa? – wyrwała się z pytaniem Lucyna.

Wyglądała mizernie. Chuda, blada, z przerzedzonymi włosami. Nie widać już było pociążowego brzuszka.

– Wszystko jest w porządku. Sukienka leży wspaniale – uspokoiła ją Anna. – Nie przyszłam tu jednak rozmawiać o ubraniach.

Nadolna spojrzała na nią zdziwiona.

– Chciałam zapytać, jak się czujesz.

– Dobrze. Nie mogę narzekać.

– Przyniosłam ci coś. – Anna wyciągnęła z torebki pomarańczę i podała ją Lucynie. – Może potrzebujesz czegoś jeszcze?

W oczach szwaczki stanęły łzy.

– Syna. Tylko syna mi potrzeba. A Andrzejka nie ma. Odszedł.

Anna uniosła brwi w zdumieniu.

– Ależ on żyje! Mieszka u bogatych ludzi, w Niemczech.

Chciałaby jeszcze dodać, że szuka sposobu, by dowiedzieć się, gdzie dokładnie chłopczyk mieszka, ale postanowiła tego nie robić. Nie żeby nie wierzyła, że Gustawowi się uda. Po prostu nie chciała zdradzać swoich wpływów ani... tego, jak bardzo się zaangażowała w pomoc Polsce. Poza tym... Obiecała mężowi, że będzie ostrożna.

– A myślałam, że umarł. Ja już go w myślach pogrzebałam... – odezwała się w końcu Lucyna. – Bo oni mi niczego nie chcieli powiedzieć. Niczego!

A on żyje! Taka wiadomość!

Złapała Anię za dłoń i chciała ją ucałować, ale Ania wyrwała rękę z uścisku.

– Nie masz za co dziękować. Nic wielkiego nie zrobiłam. Co innego, gdybym ci go przyniosła albo chociaż podała, gdzie mieszka.

– A nie wie pani, gdzie on mieszka? Nie zna pani jego adresu?

– Niestety.

– Jak to? To skąd pani wie, że jest bezpieczny? – Lucyna nieoczekiwanie wybuchnęła.

Anny nie zdziwiła ta reakcja. Ona sama pewnie zareagowałaby identycznie. Teraz jednak musiała zachować pozory.

– Uspokój się! – warknęła po niemiecku. – Nie musiałam ci tego mówić, a mimo wszystko powiedziałam! Widać niepotrzebnie, bo zupełnie tego nie doceniasz!

Pierwszy raz w życiu potraktowała kogoś z taką wyższością. Z taką piekielną wyższością. Nie czuła się z tym dobrze, ale miała świadomość, że musiała tak zareagować.

Nadolna aż się zgarbiła i schowała głowę w ramionach.

– Przepraszam. Nie powinnam się tak odzywać. Pani tyle dobrego dla mnie zrobiła... Przepraszam.

– Już dobrze. Już nic nie mów.

– I dziękuję za tę informację o Andrzejku. Jest bezpieczny, a to najważniejsze. Jeśli dobry Bóg pozwoli i mój mąż poprowadzi, to po wojnie go odnajdę.

Ania chciała utwierdzić ją w tym przekonaniu, powiedzieć: „Masz rację! Znajdziesz swojego syna”, ale wiedziała, że nie wolno jej tego robić, nie wolno jej spoufalać się z Polką, a już na pewno dawać złudnej nadziei. Kiwnęła tylko głową i ze ściśniętym gardłem opuściła pomieszczenie.

Potem wracała myślami do rozmowy z Lucyną Nadolną, kobietą, której wojna odebrała wszystko, ale której nie dała rady złamać. Wracała do spokoju, jaki dostrzegła w jej twarzy, i odrobinę jej go zazdrościła.

## TA, KTÓRA ZAPLANOWAŁA ŚMIERĆ

Julia Guderian była kobietą odważną. Szła przez życie z podniesioną głową, niektórzy mawiali, że nawet zbyt wysoko. Ale ona na to nie zważała – po prostu szła i, z niewielkimi wyjątkami, robiła to, co chciała, zawsze na własnych warunkach. W siódmej dekadzie życia jedyną rzeczą spędzającą jej sen z powiek była... śmierć. Julia nie planowała odejść w okolicznościach, które naraziłyby ją na śmieszność albo litość. Nie zamierzała wydać ostatniego tchnienia w wychodku albo w łóżku, trawiona gorączką i dreszczami, dlatego kiedy dowiedziała się, że choruje i że jej choroby nie da się wyleczyć, a jedynie opóźnić to, co ostateczne, postanowiła nie ulegać z nagłą postępującemu osłabieniu ciała.

– Ile mi zostało? – zapytała doktora z berlińskiej kliniki, do którego udała się na konsultacje.

– Hmm... No cóż. To rzecz względna. Zależy od wielu czynników.

– Proszę mi tu nie owijać w bawełnę, doktorze. Jestem dorosła. Zrozumiem.

– Najwyżej rok – odpowiedział natychmiast. – Jeślibym się mylił i jeśli leki działałyby dobrze, półtora.

Doktor mylił się, i to bardzo, bo Julia Guderian żyła jeszcze całe trzy lata, zanim poczuła, że jej ziemską podróż dobiega końca. W końcu dostrzegła na rękach wybroczyny, w płwocinie krew, a pamiętała, jak doktor wspominał, że to one będą sygnalizowały rychły finał jej życia.

Nigdy nikomu nie wspominała o swojej dolegliwości – nawet Gustawowi, którego przecież kochała najbardziej. Nie chciała współczucia ani umartwionych spojrzeń. Pragnęła zostać zapamiętana jako kobieta dumna, elegancka i w pełni zdrowia. Harda duchem, choć o gołęmbim sercu.



Ostatni dzień roku spędziła z Gustawem i Anną. Cieszyła się, że młodzi odrzucili zaproszenie na huczne przyjęcie sylwestrowe i postanowili wraz z nią świętować nadejście tego, co nowe. Stanowili dla niej wymarzone towarzystwo.

Tego wieczoru piła tylko francuskiego szampana, najlepszego i najdroższego, jaki zdobył Gustaw. Przegryzała alkohol słodkimi rogalikami z marmoladą, francuskimi *macarons* i drożdżowymi ślimaczkami z cynamonem ze swej ulubionej cukierni. Śmiała się głośno, nieustająco żartowała, co zdarzało jej się rzadko. Nawet tańczyła, i to niemało. W ostatnim dniu swojego życia wszystko robiła z rozmachem.

Po północy pożegnała się z Anną i Gustawem serdeczniej niż zazwyczaj, ale rozweselonych procentami Guderianów nie dziwiło jej zachowanie. Potem udała się do swojej sypialni, usiadła przy toaletce i poprawiła makijaż, obficie skropiła się perfumami, na szyję założyła dodatkowy sznur pereł i zapaliła papierosa. Kiedy go zgasiła, raz jeszcze pociągnęła usta szminką i uśmiechnęła się do siebie.

– Piękne miałaś życie, Julio Guderian. Czas na nowe.

Sięgnęła po fiolkę z tabletkami nasennymi i przez chwilę obracała ją w dłoni, a potem wysypała garść i połknęła, popijając szampanem z kryształowego kieliszka. Wstała i nie ściągając butów ani sukni, położyła się na łóżku. Zamknęła oczy, czując błogość, bo pod powiekami zobaczyła swego dawnego kochanka puszczającego dla niej kółka z dymu papierosa.

Pierwszy zobaczył ją Gustaw. Wszedł rano do jej sypialni, by zaprosić ją na śniadanie, ale gdy tylko na nią spojrzął, wiedział, że coś jest nie tak. Zawołał ją, ale nie zareagowała. Podeszedł do łóżka i dotknął jej rąk. Były lodowate. Sprawdził puls, ale go nie wyczuł. Chciał powiadomić Anię, jednak język uwiązał mu w gardle. Opadł na skraj łóżka i przez chwilę patrzył na piękną i spokojną twarz swojej babci. Jeszcze nie wiedział, że od lat chorowała, jeszcze nie miał pojęcia, że w ciągu ostatnich trzech walczyła o każdy kolejny tydzień i odbyła więcej wizyt u lekarzy różnych specjalności niż w ciągu całego swego życia. Dowiedział się tego później, od nota-

riusza. Teraz jednak siedział, przygarbiony i pozbawiony nadziei, zadając sobie pytanie „dlaczego?”.

Babcia wyglądała jak zawsze elegancko i dostojnie, jak dama, która po wielkim balu nie miała dość sił, by zmyć makijaż i się rozebrać, więc w pełnym stroju położyła się do łóżka, bo taki miała kaprys. Gustaw patrzył na nią i patrzył, i miał wrażenie, jakby świat się zatrzymał. W końcu zebrał się w sobie i złożył na jej lodowatym czole pocałunek, a potem zapłakał.

Po chwili dostrzegł leżącą na stoliku nocnym elegancką kopertę, zaadresowaną na jego nazwisko. W środku znajdował się list.

*Drogi Gustawie!*

*Mój ukochany wnuku i najbliższy przyjacielu!*

*Zacznę od przeprosin za to, że robię Ci kłopot swoją śmiercią. Wybacz. Chciałam umrzeć w domu kogoś, kogo kocham, a tak się składa, że jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, którego darzę tym szlachetnym uczuciem. Odeszłam na własnych warunkach – kiedy chciałam, i w sposób, który sama wybrałam. Nie wówczas, gdy choroba, która zbyt chętnie zadomowiła się w moim ciele, powiedziałyby „dość”, ani nie wtedy, gdy lekarz powiedziałby: „To za chwilę”. Wiesz, że to zawsze ja wyznaczałam granice. Chciałam, by tak było do ostatniego dnia.*

*Odchodzę szczęśliwa, bo widzę, że w końcu kochasz szczerze i szczerze jesteś kochany. Znowu się uśmiechasz, znowu masz błysk w oku. I ona ma, Twoja piękna Anna. Obiecuj mi, że zadbasz, by była szczęśliwa i by zawsze widziała w Tobie kogoś, dla kogo warto żyć i za kogo warto oddać życie. Obiecuj mi to teraz! Teraz, Gustawie!*

*I nie płacz nade mną, bom odeszła szczęśliwa. Wiodłam szczęśliwe życie, czasami aż zanadto. Na takie chyba nie zasłużyłam, bo dobrych uczynków na koncie nie mam wielu, ale najwidoczniej litościwy Bóg nie patrzył zbyt często w moją stronę i nie widział tego, za co powinien mi pogrozić palcem.*

*Poproszę Cię tylko o jedno: by pogrzeb był wydarzeniem bez łez. Kolorowym, nie w czerni; z muzyką, nie w ciszy. Szczegółowe dyspozycje (przepraszam, ale i pogrzeb musiałam sobie zaplanować; tłumaczę się, jakbyś mnie nie znał!) zostawiłam u naszego notariusza. U niego znajdziesz też testament, którego treść, mam nadzieję, przyjmiesz z zadowoleniem.*

*Ach! I jeszcze jedno! Żadnej żałoby! Absolutnie żadnej! Ten absurdalny zwyczaj zawsze mnie mierzył i proszę, nie róbcie mi tego. Nie wdziewajcie czerni i nie rezygnujcie z żadnych przyjemności. Życie jest za krótkie, by nie korzystać z niego w pełni.*

*Kocham Cię, Gustawie, i jedyne, czego żałuję, to tego, że nie zdążyłam przytulić Twoich dzieci. Zobaczyć na pewno je zobaczę. Tak to sobie tam zorganizuję, po drugiej stronie, że zobaczę. Tego możesz być pewien.*

*Bądź szczęśliwy, Gustawie! Nieważne, jakim kosztem, ale bądź! Tylko to się liczy!*

*Twoja Babcia*

*Julia Guderian*

Gustaw przeczytał list dwa razy. Na koniec uśmiechnął się, otarł łzy i poszedł do żony.



Wytyczne dotyczące ceremonii pogrzebowej rzeczywiście były bardzo precyzyjne, a Gustaw i Anna postanowili wypełnić je *ad literam*. I nie dlatego, że Julia Guderian zapisała im cały swój majątek, z dziełami sztuki, domem w Marienwerder i w szwajcarskim Sankt Moritz, o którego istnieniu nie mieli pojęcia, lecz dlatego, że dla obojga wiele znaczyła.

Julia Guderian pragnęła wprawić żałobników w osłupienie i to jej się w pełni udało, bo nikt nie krył zaskoczenia, widząc białą trumnę wnoszoną przez czterech mężczyzn w białych frakach i w melonikach, przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego grającego skoczną melodię. Oczu nie mogli oderwać od wielkich dekoracji z białych i herbacianych róż, od okrągłego stołu podczas przyjęcia popogrzebowego, na którym stał trzypiętrowy tort z napisem „Bądźcie szczęśliwi”. Julia Guderian zadbała, by było wytwornie, a przy tym pogodnie, choć co wrażliwsi i tak ronili łzy na widok imponujących rozmiarów zdjęć, na których się znajdowała. Na jednych była pełna gracji, elegancji i dumy; na innych rozbawiona, jak w tańcu czy w kąpieli – z papierosem w ustach i kieliszkiem szampana w dłoni. Te zdjęcia to była swoista podróż przez życie Julii Guderian, od dzieciństwa aż po dni ostatnie. Szczęśliwa podróż, odrobinę ekscentryczna. Dokładnie taka jak sama Julia.

## MICHELLE LACOUR

Mimo żałoby, którą po odejściu Julii Guderian oboje czuli w sercu, w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego Anna i Gustaw zjawili się na przyjęciu u Magdy i Johanna Fenglerów, tych samych, których wcześniej spotkali na raucie u Lotty. Sami z siebie zapewne nie odważyliby się na taki krok tuż po stracie bliskiej osoby, gdyby nie to, że babcia napisała do nich specjalny liścik:

*Proszę, nie rezygnujcie z żadnych przyjęć! Z żadnych! Będę na Was zła, jeśli z jakiegokolwiek zrezygnujecie i w imię żalosnej instytucji żałoby zostaniecie w domu, miast bawić się na salonach. A już w szczególności obrazicie pamięć o mnie, jeśli nie pojawicie się u państwa Fenglerów na styczniowym przyjęciu, na które nas zaprosili.*

Niejako przymuszeni przybyli więc do willowej dzielnicy Stettina. Fenglerowie mieszkali w okazałym domu przy Dunkerstrasse<sup>[22]</sup>, który nawet zimową porą, mimo drzew pozbawionych listowia, prezentował się bajkowo. Wybudowany w eklektycznym stylu zwracał na siebie uwagę pałacową architekturą, bogatymi nadokiennymi zdobieniami, kolistymi balustradami i latarenkami o bajkowym, acz eleganckim kształcie. Wnętrze było równie okazałe. Drewniane sufity, rzeźbione boazerie, marmoryzacje i okolone stiukami w motywy roślinne drzwi wprawiały w zachwyt.

– Moja żona jest pod wrażeniem – stwierdził Gustaw, kiedy w holu powitał ich Johann Fengler.

– Jakże miło to słyszeć. Niemała fortuna znajduje się w tych murach – zażartował gospodarz. – Niemało też tajemnych przejść, schodów ukrytych i pokoiów nie dla każdego oczu. A do tego sporo złota, mnóstwo piekielnie

drogiego drewna i marmury. Pochwały więc są zawsze mile widziane. Wtedy kieszeń tak nie ciąży.

– To jeden z najpiękniejszych domów, jakie widziałam – wtrąciła Anna. – Z zewnątrz jest wspaniały, ale wewnątrz to prawdziwy majstersztyk. A skoro jego wewnątrz skrywa tajemnicze przejścia i schody, to jestem absolutnie zachwycona.

Fengler skłonił się w podzięcie i przedstawił Annie swoją żonę. Ta dość niechętnie wymieniła się z nią kurtuazyjnym powitaniem, by po chwili z serdecznym uśmiechem, bez pytania kogokolwiek o zdanie, porwać Gustawa do seniorek rodu zebranych w saloniku fortepianowym. Prezentowała tak każdego mężczyznę, który wydawał jej się choćby odrobinę atrakcyjny. Kobiety żadnej, bo z natury nie lubiła przedstawicielek płci pięknej, upatrując w nich zbyt dużą konkurencję.

– Doceniam pani obecność – oznajmił Fengler, kiedy zostali z Anną we dwoje i stojąc obok siebie, wpatrywali się w gości, którzy rozeszli się po okazałych wnętrzach. – Bo szczerze mówiąc, marzyłem o spotkaniu z panią. Wiem, jak to niefortunnie brzmi, ale zaręczam, że nie mam żadnych niestosownych planów. Marzyłem o tym spotkaniu, bo nie znam nikogo tu, w Stettinie, z kim mógłbym porozmawiać o naszym mieście.

– O naszym mieście?

– O Ridze, rzecz jasna.

– Aaa! O Ridze... – Odetchnęła.

To było przedziwne, bo przecież Fengler nie mógł mieć pojęcia o Fordonie, a jednak to właśnie to pierwsze przyszło jej na myśl. Oczami wyobraźni od razu zobaczyła rynek, kościół i okalające go kamienice. Więzienie, aptekę Synyszynów, nawet synagogę i restaurację Wiślana.

– Doskonale pamiętam, że nie chciała pani wspominać Rigi, ale trochę czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania i być może coś się zmieniło... Mnie tak bardzo ciekawi współczesna Riga. Znam tylko tę sprzed dekady. A kłębi się we mnie tyle pytań! Może da się pani namówić?

Nie mogła, choć w ostatnich tygodniach przestudiowała wszystkie materiały o Ridze, jakie dostarczył jej Gustaw. Albumy, pamiętniki, mapę oraz gazetowe zdjęcia i artykuły, które opowiadały o łotewskiej stolicy. Chciała być gotowa na wszelkie okoliczności, w których musiałaby się wykazać choćby podstawową wiedzą o mieście. Zdawała sobie sprawę, że może się zasłaniać zanikiem pamięci, wyparciem, że może udawać traumę. Nikt nie miałby jej tego za złe. Na wszelki wypadek wołała jednak wiedzieć cokolwiek o tym mieście.

– Przyjmuję pana potrzeby do wiadomości i w sumie wielce je rozumiem, bo to miasto – udała podenerwowanie, zacisnęła palce i głośno przełknęła ślinę – potrafi zachwycić. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że ta sama... Riga, dla pana kraina mlekiem i miodem płynąca, innym kojarzy się ze stratą i ucieczką. Przykro mi, ale nie mogę i nie potrafię o niej rozmawiać. I chyba nigdy to się nie zmieni.

Mężczyzna skrzywił się, ale po chwili potaknął z wyrozumiałością.

– Musiałem spróbować, bo rozumie pani, życie nauczyło mnie, że świat do odważnych należy. Oraz do tych, którzy nigdy się nie poddają.

– W pełni się z panem zgadzam, ale byłabym rada, gdyby zmienił pan temat naszej rozmowy.

– A zatem – mężczyzna nadstawił ramienia – chętnie zaprezentuję pani moją kolekcję dzieł ryskich malarzy krajobrazowych. Nieskromnie powiem, że jest imponująca.

Przeszli do niewielkiego pomieszczenia bez okien. Fengler jednym pstryknięciem włączył kilkanaście lampek, które oświetliły obrazy i regały z książkami. Zachichotał.

– Trochę panią zwiodłem, bo tu dzieła ani jednego ryskiego malarza pani nie uświadczy. Krajobrazy są i owszem, ale tylko w interpretacji najlepszych francuskich impresjonistów. Nic nie poradzę – wzruszył ramionami – że mam do nich słabość.

– A czy to przypadkiem nie jest sztuka wynaturzona?

– O nie, nie! Przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo, pani Guderian. To wszak nie Leo Haas czy Karl Hofer. Jednakże na wszelki wypadek nie każdemu wspominał o mojej świątyni i dzieła Renoira oraz Moneta trzymam w ukryciu. Panią, z uwagi na... – Zawahał się, ale po chwili dodał: – Rigę... Darzę wyjątkowym zaufaniem.

– Proszę się nie obawiać, nikomu nie powiem. Zresztą nie jestem wybitną znawczynią malarstwa i nikt mnie raczej nie będzie o nie wypytywał.

– Znam takich, co pytają o wszystko. – Poruszył się nerwowo. – I każdą informację potrafią wydobyć. Ale tak jak powiedziałem, to nie żadna sztuka wyklęta i wiem, że na razie nie działam wbrew mojej kochanej ojczyźnie.

Fengler zaprezentował Annie wszystkie zebrane dzieła, rozpływając się nad mistrzostwem pędzla artystów. Był dumny z kolekcji, a pochwalony przez Annę za zbiór wyprężył pierś jak kogut.

– Dlaczego mnie pan tu zabrał? – Ania w końcu zadała pytanie kołaczące się w jej myślach od pierwszej chwili, gdy znalazła się w środku.

– Czy ja wiem? Poczułem, że muszę to zrobić, i tyle – stwierdził, wzruszając ramionami. – Wzbudziła pani moje zaufanie, a względem takich osób jestem szczery, potrafię wyjawić im wszystkie swoje sekrety i rozmawiać na absolutnie każdy temat.

Ania w mig zrozumiała, że Fengler kolejny raz próbuje ją podejść i skłonić do rozmowy o Ridze. Ależ był uparty!

– Ach tak – westchnęła, nie zdradzając, że go przejrzała. – To miłe, ale wracajmy już do gości. Mój mąż zapewne się niepokoi.



Zanim zasiedli do suto zastawionego stołu, upłynęła dobra godzina. Kwartet smyczkowy grał w tym czasie melodie taneczne, a niektóre kobiety z lekka podrygiwały. W końcu Fengler, poczuwszy burczenie w brzuchu, zarządził rozpoczęcie biesiady.

– Zdrowie naszego dobroczyńcy, Führera! – Wzniósł toast, a kieliszki natchmiast poszły w górę. – Za powodzenie naszych wojsk!

W sali nastąpiło poruszenie, tu i ówdzie słychać było gromkie: *Heil Hitler!* Ania zamarła; nie poruszyła nawet ustami, nie uniosła ręki. Była tak odrętwiała, że gdyby nawet chciała, nie dałaby rady. Szczęśliwie nikt tego nie zauważył. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Pierwszy raz była częścią spektaklu ku chwale Hitlera. Wcześniej widziała to na ulicach, z daleka. Ćwiczyła pod okiem Gustawa, bo musiała być przygotowana i na gesty, i na okrzyki. Te próby były jednak niczym wobec tego, czego właśnie doświadczała tu, w rezydencji Fenglera. Z twarzy wiwatujących Niemców biła obrzydliwa fascynacja i przerażające uwielbienie. W powietrzu wyczuwało się coś na kształt podniecenia. Jej oddech przyspieszył, serce waliło jak szalone. Próbowwała opanować emocje, kryjąc się za sztucznym uśmiechem i szukając jakiegoś ruchomego punktu, za którym mogłaby podążać. To zawsze jej pomagało. Ów punkt znalazła po chwili. Był kobietą. Tak dostojną, tak oszałamiającą swą urodą, strojem i pewnością gestów, że Anna spostrzegła, że nie tylko ona wodzi za nią wzrokiem. Na to zjawisko patrzyli niemal wszyscy. A ona – zupełnie niewzruszona – sunęła po marmurowej posadzce, w czerwonej sukni z długim trenem i głębokim dekoltem.

– Kto to? – spytała Anna Gustawa.

– Michelle LaCour, aktorka. Jeszcze przed wojną przyjechała tu z Zachodu i już zdobywa salony.

– Francuzka?

– Nie. Pół Francuzka, pół Niemka, ale przyjęła niemieckie obywatelstwo.

LaCour podeszła do stołu i stanęła obok Anny, po czym sięgnęła po napełniony szampanem kieliszek i odezwała się czarownym głosem:

– Przepraszam za spóźnienie, ale obowiązki mnie zatrzymały. *Heil Hitler!*

Fengler ukłonił się przybyłej. Głosy na nowo rozbrzmiały, choć co niektórzy nadal wlepiali oczy w kobietę. A ona z dostojnością królowej rozsiała się na krześle. Potem powitała gości eleganckim skinieniem głowy. W stronę niektórych wykonywała ledwie dostrzegalny ruch dłoni. Nie skończyła jeszcze oglądu stołu, kiedy zagadnęła do Anny.



– Uwielbiam rezydencję Johanna – odezwała się półszepem, wywołując w Annie niespodziewaną falę gorąca. Coś magicznego, a jednocześnie niepokojącego rozbrzmiewało w jej głosie. – Ma w sobie coś dekadentckiego, piekielnie rozpustnego. Tyle złocień, jedwabi i marmurów. Bezeceństwo, nie sądzi pani? – LaCour spojrzała Annie prosto w oczy.

Ależ ona miała boską twarz! Nie jakąś tam ładną czy piękną, ale wprost boską. Oczy czarne niczym węgiel, okolone gęstymi rzęsami, brwi cienkie, ale nieprzesadnie, nos wąski, delikatnie zadarty u końca, a usta wydatne i kusząco karminowe. Twarz bez jednego piega, zmarszczki, bez najmniejszej skazy.

– Ja? – spytała Anna cieniutkim głosem.

– No przecież z panią rozmawiam, pani...?

– Żadna pani. Anna Guderian.

– Michelle. Michelle LaCour – przedstawiła się bogini. – To jak? Bezeceństwo?

– Raczej nie – odpowiedziała Ania po chwili, w której zachęcona przez LaCour rozejrzała się po obszernym salonie. – Jeśli ktoś lubi luksusy i ma na to pieniądze, nie widzę w tym niczego złego.

– Hmm... A ja... – Michelle zbliżyła się do Anny na centymetry i jakby zdradzała jej jakiś wielki sekret, wyszeptwała: – Nie widzę niczego złego w odmawianiu wiwatowania na cześć naszego wodza. Poza tym daleko mu do Adonisa, żeby go aż tak czcić. Jest z metra szyty i ten kusy wąsik...

Do Anny dotarło, że Michelle dostrzegła jej bezruch, kiedy wszyscy unosili ręce, i milczenie, gdy goście z entuzjazmem heilowali. Poczowała wilgotniejące dłonie i zasychające gardło. Spojrzała na Michelle, a ta wpatrywała się w nią, rozwierając wargi, powoli, bardzo powoli, zupełnie jakby syciła się niepewnością wyczytywaną z oczu Ani. Na koniec uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy bielusińskich zębów.

– Pyszny ten szampan, nieprawdaż?

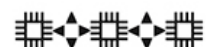


LaCour niewątpliwie była gwiazdą wieczoru. Zagadywana, ze swadą opowiadała o próbach do nowego spektaklu. Bez skrępowania zdradzała garderobiane sekrety i ploteczki, które zapewne miały w sobie morze fantazji, a ledwie kroplę prawdy.

– I natenczas wchodzi legendarna Brunhilda von Schmeck. Uwielbiam ją. Wspaniała towarzyszka i nietuzinkowa aktorka, ale jest z nią pewien szkopuł. Kiedy się przemieszcza, ściany drżą, podłoga trzeszczy, a lęk gospodarza o żyrandole jest, jak by to powiedzieć, w pełni uzasadniony. Bo Brunhilda von Schmeck, o czym być może państwo wiedzą, to kobieta o posturze Goliata, nawet u mężczyzn niespotykanej. No i jak wspomniałam, Brunhilda pojawiła się na jednym z rautów. Zmęczona jak pierun, bo po ciężkiej próbie do spektaklu, w którym po raz kolejny grała męską rolę. – Wśród zebranych poniósł się śmiech. – Nie zauważyła, że stanęła obok dyrektora naszego teatru, pana Adlera, człowieka, delikatnie rzecz ujmując, nienachalnego wzrostu. – Michelle wykonała znaczący ruch ręką, sugerujący zebranych, że Adler sięga jej zaledwie do ramienia. – Nigdy obok niego nie staje, bo dyrektor się boczy, ale, tak jak mówiłam, była zmęczona i nie zauważyła, a nikt jej oka nie puścił. Brunhilda jeszcze, na dowód swego zmęczenia, oznajmiła, że pada z nóg. Pamiętam nawet, że przemknęło mi wtedy przez myśl, że dobrze byłoby, aby nie padła z owych nóg na mnie, bo rozumieją państwo, że z życiem na pewno bym nie uszła. – Zebrani ponownie zachichotali, ale ciszej i krócej, w napięciu oczekując puenty. – Brunhilda tymczasem narzekała na pomysły reżysera, bo w nieskończoność kazał jej przenosić ciężką drewnianą kłodę to w lewo, to w prawo, ciągle czując w tej jakże banalnej czynności niedosyt artyzmu. W pewnym momencie powiedziała coś w stylu: „Cholerna kłoda. Jestem przekonana, że nasz dyrektor waży o połowę mniej”. – Na te słowa zebrani parsknęli śmiechem. Jeden z mocniej podpitych nawet się opluł, a jego towarzyszka nerwowo poczęła go wycierać. – No, no. Ja rozumiem, że teraz to jest zabawne, nawet i mnie śmieszy, ale wówczas nikt z nas się nie zaśmiał, okiem ani jeden nie mrugnął, bo każdy bał się reakcji dyrektora. Słynie z wybuchowego charakteru i absolutnego braku pociągu do komedii czy drobnego żartu nawet. Tamtego razu jednak, być może za sprawą odurzenia alkoholo-

lem, zachował się zgoła inaczej. Stał przed Brunhildą, która natychmiast pobladła, oczy wybałuszyła, zaczęła łapać się za gardło, jakby z żalu nad wypowiedzianymi słowami, i oznajmił: Bardzo proszę, oto jestem. Może mnie pani przenieść w dowolne miejsce i przekonać się, czym cięższy od tej kłody.

Takimi oto anegdotkami Michelle raczyła gości u Fenglerów. Każdy był pod jej urokiem, każdy oprócz Anny. Ona nigdy nie знаła takiej kobiety. Spostrzegawczej, błyskotliwej, pięknej i zniewalającej. I właśnie dlatego czuła przed nią respekt, jakiś niezdefiniowany lęk, który kazał jej się mieć na baczności.



Fengler umiał dbać o zaproszonych. Wiedział, który w jakich trunkach gustuje, który obok którego siedzieć nie chce. Którego o wojnie będzie prawić, a który nadaje się tylko do spijania opowieści z ust Michelle LaCour. Widać, że był doskonałym obserwatorem, a i pamięcią dobrą się wykazywał. Osobiście jednak w trakcie imprezy miał się cały czas na baczności. Innym kazał dolewać alkoholu, podczas gdy sam spędził go z jednym kieliszkiem, udając tylko rozbawienie.

– I jak ocenia pani wieczór? – zagadnął Annę.

– Wybornie pan to wszystko zorganizował. Jedyne, czego żałuję, to tego, że mój mąż jest ciągle porywany przez pańską żonę.

– Ach! Magda nigdy nie ma dość Gustawa. Wypowiada się o nim w samych superlatywach. Kiedy jeszcze pani tu nie było. Ba! Kiedy nikt z nas nie miał pojęcia o waszym narzeczeństwie, o Gustawie mówiła tyle, że żywiłem podejrzenia względem ich relacji. No, może nie najlepiej to o mnie świadczy, bo żony powinienem być pewien, ale ulżyło mi, kiedy dowiedziałem się o pani.

Anna zdobyła się na grzecznościowy śmiech. Nauczyła się go tego wieczoru, podpatrując Michelle LaCour.

– Bo rozumie pani, ja już mam swoje lata, a moja Magda nadal taka młoda.

– Pan jest przecież w doskonałej formie.

Ania mogłaby przysiąc, że Fengler pokraśniał.

– Dyplomatką, mimo młodego wieku, jest pani doprawdy wyborną. Pewnie odziedziczyła to pani po rodzicach. Na urzędach pracowali, a może u władzy byli?

– Proszę mnie nie brać na spytki – rzuciła stanowczo, trochę może zbyt obcesowo, ale po raz kolejny poczuła się tak, jakby Fengler celowo najpierw zmiękczał ją słodkimi opowiastkami o osobistych słabościach, by po chwili ponownie spróbować zagadnąć o Rigę.

Zaczęła podejrzewać, że ją sprawdzał, jakby nie ufał informacjom o jej pochodzeniu. Może usłyszał w jej akcencie coś zwodniczego? Albo, co gorsza, czegoś nie usłyszał?

– Po stokroć przepraszam. No widzi pani, jak mi za tą Rigą tęskno? – tłumaczył się teraz. – Jak tak na panią spoglądam, od razu mi się bulwary nad Dźwiną przypominają. I przede wszystkim Stare Miasto z ratuszem oraz moim najukochańszym miejscem, Domem Bractwa Czarnogłowych, w którym spędziłem bodaj więcej czasu niżli w jakiegokolwiek ryskiej kwaterze. Ileż to ja godzin wysiedziałem w Wielkiej Sali na obradach plenarnych, na debatach i dyskusjach już nie całkiem oficjalnych. Ileż czasu spędziłem, wpatrując się w *Calendarium perpetuum*<sup>[23]</sup> i zachodząc w głowę nad perfekcją wykonania astronomicznego zegara przez mistrza Matisa. Mnie się taki sam marzy i mam nadzieję... – Nagle zerknął na Anię, bo przez chwilę znów był jakby w innym świecie, a ta zagrała smutek tak wybornie, że gospodarz od razu zmienił front. – ...że wybaczy mi pani tę moją niedopuszczalną paplaninę. Postaram się już nigdy więcej na ten temat nie zbaczać, chyba że pani intencją będzie taką rozmowę odbyć.

– Dziękuję – odpowiedziała Ania i upiła łyk szampana.

W wielkiej sali, w której się znajdowali, wrzało od rozmów i śmiechu, a co rusz ponad tym wszystkim rozlegał się brzdęk szkła. Ludzie ucztowali w doskonałych nastrojach. To było widać, choć nie uszło uwadze Ani również to, że niemal każdy próbował tu załatwić interesy. Zdradzali się tym,

że zaciągali swoich rozmówców na bok i rozmawiali, żywo gestykulując, a na koniec ściskali sobie dłonie, co miało sygnalizować dobiecie targu.

– Mam nadzieję, że moja Magda nie zamęczy pani małżonka pytaniami – stwierdził Fengler, zmieniając temat. – Zapewne chce z nim omówić wszystkie sprawy.

– Potrzebuje robotników? Do salonu jubilerskiego? – zapytała z niedowierzaniem Anna.

Johann Fengler wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się niczym sztubak, choć w jego rzadkiej czuprynie więcej było srebrzystych kosmyków niż czarnych.

– Moja żona zawsze czegoś potrzebuje. – Spojrzał wymownie na kogoś za plecami Anny i wyciągnął rękę.

Po chwili obok nich, w długiej, mieniącej się złotem sukni, stanęła Magda Fengler. Była atrakcyjną, wyniosłą kobietą.

– Czyżbyś mówił o mnie, mężu? – zapytała eterycznie.

– Oczywiście, kochanie. – Ucałował jej dłoń. – Właśnie opowiadałem pani Guderian o twoich salonach jubilerskich i zachęcałem do ich odwiedzenia.

– Jakże miło, że dbasz o moje interesy.

– O nasze interesy, kochanie – poprawił ją. – O nasze.

Pani Fengler zaśmiała się, ale wprawne ucho Ani od razu usłyszało w tym śmiechu fałszywą nutę.

– Kiedy zatem wybiera się pani do naszego salonu?

– Jeszcze nie wiem, ale na pewno to zrobię.

– Tylko proszę mnie uprzedzić, żebym osobiście mogła coś podpowiedzieć. Myślę, że przyda się pani moja pomoc – powiedziała z wyższością Magda. – Nie żebym uważała, że nie zna się pani na najnowszych kanonach mody, jednak mam przekonanie, że pan Guderian zasługuje, by jego żona nosiła się na czasie i błyszczała.

– O, skoro tak, to chyba jednak nie muszę zjawiać się u pani. Mąż codziennie mi powtarza, że błyszczę niczym najjaśniejsza gwiazda.

Magda Fengler wyprostowała się jeszcze bardziej, choć i tak wcześniej nosiła się, jakby połknęła kij. Ania poczuła dumę ze swojej riposty. Nie czyniła zgryźliwości z przyjemnością, ale wobec żony Johanna język sam jej się ostrzył. Nie polubiła tej kobiety i nic nie mogła na to poradzić.

## W CIENIU I W BLASKU

Zbierali się do wyjścia, kiedy Ania postanowiła jeszcze skorzystać z toalety.

– Źle się czujesz? – zapytał Gustaw, widząc, że lekko pobladła.

– Zdaje mi się, że to przez szampana. Fengler nie ma umiaru w polewaniu.

– Poczekam na ciebie w saloniku.

Szła korytarzem, który, jak reszta domu, tonął w przepychu. Był szeroki, z różowym marmurem na podłodze i kryształowymi żyrandolami w kształcie koron drzew u sufitu. Ściany zdobiły tapety przetykane złotą nicią oraz liczne obrazy. Fengler potrafił dbać o swój wizerunek. W kolekcjonerskiej kapliczce skrywał dzieła impresjonistów, a na pokaz wystawiał wytwory w pełni podporządkowane nazistowskim „przykazaniom”. Anna mijając w tym miejscu pejzaże, głównie ryskie, przynajmniej tak jej się zdawało. Rozpoznawała bowiem niektóre, znane jej z albumowych fotografii budynki. Na dłużej zatrzymała się przy obrazie, który najbardziej przyciągnął jej wzrok. Przedstawiał patrona Domu Bractwa Czarnogłowych, świętego Maurycego, w zbroi, z mieczem, tarczą i sztandarem. Kiedy pierwszy raz natknęła się na wzmiankę o nim, nie kryła zdziwienia, bo nigdy wcześniej nie widziała czarnoskórego świętego. Od oglądania obrazu oderwały ją hałasy dobiegające zza sąsiadujących z nim drzwi. Najpierw usłyszała męski śmiech, a zaraz potem kobiecy krzyk, po którym jej uszu doszły dźwięki szamotaniny, tłuczonego szkła i na końcu budzące przestraszonych przekleństwa oraz okrzyki: „Nie, nie, nie!”.

Przez krótką chwilę wahała się, co powinna zrobić. Rozważała wtargnięcie do środka, pójście po Gustawa albo po Johanna Fenglera. Wybrała to pierwsze. Nacisnęła kłamkę. Ustąpiła bez oporów, a Anna wślizgnęła się po

cichutku do środka. Zanim przywykła do ciemności, kolejne szkło rozprysło się po podłodze, a powietrze ponownie przeszyły przekleństwa.

Na drugim końcu ogromnej sypialni stało wielkie łóże z baldachimem, a wokół niego piętrzyły się kredensy i kredensiki, toaletka, otomana z puchatymi poduszkami i rzeźba słonia z uniesioną trąbą. W tych urzekających wnętrzach rozgrywał się dramat kobiety próbującej się oswobodzić z więzów, gdyż jej ręce i nogi były przywiązane do łóżka. Górujący nad nią mężczyzna, sapiąc, dysząc i bełkotliwie mamrocząc, usiłował wbić w jej krocze kolczasty walek. Nie panował nad swoim ciałem, w ruchach był niezdarny i chyba tylko to uratowało kobietę przed tragicznym finałem.

Ania od razu przypomniała sobie scenę z własnego życia, jedną z najgorszych, w której Antek Dziarkowski próbował ją zgwałcić. Natychmiast wzburzyła się w niej krew. Zacisnęła pięści; wiedziała, że musi coś zrobić, szybko! Natychmiast! Już! Rozejrzała się. Przy oknie stała szafka, a na niej wysoki gliniany wazon. By mężczyzna jej nie usłyszał, zdjęła buciki na obcasach i podeszła do okna. Wzięła wazon w obie ręce, był ciężki. Bardzo dobrze! Dzierżąc go pewnie w dłoniach, zakradła się do łóża i stanęła za plecami spoconego, gołego, obleśnie grubego mężczyzny.

– Jęcz, polska kurwo – mamrotał pod nosem, wciskając w jej krocze centymetr po centymetrze kolczasty walek, jednocześnie się masturbując. – Drzyj się, ma cię boleć, szmato!

Ania spojrzała na kobietę. Chciała złapać z nią kontakt wzrokowy, pocieszyć ją, pokazać, że za moment ją uwolni, ale nie mogła, bo tamta miała oczy przewiązane szeroką szarfą. Ania zamachnęła się i z całych sił cisnęła wazonem w potylicę mężczyzny. Naczynie pękło na kawałki, a mężczyzna zastygł, po czym wydając z siebie głośne westchnienie, padł na ciało znajdującej się pod nim kobiety, która stęknęła głośno.

Ania odczekała chwilę, a kiedy upewniła się, że mężczyzna stracił przytomność, odezwała się.

– Już nic ci nie grozi.

– Co? Co? Kto tu jest? Co się stało? Kto tu jest? – usłyszała po polsku.

Ania wtarabaniła się na łóże i zerwała opaskę.



– Nic ci nie grozi – powtórzyła polszczyzną z silnym niemieckim akcentem, tak by tamta nie miała wątpliwości, że pierwszym językiem Ani jest niemiecki.

Dziewczyna spojrzała na nią spłoszona, a po chwili zaczęła wyrywać ręce z wiązań. Ania pomogła jej się wyswobodzić i przewrócić cielsko należące do, jak się okazało, Lothara Eberhardta na plecy. Rozpoznała go, dopiero gdy zapaliła lampkę nocną, bo pozbawiony fraka fabrykant w swej nagości był jakby innym człowiekiem.

Polka pospiesznie się ubrała, zabrała banknot leżący na stoliku, w stronę Ani rzuciła krótkie „dziękuję” i wybiegła.

Anna ukucnęła przy mężczyźnie, nasłuchując oddechu. Nie bała się, że cios zadany wazonem mógł być ostateczny, ale wolała się upewnić. Kiedy usłyszała ciche sapnięcie, wstała. Nieopatrznie spojrzała przy tym na krocze mężczyzny, a w jej głowie natychmiast pojawiła się komiczna myśl, że skromne przyrodzenie zupełnie nie pasuje do reszty zwalistego cielska.

– Oblesny typ – usłyszała nagle z drugiej strony pokoju.

Wystraszyła się, mimo że od razu rozpoznała melodyjny tembr.

– Michelle?

W pokoju rozświeciły się lampy. LaCour niespiesznie podeszła do Eberhardta i bez najmniejszego skrępowania rzuciła okiem na jego krocze.

– W sumie nie dziwi mnie, że za rozkosz musi płacić i wspomagać się zabawkami. Z takim fistaszkiem żadnej by nie dogodził.

– To zwyrodnialec. Widziałaś, co on chciał jej zrobić? – Wskazała na kolczasty wałek leżący na łóżku.

– Nie pierwszy, nie ostatni. Dla mnie dobrze.

– Dobrze?

– Aha.

Michelle uśmiechnęła się tajemniczo i wcisnęła kolczasty wałek między pośladki Eberhardta.

– No, teraz wygląda idealnie! Będzie, hmm... Przerażony!

Z torebki wyciągnęła malutki aparat fotograficzny – tak małego Ania nigdy wcześniej nie widziała – i zrobiła kilka zdjęć. Niektóre z bliska, inne z oddalenia. Na koniec z satysfakcją wyjęła ze spodni mężczyzny portfel i opróżniła go.

– Tak należy się mścić na zwyrodnialcach!

– Zamierzasz opublikować jego zdjęcia?

– Nigdy w życiu! Ale Eberhardt nie musi o tym wiedzieć. Niech się boi i... płaci.

– Płaci?

– Tak, ale to już będzie nasza tajemnica, dobrze? Nie wspominaj o niczym Gustawowi.

– Może... Gustaw by z nim porozmawiał?

– Niby o czym?

Michelle spojrzała na Annę, ujęła jej twarz w obie dłonie i uśmiechnęła się zmysłowo, po czym pocałowała ją w czubek nosa, a Ania odczuła ten gest niemal intymnie i zadrzała. Michelle jakby tylko na to czekała. Z satysfakcją mruknęła.

– Znam cię chwilę, Anno Guderian, ale czuję, jakbyś była moją siostrą, siostrzyczką. A siostry mogą sobie ufać, prawda?

Anna skinęła głową. Raz, drugi, trzeci. Boże drogi! Miała uważać na Michelle, w jej towarzystwie miała się mieć na baczności! Słowa, słowa, słowa – skoro właśnie dała się zwieść jej urokowi.

– Nie mów Gustawowi – rzuciła jeszcze Michelle, a Ania na potwierdzenie przymknęła powieki. Aktorka złapała ją za rękę i pociągnęła do wyjścia.  
– A teraz wracajmy! Gustaw na pewno się już niecierpliwi!

## PODARUNEK

Wieczór u Johanna Fenglera był szeroko komentowany w środowisku. Ania nie miała o tym pojęcia, bo przecież nie była jego częścią. Ale stała się częścią świata Lotty, która dzwoniła do niej niemal każdego dnia, zawsze przy tym zapraszając na popołudniową herbatkę. Dziewczyna czasami korzystała z owych zaproszeń, bo choć nie darzyła Lotty szczególną sympatią, wiedziała, że znajomość z tą wpływową kobietą jest jej niezbędna do przetrwania.

– Ja po prostu chyba nie przeżyję tego, że ten Berlin zbiegł się z przyjęciem u Johanna – biadoliła Lotta, kiedy Anna zawitała u niej na początku tygodnia. – Ostatnio żadnych wyjazdów nie miałam, żadnych. A jak akurat się trafił, to tu, w Stettinie, ominęła mnie taka okazja towarzyska! Opowiedz mi wszystko koniecznie, bom piekielnie ciekawa!

Anna z naddatkiem spełniła prośbę Lotty, bo nie tylko opisała to, co działo się podczas przyjęcia u Fenglerów, ale i podkolorowała zachwyty nad kreacjami, które wyszły spod ręki Bramen, satysfakcjonując tym wywodem autorkę projektów sukien.

– Były doprawdy wyjątkowe – stwierdziła, nie mijając się zbytnio z prawdą, bo z podziwem patrzono i na żonę gospodarza, Magdę Fengler, i na Michelle LaCour. Co prawda zapewne wcale nie z powodu sukien, a stylu bycia obydwu kobiet, ale tego Ania już nie dopowiedziała.

– Ach, wyobrażam to sobie! – Na twarzy Lotty malowała się rozkosz. Na ułamek chwili przymknęła powieki i westchnęła. – Ta suknia Michelle... Na pewno oszałamiała, bo LaCour to chodzący seks. Jak ona rusza biodrami! Nie znam drugiej takiej. No może w Paryżu jakieś były albo w Wiedniu. Ale tu, w naszej Rzeszy, nie ma takiej drugiej.

– To prawda. Michelle prezentowała się zjawiskowo.

– Miałaś okazję porozmawiać z nią w cztery oczy? – zagadnęła Lotta niby mimochodem, ale Anna dosłyszała w jej głosie dziwną ekscytację.

– Tak, to niezwykła kobieta.

– Niezwykła, powiadasz. Hmm... To prawda. Przyszła sama, jak mnie mam, i zapewne spóźniona?

– Rzeczywiście.

– Zawsze się spóźnia. Ponoć nawet na próby. To kobieta, która lubi mocne wejścia.

– Ma tu przyjść? – Ania szczerze się zdziwiła.

– A nie wspomniałam ci o tym, skarbie?

– Yyy... Raczej nie. Zapamiętałabym.

– O, to przepraszam. Nalegała, bym cię zaprosiła. Zamawia u nas kolejną czerwoną suknię. Tym razem płaci Eberhardt. Może go znasz.

– Taaak – odpowiedziała Anna powoli. – Poznałam go na przyjęciu. A co znaczy „tym razem”?

Lotta uśmiechnęła się ze smakiem na myśl o tym, że może sprzedać Annie plotkę.

– Od kiedy znam Michelle, nigdy jeszcze nie zapłaciła za suknię z własnej kieszeni. Zawsze płacą mężczyźni. Głośno mówi, że nie przyjmuje wyrazów uznania dla swego talentu wokalno-aktorskiego w kwiatkach, lecz w sukniach i klejnotach. I je dostaje. Zresztą – Lotta niby od niechcenia machnęła ręką – kwiaty też. Eberhardtowi musiała wyjątkowo się spodobać, bo zlecił uszycie dwóch sukien, i to wyjątkowo okazałych.

„A więc to w taki sposób ten zboczeniec ma odkupić swoje winy...” – przemknęło Annie przez myśl.

– Tak właściwie to jestem nieco zaskoczona owym prezentem, bo o ile mi wiadomo, Eberhardt nie jest koneserem sztuki – ciągnęła Lotta. – Teatrem raczej gardzi, książek nie czyta, muzyki nie słucha. To taki typ, który kulturę uważa za część życia absolutnie zbyteczną.

– A może po prostu podoba mu się Michelle?

– To najbardziej prawdopodobne, bo jest znany z pociągu do płci pięknej. Kiedyś nawet krążyły plotki o jego podbojach miłosnych, choć jak na mój gust były mocno przerysowane. Eberhardt nie wygląda na żigolaka. Nawet tak się nie zachowuje. Jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałam z nim. Na przyjęciu zachowywał się zwyczajnie – skłamała Ania bez zająknięcia. – Jak każdy inny mężczyzna w towarzystwie.

Lotta zacisnęła usta, wyraźnie rozczarowana.

– Szkoda. Miałam nadzieję na sensacyjkę, jakąś pieprzną historię, ale cóż...

– Przykro mi, niczego takiego nie zauważyłam.

Kiedy Lotta z wyrozumiałością kiwała głową, do saloniku weszła La-Cour. Oblicze gospodyni radykalnie się zmieniło.

– W samą porę! – Rozpromieniona ciotka Gustawa wyciągnęła rękę na powitanie. – Już myślałam, że nie zjawisz się wcale.

– Ależ, pani Bramen! – La Cour skłoniła się, delikatnie ściskając dłoń gospodyni. – Jestem punktualnie.

Lotta zaśmiała się teatralnie.

– Jeśli kwadrans spóźnienia... – Zerknęła na stojący zegar. – A nawet kwadrans z okładem oznacza punktualne przybycie, to rzeczywiście nie ma mowy o spóźnieniu.

Lotta potrząsnęła dzwoneczkiem i w saloniku pojawiła się kobieta w szarej sukience. Wyglądała znacznie lepiej, niż gdy Anna widziała ją za pierwszym razem. Nabrała rumieńców, oczy nie były aż tak podkrążone i w jej zachowaniu czuć było nieco większą pewność.

– Ajerkoniak i trzy kieliszki na długiej nóżce. Tylko szybko! – zaordynowała Lotta, a kobieta skinęła głową i pospiesznie wyszła.

Ania odprowadziła ją wzrokiem, co nie uszło uwadze Michelle.

– Nie warto tracić spojrzeń na te Polki – rzuciła.

– Co? Ja nie... Zapatrzyłam się.

– No właśnie widzę – ciągnęła LaCour. – I dlatego mówię, że nie warto. Na przegranych nawet mrugnięcia okiem szkoda.

– Języka strzepić na nich też nie należy – wtrąciła kąśliwie Lotta, ale po chwili jakby się zreflektowała, że mówi do swojej klientki, więc dodała przyjaźniej: – Czy kolor sukni już wybrany? Eberhardt zdecydował czy wybór pozostawił pani?

Michelle prychnęła.

– Lothar nie odróżnia różu od brązu. Jest daltonistą. Dostałam wolną rękę i mam nadzieję, że pomożesz mi w wyborze, Anno.

– Ja? – Ania była zaskoczona. – O-Oczywiście. Jeśli tylko będę potrafiła.

– Skoro zdołałaś okiełznać Gustawa, przez wielu uznawanego za jedną z najlepszych partii w całej Rzeszy Niemieckiej, to kolor sukni będzie dla ciebie betką.

Tak po prawdzie Michelle wcale nie potrzebowała pomocy Anny. Sama doskonale wiedziała, jak ma wyglądać jej suknia. Chciała jednak, by Anna była obok. Pragnęła ją wciągnąć w swój świat i... to jej się udało. Michelle oczarowała Anię tak bardzo, że kiedy ta wróciła do domu, nie mogła przestać o niej myśleć. Mówić też, co nie uszło uwadze Gustawa.

– Michelle nie jest dobrym materiałem na przyjaciółkę, uwierz mi – powiedział.

– Nie bądź zazdrośnikiem, Gustawie. Ty jesteś dla mnie najważniejszy, ale jesteś mężczyzną, a kobiecie potrzebna jest też kobieta. Przecież nie będę się przyjaźniła z Lottą, prawda? – Zarzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła go w policzek. Potem oddaliła się na kilka kroków i z rozrzewnieniem dodała: – Michelle jest inna, taka postępową. Przy niej nie myślę o tym... O tym wszystkim. Nie myślę o wojnie i o niedawnej śmierci twojej babci.

– Nie jestem zazdrosny, ale... – Gustaw starał się dyplomatycznie ubrać swe myśli w słowa. – Michelle prowadzi specyficzny tryb życia. Który zupełnie do ciebie nie pasuje.

– Potrafię o siebie zadbać, Gustawie – stwierdziła uspokajająco. – Może i jestem młoda, ale wydaje mi się, że zdążyłam doświadczyć naprawdę

wiele. Ja po prostu czuję, że po raz pierwszy poznałam tu kobietę, z którą mam tak wiele wspólnego...

## UŚPIONE POLSKIE SERCE

Guderianowie nie prowadzili bujnego życia towarzyskiego, choć Gustaw twierdził, że jest spokojny o Annę, o jej zachowanie, akcent i dobór słów.

– Mimo wszystko jednak nie możemy ryzykować – mawiał.

– Ale tu nikt mnie nie zna. Nikt nie ma prawa znać.

– Nie byłbym tego taki pewien. Polaków może i nie ma, są tylko wśród robotników, ale Niemcy z okolic Brombergu<sup>[24]</sup> to nie taka rzadkość. A jeśli na salonach trafi się jakiś z Fordonu? Twój sąsiad na przykład?

– Ale ja nawet inaczej wyglądam. Mam inną fryzurę, inne ubrania, noszę makijaż. Nie poznają mnie.

– Wolałbym nie ryzykować. Obiecuję, że będziemy częściej chodzić na przyjęcia, ale tylko wtedy, kiedy dam radę dotrzeć do listy gości i upewnić się, że nie będzie na niej nikogo... niebezpiecznego dla ciebie. Nikogo, kto mógłby cię rozpoznać.

Anna tymczasowo przystała na propozycję Gustawa, ale wiedziała, że będzie go przekonywać, by regularniej przyjmowali zaproszenia. A tych było wiele – wszystko za sprawą wydarzeń z niezwykłego pogrzebu Julii Guderian, który nadal nie schodził z ust mieszkańców, oraz dzięki Lotcie, która chętnie opowiadała swoim licznym klientkom o „pięknej żonie młodego Guderiana” – jak często nazywała Anię – budząc w nich wielkie zainteresowanie. O Annie rozповідаła też Michelle. Jej słowa rozchodziły się po mieście z szybkością błyskawicy, bo LaCour zdawała się bywać wszędzie – na każdym występie, spektaklu, przyjęciu i raucie. Zazwyczaj pojawiała się sama, z rzadka tylko w towarzystwie, bo jak słusznie zauważyła kiedyś Lotta, lubiła mieć efektowne wejście.



– Przyjdź, błagam! – powiedziała LaCour do Anny, po raz kolejny starając się ją wyrwać na pospektaklowy raut. – Będzie wielu znamienitych gości z pierwszych stron gazet. Choćby Paula Wessely. Nie żebym darzyła ją szczególną sympatią, ale bezapelacyjnie warto się z nią zaznajomić. Zdobyla przecież tę nagrodę na weneckim festiwalu, a to nie byle co! Ja jej nie mam, a ona, choć nosi się wcale nie najszykowniej, jej cery porcelanową nazwać nie można, choćby się bardzo chciało, a włosy upina raczej staromodnie, to może się nią poszczycić. A teraz chodzą plotki, że ma zagrać w jakimś ważnym filmie. Może i dla mnie coś się w nim znajdzie! Wierzę, że jakbym zagrała raz, o kolejny nie musiałabym się martwić. I o nagrody też!

Anna nie słuchała dalszej opowieści Michelle o jej planach zdobycia najwyższych laurów filmowych, o podboju Berlina i Hollywood, o uznaniu tych z Babelsbergu. Myślała o swoich dawnych pragnieniach, o Warszawie, o mieście z jej nastoletnich marzeń, w którym, gdyby nie ta piekielna wojna, zapewne by mieszkała, uczyła się w szkole pielęgniarstwa i była... Anną Łabędź.

Anną Łabędź... Jakże odwykła od swojego prawdziwego nazwiska! Nie zapomniła o nim, o nie. Ale odwykła. Kiedy przedstawiała się jako Anna Guderian, czyniła to bez zająknięcia. Stała się nią. Stała się Niemką o uśpionym polskim sercu.

– Przyjdę!

## W CIEMNOŚCIACH RODZĄ SIĘ POTWORY

Wybrała się do atelier Lotty Bramen, by do złotej sukni dobrać szal i doszyć tasiemki, które sprawiłyby, że z używanej kreacji stworzyłaby niemal nową. Nie potrzebowała zamawiać kolejnej konfekcji, daleka była od niepotrzebnego wydawania pieniędzy, choć Gustaw zachęcał ją, by nie żałowała sobie niczego.

Lotty jeszcze nie było, zajrzała więc na zaplecze. Lubiła to robić, nawet kiedy nie miała powodu. Patrzyła na Polki, które pracowały w zakładzie, przysłuchiwała się ich mowie. W pewnym sensie ją to uspokajało, dawało poczucie, że Polska nie umarła, że dopóki Polacy chodzą po ziemi, jest jeszcze nadzieja na powrót jej ojczyzny na mapy świata. Skinęła na Lucynę i zabrała ją na zaplecze. Kiedy zostały same, głośno wydała polecenie niczym Lotta Bramen, a półszepem zagadnęła kobietę o zwykłe sprawy: zdrowie, warunki życia, potrzeby. Lucyna niewiele mówiła, nie należała do zbyt rozmownych, pomimo że znała Anię od jakiegoś czasu i wiedziała, że ze strony żony Guderiana nic jej nie grozi. Niechęć do Niemców była jednak silniejsza.

– Nie musisz się mnie obawiać – powiedziała Ania.

– Ja nikogo się już nie boję – stwierdziła cierpko. – Wszystko, co było dla mnie ważne, już mi odebraliście.

Po ciele Ani rozszedł się zimny dreszcz. Tak dobrze rozumiała tę skromną kobietę, jej emocje, niechęć, smutek. Gdyby nie Gustaw, gdyby nie on, pewnie czułaby to samo. Być może sama byłaby teraz zmuszana do niewolniczej pracy gdzieś z dala od rodzinnego domu.

– Ja niczego ci nie odebrałam. Przykro mi, że spotkało cię tyle zła, ale wierzę, że twój syn kiedyś do ciebie wróci.

Lucyna pokiwała głową, zdobywając się nawet na ledwie dostrzegalny uśmiech, który nie przypominał wymuszonego grymasu. Nieoczekiwanie wyciągnęła do Anny rękę, jakby zapomniała, że znajdują się w świecie pełnym kontrastów, w świecie podzielonym na rasę panów i podludzi. Gdyby ta sytuacja wydarzyła się dwa lata wcześniej, ktoś, kto spojrzełby na nie z boku, powiedziałby, że oto spotkały się dwie przyjaciółki. Teraz mogłyby nawet i wyglądać tak samo, ale nie miały ani jednakowych praw, ani choćby podobnej wizji przyszłości.

Ania odwzajemniła gest i przez chwilę dotykały swych dłoni. Dwie Polki po dwóch stronach barykady. Kiedy się rozdzielały, Lucynie podwinął się rękaw i Ania dostrzegła niezabliźnione jeszcze rany na przegubach dłoni.

– Co to jest? – spytała z wyrzutem. – Czy myślisz, że samobójstwo to najlepsze rozwiązanie? To... Wojna za chwilę się skończy i co wtedy z twoim synem?

Nadolna lekko potarła prawy nadgarstek.

– To nie tak – wyznała cicho. – Wiem, że mimo wszystko życie jest najcenniejszym darem, nawet jeśli boli. Nie potrafiłabym go sobie odebrać.

– Więc co to jest? Skąd te ślady?

– To Horst – wydukała.

– Nie rozumiem.

– Zjawia się czasami w naszej kamienicy i... – Przełknęła ślinę, a jej oczy się zaszklily. – Jest brutalny i zmusza nas do obrzydliwych rzeczy.

Ania bez wahania wzięła kobietę w ramiona i przytuliła. Lucyna połykała łzy, a jej ciałem wstrząsały nieme spazmy. Ania gładziła ją po plecach niczym starsza, bardziej doświadczona siostra, a przecież to ona była młodszą, to ona mniej wiedziała o życiu. A może wcale nie...?

W myślach klęła siarczyście, a po chwili spojrzeła Lucynie prosto w oczy.

– Musisz o tym komuś powiedzieć.

– Pani Bramen?

– Choćby jej.

– To nic nie da. Ona szyje dla jego dam.

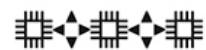
– Ktoś musi się dowiedzieć o tym, co Horst wam robi. Może ja spróbuję to jakoś załatwić.

– Lepiej nie. Nie, nie... – Lucyna zaczęła nerwowo kręcić głową. – Jak on się dowie, że się poskarżyłam, może być jeszcze gorzej i...

– A może być coś gorszego od gwałtu?

– Może – szepnęła Lucyna. – Raz zabrał Zosię i ona... ona już nie wróciła. A ponoć nie była pierwszą, która zniknęła. Nikt się nami nie przejmuje. Jesteśmy tylko robotnicami z naszywkami z literą P. Horst jest z Gestapo, trzyma z najwyższymi rangą. Chwalił się, żeby nas zastraszyć. Ma wielki dom ze strażnikami i służącymi... I takie pokoje, takie straszne pokoje... Ja tam byłam raz, tylko jeden, bo mu się nie podobam. Mam za małe piersi. Ale i tak zrobił, co chciał... Za to Helenka Krawcówna... Ją zabiera najczęściej. Ona się nie skarży, nawet jak ma pręgi na plecach albo przypalone pośladki. Mówi, że to tylko ciało...

W Ani się zagotowało. Szczerze nienawidziła mężczyzn, którzy stosowali przemoc. Dla nich miała tylko pogardę i była gotowa zrobić wszystko, by spotkała ich zasłużona kara. Absolutnie wszystko.



Kiedy wróciła do mieszkania, Gustawa jeszcze nie było. Czekwała na niego, a gdy się zjawił, nie zwlekając, opowiedziała o Horście.

– Wiedziałem, że Horst nie stroni od alkoholu, narkotyków i kobiet. Jest z tego znany – odparł Gustaw. – Nie spodziewałem się jednak, że może chodzić o kobiety spoza Rzeszy.

– A jednak. Musisz coś z tym zrobić, Gustawie. Przecież odpowiadasz za robotników, prawda?

– Nie masz pojęcia, kim jest Horst i jakie ma wpływy. – W jego głosie wybrzmiała pretensja, ale Ania nie spieszyła się nią.

– Słyszałam, że duże, ale wiem, że i ty masz spore. Widzę, jak ludzie się do ciebie odnoszą, z jakim szacunkiem odzywają. Czasami nawet myślę, że

to nie szacunek, a strach. A skoro tak, to wiem, że możesz coś zrobić. Pamiętam przecież, jak postąpiłeś w sprawie Mani Kwiatkowskiej, jak doprowadziłeś do tego, że zamknęli Dziarkowskiego. Ty wiele możesz, Gustawie. Ja to wiem.

Sięgnął po papierosa i zapalił.

– Wtedy... To było dużo łatwiejsze – odparł oschle. – Nie doceniasz Horsta, nie znasz go. On nie jest taką płotką jak Dziarkowski.

Ania wstała od stołu. Zaciśnęła usta, dłonie złożyła w piąstki. Była zła. Nie spodziewała się, że Gustaw przyjmie jej prośbę z zachwytem, ale liczyła choćby na to, że da jej nadzieję, a nie z niej obędzie.

Dawna Ania pobiegłaby teraz do tego Horsta, gdziekolwiek mieszkał i kimkolwiek był, napluła mu w twarz, rzuciła niewybrednymi słowami, licząc na to, że pójdzie mu w pięty. Coś by zrobiła, na pewno. Być może kogoś by na niego nasłała. Swoich braci? Oni nie wahaliby się ani chwili. Zawsze bronili słabszych. Ale jej braci przecież nie było.

– Dziarkowski był zwyczajnym cwaniakiem z grubym portfelem – ciągnął Gustaw. – Horst też ma gruby portfel, też jest cwaniakiem, ale u władzy. Trzyma się blisko Sturmbannführera Rothmanna i jest jego prawą ręką, taką od brudnej roboty.

– Czyli nie da się z nim nic zrobić?

– Obawiam się, że nie.

– A ma żonę? Rodzinę? Kogoś bliskiego?

– Syna, ale o ile mi wiadomo, chłopak jest gdzieś w głębi Rzeszy. Jeśli tak bardzo ci zależy na tej kobiecie, mogę znaleźć jej nowy kwaterunek.

Anna pokręciła głową.

– To niczego nie zmieni. Przecież inne kobiety tam zostaną. Tu nie chodzi o nie, lecz o niego. Jego trzeba, hmm... przenieść.

– Nie mam takiego prymatu.

– Więc może powinnam porozmawiać z Lottą? Ona zna tego Horsta. Albo lepiej, z Johannem Fenglerem! – W jej słowach słychać było narastającą ekscytację. – Jest mi bardzo przychylny. Tak! Bardzo przychylny!

– W żadnym wypadku! – uciął Gustaw. – Anno, czy ty siebie słyszysz?! Mówisz o wstawianiu się za Polakami! A mieszkamy w Rzeszy Niemieckiej. To nawet nie byłoby uznane za podejrzane czy dziwne, a za niedopuszczalne.

Anna zacisnęła wargi. Poniosła ją fantazja i z trudem, ale nawet sama przed sobą musiała to przyznać. Wzięła kilka głębokich oddechów.

– Po prostu nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie są tacy źli, tacy okrutni. Krzywdzą innych dla przyjemności. Dlaczego, Gustawie? Dlaczego?

– Tak jest i musimy się z tym pogodzić.

– Kiedy ja nie chcę!

– Ja też nie chcę. Nienawidzę przemocy, nienawidzę tej wojny, ale takie mamy czasy i nic na to nie poradzimy.

– Nieprawda. Możemy coś poradzić. Moja mama zawsze powtarzała, że to z drobnostek tworzą się rzeczy wielkie.

– Ale twojej mamy tu nie ma – odparł ponuro, od razu żałując swoich słów.

– Tak, to prawda. Nie ma jej tu fizycznie, ale zawsze będzie w moim sercu, a jej słowa w mojej głowie – dodała Ania ze złością i odwróciła się do męża plecami.

Stała przy szerokim parapecie okiennym i zaparła się o niego rękoma. Gustaw podszedł do niej i ją objął.

– Przepraszam. Nie chciałem, by to tak zabrzmiało. Gdyby istniał choć cień szansy na to, że mógłbym wpłynąć na Horsta albo jego przełożonego, by go przeniósł, zrobiłbym to. Dla ciebie. Ale wybacz, nie mam takiej władzy ani nie znam Horsta zbyt dobrze.

Anna nagle odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Musimy go zatem lepiej poznać.

## NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Gustaw nie chciał, by Anna poznała Horsta. I słusznie. Nikomu nie byłby w stanie zarekomendować znajomości z tak niebezpiecznym człowiekiem. Los jednak po raz kolejny z niego zadrwił i kiedy zjawili się w Zentralhalle<sup>[25]</sup> na premierze *Milady* z Michelle LaCour w roli głównej, pierwszym gościem, na którego się natknęli, był właśnie Horst. Przywitał się z nimi donośnym *Heil Hitler!*

– A więc to jest ta kobieta, która trzyma cię w ryzach i na piwo nie pozwala się wyrwać? – ironizował Horst, klepiąc Gustawa w ramię.

Anna obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. Był bardzo przystojny, wysoki i szczupły, ale nie chudy. Twarz miał pociągłą, o mocno zarysowanych kościach policzkowych, a brodę znaczyła głęboka bruzda wyróżniająca się na gładkiej twarzy. Idealnie przystrzyżone proste blond włosy zaczesał na prawo i ułożył brylantyną. A do tego ten ubiór! Perfekcyjny. Czarny garnitur z modną poszetką i śnieżnobiała koszula ze spinkami dodawały mu szyku. W klapę wpiął swastykę i to na niej Ania zawiesiła wzrok. Była bowiem inna od tych, które dotąd widywała. Inna od tej, którą nosił Gustaw. Nie wyglądała na masowy produkt, lecz na wyrób rzemieślniczy, i to całkiem udany.

– O, widzę, że potrafi pani dostrzec prawdziwe dzieło sztuki. – Jej zainteresowanie nie uszło uwadze Horsta. – To prezent od samego Reichsführera Heinricha Himmlera.

– Gratuluję – powiedziała Ania, a Gustaw dodał:

– To wielki zaszczyt.

– Wiem – stwierdził butnie Horst. – I oznacza jedno: że najważniejsi ludzie Rzeszy doceniają moje dokonania i na mnie liczą. A ja nie zamierzam ich zawieść.

– Nikt nie zamierza.

– Tak, tak. Ale, jak widać, w Stettinie tylko ja zasłużyłem sobie na srebrną odznakę.

Gustaw pokiwał głową, co miało wyrażać szacunek, choć Ania wiedziała, że nie było to szczere.

Horst przerażał ją pewnością siebie i porażającym spojrzeniem. W zasadzie on nawet nie patrzył, a wwiercał się w rozmówcę, jakby w oczach miał wbudowany wariograf. Widać było, że czuł się lepszy od Gustawa, bo nie bacząc na konwenanse, odciągnął go na bok i wyszeptał mu do ucha:

– Buźkę może ma ładną, ale dupy to ona ci nie da tak, jak powinna.

Twarz Gustawa stężała, ale tylko na chwilę. Wiedział, że Horst jest mistrzem prowokacji, i za nic w świecie nie chciał dać mu powodów do satysfakcji.

– Żarty się ciebie trzymają. – Poklepał mężczyznę po ramieniu w niemal przyjacielski sposób. – Lepiej wracaj do Rothmanna.

– Tak jest! – Horst zsalutował kpiarsko i podszedł do Anny.

Ujął jej dłoń i przyłgął do niej gorącymi wargami, a po chwili swawolnie spojrzał jej w oczy i uniósł brew, z miną, którą zapewne wykorzystywał podczas podrywu. W Ani ten wyraz twarzy budził jednak najgorsze odczucia. Z wielką radością trzasnęłaby go w twarz, parsknęła śmiechem. Nie zrobiła jednak niczego, bo wiedziała, że musi grać, szczególnie w obecności takiej osoby jak Horst.

– Jeśli życzyłaby pani spotkać się na osobności – wysyczał do jej ucha niczym wąż – na małą pogawędkę albo i dłuższą, jestem gotów. O każdej porze dnia i... nocy.

– Horst! – Gustaw zdecydowanym gestem wyjął dłoń żony z jego uścisku i odciągnął ją od Hauptsturmführera. – Nie przesadzasz?

– Ja? – rzucił zdumiony. – Ja, Guderian, nigdy nie przesadzam. Po prostu napomknąłem twojej żonce, że z chęcią i na dodatek ze szczegółami opowiem jej o tym, jak rozbiłem szajkę polaczków od diamentów, jak pokazałem im, że złodziejstwo w Rzeszy Niemieckiej nie uchodzi płazem. – Kła-



mał jak z nut. – Przecież wiem, że jest ciekawa, jak wszystkie kobiety, a znając ciebie, nie powiedziałaś jej zbyt wiele na ten temat.

– Zapewniam pana, że wiem wystarczająco dużo o brawurowej akcji Gestapo. – Tym razem to ona szelmowsko spojrzała na Horsta, po czym dodała zuchwale: – I tak jak wiele znanych mi kobiet, nie mam ochoty na więcej.

Anna rzeczywiście doskonale orientowała się w sprawie. Gustaw opowiedział jej o akcji, zanim w prasie pojawiły się pierwsze wzmianki o „gigantycznym sukcesie organów ścigania”. Doskonale pamiętała też, jak wspominał, że Horst bezzasadnie przypisywał sobie i swoim ludziom sukces, choć tak naprawdę powinien on znaleźć się na koncie tajnego agenta. Bez jego informacji Hauptsturmführer bowiem niczego by nie zdołał.

– A niech mnie! – Mężczyzna pokręcił głową. – Lubię panią coraz bardziej!

– Starczy, Horst! – Gustaw ostro zareagował.

Miał już dość Horstowych zagrywek.

– Zazdrosny, Guderian? – zakpił tamten.

– Tak. Mam o kogo. Swoją drogą, jestem zaskoczony, że się tu zjawileś. – Gustaw postanowił zmienić temat, by jak najszybciej pozbyć się Horsta. – Nie widziałem cię na liście. Takie wydarzenia cię ponoć nudzą.

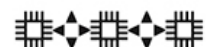
– I to cholernie! Płacić za to, żeby patrzeć, jak inni drą japy albo dukają jakieś idiotyczne teksty! Oczywiście, kiedy teksty są ku chwale Führera, to z przyjemnością wysłucham, ale od tych miłosnych bzdur rzygać się chce – sarknął. – No ale cóż. Służba nie wybiera, a dziś na służbie jestem. Interes Rzeszy przedkładam przecież nad własny. Ty też tu służbowo?

– Ja? – Gustaw się zmieszał. – Jak widzisz, jestem tu z żoną.

Na horyzoncie pojawiła się elegancka blondynka, przykuwając spojrzenie Horsta. Skłonił się lekko w jej kierunku, a ona w odpowiedzi skinęła głową. W jednej chwili mężczyzna się zmienił. Znowu był łowczym. Przesunął dłonią po włosach, poprawił krawat, wyciągnął się niczym struna. Pospiesznie pożegnał się z Guderianami, na odchodne rzucając: *Heil Hitler*.

Kiedy zniknął im z pola widzenia, Ania mocno złapała męża pod ramię i przez niemal zaciśnięte usta wysyczała:

- Okropny typ z niego. Okropny.
- Najgorszy – odpowiedział równie cicho.



Michelle LaCour błyszczała na scenie, szczególnie w partiach solowych, kiedy popisowała się swoim srebrzystym głosem, koloraturą i egzaltowaną gestykulacją. Sala była wypełniona po brzegi i całkowicie oczarowana talentem Michelle, więc kiedy ta kończyła śpiewać, Zentralhalle zalewało morze oklasków.

– Bravo! Bravo! Bravo! – grzmieli widzowie, przede wszystkim mężczyźni, którzy być może doceniali jej wokalny talent, ale seksapil chyba jeszcze bardziej.

*Summa summarum*, był on niezaprzeczalny, bo kiedy na pospektaklowym raucie pojawiła się, rzecz jasna mocno spóźniona, gwar na chwilę ucichł i w sali dał się słyszeć pomruk zachwytu. Suknia Michelle podkreślała jej wąską kibić, krągłe biodra i głęboki dekolt na plecach nieskalany nawet drobnym pieprzykiem. Do tego pachniała tak oszałamiająco, że nawet kobietom brakowało tchu. LaCour kochała być w centrum uwagi. Uwielbiała kusić, mamić i błyszczeć jak diament w towarzystwie, snując teatralne anegdotki.

Na raucie Anna z Gustawem zajęli miejsce w wielkiej łoży Johanna Fenglera i raczyli się austriackim ajerkoniakiem, firmowanym przez kuzyna samego Adolfa Hitlera. Toczyła się tam ożywiona dyskusja na temat aktualnej sytuacji na wojennym froncie – idealnie dla Ani, która łaknęła każdej informacji o wojnie. Czytała prasę od deski do deski. Znała propagandowe śpiewki, ale przekazy ustne zawsze traktowała poważniej. Nawet te o wojnie w dalekiej Finlandii, która była dla niej niemal egzotycznym krajem, wzbudzały jej ekscytację. Kiedy jednak podstarzały generał, zasłużony ponoć w trakcie niedawnej wojny, wspomniał o Sonderfahndungsbuch Polen<sup>[26]</sup>, zadrzała. Przecież cała jej rodzina znalazła się na tej piekielnej liście

proskrypcyjnej! Na liście, która sprawiła, że teraz po świecie chodziła tylko ona, a jej najbliżsi leżeli rozstrzelani w jakimś rowie. Wstrzymała oddech. Zamiast słów generała słyszała strzały, zamiast jego przeciągłego pomruku, kiedy wyrażał żal w kwestii długości listy – jego zdaniem zbyt krótkiej – krzyki straceńców.

Gustawowi wystarczyło krótkie spojrzenie, by dostrzec, że z Anią dzieje się coś złego. Mocno złapał ją za dłoń, a potem przysunął do ust i pocałował. Nie mógł zabrać jej z łóżka. Byłoby to nieuprzejme, wtrącił się więc do rozmowy:

– Szanowni panowie, są wśród nas damy, które takimi tematami zapewne nie są zainteresowane.

Dyskutanci spojrzeli po sobie, przebiegli wzrokiem po twarzach swoich towarzyszek i przyznali Gustawowi rację. Johann Fengler również, choć akurat jego małżonka, Magda, należała do tych najsilniej zaangażowanych w sprawę nazistowskich Niemiec.

Przeszli do rozmowy na bezpieczniejsze tematy i kiedy Fengler wspominał o *Milady*, w łóżku pojawiła się Michelle LaCour. Przywitała się uprzejmie krótkim i eterycznym *Heil Hitler!*

– Nasz Führer byłby dumny, gdyby usłyszał, z jaką gracją pani się wita – stwierdził podstarzały generał.

– *Herr General*, proszę zatem przedstawić naszą gwiazdę Führerowi – wtrącił kpiarsko siedzący naprzeciwko mężczyzna, którego generał, delikatnie rzecz ujmując, nie darzył sympatią. Z wzajemnością. – Tyle razy opowiadał pan o osobistych koneksjach. Czas dać temu dowód.

– Nikomu dowodu dawać nie muszę, a już na pewno nie panu, majorze.

– Panowie drodzy. – Na twarzy Michelle pojawił się przesłodzony uśmiech. – Pozwólcie, że sama zadbam o to, bym mogła ujrzeć najjaśniejsze oblicze naszego Oberster Richter des Deutschen Volkes<sup>[27]</sup>. Czynię już pewne starania – dodała ciszej, jakby zdradzała tajemnicę. – Tymczasem musi mi wystarczyć jego wizerunek, który zawsze noszę przy sobie. – Na dowód swych słów wydobyła spomiędzy piersi duży srebrny wisior.

Otworzyła go i okazała wnętrze, w którym rzeczywiście znajdowało się zdjęcie Führera. Generał zakłaskał, major zawtórował. Pozostali wstrzymali się od ekstatycznych gestów.

Michelle była w swoim żywiole. Śmiała się uroczo, niczym trzpiotka, choć i Anna, i Gustaw doskonale zdawali sobie sprawę, że to określenie kompletnie do niej nie pasowało. Byli pewni, że większość jej zachowań była doskonale przezeń wyreżyserowana.

– I jak się bawisz? – zagadnęła półszepem Anię, kiedy w łóży podjęto nudny temat nowych nasadzeń w Quistorp Park<sup>[28]</sup>.

– Dobrze, choć nie przepadam za takimi wydarzeniami.

– Niemożliwe! Instynkt nigdy mnie nie myli, a względem ciebie podpowiadał, żeś została stworzona do takich wielkich wydarzeń!

– Może kiedyś tak było. Teraz mam inne zainteresowania. – Spojrzała na Gustawa, który jednak nie pochwycił jej wzroku, bo zaangażował się w dyskusję nad platanami.

– No widzisz, Anno. Dlatego ja nie wyszłam za mąż – prychnęła cicho Michelle. – Mężczyźni egoistycznie marzą o tym, by kobietę zamknąć w czterech ścianach i mieć ją tylko dla siebie. I nie zawsze nawet ją zauważają.

– Gustaw taki nie jest.

– Aha! Czyli z własnej woli z rzadka chadzasz na spektakle, nie bywasz w restauracjach, o kawiarniach nie wspomnę. Zachowujesz się jak nieślubna córka naszego generała, którą ojciec trzyma zamkniętą w willi, z dala od wszystkich. Ponoć nieboraczka zjawia się tylko na niedzielnych mszach i raz w miesiącu w bibliotece.

– Nie wszyscy lubią wystawne, huczne życie – broniła się Anna, choć nie do końca udolnie.

Przecież i ona śniła o wielkich miastach, teatrach i koncertach w najznamienszych salach. O podróżach, odkrywaniu świata, poznawaniu ludzi. Wojna zmieniła jej plany, zdruzgotała marzenia. Ale nikt poza Gustawem

o tym nie wiedział i nikt nie mógłby nawet przypuszczać, bo nie wyczytałby tego z jej pogodnej twarzy.

– Poza tym mamy wojnę i należy zachowywać wstrzemięźliwość – wytoczyła argument, w który nawet nie wierzyła, a który na początku rozruchów wielokrotnie słyszała od fordońskich przekupek.

– Anno, właśnie dlatego, że mamy wojnę, nie należy zachowywać wstrzemięźliwości – odparła Michelle bez zastanowienia. – Bo niby po co? Przecież nie wiemy, gdzie i z kim spędzimy jutrzejszy dzień. Wojna to niepewność, z którą najwięksi tego świata nie są w stanie sobie poradzić. Zaraz pewnie powiesz, że przeżyłaś Rigę. A ja ci powiem, że każdy z nas przeżył swoją Rigę.

Anna zamilkła. Nie potrafiła znaleźć kontry dla słów Michelle. Tamta zaś, jak gdyby nigdy nic, wdała się w dyskusję z generałem o poziomie ostatnich walk bokserskich w Zentralhalle. Kiedy skończyła, ponownie zagadnęła Annę:

– To jak? Dasz się wyrwać z objęć tych mało rozrywkowych starców? – I nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do Guderiana: – Gustawie, pozwolisz, bym na chwilę zabrała od twego boku Annę i przedstawiła ją Pauli Wessely? To doprawdy znamienity i rzadki gość.

Gustaw skinął głową.

– Zaraz do was dołączę, tylko omówię tu jedną rzecz.



Zanim dotarły do łoża zajmowanej przez Paulę Wessely, natknęły się na Horsta. W ręce trzymał szklanę z bursztynowym trunkiem.

– A zatem kiedy mogę liczyć na odwiedziny, panno LaCour? – chciał wiedzieć.

– Przyznam, że mam bardzo napięty kalendarz i trudno będzie mi znaleźć wolną sobotę, Hauptsturmführer.

– A czy ja mówię o sobocie? Jestem do pani dyspozycji każdego dnia.

Horst patrzył na nią pazernym wzrokiem, niemal ją rozbierał. A ona tryumfowała. Widać było, że damsko-męskie gierki ją bawiły, przynosząc rozpierającą pierś satysfakcję. Choć ta z Horstem była też niebezpieczna.

Kobieta uniosła brodę i uśmiechnęła się, subtelnie rozchylając karminowe usta. Potem zbliżyła się do Horsta i spojrzała mu prosto w oczy, ale nie powiedziała ani słowa. Opuszką palca wskazującego musnęła jego ramię, a on drgnął. Rozpaliła jego zmysły do niemożliwych granic i... odeszła.

– Wiem, igram z diabłem, ale nie mogłam się powstrzymać – powiedziała do Anny, kiedy znalazły się już w bezpiecznej odległości od Horsta.

– Słyszałam o nim straszne rzeczy.

– I na pewno żadna z nich nie była przerysowana. Jeśli Horst by mnie zapytał, jak według mnie wygląda oblicze samego diabła, to kazałabym spojrzeć mu w lustro.

– Jest aż tak zły?

– Nie znam gorszego człowieka. I radzę ci, trzymaj się z dala od niego. A teraz chodźmy już do Pauli, muszę się z nią zaprzyjaźnić, a ty mi w tym, droga Anno, pomożesz.

– Ja?

– Tak, ty. Z tego, co wiem, Wessely jest cię bardzo ciekawa, a więc proszę cię o drobną przysługę.

Ania rozłożyła ręce.

– Nie bardzo rozumiem, jak mam to zrobić, ale oczywiście, spróbuję pomóc.

– Po prostu bądź miła i ładnie się uśmiechaj.

Ania była miła i ładnie się uśmiechała, jednak wcale nie musiała się do tego zmuszać, bo w loży Pauli Wessely panowała niemal rodzinna atmosfera. Następny kwadrans spędziły wobec tego w towarzystwie aktorki, doskonale się bawiąc pośród obyczajowych, nieco sprośnych żartów jej towarzysza. Po kolejnym toaście Paula szepnęła do LaCour:

– Gratuluję ci dzisiejszej roli, Michelle. Doskonale wypadłaś i aż mnie zazdrość bierze, że ja nie posiadałam takiego śpiewaczego talentu. – Mówiąc to, Wessely wydawała się szczerą.

– Masz za to inne cnoty.

– No tak, ale gdybym jeszcze potrafiła tak czarować śpiewem... – rozmarzyła się. – Byłabym aktorką kompletną...

Wessely nieoczekiwanie zamilkła. W progu łoży stał Horst. Nonszalancko opierał się o tapicerowane wezgiłowie, trzymając w ręku pustą już szklanekę, którą kołysał to w lewo, to w prawo.

– Kompletną...? A zatem mamy coś wspólnego, bo i ja czasami bywam kompletnym... Ale durniem! – rzucił niby żartem, nikt jednak się nie zaśmiał. Wszyscy, nawet Paula Wessely, wiedzieli, kim jest Horst. Poza jednym człowiekiem.

– A w jakim kontekście? – zagadnął paplający towarzysz, który najwyraźniej nigdy nie otarł się o legendę samego diabła.

– Co? – Horst zmarszczył nos i zmierzył mężczyznę wzrokiem. – Panie Reitman. – Jego ton był lekceważący. – Pan to w rzeczy samej ma prawo nie rozumieć, bo pan jesteś kompletnym durniem na co dzień.

– Wypraszam sobie!

Horst machnął ręką i w taki sposób spojrział na Reitmana, że ten spuścił wzrok. Hauptsturmführer w jednej sekundzie zmienił wyraz twarzy i z rozanieloną miną przebiegł wzrokiem po wpatrzonych w niego kobietach.

– Drogie panie – powiedział. – Wybaczcie Reitmanowi brak zdolności logicznego myślenia. Czasami i mnie ciężko uwierzyć, że niektórzy z nas, mężczyzn, mają we łbach papkę, a nie doskonale naoliwiony mózg. Mówiąc, że ze mnie kompletny dureń, miałem oczywiście na myśli to, że nie zjawiałem się wcześniej w waszej jakże przeuroczej łoży i nie poznałem pań lepiej. A chciałbym, wszechwiedzący Führer mi świadkiem, że chciałbym!

– To miło z pana strony – odezwała się Anna. – Podejmujemy tu jednak niezbyt ciekawe dla pana tematy. O ile pamiętam z naszej wcześniejszej rozmowy, nie interesuje pana teatr.

– Rzeczywiście, tak, tak. Gdyby jednak ktoś potrafił mnie zaciekawić tym, no, teatrem, to kto wie, czy nie wytrwałbym do końca...

– Ale po co się zmuszać do robienia czegoś, czego się nie lubi?

– Nie zawsze robimy rzeczy, które sprawiają nam przyjemność, szanowna pani. Niestety przekonuję się o tym każdego dnia, bo mam kontakt z idiotami i nieudacznikami. – Zerknął w stronę Reitmana. – Ale i każdego dnia dla równowagi robię coś przyjemnego. Przede wszystkim służę Rzeczy.

– A czym konkretnie się pan zajmuje? – zapytała Anna.

Zebrani zamarli. Mężczyzna popatrzył na nią przeciągle, aż poczuła się niezręcznie.

– Rozumiem, że pani nietutejsza, bo z Rigi, ale czyż mąż nie wtajemniczył pani w nasze zadania?

– Nie.

Horst zaśmiał się chrapliwie.

– I dobrze. Bo to tajemnica. A zatem i ja niczego pani nie powiem, poza tym, że powinna być pani dumna z mojej służby.

– Daj spokój, Horst. – Zza pleców mężczyzny wychynął Guderian. – Jak zawsze czarujesz kobiety tajemniczymi opowiastkami o naszej jakże nudnej pracy.

– Masz rację, Guderian. – Horst poklepał go po ramieniu. – Czasami to u nas jest faktycznie nudno. Rzekłbym nawet, że śmiertelnie.

Recht mężczyzny poniósł się po sali, a Ania pomyślała, że na pewno nie chce go bliżej poznawać. Wystarczyło, że już w snach towarzyszyły jej demony. Nie potrzebowała ich więcej w swoim życiu.



## NAJBARDZIEJ PAMIĘTNE ODWIEDZINY

Paula Wessely gościła w Stettinie kilka następnym dni, mieszkając w eklektycznej willi na skraju Neu Westend<sup>[29]</sup>, którą kilka lat wcześniej kupił berliński filantrop i udostępniał swoim ulubieńcom bez żadnych ograniczeń. Nie było tygodnia, by jakiś zagubiony artysta nie szukał w niej oddechu, uciechy czy weny twórczej. Niektórzy przyjeżdżali tu niczym do sanatorium, by podreperować zdrowie, przede wszystkim psychiczne.

Wessely zajęła całą willę, zawsze tak robiła. Nic dziwnego: była gwiazdą wielkiego formatu, więc nikt nie śmiałyby się sprzeciwić jej woli. Zawsze też wydawała przyjęcia w sali kominkowej, w której honorowe miejsce zajmował, wart ponoć niemałą fortunę, fortepian Bechsteina.

We wtorkowy wieczór zjechali się zaprzyjaźnieni artyści. Dzięki wpływom Michelle zaproszono także Annę, która – choć niechętnie – zjawiała się z Gustawem.

Kiedy przekroczyli próg willi, przywitał ich lokaj pod muszką i we fraku, z przyklejonym wąsikiem w stylu Hitlera. W tym entourage'u wyglądał dość ekscentrycznie. Ukłonił się nisko, zabrał płaszcz i ręką wskazał drzwi do salonu. Zasadniczo nie musiał tego robić. Bez problemu sami by trafili, bo dochodziły stamtąd gremialne śpiewy przy dźwiękach fortepianu.

– Na którą godzinę byliśmy zaproszeni? – zapytał Gustaw.

– Na pewno na siódmą. Może przyszli wcześniej?

– Artyści? Wcześniej? Niemożliwe.

Weszli do salonu i zrozumieli, że chyba jednak się spóźnili.

– Rzadko się zdarza, żeby ktoś zjawiał się po mnie. – Nagle u ich boku zmaterializowała się Michelle LaCour.

– Ale miało się zacząć o siódmej. Tak mi mówiłaś.

– O siódmej to miałam przyjść ja, ale dziś wyjątkowo zjawiłam się o czasie. Nie martwcie się. – Podeszła do Gustawa i wymusiła, by nadstawił jej ramię. – W artystycznym świecie spóźnia się każdy. To jedyny konwenans, jaki nas obowiązuje.

– Ale my nie jesteśmy artystami – zaproponował Gustaw. – Nigdy się nie spóźniamy.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – zaćwierkała Michelle, po czym wyczekała końca piosenki i odezwała się donośnie: – Uwaga, uwaga! Dla tych, którzy jeszcze nie znają moich serdecznych przyjaciół! Oto Anna i Gustaw Guderianowie. Nie są artystami, ale mają artystyczne dusze, czyli tak jakby trochę byli nami.

Rozweselone towarzystwo zarechotało, a Ania pożałowała, że jednak przyjęła zaproszenie. Kątem oka spojrzała na Gustawa i dostrzegła, jak zaciska szczęki. Po chwili jednak rechot ustał, a goście wrócili do śpiewania. Ktoś podszedł się przywitać, ktoś przyniósł kieliszki, a ktoś inny wskazał wolne fotele. Potem było tylko lepiej. Przyjęto ich z otwartością i ciekawością. I nikt nie pytał, czym się zajmują, a jedynie czego lubią słuchać, gdzie chodzą do kina i jakie spektakle w teatrze ostatnio widzieli.

– Hmm... jeśli ostatnio, to *Milady* – stwierdził Gustaw.

– A przedostatnio? – zapytał mocno wstawiony mężczyzna, którego twarz co chwilę ginęła w oparach dymu z cygara.

– To, co było przed *Milady*, się nie liczy.

– Uuu! Michelle! – zawył tak głośno, że i na korytarzu zostałyby usłyszane. LaCour podeszła do nich tanecznym krokiem. – Masz tu prawdziwego wielbiciela. Günter, tak?

– Gustaw.

Machnął ręką, a Michelle spojrzała na niego, oczekując wyjaśnień.

– Dla Güntera, znaczy Gustawa, liczy się tylko *Milady* i nic ponadto.

– A dla ciebie nie?

Mężczyzna zmieszał się, ale kiedy Michelle wybuchnęła śmiechem, od razu jej zawtórował.

– Z ciebie to jest kobieta, Michelle! Porrrwałbym cię w rramiona i uuuch!

– Mój drogi. – La Cour użyła nadzwyczaj pobłażliwego tonu. – Porwać to ja się mogę dać przystojnemu dwudziestolatkowi albo cholernie bogatemu trzydziestolatkowi. Względem dojrzałych pięćdziesięciolatków, nawet tych, którym przystojności i zasobności portfela nie można odmówić, mam zgoła inne zainteresowania.

– Czyli jakie? – Mężczyzna oblizał wargi. Był wyraźnie podekscytowany.

– Tylko towarzyskie, mój drogi. Tylko towarzyskie.



Gustaw wyjątkowo szybko dopasował się do towarzystwa. Co prawda nie śpiewał wraz z innymi ani nie tańczył, ale zebranej cyganerii imponował błyskotliwymi ripostami, politycznymi anegdotami i przede wszystkim mocną głową do alkoholu. Mógł bowiem wypić za dwóch, a może i trzech. Ania sądziła nawet, że wylewał gdzieś pod stół, i obserwowała go bacznie, czekając na taki lub inny szczywany ruch. Niczego takiego jednak nie dostrzegła.

– Panie Guderian – odezwał się błaznujący towarzysz Pauli Wessely, Reitman, którego poznali na sobotnim raucie. – Ja tak sobie na pana patrzę i myślę, że pan to by się na tajnego agenta nadawał. – Zachichotał, a inni mu zawtórowali. – Wszystko pan wie i wszystko widzi. A agentów nam teraz potrzeba.

– Dziękuję za komplement. – Gustaw skłonił się lekko. – Nie jest pan pierwszy, który czyni taką uwagę, więc być może kiedyś to rozważę i spróbuję swoich sił w tym fachu. Tymczasem pan ze swoim podwójnym życiem może się czuć bezpieczny.

– Co proszę? – Reitman wyraźnie się stropił. Rozejrzał się na prawo i lewo, nerwowo przyglądając włosy. – Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Ja nic nie mówię. Ja tylko jestem dobrym obserwatorem z predyspozycjami na agenta.



Zbliżała się północ, ale nikt jeszcze nie opuścił przyjęcia. Najbardziej pijani albo ślaniali się na nogach, albo drzemali na sofach obok kominka. Jeden aktor drugoplanowy kleił się do kobiet, szukając zdobyczy na upojną noc. Niektórzy, pod wpływem pervitinu, który rozsypany na tacach czekał na chętnych, tańczyli w narkotycznym zwidzie. Kilka osób zgromadziło się przy fortepianie, wysłuchując tęsknych melodii w różnych językach, śpiewanych przez Michelle, która wyraźnie miała do nich talent, a kilka kolejnych zadawało liczne pytania słynnemu okultyście Kurlanderowi, który choć mocno wstawiony, nie odmawiał opowieści o numerologii, horoskopach i czarnej magii. Gustaw, zupełnie nieprzejęty porą, prowadził ożywioną dyskusję z Paulą Wessely na temat bezrobocia w Trzeciej Rzeszy.

– Pójdę do łazienki – stwierdziła Ania, nie rozumiejąc fascynacji obojga tym tematem.

Jej zupełnie nie interesowały sprawy gospodarcze czy społeczne Trzeciej Rzeszy. Jedyne, co przykuwało jej uwagę, była wojna. Ale tu, w salonie zasnutym papierosowym i cygarowym dymem oraz oparami narkotyków, nikt o wojnie nawet nie wspominał. Jakby jej nie było, jakby wokół nie ginęli ludzie i nie rozgrywały się ludzkie dramaty.

W korytarzu od razu natknęła się na parkę w miłosnym splocie. Kiedy ich mijała, nawet na nią nie spojrzeli. A ona, zelektryzowana ich nagością, przyspieszonymi oddechami i cichymi pojękiwaniami, bezwstydnie wpatrywała się w ich pożądliwe ruchy.

Kiedy w końcu dotarła do łazienki, była rozpalona. Spojrzała w lustro. Na jej policzkach gorzały wypieki. Umyła twarz wodą, chłodną rękę przyłożyła do karku. Sięgnęła po kosmetyki, by poprawić makijaż, i wtedy usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Zajęte – powiedziała, ale pukanie nie ustępowało. – Zajęte! – powtórzyła głośniej, ale intruz nie odpuszczał. – Kto tam? – Stała bliżej drzwi, ale poza pukaniem niczego innego nie usłyszała. – Gustaw? Michelle? – Żadnych słów, tylko to natrętne pukanie.

Zaniepokoiła się. Z niewiadomego powodu przypomniała sobie scenę z domu Johanna Fenglera, kiedy uratowała Polkę z rąk Eberhardta. A co, jeśli jakiś naćpany aktorzyzna zaczął się na nią? Jeśli widział jej ekscytację kochankami z korytarza albo wziął jej miłe słowo lub spojrzenie za zachętę do intymnego zbliżenia i wystaje teraz przed drzwiami?

Pukanie nadal było ciche, jakby nieśmiałe, ale nie ustawało.

Anna rozejrzała się po łazience.

„Co robić? Co robić?” – pytania kłębiły się w jej głowie niczym cygarowy dym.

Pod wanną znalazła ozdobny porcelanowy nocnik. Był ciężki, a więc mógł być idealny do ogłuszenia intruza. Złapała go mocno jedną ręką, a drugą z impetem otworzyła drzwi, po czym... zamarła. Nocnik wypadł jej z rąk i roztrzaskał się w drobny mak, powodując okropny hałas. Ale nie to było ważne, nie to się liczyło, a duch, który stał przed nią.

Duch pospiesznie wszedł do środka, zamknął drzwi i złapał Anię za dłonie.

– Aniu, najdroższa! Najukochańsza siostrzyczko! – Polskie słowa grzmiały w uszach Anny niczym wypowiedane przez megafon, chociaż były szeptane. – To ja, twoja Jola!

Ania tępo wgapiła się w stojącą przed nią postać i kiedy tak patrzyła i słuchała szeleszczącego potoku słów wypowiedanych w najpiękniejszej mowie świata, dotarło do niej, że ktoś poznał jej sekret i ją sprawdza, testuje. że ten ktoś musiał w jej trunku rozpuścić pervitin, kilka pervitinów, aby stępić jej zmysły i zdobyć dowód na jej podwójną tożsamość. Anna wyrwała dłonie z uścisku kobiety o twarzy Joli i podeszła do umywalki. Odkręciła zimną wodę i obficie spryskała nią policzki i kark. Obejrzała się za siebie, ale kobieta nadal tam stała. I patrzyła na nią ciepłymi oczyma Joli. I uśmiechała się jak Jola.

– Wiem, że to dziwne – wyszeptana tamta. – Niemożliwe wręcz, ale to naprawdę ja, Jola.

– Nie rozumiem. – Ania odezwała się po niemiecku. – To jest prowokacja! Ja...! Ja...! Odejdź!

– Aniu, nie mamy zbyt wiele czasu. Muszę wracać do pracy. Służę u pani Wessely. Zobaczyłam cię, jak tylko się zjawiłaś. Patrzyłam na ciebie przez cały wieczór z zaplecza i czekałam na sposobność. Wcześniej zawsze byłaś w czymś towarzystwie, nigdy sama. Dopiero teraz.

Jola głośno przełknęła ślinę i zaczęła wyrzucać z siebie rwane słowa, które sprawiały, że z oczu Ani popłynęły łzy:

– Olek to mój mąż, a twój brat. Radek to twój drugi brat. Tata to Jan, a mama to Justyna. Mieszkaliście w Fordonie, przy Piłsudskiego. Pracowałam w Wiślanej u tego dusigrosza Wężyka, na którym wieszałaś psy, ale i którego skubałaś od czasu do czasu, bo zbierałaś na wyjazd do Warszawy. W tej Wiślanej się poznałyśmy. Przyjechałam po jedzenie, bo Wężyk mi przyobiecał, a ty dobrotliwie załatwiłaś szofera. Aniu... – Lodowatą dłonią otarła najpierw swoje, a potem Anine łzy. – To naprawdę ja.

Ania osunęła się na podłogę, a Jola natychmiast przy niej uklękła, złapała za ręce i ucałowała. Spozrzęła obrączkę i na chwilę zatrzymała na niej wzrok.

– Miałyśmy takie same sukienki, błękitne w białe szarotki. Na nodze masz szramę po bacie Dziarkowskiego, a ja... – Złapała Anię za rękę i położyła ją na swoim podbrzuszu. Uśmiechnęła się dobrotliwie, tak jak tylko ona umiała. – A ja... noszę dziecko Olka.

To były argumenty, na które Ania nie potrafiła wydusić niczego więcej poza:

– Boże, Jola!

Padły sobie w ramiona i zaczęły się tulić jak dzieci, jak siostrzyczki, które siłą zostały rozdzielone, a którym dobry los niespodziewanie dał drugą szansę. Płakały i śmiały się. Ocierały sobie nawzajem łzy i całowały się po dłoniach. Na moment obydwie zapomniały o otaczającym je świecie.

– Myślałam, że oszaleję. Tam, w Fordonie, kiedy patrzyłam na waszą śmierć – wyznała Ania, kiedy pierwsze oszołomienie minęło i siedziały na

podłódze, wtulone w siebie.

– A ja myślałam, że umarłam. Oczu nie mogłam otworzyć, niczego nie słyszałam i leżałam, myśląc, że tak właśnie jawi się śmierć. Że to ciemność i wielki smród. Bo... – Joli zaschło w gardle, tak szybko mówiła. – Bo obrzydliwie śmierdziało. I taka poddana czekałam na kostuchę, a kiedy poczułam, że coś mnie ciągnie, byłam pewna, że to ona przyszła. Pamiętam – uśmiechnęła się – jak pomyślałam, że chyba jednak nie byłam zbyt dobrym człowiekiem, bo piekło mi zapisali. W niebie przecież tak by nie śmierdziało.

– Tobie piekło? To by oznaczało, że w rajku wiałoby pustką.

Obie zaśmiały się przez łzy, które nawzajem ocierały sobie z policzków.

– Jak się po chwili okazało, to nie kostucha mnie ciągnęła, ale... – Jola położyła dłoń na klatce piersiowej i zaczęła głęboko oddychać, bo słowo, które tak bardzo pragnęła wypowiedzieć, nie chciało przejść jej przez gardło. – Radek.

– Radek? Jak to? Mój Radek?

Jola pokiwała głową.

– Ale...?

– Był ranny, niewładny na nogę, ale żyw. Pierwszy się wydostał, a potem czekał sposobności, by wydostać i nas. Nie wiedział, czy żyjemy, ale i tak nie odszedł. Mnie najpierw znalazł, choć niepodobna byłam do siebie. Poznał mnie po naszej szarotkowej sukience, bo po twarzy zaklejonej krwią i odchodami na pewno nie dałby rady. Zabrał mnie na skraj lasu.

– Ale ja... Ja nie wierzę...! Ty żyjesz! Radek żyje! Ty...! Mój brat...! – Chaotyczna struga słów wylewała się z ust Ani. – Jak to możliwe, Jolu?! Jak to możliwe?

– Radek mówił, że Bóg nas ocalił, że chciał, byśmy przetrwali tę jatkę, że miał na nas inny plan. Radek...

– Właśnie! – przerwała jej. – Co z nim? Gdzie on?

– Niestety nie wiem, gdzie teraz jest. – Jola wykrzywiła usta w grymasie. – Ale jak go ostatni raz widziałam... To jak na to, co nas spotkało, wyglądał

nie bardzo źle. Wierzę, że żyje.

Ania przetarła twarz dłońmi. Potem nie odzywała się przez chwilę, jakby bała się pytania, które chciała zadać.

– Czy ktoś z naszych... Czy ktoś jeszcze przetrwał?

Jola pokręciła głową.

– Jeśli pytasz o Olka czy twojego tatę, to nie, nie przeżyli.

– Jesteś pewna?

– Jestem. Nikt więcej nie ocalał. Kiedyś ci o tym opowiem. Ale nie dziś. I tak odeszłam od swoich obowiązków, a przecież mi nie wolno. Sprzątam u Wessely. Gdyby jej nadzorczyni mnie przyłapała...

– Ty sprzątasz, Jolu? Ty przecież nie możesz ciężko pracować! Wessely wie, że jesteś w ciąży?

– Nie wie. Nikt nie wie. I nikt nie może się dowiedzieć.

– Ale za chwilę będzie widać!

– Więc będę się tym martwiła za chwilę. Na razie o tym nie myślę. Staram się być spokojna, dla maluszka. On już się ze mną nadenerwował.

– Wyciągnę cię od Wessely. Zabiorę cię.

– Nie... Nie, Aniu. Nie zgadzam się. Nie wolno ci się narażać! – Jola potrząsnęła energicznie głową. – Bóg ma nas w swojej opiece i On wie, co robić. Nie chciał mojej śmierci wtedy, choć była pewnikiem, to i teraz pewnie nas uchroni od złego. Jesteśmy Mu do czegoś potrzebni.

– Boga nie ma, Jolu. Dobrotliwy Bóg nie poddałby nas takim próbom.

– Wolę myśleć inaczej – rzuciła Jola i wstała, a Ania zaraz za nią. – Tak się cieszę, że cię widzę. Że jesteś cała, zdrowa i... szczęśliwa. Bo jesteś, prawda? – Dotknęła jej obrączki. – Z nim.

Ania nagle przypomniała sobie, że choć kochała Jolę jak siostrę i w Fordonie uważała za najbliższą osobę na świecie, to nigdy nie wyjawiała jej swojego największego sekretu: nie powiedziała jej o Gustawie. Poczowała wstyd, a to dojmujące uczucie rozlało na jej policzkach rumieńce. Potem



usztyniła się, bo z całą przejrzystością dotarło do niej, że Jola widziała ją radosną, rozbawioną pośród Niemców – wrogów ich narodu.

– On, Gustaw... To nie tak, Jolu. To może tak wygląda, ale ja...

– Nic nie mów. Przecież nie pytam.

– Ale ja bym chciała, żebyś wiedziała, że Gustaw...

– Ja wiem o Gustawie.

– Ale jak to?

– Radek mi powiedział. Zdążył wszystko mi opowiedzieć. – Jola mocno ścisnęła dłoń Ani, a ona nagle padła na kolana, objęła ją rękoma, głowę wtuliła w łono.

Płakały, a ciche łzy były niczym najgłośniejsze słowa. Słowa miłości, szczęścia i wdzięczności za to, że mimo okrucieństw losu odnalazły się na obcej ziemi. Jola gładziła Anię po włosach, a Ania bez końca powtarzała: „Jolu kochana, kochana Jolu...”.

Nagle drzwi łazienki otworzyły się. Ania zerwała się na równe nogi, a Jola wręcz przeciwnie, siedziała jak skamieniała.

W drzwiach stała Michelle i patrzyła na kobiety z wielką ciekawością, a w jej oczach błyszczało coś dzikiego, niepokojącego.

– To... To nie tak. To... To... – Ania zaczęła się tłumaczyć.

– Za kogo ty mnie bierzesz, Anno? Ja nie mam nic przeciwko takim zabawom, ale lepiej, byście zamykały za sobą drzwi. – Uśmiechnęła się i wyszła.

Anna, naprędce pożegnawszy się z Jolą krótkim dotykiem oraz słowami: „Wyciągnę cię od Wessely”, wypadła za LaCour.

– Michelle! Poczekaj! – zawołała.

Aktorka zatrzymała się i obróciła w jej stronę.

– O, tu jesteś! A wszędzie cię szukałam – rzuciła lekko, jak gdyby nigdy nic.

Anna zmarszczyła brwi, nie dowierzając temu, co słyszy.

– Gustaw mnie prosił, bym cię znalazła – dodała Michelle – bo ponoć zniknęłaś pół godziny temu i martwił się o ciebie.

– Nie udawaj – powiedziała Anna. – Przecież wiem, co widziałaś.

– Doprawdy? – Michelle złapała Anię za dłoń i pociągnęła w stronę salonu, w którym dogorywało przyjęcie. – Niczego nie widziałam, moja droga. Zupełnie niczego.

## JEDNO ŻYCIE DO URATOWANIA

Od Pauli Wessely wychodzili w pośpiechu. Ania udała nagłą niedyspozycję, ale Gustaw wiedział, że chodziło o coś zgoła innego. Dostrzegł to w oczach żony, w jej niecierpliwych ruchach dłoni i rozbieganym wzroku. Nie pytał o szczegóły. Miał pewność, że Ania wyjawi mu wszystko, gdy będzie ku temu odpowiedni moment. Nadarzył się, kiedy przekroczyli próg mieszkania.

– Ona żyje! – szeptała Ania, z trudem powstrzymując emocje. – Jola Pietranek, moja Jola, ona żyje!

Gustawowi krótką, bardzo krótką chwilę zajęło przypomnienie sobie, kim była Jola Pietranek.

– Jak to żyje? Przecież sprawdzałem. Wszyscy z twojej rodziny byli na liście straconych. Cała czwórka. Ona również.

– Ale żyje! I Radek także.

– Radek? Twój brat?

– Tak! Przeżyli. Co prawda nie widziałam go, nie wiem, co się z nim dzieje. Ale widziałam Jolę, widziałam ją. Tam, w łazience, na przyjęciu. Kiedy poszłam. Jola, moja Jola – mówiła nieskładnie.

– Jesteś pewna?

– Na własne oczy ją widziałam, jak mogę nie być pewna?

– A może to nie była ona, może widziałaś ją ze zbyt dużej odległości.

– Boże, Gustawie! Ja ją dotykałam, myśmy rozmawiały... Tak jak kiedyś, jak dawniej... Jak siostry... Ona mnie wypatrzyła na przyjęciu i czekała, aż nadarzy się okazja. No i się nadarzyła, bo sama poszłam do łazienki. I ona do mnie przysła – trajkotała podekscytowana. – Gustawie! Ja nie mogę w to uwierzyć!

Mężczyzna utkwiał wzrok w wypolerowanym blacie stołu, w którym odbijało się światło z żyrandola. Wyraźnie próbował skupić myśli, choć nie było to łatwe, bo Ania wyrzucała z siebie słowa niczym karabin maszynowy.

– I musimy coś zrobić. Ty musisz coś zrobić. Coś, żeby wyciągnąć ją od Wessely. Bo ona jest w ciąży, nie straciła dziecka! – Gustaw podniósł wzrok. – Tak! Nie straciła go. Nosi w sobie dziecko mojego brata. Musimy ją uratować, bo jak się Wessely dowie, że Jola jest przy nadziei, to Bóg tylko raczy wiedzieć, co z nią zrobi.

Gustaw wstał, poszedł do korytarza i z wewnętrznej kieszeni zimowego płaszcza wyciągnął zapalniczkę i papierosy. Zapalił jednego.

– No powiedz coś! Co myślisz? Może trzeba ją wykraść i wywieźć? Jola naiwnie myśli, że wszystko się jakoś ułoży.

Gustaw milczał.

– Ale jak niby ma się ułożyć, skoro jest wojna i giną ludzie? – ciągnęła. – I teraz już wiemy, że nie ma nadziei, aby to się szybko skończyło.

Gustaw nadal nie powiedział ani słowa.

– Ty na pewno znasz jakieś miejsce, gdzie mogłaby spokojnie przeczekać do rozwiązania. Ja nawet myślałam, że może u nas, z nami... Ja bym tak bardzo chciała!

– Wykluczone – odparł bez zwłoki. – Nie ma takiej możliwości. Ukrywać robotnicę przymusową? Za to grozi śmierć: mnie, tobie, nam wszystkim.

– Za to, że mnie wywiozłeś z Fordonu, też groziła ci śmierć, ale nie wahałeś się ani chwili. I Jolę też chciałeś wywieźć. Miałeś dla niej dokumenty, Gustawie! Przecież tak było.

– To prawda, ale dziś sytuacja jest inna. Ona jest w innej sytuacji.

– Jest w takiej samej jak wtedy. W identycznej albo nawet gorszej. Ona jest w piątym miesiącu ciąży. Jeszcze tego nie widać, bo strasznie schudła i nosi się luźno, ale za moment nie będzie sposobu, by to ukryć. Co wtedy?

Pozwolisz, by skazano ją na śmierć? Pozwolisz, by odebrali jej dziecko, tak jak Lucynie Nadolnej?

– A jak niby mam ją zabrać od Wessely? Jak to sobie wyobrażasz? Że pójdę do Pauli i tak po prostu wezmę sobie jedną z jej służących albo, jak to ujęłaś, ją wykradnę?

– Jeśli trzeba będzie, sama to zrobię – oświadczyła Anna butnie. – I ucieknę z nią. Nie mogę pozwolić jej skrzywdzić. Ona cudem uniknęła śmierci i cudem nie straciła dziecka. To, że się odnalazłyśmy, to też jest cud. Nie wyobrażam sobie, bym teraz rozłożyła ręce i powiedziała, że nie dam rady niczego zrobić.

Ania wstała i podeszła do kredensu, by nalać sobie odrobinę bourbona. Natychmiast go wypiała.

– A gdybym poszła do Pauli i poprosiła ją o Jolę? Potrafię być przekonującą. Udałabym przed nią, że jestem w ciąży i że potrzebuję pomocy. Ona ma kilka służących, więc cóż jej po jednej? Na pewno by się zgodziła.

– Zabraniam ci do niej jechać! – Gustaw wybuchł, brzmiał niezwykle szorstko. – Nie wolno ci nawet myśleć o tym, że mogłabyś pojechać! Skoro tak bardzo ci na tym zależy, zostaw to mnie.

– Ale jak chcesz to zrobić?

– Zostaw to mnie – powtórzył dobitnie.

– A więc dobrze, zostawię. Wessely będzie w Stettinie jeszcze tylko przez dwa dni.

– Wiem. Mam się z nią jutro spotkać. Ale... To nie będzie takie łatwe. Nikt nie chce się pozbywać darmowej siły roboczej.

– A więc załatw jej kogoś w zamian. Przecież na co dzień tym się zajmujesz, prawda? Masz dostęp do robotników przymusowych! To twoja praca.

Gustaw pokręcił głową.

– A nie pomyślałaś, że jeśli to zrobię, rzuci to na mnie cień podejrzeń? Że działałam niezgodnie z prawem? Że coś kombinuję?

– Nie wydaje mi się! Ludzie cię poważają, a może nawet... boją się ciebie, a to oznacza, że masz nad nimi władzę. Gustawie... – Anna wzięła głę-

boki wdech, czując, jak cały drży z emocji. – Nie poprosiłabym cię o pomoc, gdybym знаła inne wyjście – powiedziała już znacznie spokojniej. – Wiem, że jesteś w stanie wyciągnąć Jolę i uratować nie jedno, a dwa życia.

Przez chwilę trwali w ciszy. Gustaw bił się z myślami, a Ania zastanawiała nad tym, jak przyjmie jej prośbę. Nieoczekiwanie przypomniała sobie o czymś.

– I... I jest jeszcze jedna sprawa. Tam, na przyjęciu, w łazience, kiedy ja i Jola... Wtedy zjawiała się... Michelle i... I ona...

– Co ona?

– Widziała mnie z Jolą. W objęciach.

– W jakich objęciach?

– Normalnych, siostrzanych.

Gustaw zmarszczył brwi.

– I Michelle myśli, że... – Ania podrapała się w skroń. – Ona myśli, że coś między nami się wydarzyło. Ale oczywiście nic się nie wydarzyło, to mogło po prostu tak wyglądać, jakby Jola i ja... Jakbyśmy...

– Hmm...

– Wiem. Przepraszam. Z tych emocji najwyraźniej nie zamknęłyśmy drzwi. Michelle powiedziała, żebym się nie obawiała, że ona zachowa to w sekrecie. Później nawet zachowywała się tak, jakby niczego nie widziała.

Ania spodziewała się, że Gustaw, gdy o tym usłyszy, bardzo się zdenerwuje, ale, ku jej zaskoczeniu, wyglądał na spokojnego. Jakby w ogóle nie obawiał się Michelle. Wstał i podszedł do barku.

– Idź spać. Ja dziś raczej nie zasnę. Muszę to wszystko przemyśleć.

## GROSS BORN

Gustaw wziął dwie tabletki pervitinu i poszedł do swojego gabinetu. Krążąc po nim, układał w głowie plan; zapalał światło i je gasił, jakby to pomagało mu w koncentracji. Plan... Najchętniej by go zapisał, ale tak ryzykowny projekt musiał zostać w jego głowie. By nie było po nim śladu.

Przez całą noc nie zmrużył oka.

Ania weszła do gabinetu kilka minut po szóstej.

– Wymyśliłeś coś?

– Miałem nadzieję, że zanim o to zapytasz, powiesz chociaż „dzień dobry”.

Pospiesznie podeszła do męża i pocałowała go w policzek.

– Wybacz, nie jestem sobą. W nocy śniłam o Joli i Radku. I to nie był lekki sen.

– Ja też miałem ciężką noc.

Był blady. Pod jego oczami rysowały się ciemne sińce. Włosy, zazwyczaj idealnie ułożone, sterczały na różne strony. Rozcierał kark, bo i jemu udzieliło się napięcie, które w ciele Ani drążyło już pokrętne korytarze, przyspieszało jej oddech i prowokowało do nerwowych ruchów, zupełnie do niej niepasujących.

– Mam plan.

– To znaczy?

– Usiądź.

Spełniła jego prośbę i spojrzała na niego wyczekująco.

– Powiemy, że jesteś w ciąży, że musisz leżeć i że potrzebujesz służącej. Jakoś załatwię z Wessely, by tą służącą została Jolanta. Zamieszka z nami do czasu porodu. Przed porodem wywieziemy ją, żeby w spokoju urodziła,

a wszystkim dookoła powiemy, że... – Zawahał się, po czym błyskawicznie dodał: – Że poroniłaś, a służąca wykorzystała moment twojej niedyspozycji i uciekła.

– Yyy... Yyy... – Ania nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

Gustaw bardzo ją zaskoczył.

– Wiem, że poronienie brzmi potwornie, ale według mnie takie kłamstwo to najrozsądniejsze rozwiązanie i... – zaczął tłumaczyć.

– Zgadzam się – przerwała mu. – Na wszystko się zgadzam. To dobry plan. Myślisz, że nam uwierzą?

– Jeśli Lotta uwierzy, to inni także.

– A więc rano do niej pójde.

– Wykluczone! Lotta musi pofatygować się do ciebie osobiście.

– Przecież to nie w jej stylu.

– Zobaczysz, że zjawi się tu jeszcze przed południem. – Gustaw był bardzo pewny siebie. – Tylko najpierw musi przyjść doktor.

– Właśnie! Doktor! Przecież ja nie jestem w ciąży. Jak to załatwimy?

– To akurat nie problem.

– Nie?

– Doktor Schulz zrobi, co mu każę. O to się nie martw.

Anna nabrała powietrza do płuc i zasłoniła usta dłonią, jakby bała się, że kiedy je wypuści, uleci z niej całe szczęście, cała nadzieja, która w tej chwili rozlewała się po jej ciele.

Zanim wyszedł z mieszkania, ustalili jeszcze kilka szczegółów, a Gustaw kazał Ani przysiąc, że wszystko, absolutnie wszystko zrobi podług jego planu, bez żadnych modyfikacji, na które nader często sobie pozwalała. A już na pewno bez szaleństw, do których chęć była wpisana w jej charakter. Przysięgła. Ba! Przysięgłaby mu wszystko, byle ratować Jolę. Obiecałaby i mariaż z diabłem, gdyby Gustaw tego zażądał. Drugi raz nie wybaczyłaby sobie bierności w obliczu dramatu ukochanej przyjaciółki.





Godzinę później w domu zjawił się doktor Schulz, który w Stettinie prowadził prywatną praktykę położniczą, a sławę zyskał dzięki współpracy z profesorem Siegfriedem Stephanem z renomowanej Landesfrauenklinik<sup>[30]</sup>. W całej Trzeciej Rzeszy głośno było o ich wspólnych sukcesach w prowadzeniu ciąży i leczeniu kobiecych przypadłości. Przyjeżdżały do nich kobiety z wielu stron państwa, z problemami zdrowotnymi, przy których inni medycy bezradnie rozkładali ręce.

Doktor zjawił się razem z Gustawem, a Anna, zgodnie z ustaleniami, nie wyszła go powitać. Zamknęła się w sypialni i nasłuchiwała.

– Wszystko załatwione – powiedział jej mąż, kiedy odprawił doktora.

Wskazał na leżący na kredensie kwit.

– Nie znam łaciny, ale rozumiem, że załatwiłeś, co trzeba.

– Oczywiście.

– A doktor nie pytał o szczegóły?

– Nigdy nie pyta.

Pytała za to Lotta, która wedle przypuszczeń Gustawa zjawiła się z wizytą jeszcze przed południem. Przyniosła naręczce białych róż i ofiarowała je Annie ze słowami, że to w nadziei na pozytywne rozwiązanie, po czym usiadła na skraju łóżka, w którym leżała Ania.

– Czyli że ten Schulz bez wykonania szpitalnych badań powziął decyzję, by cię zmusić do leżenia?

– Powiedział, że to klasyczny przypadek i że nie mam wyjścia, jeśli chcę podtrzymać ciążę. Badania zleci w międzyczasie – wymyśliła Anna na oczekaniu. Powiedziała to tak przekonująco, że Lotta tylko pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Skoro każe, to trzeba słuchać – stwierdziła – bo gdyby coś się stało, miałybyś Guderianowe dziecię na sumieniu. A dla Rzeszy Niemieckiej byłaby to niepowetowana strata. Nie ma większego dobra nad dziecko czystej aryjskiej krwi. A tu jeszcze tak wybitnej!

Anna przytaknęła.

– Z Gustawem myślimy tak samo. Dlatego jestem gotowa przeleżeć w łóżku choćby i całe miesiące.

Lotta poklepała Anię po dłoni.

– Możesz być wzorem dla niemieckich matek! A raczej już nim jesteś! Tak sobie myślę... Ten Schulz ma renomę. Przez kilkadziesiąt lat naodbierał się porodów. No i polecają go najważniejsze kobiety Rzeszy. Nawet sama Magda Goebbels!

– Gustaw nie oddałby mnie w przypadkowe ręce – odparła Anna z dumą.

– To oczywiste. A tak w ogóle czemuś ty mi o ciąży nie mówiła wcześniej? Co to za tajemnice? Rozumiem, że możesz je mieć przed Michelle, ale przede mną?

– Ja nie mam tajemnic, przed nikim. – Anna spojrzała Lotcie prosto w oczy. – Ja po prostu nie wiedziałam. Od kilku dni było mi słabo, miałam torsje, bolało mnie podbrzusze. A na tym przyjęciu nawet słodkości mnie obrzydzały, choć nigdy od nich nie stroniłam. Ciągnęło mnie za to do szpeku. To wszystko było dziwne i wraz z Gustawem uznaliśmy, że mogę być w ciąży.

– Hmm... Czyli to sam początek, tak? Na kiedy masz termin?

Zaskoczyła ją tym pytaniem. Nagle w głowie Anny zapanował mętlik. Jaką datę podać Lotcie? Jaką? Udała atak kaszlu, by odwrócić uwagę Niemki. Kaszlała i kaszlała, aż w końcu kaszel stał się chrapliwy, jak u staruszki z suchotami. Lotta pobladła.

– Dzwonię po doktora.

– Nie... Nie! Wody mi trzeba.

Bramen pospiesznie udała się do kuchni i wróciła ze szklanką wody. Ania wypila ją niemal duszkiem i opadła na posłanie.

– Lepiej, prawda? Lepiej? Nic nie boli? Nic ci się nie stało? – pytała Lotta z prawdziwą troską.

– Nie, ale chyba powinnam się zdrzemnąć.

Lotta ani drgnęła. Siedziała na skraju łóżka i wpatrywała się w Anię, pomrukując coś pod nosem. W końcu odezwała się:

– Tobie wyjazdu trzeba.

– Czego?

– Wyjazdu. Ty po prostu tyle przeżyłaś w tej Ridze, że teraz to się na tobie odbija. Tak, tak. Ja to widzę wyraźnie i znam takie przypadki, kiedy to ludzie bagatelizowali poważne przeżycia i potem źle się z nimi działo. I wcale nie myślę tu o żołnierzach, bo w ich sytuacji to raczej oczywiste, ale o takich ludziach jak ty czy ja. Rozumiesz... Czyjaś śmierć, rozwód, utrata majątku czy zaufania partii. Różne nieszczęścia chodzą po świecie i nie można ich lekceważyć. Hmm... Zaraz rozmówię się z Gustawem. – Lotta poklepała Annę po dłoni, a potem cmoknęła kilka razy w zamyśleniu. – Dla dobra dziecka musisz wyjechać gdzieś na prowincję, z dala od miejskiego zgiełku i od wojennych wieści. Od tych wszystkich przyjęć z wielkimi nazwiskami. W twoim stanie to ci może tylko zagrażać.

– Ale jak to mam... wyjechać?

– Ja wiem, że nie chcesz. Ja wiem, ja to rozumiem. Też bym nie chciała. Ale to nie ja jestem w ciąży, a ta ciąża jest teraz najważniejsza. Rzesza Niemiecka cię potrzebuje. Nad jezioro ci trzeba, w czyste lasy. W góry, do Schwarzwald, byłoby idealnie. Guderianowie mają tam wspaniałą willę, ale w twoim stanie tak daleko jechać nie możesz. Gustaw zresztą by nie pozwolił. Ja też. I tak sobie myślę, że Heinz... Heinz Guderian ma piękną posiadłość w Gross Born, tuż obok srebrnego Pielburger See<sup>[31]</sup>. Gościłam tam w zeszłym roku. Niby tylko przez kilka dni, ale wypoczęłam jak nigdy. Cisza i spokój. Tam pojedziesz, skarbie.

– Ale...

Lotta pokręciła głową.

– Żadnego „ale”. Gustaw bez problemu wszystko załatwi, a jak będzie trzeba, ja pomogę.



Gustaw wrócił do domu wczesnym popołudniem.

– Czy Lotta do ciebie dzwoniła? – zapytała Ania, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi.

– Nie, nie zdążyła. Natknęła się na mnie na ulicy. Dobrze, że wcześniej ty zadzwoniłaś i mnie uprzedziłaś. Jej pomysł z Gross Born jest świetny. Sam bym nie znalazł lepszego miejsca.

– Naprawdę? Ja byłam trochę przerażona jej ekscytacją. Nigdy nie słyszałam o Gross Born.

– Bo miejscowość kontroluje wojsko. W Stettinie raczej rzadko się o niej mówi. To trochę teren wojskowy, żołnierze szkolą się na poligonie, a ci, którzy ucierpieli, w wielkim lazarecie nabierają sił do walki. Myślę, że to idealne miejsce na kryjówkę. Pamiętasz, jak cię tu przywiozłem? Bałaś się naszych sąsiadek, a ja wtedy powiedziałem, że najciemniej zawsze pod latarnią. I tak przecież jest. Tu mogę ci zapewnić bezpieczeństwo. Tak samo będzie w Gross Born. Nikt na ciebie krzywo nie spojrzy. Nazywasz się Gu-derian, a tam to nazwisko ma ogromne poważanie.

– A cięża? Przecież...

– O nic się nie martw. Mówiłem ci, że doktor Schulz o wszystko zadba i o nic nie zapyta. Już to z nim nawet ustaliłem. Będzie milczał, bo ma u mnie dług.

– Jaki dług?

– Wolałbym ci o nim nie mówić.

– A ja wolałabym, abyś mi jednak powiedział. Nie uważasz, że powinienam mieć pojęcie na ten temat?

– Im mniej wiesz, tym lepiej.

– Nieprawda! Im mniej wiem, tym gorzej! Mam już dosyć twoich sekretów. Potrzebuję prawdy. Rozumiem, że wszystko robisz po to, by mnie chronić, ale ochrona przez niewiedzę nie jest dla mnie dobra. Jest nic niewarta. I... I ja chcę znać prawdę, muszę! – zawołała Anna ze wzburzeniem w głosie. – I to nie tylko ze względu na siebie, ale przede wszystkim ze względu na Jolę. Bo tu chodzi też o jej życie i o życie dziecka.

Gustaw podszedł do okna i zamknął je, a potem usiadł przy stole.

– Uparta ty moja...

– Uparta. To prawda. Wiedziałaś, jaka jestem.

Spojrzał na nią, a kącik jego ust drgnął.

– Z Schulzem, w tym jego niepozornym domu – mówił bardzo spokojnie i cicho – żyje Polka, lekarka. Doktor poznał ją na kilka tygodni przed wybuchem wojny. Zakochali się w sobie bez pamięci. Mieszkała w Polsce, w Krotoszynie, teraz niebezpiecznym miejscu. Pomogłem mu ją ściągnąć do Stettina.

– Ona też ma teraz niemieckie dokumenty?

– Nie. Doktor Schulz nigdy mnie o to nie poprosił, a sam nie mógłbym tego zaoferować. Sprawilem zamiast tego, że formalnie stała się jego służącą. Nieformalnie zaś żyją ze sobą. To dobrzy ludzie. Może kiedyś ich poznasz.

## POSŁANIEC

Było późno, kiedy Gustaw wrócił od Wessely z torcikiem szwarcwaldzkim i bukietem białych margerytek przewiązanych szeroką czerwoną wstążką. Położył wszystko na kredensie i spojrzał na żonę.

– Załatwione.

– Ale jak? Naprawdę? Załatwiłeś przeniesienie Joli?

– Tak. Wessely się zgodziła.

– Tak po prostu?

– Nie, nie tak po prostu – rzucił zniecierpliwiony, przypomniawszy sobie oczekiwania Wessely względem pięciu nowych służących, na które zgodziła się „wymienić” Jolę Pietranek. Po chwili już znacznie łagodniej dodał:

– Ale przystała na propozycję. A tego chyba chciałaś, prawda?

Rzuciła się Gustawowi na szyję i pocałowała go w usta.

– Dziękuję! Dziękuję, kochany! To coś wielkiego, niezwykłego! Niesamowitego!

Spojrzała mu prosto w oczy i dopiero teraz spostrzegła, jak dziwnie wyglądał. Był rozpalony, z jego skroni spływały krople potu. Zupełnie jakby przebiegł dłuższy dystans albo jakby trawiła go gorączka.

– Jesteś chory?

– Ostatnio za mało sypiam. Muszę odpocząć. – Spojrzał na kredens. – To od Pauli. Kiedy jej powiedziałem o ciąży, od razu posłała lokaja po sprawunki.

– To miło z jej strony. A kiedy Jola do nas przyjedzie?

– Nie przyjedzie tu, tylko od razu do Gross Born. Razem z Wessely.

– Jak to? Więc Paula też się zjawi?

– Wessely zażyczyła sobie gościny. Zostanie kilka dni. O ile dobrze zrozumiałem, zna się z generałową i chce się udać do niej w odwiedziny.

– Przyjedzie z całą swoją... świtą?

– Tak powiedziała, ale nie martw się. Zmieścimy się. Willa stryja jest ogromna, a my mamy ją na wyłączność.



Rzeczywiście willa była ogromna. Przestronna, wytworna, z szerokim balkonem, piniowym lasem wchodzącym do ogrodu z jednej strony i widokiem na rozległe jezioro z drugiej. Wyposażona w eleganckie meble i sprzęty, o jakich mogła marzyć każda pani domu.

– Jest niezwykła! – stwierdziła Ania, rozglądając się po wnętrzu.

– Stryj Heinz słynie z doskonałego smaku – odparł Gustaw, zgodnie z prawdą.

Gross Born również spodobało się Ani. Było małe, otoczone lasami. Domy znajdowały się w sporych odległościach od siebie, co uważała za wielki atut, bo przecież nie przyjechała tu, by zawierać przyjaźnie, ale by od nich stronić. Patrząc przez okno w kierunku skutego lodem jeziora, wyobraziła sobie ten sam krajobraz późną wiosną, gdy wszystko pokrywa bujna zieleń, i w myślach przyznała, że musiało tu być uroczo.

Kiedy Wessely nie zjawiła się o wyznaczonej porze, Ania wpadła w popłoch. Była cała w nerwach.

– A jeśli w ogóle nie przyjedzie?

– Przyjedzie. Umowa to umowa.

Czekali do wieczora, aż Gustaw zaczął dzwonić do nieznanych Annie osób i wypytywał o Wessely. Brzmiał zasadniczo, jakby wydawał komendy, a nie kurtuazyjnie i z troską pytał o zaginionego gościa.

– Wyjechała ze Stettina. To potwierdzone – oznajmił. – Pewnie, jak to się często zdarza artystom, spóźni się. Może gdzieś się zatrzymała?

– Oby tylko dojechała. Z Jolą.

– Dojedzie.

Był jednak w błędzie, bo Wessely się nie pojawiła.

Zamiast niej do Gross Born zawitał ktoś inny, całkowicie nieoczekiwany.

– Nie dzwoniłam, bo chciałam wam zrobić niespodziankę. – W drzwiach willi, w ekstrawaganckim białym płaszczu i etoli ze srebrnych lisów, przemykała się Michelle LaCour. Kilka kroków za nią, w wyświechtanej wełnianej narzutce, stała Jola.

Ania, widząc Jolę, rozpogodziła się. Szybko podeszła do Michelle i uściśnęła ją. Zrobiła to jednak tylko po to, by ukradkiem zerknąć na wyczekiwaną przyjaciółkę i choć w ten symboliczny sposób się z nią przywitać.

– Sprawiaś nam nie lada niespodziankę – powiedziała do Michelle, starając się o szczery uśmiech.

– Wessely dostała pilny telefon z Berlina i musiała jechać – wyjaśniła Michelle. – Ale dała mi samochód z szoferem i poprosiła, bym dopełniła za nią obowiązków oraz przeprosiła was za jej nieobecność. Nie mogłam odmówić! Po pierwsze dlatego, że to Wessely mnie poprosiła, a po drugie, ja po prostu uwielbiam się z wami spotykać. – Michelle pogładziła Anię po ramionach. – Doskonale wyglądasz. Nie oczekiwałam, że mnie przywitasz. Przecież doktor nakazał ci leżenie.

– Klimat miejsca służy Annie. Tu czuje się znacznie lepiej – wymyślił naprędce Gustaw.

– To dobrze! To bardzo dobrze! Różnie mówią o Gross Born. Że głośno przez ten poligon, że ciężkie pojazdy wojskowe niszczą krajobraz, ale co do jednego wszyscy są zgodni. Tu ludzie podreperowują zdrowie, bo klimat jest ponoć wyjątkowy.

Kiedy Gustaw poszedł po bagaże, LaCour nachyliła się w stronę Anny i szepnęła:

– Przywiozłam ją. Tylko proszę cię, bądź grzeczna. – Uniosła brwi. – I nie zapominaj, że masz męża.

– Daj spokój, Michelle. To nie tak, jak myślisz.

– Ja nic nie myślę – szepnęła beztrosko Michelle i zrzuciwszy płaszcz prosto na posadzkę, weszła do środka, po czym rozejrzała się uważnie. –



Bajecznie! Fiu, fiu! Guderianowie to jednak mają klasę i rozmach!



Choć zbliżała się północ, Michelle przyzwyczajona do nocnego trybu życia ani myślała kłaść się spać. Przy butelce koniaku opowiadała o austriackich akrobatkach, których poznała niedawno w Stettinie. Rozpływała się nad ich, jak to określała, nadzwyczajną elastycznością pozornie nieelastycznych części ciała. Potem rozprawiała o nowym kontrabasiście, a na końcu o samej Wessely, w której łaski próbowała się wkraść, a także o komendancie, który mieszkał w sąsiedztwie posesji stryja Gustawa, a którego zamierzała odwiedzić.

– Michelle, ciebie to można słuchać bez końca! Niestety mój stan nie pozwala na takie nocne swawole. Przepraszam, muszę się położyć – powiedziała w pewnym momencie Anna.

– Ależ oczywiście, moja droga. Wierzę jednak, że Gustaw dotrzyma mi towarzystwa. Nowe miejsca zawsze dostarczają mi mnóstwa energii i jakoś nie potrafię nawet myśleć o śnie.

– Oczywiście – odparł uprzejmie Gustaw, dolewając Michelle koniaku. – W nowych miejscach i ja nie sypiam dobrze.



Ania weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi, ale nie przekręciła klucza. Byłoby nielogiczne, gdyby zamykała się przed ukochanym mężem.

Jola czekała na nią w pokoju, który znajdował się za ścianą, a od którego dzieliły ją tylko jedne drzwi. Nie zapaliła światła i po ciemku podeszła do skrzydła. Zapukała, a kiedy drzwi się otwarły i stanęła w nich Jola, padły sobie w ramiona i trwały tak długą, bardzo długą chwilę, szepcząc najczulsze siostrzane słowa, pozwalając sobie na łzy i dotyk szczęścia.

W końcu Ania spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

– Już nic ci nie grozi. Gustaw wszystko załatwił. Lekarza też. Jesteś bezpieczna aż do porodu.

– Każdego dnia jestem bezpieczna, Aniu. – Spokój, z jakim Jola to powiedziała, był niezwykły. – Olek nade mną czuwa. Ja to wiem. Inaczej by mnie tu nie było.

Ania mocno ją uścisnęła, a następnie wypytała o samopoczucie i o dziecko.

– Mogę? – spytała, wskazując na brzusek.

– Pewnie. Jesteś ciocią, masz swoje prawa.

Zaśmiały się cichutko. Ania przyłożyła dłonie i poczuła lekką wypukłość.

– Rośnie jak na drożdżach.

– Robię, co mogę, choć wiem, że Malutka powinna być już większa.

– Teraz niczego ci nie zabraknie.

– I tak nie narzekam. U pani Wessely nie było źle.

Anna spojrzała na nią uważnie.

– Czekaj, powiedziałaś... Malutka? Skąd wiesz, że to ona?

– Przyśniła mi się. Dawno temu, jeszcze... Jeszcze w Fordonie.

Wzięły się za ręce.

– Mam ci tyle do powiedzenia. Jak tylko Michelle wyjedzie, zaczniemy żyć normalnie, ale jeszcze przez chwilę musimy zachować pozory.

– Wiem. Tej kobiecie nie można ufać.

– Dlaczego? Przecież widziała nas, a nikomu niczego nie powiedziała. W pewnym sensie ona jest moją przyjaciółką, choć... nie powiedziałabym jej o sobie wszystkiego.

– Czyli nie jest twoją przyjaciółką. Poza tym pytała mnie o Fordon.

Na dźwięk tego słowa Ania znieruchomiała.

– Jak to? Dlaczego?

– Pewnie wyczytała to z moich dokumentów. Kiedy zostałam złapana, musiałam naprędce wymyślić miejsce urodzenia i podałam Fordon.

Ania prychnęła.

– Uff... Już myślałam, że to jakaś agentka.

– Wiem tyle, że jest wścibska i lubi zadawać pytania. Czułam się jak na egzaminie. Wypytywała mnie o Wessely. O jej zwyczaje, upodobania, nawet te seksualne, o adoratorów i o to, jak się uczy ról. Na żadne z pytań chyba nie odpowiedziałam satysfakcjonująco, bo nie wyglądała na zadowoloną.

– Znam ją krótko, ale już zdążyłam się przekonać, że kiedy ma jakiś cel, nie zważa na koszty, tylko dąży do niego konsekwentnie. Dla niej nie ma rzeczy niemożliwych. Michelle chce rozwinąć skrzydła w aktorstwie i stąd te wszystkie pytania. Próbuje zdobyć informacje, które mogłyby jej w tym pomóc. A teraz akurat chce się wkraść w łaski Wessely.

– Być może tak właśnie jest. Mimo to uważałabym na nią.

## HERBATKA U KOMENDANTA

Następne dwa dni spędzili wraz z Michelle. Rozmawiali, słuchali muzyki, odbyli przejażdżkę po Gross Born, a wieczorami grali w karty przy rozpalonym kominku. Widać było, że Michelle usycha z nudów. Nie przywykła do tak spokojnego życia. Głodna rautów i towarzyskich spotkań, przyjęła zaproszenie na herbatkę do komendanta i... zaskakująco szybko z niej wróciła.

– I jak było? – zapytała Ania.

LaCour stała w salonie, oparta o krzesło. Miała na sobie obcisłą sukienkę w kolorze dojrzałych malin. Nie zakładała jej z byle okazji, bo zaliczała ją do najelegantszych kusiołek, jakie nosiła wówczas, gdy chciała zrobić na kimś wrażenie. Uśmiechnęła się do Gustawa, który z gazetą na kolanach siedział tuż obok Ani, okrytej grubym kocem.

– Bardzo miło.

– Nie wydaje mi się.

Michelle zrobiła zdziwioną minę.

– Trochę już cię znam – wyjaśniła Ania – i kiedy mówisz, że było bardzo miło, oznacza to jedno: nie było tak, jakbyś sobie tego życzyła.

LaCour roześmiała się i pogroziła Ani palcem.

– Czy ty mnie poddajesz jakimś analizom?

– A czy nie tak postępuje się względem przyjaciół?

Michelle rozpromieniła się, a Ania poczuła satysfakcję, że udało jej się ją zaskoczyć. Gustaw z zadowoleniem spojrział na żonę. Uwielbiał jej intryganckiego bakcyła.

– Czyli mówisz, że dużo o mnie myślisz? – zapytała Michelle, sadowiąc się na krześle.

- Aha.
- I że mi się przyglądasz?
- Siłą rzeczy. Jest na co popatrzeć.
- Chyba nie wszyscy tak uważają.

Ania zrozumiała, że podczas popołudniowej herbaty u komendanta Michelle nie otrzymała zbyt wiele uwagi ani komplementów. Najwyraźniej nie zrobiła na rodzinie Thofernów szczególnego wrażenia. Nikogo nie powaliła na kolana swoją kreacją ani makijażem. Nikt nie rozpląwał się nad jej talentem ani nie piał z zachwytu, że oto artystka z wielkiego miasta odwiedziła jego progi. Zapewne to był powód jej szybkiego powrotu.

– Ci, którzy tak nie myślą, najwidoczniej mają wypaczony gust – powiedziała Ania wbrew temu, co kołatało się po jej głowie. – Nie znam piękniejszej kobiety od ciebie. Ani bardziej utalentowanej.

Gustaw nie drgnął, choć Michelle odrobinę na to liczyła. Ale i tak jej twarz rozpromienił uśmiech. Była przecież próżna!

– Szczerze? U Thofernów naprawdę było bardzo miło. To ogromnie sympatyczni ludzie. Nie mogę narzekać. Ale to po prostu nie mój świat. Ja lubię głośną muzykę, śpiewy i cóż... Przystojnych mężczyzn. A tu była pyszna herbata, słodkie pomarańcze i świeże ciasto, którego jednak nie tknęłam, bo muszę dbać o talię przed występami w przyszłym tygodniu. Był nawet piękny widok na jezioro, piękniejszy niż wy macie tutaj, ale nic poza tym.

– Mnie wystarczy to, co jest.

– Wiem. I dlatego uważam, że będzie ci tu bardzo dobrze. Odpoczniesz i doskonale przygotujesz się do roli matki. Ja jednak jutro stąd uciekam, mimo interesującego zaproszenia od generała na przyjęcie w Offizierheimie<sup>[32]</sup>.

– Już? Przecież mówiłaś, że zostaniesz jeszcze kilka dni.

– Chyba wykorzystam okazję i zabiorę się z adiutantem generała, bo traf chciał, że akurat jedzie do Stettina.

– Nie, nie jedź jeszcze. Mogłybyśmy posnuć się po domu, posłuchać radia, pograć w karty, w szachy. Poczytać... Ach, tyle możliwości!

Ania uznała, że zrobi wszystko, by zniechęcić Michelle do pozostania w Gross Born, przede wszystkim ze względu na Jolę.

– Wiem, Anno, wiem, ale cóż, chyba rzuciłam słowa na wiatr. Zupełnie wypadło mi z głowy, że pojutrze mam przymiarke strojów do nowego spektaklu. – Kłamała jak z nut. Ania wiedziała, że nie szykował się żaden nowy spektakl. – No i mam też spotkanie w sprawie tego koncertu w Haus Pohnath. – Kolejne kłamstwo. – Poza tym stęskniłam się za naszym pięknym, głośnym Stettinem!

To akurat była prawda.

– Bardzo żałuję, ale rozumiem – stwierdziła Ania smutnym tonem.

– Na szczęście mam pomysł, jak cię rozweselić. – Michelle uśmiechnęła się tajemniczo i poszła po torebkę. – Uwiecznimy nasze spotkanie na kliszy. Mam aparat fotograficzny.

– Aparat? – Gustaw, do tej pory jakby nieobecny, nagle się ożywił. – Do czego potrzebny ci aparat?

– Uczciwie przyznam, że to zbytek, choć całkiem użyteczny. – Michelle puściła oko do Anny. – Dostałam od adoratora, więc cóż! Przyjęłam ten drobny podarek.

– Gdyby był drobny, znajdowałby się w torebce każdej kobiety.

– Och, Gustawie. Zdziwiłbyś się nie raz i nie dwa, gdybyś zobaczył, co takiego skrywają damskie torebki.

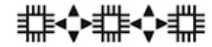
Kiedy rozbawieni siedzieli w salonie, Jola podała ciasto i świeżą kawę.

– Będzie wam tu słodko – stwierdziła Michelle, strząsając kruszonkę z ciasta, na które skusiła się wyjątkowo, bo jak stwierdziła, nadmierna ilość masła i cukru nie idzie w parze z ponętą talią.

– Kiedy nas znów odwiedzisz, na pewno jeszcze słodziej. Bo przyjedziesz, prawda?

– Jeśli tylko obowiązki pozwolą, przyjadę. – Asekuracyjna odpowiedź dawała Ani niemal pewność, że noga Michelle nie postanie już w Gross Born.

W duchu wiwatowała.



Michelle opuściła rezydencję skoro świt. Nie zdążyła nawet wypić porannej kawy, bez której, jak mawiała, nigdy nie zaczynała dnia.

– Ależ jej było spieszno – skwitował Gustaw.

– Też mnie to dziwi. Michelle nie jest rannym ptaszkiem, nigdy się nie spieszy, a tu? Nawet minuty nie była spóźniona. Ale... – Ania machnęła ręką i zbliżyła się do męża, a ten objął ją ramieniem. – W końcu jesteśmy sami i przed nikim nie musimy udawać.

– No nie wiem. Mamy zaproszenie od generałowej na herbatkę.

– To przeproś ją ode mnie i powiedz, że źle się czuję.

– Już to zrobiłem. – Uśmiechnął się zawadiacko, a Ania nieoczekiwanie zapragnęła go pocałować.

Stanęła na palcach, zarzuciła mu ramiona na szyję i cmoknęła w usta.

– Tak krótko mnie znasz, a już tak dobrze.

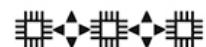
– A całe życie przed nami.

Złapał ją w pasie i uniósł. Jej twarz znajdowała się teraz tuż nad jego. Zakręcił się wokół własnej osi z Anną w ramionach. Zachichotała, a potem pogładziła jego szorstkie włosy i cicho wyszeptała najmagiczniejsze zaklęcie:

– Kocham cię.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo stęsknił się za tym wyznaniem. Jak bardzo go potrzebował. Pocałował żonę, a kiedy poczuł wilgoć jej ust na swoich, zapragnął jej całym sobą. Ba! W myślach już zdarł z niej ubranie i zatopił się w jej drobnym biuście, a potem na chwilę zatrzymał przy wklęsłym, jakże idealnym pępku. Uwielbiał go, bo był zwiastunem raj. Nie strażnikiem, a zwiastunem, gdyż Ania nigdy nie odepchnęła jego ust, nigdy nie odciągnęła jego dłoni, kiedy już do niego docierał. Zaczynała wtedy swoisty taniec biodrami, który Gustaw traktował jako przyzwolenie do spełnienia.

Nie przestając jej całować, przeniósł żonę do sypialni i położył na łóżku, a potem zaczął rozbierać, ale nie tak szybko jak w myślach, tylko powoli, zmysłowo i w sposób, który potęgował jej doznania. Ania cicho jęczała i co chwilę przyciągała do siebie jego usta. Całowali się, pieścili i kochali. Po raz pierwszy w Gross Born.



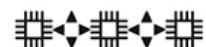
Leżeli wtuleni w siebie, a przedpołudniowe światło przedzierało się przez sypialniane kotary. Gustaw wsparł się na ramieniu i obrzucił żonę spojrzeniem.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, z jaką kiedykolwiek byłem.
- Wiem – odparła z szelmowskim uśmiechem.
- I najbardziej zadufaną w sobie – dodał żartobliwie.
- Gdybym taka nie była, nie zwróciłbyś na mnie uwagi. Nie wgąbiałbyś się w mój zgrabny tyłeczek, kiedy paradowałam z tacą po Wiślanej.

Westchnął.

– Tak, tak, tak. Jestem niemożliwa, ale... – Błyskawicznie znalazła się tuż nad nim. Spoważniała. – Kocham cię też niemożliwie. I tak sobie myślę... Tak kocha się tylko raz, a nie każdy ma szansę tego razu spróbować. Ja mam. Marzyłam o takim mężczyźnie jak ty, przy którym nigdy nie zaznałabym nudy i jednocześnie czuła się tak bezpieczna, jakbym prowadziła najnudniejsze życie ze wszystkich.

Gustaw patrzył na ukochaną twarz swojej Ani i czuł rozpierającą dumę. Była tak młoda, a tak dojrzała. Rozumiała więcej niż niejedna matrona, kobieta u schyłku długiego życia. A ona przecież w to życie dopiero wkraçała, łakomie pożerając je wszystkimi zmysłami. Była zadziorna, ale i pokorna. Uczyła się szybko, z łatwością obłaskawiała innych, w towarzystwie odnajdywała się bez trudu. Niepokoiło go tylko jedno. Anna potrafiła patrzeć i widzieć więcej niż inni. A on przecież miał sporo do ukrycia.





Kiedy wyszli z sypialni, poczuli przyjemny aromat kawy i drożdżowego ciasta. Udali się do kuchni, gdzie krzątała się Jola. Gustaw podszedł do niej i wyciągnął dłoń.

– Nie było wcześniej okazji. Gustaw Guderian – przedstawił się.

– Jolanta... – zawahała się. – Jolanta Łabędź. Przepraszam, ale tyłoma nazwiskami się posługiwałam, że czasami wszystko mi się miesza.

– To zrozumiałe. Teraz nie musisz już nikogo udawać. Tu będziesz bezpieczna aż do porodu.

– Dziękuję.

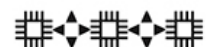
– Nie mnie dziękuj, tylko mojej żonie.

Ania chciała zaoponować. Bo cóż takiego ona zrobiła? Powiedziała jedynie Gustawowi o Joli. Wskazała kobietę, którą on, narażając siebie, miał uratować. Jeśli komuś należałoby dziękować, to tylko jemu. Uratował ją, a potem w tajemniczy sposób wyciągnął od Wessely. To nie mogło być ani łatwe, ani oczywiste, a jednak dokonał tego. I teraz obie były bezpieczne pod niemieckim dachem, choć płynęła w nich czysto polska krew. Cóż za ironia!

– Obojgu wam dziękuję i nigdy wam tego nie zapomnę – mówiła Jola. – Nie mogłabym zapomnieć, bo to, co robicie... Nie każdy by się na to zdobył.

Gustaw nigdy nie potrafił przyjmować takich słów, o czym Ania doskonale wiedziała, dlatego szybko zmieniła temat.

– W ramach podziękii przyjmujemy po dużym kawałku ciasta. Pachnie zniewalająco. I po filiżance bawarki.



To było bardzo przyjemne przedpołudnie. Jola mówiła mało, bo przez te kilka miesięcy odwykła. Deprymowała ją też obecność Gustawa, fakt wspólnego siedzenia przy stole i to, że jej niemiecki nie był tak płynny jak Ani. Na ile potrafiła, odpowiadała na pytania, ale przede wszystkim wsłuchiwała się w potok słów, jaki wypływał z ust przyjaciółki, która jakby wy-

czuwając jej nieśmiałość, mówiła za dwie, śmiała się za dwie i... jadła też za dwie.

Jola nie była głodna. Już dawno nauczyła się panować nad łaknieniem i nawet teraz, kiedy mogła i miała co jeść, dzióbała drożdżowca niczym wróbel. I to nie taki pękaty i dumnie kolebiący się na boki, lecz taki, co to w stadzie nie ma siły przebiccia i zawsze łapie najgorsze kąski.

Siedząc przy dużym drewnianym stole, poczuła się trochę jak w domu, w Bydgoszczy, w kamienicy przy ulicy Gdańskiej. Tam też mieli wielki stół. Jej prywatny, w Jaruzynie, nie był ani wielki, ani wystawny. Ale był jej. Na samą myśl o Jaruzynie dotknęła podbrzusza, spojrzała na nie i uśmiechnęła się.

„Będzie dobrze, Malutka. Będzie dobrze”.

Przymknęła powieki. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się wolna. Ależ to było przyjemne uczucie! Kiedy jesteś wolny, nie doceniasz tego, że możesz iść drogą, którą sam wybierasz, z towarzyszem, którego lubisz albo chociaż szanujesz, w butach, na jakie akurat masz ochotę. Możesz jeść drożdżowca, pić kawę i uśmiechać się do woli, gadać, co ci ślina na język przyniesie, albo milczeć, jeśli nie masz ochoty na rozmowę. Możesz robić wszystko i nie musisz się bać. A ona wiedziała, co to strach. Choć starała się go nie okazywać, a nawet wmawiała sobie i innym, że czuje się bezpiecznie, że Olek roztacza nad nią opiekę, to gdzieś pod skórą niepokój drążył w niej szerokie kanały i trwale ją dręczył. U boku najlepszej przyjaciółki mogła odetchnąć, ale wiedziała, że minie jeszcze sporo czasu, nim na dobre uwolni się od lęku.



Zima w Gross Born była malowniczo śnieżna. Świerki z gałęziami okrytymi ciężkimi białymi czapami, pola pod puszystą pierzynką i lustro zamarniętego jeziora tworzyły romantyczny krajobraz. Gdyby nie wystrzały z pobliskiego poligonu, terkot silników wojskowych samochodów i grupy przemieszczających się żołnierzy Wehrmachtu, można by uznać to małe leśne miasteczko za wymarzone na sielski odpoczynek.

Wczesnym popołudniem Gustaw zabrał Anię na krótką przejażdżkę. Pragnął ją też zapoznać z kimś z Offizierheimu, ale odmówiła. Nie chciała nawet wysiadać z samochodu, choć kusiło ją, by zobaczyć od środka legendarny budynek, w którym mieściła się sala na tysiąc osób, a który już z zewnątrz robił piorunujące wrażenie.

– Chcę zostać anonimowa tak długo, jak się da – wytłumaczyła, a on skinął głową.

Anna zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później i tak wszyscy się o niej dowiedzą. Reprezentacyjna willa Guderiana przy Kommandantenstrasse<sup>[33]</sup> przykuwała ludzkie spojrzenia, a jej goście zawsze byli na językach mieszkańców. Anna wolała jednak odwlec ten moment, bo czuła, że odcinając się od miasteczkowego życia, skuteczniej ochroni Jolę.

– Nie obawiaj się o nią. – Gustaw wyczuł jej intencje. – Tu jej nic nie grozi. Nikt się nie zorientuje, że jest w ciąży. Dobrze się maskuje, poza tym jest bardzo szczupła. I pamiętaj, że służącym nikt się nie przygląda. Dumnemu Aryjczykowi los Polki jest obojętny jak los polnej myszy.

– Po raz kolejny będę żyła w paszczy lwa.

– I właśnie dlatego jestem o ciebie spokojny. Poza tym adiutant komendanta będzie miał na ciebie oko.

– Wiesz, że wcale tego nie chcę. Sama dam sobie radę.

– Wiem, ale ja nie potrafię inaczej. Muszę mieć stuprocentową pewność, że jesteś bezpieczna.

– Że jesteśmy bezpieczne – poprawiła go.

– Że jesteś bezpieczna – powtórzył. – Bo to ty jesteś dla mnie najważniejsza, a Jolantę chronię tylko dlatego, że tobie na niej zależy.

## NAJPIĘKNIEJSZE, NAJLEPSZE, WSPÓLNE

Po obiedzie Gustaw odebrał telefon i choć zamierzał zostać w Gross Born jeszcze jeden dzień, opuszczał miasto w pośpiechu. Anna poczuła niepokój.

- Co się stało, Gustawie?
- Obowiązki. Muszę wracać.
- Naprawdę? Nikt nie może cię zastąpić? Przecież wziąłeś urlop.
- To naprawdę paląca sprawa.

Gustaw pocałował żonę w policzek i poszedł do sypialni spakować swoje rzeczy, a po kwadransie był już gotowy do drogi.

- Gdybym nie wiedziała, że pracujesz w urzędzie, pomyślałabym, że jesteś mundurowym. Wszystko wykonujesz z zegarkiem w ręku.
- Przyjadę w sobotę – odpowiedział, nie podejmując tematu. – Ale codziennie będę dzwonił. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, dzwoń do mnie lub do adiutanta. Numery zostawiłem na stoliku.

Pożegnali się szybko, ale serdecznie, a potem Ania i Jola zostały same. Zjadły po kawałku ciasta i z herbatą miętową w dłoniach wtuliły się w siebie na kanapie. Ania sięgnęła po duży koc i szczelnie się nim okryły. Było im ciepło i przyjemnie. Idealnie. Wspominały sielskie chwile w Fordonie. Wspólne spacerunki po promenadzie, obiady w rodzinnym domu, sierotki po rodzicach, którzy utonęli w Wiśle, kłótnie z Wężykiem. Te ostatnie nawet je rozbawiły, bo i sam Wężyk z tą swoją wybrylantynowaną fryzurą często był przedmiotem ich drwin.

- Nigdy nie zapomnę, jak złamał sobie nogę i czekaliśmy na doktora Naborowa. No i ja chciałam się wprawić, a on zaczął marudzić, że jego stara mnie zaszlachtuje, jak mu krzywdę zrobię. Ja sobie myślę, że ona toby mi

flaszkę samogonu postawiła, bo sknerowatego męża miała po dziurki w nosie.

– Aż tak dobrze nie zdążyłam jej poznać. – Jola się roześmiała. – Ale nie wiem, czy po nim ktokolwiek by płakał.

– Po Dziarkowskich to na pewno nikt. Antka bym gołymi rękoma uduśiła. Parszywiec jeden. A ja go za przyjaciela miałam! I ten jego ojciec...

– Nawet o nich nie wspominaj. I ja, choć daleka jestem od samosądów, wzięłabym widły i zrobiła z nich użytek.

– To byłybyśmy dwie.

– Obstawiam, że bez problemu zebraloby się nas z tuzin – zachichotała Jola.

– Samych kobiet, a co dopiero mężczyzn. Przecież on niejednemu załazł za skórę. Wielu by nam pomogło.

– Dokładnie.

– Radek i Olek pierwsi... – Urwała, bo wystraszyła się własnych słów.

Jola pogładziła ją po dłoni.

– Olek by nam pomógł. To pewne – dokończyła spokojnie. – Nie bój się mówić o zmarłych. Dopóki są w naszych sercach, na naszych ustach, dopóty pamięć o nich nie umrze.

– Wiem, ale ja nie mogę się pogodzić z tym, że Olek... No wiesz. I że ja tu...

– Tego akurat nie możemy w żaden sposób zmienić. Jedyne, co nam zostaje, to pamięć i dbanie o to, by ostatnia jego cząsteczka, która jest we mnie, przetrwała. To będzie dziewczynka, ja to czuję i... Postanowiłam, że nazwę ją po tacie. Ola. Aleksandra.

– Olek byłby szczęśliwy.

– Prawda. – Jola rozmarzyła się. – Nie wierzę w przypadki. Nie wierzę w to, że pojawiłam się w Jaruzynie bez powodu, że akurat Radek z Olkiem przyjechali naprawiać dach i że Olek mnie wypatrzył, choć wyglądałam wtedy nietęgo, bo pranie na tarze robiłam i za dziećmiakami, tymi sierotkami, ganiałam.

Ania chłoneła tę opowieść, choć znała ją na pamięć.

– Olek spodobał mi się od pierwszego wejrzenia, ale ja nie przyjechałam do Jaruzyna za mężem, więc niczyich zalotów nie oczekiwałam. Ale stało się, jak się stało. I zyskałam wspaniałego towarzysza i... najlepszego przyjaciela, który oddał za mnie życie.

Po ciele Ani przebiegł zimny dreszcz. Słowa Joli zrobiły na niej wrażenie.

– Przy Olku wszystko było możliwe. Jak coś sobie w głowie wymodził, to szybko to realizował. Pamiętasz rower, który zorganizował, kiedy nie miałam czym jeździć? Albo tablicę do szkoły? Do dzisiaj nie wiem, skąd ją wziął.

– Od pana Medzega, z cegielni – wtrąciła Ania.

– Potrzeba było szyb, a on wiedział, że w dworku Rosenthalów jeszcze były. Dzieci musiały jechać do doktora, a on załatwił transport. Wszystko przy nim było możliwe. Nie uwierzyłam mu tylko raz, kiedy szliśmy już w te rowy, na egzekucję, a on powiedział, że mam się nie bać. Że zrobi tak, że nic mi się nie stanie. I zrobił. I zrobił...

Anna poczuła pod powiekami łzy.

– Jolu, jeśli możesz... Opowiedz mi, co się wtedy stało... Ja to widziałam z daleka. Z Warzechą się ukryliśmy, a raczej to on mnie ukrył, bo ja za siebie wtedy nie ręczyłam i może bym do was pognała, ale on mnie trzymał. Słyszałam strzały, widziałam, jak padacie na ziemię. Te krzyki... Wołanie o pomoc...

Jola umościła się pod kocem, spojrzała na wpatrzoną w nią Anię i mruknęła.

– Pamiętam każdą sekundę z ostatnich chwil z Olkiem. Każdą – mówiąc to, przymknęła oczy, jakby pod powiekami przywoływała obrazy. – Wbrew okrucieństwu, które się wydarzyło, doświadczyłam cudu. Kiedy weszłam do stodoły, kiedy stanęłam obok niego, wiedziałam, że dobrze zrobiłam. Że podjęłam najlepszą decyzję w swoim życiu. On był taki słaby, odrętwiały, a kiedy mnie zobaczył, jakby odżył, jakby nabrał nowych sił. Dodać sił

ukochanemu w chwili, gdy życie się kończy, jest czymś, czego nie da się wycenić. Pamiętam błysk w jego oczach, kiedy powiedziałam mu o dziecku, o... – zaśmiała się – ...o Oli. I wzruszenie, kiedy przyłożyłam jego dłoń do brzucha. Mój twardy Olek był wtedy bliski płaczu. Jak teraz myślę o tamtej chwili... Tumult, rozpacz ludzi, pokrzykiwania volksdeut-schów, a ja i on jakbyśmy byli tam sami, jakby Bóg dał nam kilkanaście se-kund, byśmy zdążyli się zapamiętać na wieczność. – Na chwilę zamilkła. Ania mocno ją przytuliła, a Jola oparła głowę na jej ramieniu. – Ksiądz Po-lichnowski dał nam ślub.

– Co?! – Anna wybałuszyła oczy.

– Mówię o Olku mąż, a o sobie Jola Łabędź nie z własnego wymysłu, ale z mocy ślubu kościelnego.

– Jolu, Joleczko, Joluniu... Czemu wcześniej nie mówiłaś?

– Nie było sposobności.

– A wiesz, Olek często powtarzał, że on żony nie chce, że mu dobrze sa-memu. A kiedy ciebie poznał, zmienił się i już nie naśmiewał z kolegów, którym do żeniaczki było spieszno albo którzy już w stanie małżeńskim od kilku lat byli i dorobili się gromadki dzieci.

– Wiem. Sam mi o tym wiele razy mówił. „Głupi byłem, i tyle”, powta-rzał. Nawet wtedy, kiedy zaganiali nas do rowów, też powiedział o sobie, że głupi. „Głupi byłem, że cię częściej na rękach nie nosił” – powiedziała w Olkowym stylu.

– A potem? Co było potem? Jeśli możesz... Opowiedz...

– Ja wiele nie widziałam, bo szłam przed Olkiem. Za Olkiem zaś Radek. I kiedy stanęliśmy... Kiedy zatrzymaliśmy się obok tych, którzy przed nami... Tych, którzy już tam leżeli... Wtedy Olek, mój Oleczek, on wiedział, że z tego nie wyjdzie żyw. On wiedział, że jego rany są zbyt głębokie, tak myślę. I jakoś tak nas ścieśnił, że swoim ciałem w całości mnie przesłonił i po trosze Radka. Huk był ogłuszający. Kula świsnęła mi przy uchu i stra-ciłam przytomność. A kiedy się ocknęłam, poczułam, że Olek mnie jeszcze sobą przycisnął, na niego też ktoś padł. Cudem było to, że się nie udusiłam

pod ich ciałami. Radka przesłonił ojciec. Tak mi potem powiedział. A później... Później Radek mnie wyciągnął. To tyle.

Jola była poruszona. Udawała spokój, ale głos jej drżał, usta pobladły i wyschły, a dłonie stały się całkiem zimne. Musiała wstać, by uspokoić emocje. Poszła do łazienki, zostawiając Anię z wyrzutami sumienia. Kiedy wróciła, na stoliku stał imbryk ze świeżo zaparzoną herbatą.

– Melisa – oznajmiła Ania. – Choć nie jest tak dobra jak ta z twojego ogrodu...

– Cieszę się, że pamiętałaś.

– Nieraz się zastanawiałam, co na twoim poletku robiła melisa marokańska.

– Tego to pewnie i sam święty Pankracy nie wie. – Jola zachichotała.

– Pewnie nie. On zresztą na fordońską ziemię przymykał oko, bo u nas takie dziwy rosły, że niejeden drapał się w głowę, skąd się to wzięło.

– Pamiętam te wysokie malwy z kwiatami w kolorze chabrów.

– A fioletowe tulipany od Szusterowej? Chwaliła się nimi w całym mieście. Poza nim pewnie także.

W ich rozmowę nieoczekiwanie wdarła się sztywność, jakby czegoś się bały i jakby wcale nie były sobie prawie siostrami pośrodku wojennej zawieruchy, tylko zwykłymi sąsiadkami dbającymi o konwenanse i o to, by jedna przed drugą dobrze wypadła. Przez chwilę jeszcze wspominały fordońską codzienność, a potem Jola zupełnie odmienionym tonem dokończyła opowieść o Radkowym ratunku.

– Radek zaniósł mnie na skraj lasu i tam ocucił. Nie pozwolił szlochać. „Łzy zostaw na potem, teraz bądź czujna”, tak powiedział. I byłam, bo zostałam sama. On wrócił po ciała. Chciał zdążyć przed świtem. Najpierw przyciągnął księdza Polichnowskiego, potem twojego tatę i na końcu, jak już ledwo kojarzył, mojego Oleczka. Wtedy, jak go zobaczyłam, rozszlochałam się, ale nie krzyczałam, nie... Jakby mi głosu zabrakło. Padłam przy nim, zaczęłam całować jego zakrwawioną twarz i podziurawione ciało.



Boże drogi, ile on miał w sobie ołowiu. Ile on tego w sobie zatrzymał! Wszystko po to, by mnie uratować. I naszą córeczkę.

Pochowaliśmy ich w zagłębieniu za krzakiem jaśminu i oznaczyliśmy to miejsce trzema kamieniami. Odmówiłam modlitwę i poszliśmy stamtąd. Radek zdążył mi jeszcze powiedzieć o tobie i Gustawie, i o tym, że to właśnie Gustaw szykował dla nas wszystkich ratunek. Ruszyliśmy w drogę do jakiegoś umówionego miejsca. Traf chciał, że nigdzie nie dotarliśmy, bo przy kolejnym kwartale natknęliśmy się na patrol i musieliśmy uciekać. Byłam szybsza, to zrozumiałe, bo przecież bez ran, a on poharatany i wykończony. Puściłam się przed siebie bez opamiętania, zupełnie nie wiedząc dokąd. Kiedy zorientowałam się, że zgubiłam pogoń i że Radka nie było za mną, wróciłam tą samą drogą. Nigdzie go jednak nie znalazłam. Śladów walki ani ciała też nie. Na szczęście. Wierzę, że z nim wszystko dobrze. Coś mi mówi, że tak właśnie jest.

Po tym wszystkim przez dwa dni błąkałam się po okolicy. Jadłam co bądź, spałam mało. Potem postanowiłam iść do Bydgoszczy, do domu rodziców. Wiedziałam, że w Fordonie i Jaruzynie nie mam czego szukać. Dotarłam prawie do naszej kamienicy i widziałam już okna swojego pokoju, kiedy natknęłam się na łapankę. Zabrali mnie do takiej wielkiej hali. Znowu myślałam, że to koniec. Że znowu zawiozą mnie na rozwałkę. Nie było ze mną Olka. Nie było nikogo, kto tym razem by mnie uratował. Ale okazało się, że wsadzili mnie do wagonu bydłowego. Nie wiem, ile nas było w środku, na pewno za dużo. Z początku ludzie się buntowali, planowali pisać jakieś petycje, krzyczeli i się odgrażali. Bo my w tym wagonie jechaliśmy niczym tuczniaki na ubój. Długa to była droga, bez postojów. Z czasem nawet najgłośniejsi umilkli, bo śmierć przyszła. Wielu umarło, a ja znowu miałam szczęście. Stałam przy drewnianej ścianie i ze szczelin między deskami dopływało do mnie chłodne, ale świeże powietrze, a ono było cenniejsze od złota. Zatrzymaliśmy się przed Berlinem. Drzwi wagonu otworzyły się, a ze środka wprost na Niemców wylał się smród. Strasznie nas wtedy wyzywali, od najgorszych. A co myśmy mogli...?

W końcu rozkazali wysiadać. Niektórzy rzeczywiście wysiedli, inni wypadali bez życia. Niemcy kazali nam po nich deptać. Pamiętam, jak się śmiali i krzyczeli: „Świński most, świński most”. A to był most z ludzkich ciał, z nas, tych, co z nami jechali. Nie szło przejść obok nich, więc i ja po nich deptałam. I to było potworne uczucie. Te łamiące się pod stopami kości, uginające się mięśnie. Tylko raz spojrzałam pod nogi. Zobaczyłam wtedy twarz jakiegoś mężczyzny, zdeformowaną. Nie zapomnę tego widoku do końca swoich dni. – Westchnęła i upiła łyk herbaty. – Potem zaczęła się selekcja. Ktoś mówił, że nas rozstrzelają, ktoś inny, że skierują do obozów pracy. Okazało się, że ustawiono nas w rzędach, według jakiegoś podłego systemu, i kazano czekać na coś, na kogoś. To czekanie było straszne, bo ludzi ogarniał strach. Niektórzy szeptali coś do siebie, pierś wypinali, rozcierali poliki, poprawiali ubranie. Ja patrzyłam i odgapiałam. I dobrze. Bo po chwili zaczął się targ.

– Targ?

– Bez warzyw i owoców, bez sera i mleka. Targ z ludźmi. Podchodzili do nas jacyś Niemcy i nam się przyglądali. Niektórzy sprawdzali mięśnie, dłonie, jeden nawet w zęby zaglądał. Potem ci Niemcy wypisywali kwity i brali tych, których uważali za przydatnych. Najpierw znikali mężczyźni, ci silniejsi, więksi, ze spracowanymi rękoma. Potem reszta. Mnie i kilka innych kobiet zabrał taki starszy, elegancki człowiek. Dziewczyny panikowały, że do burdelu. I ja się początkowo wystraszyłam, ale potem pomyślałam, że Olek nade mną czuwa i nie pozwoliłby na coś takiego. W rzeczy samej, nie pozwolił. Trafiliśmy do rezydencji pani Wessely. I naprawdę tam nie było źle. Czasami fantazjowałam, że jeszcze kiedyś spotkam ciebie, Radka, rodziców. Że razem siądziemy przy stole i będziemy pić kawę. Rozmawiać w spokoju, śmiać się. Że jeszcze dane nam będą wspólne chwile. Ludzie nie raz mi mówili, żebym zapomniała o marzeniach. Nie słuchałam ich i zobacz... Jesteśmy razem.

– Jesteśmy. I już tak zostanie.

– Tego nie wiemy, ale możemy marzyć. W ciężkich czasach marzenia wydają się jedynie ułudą, ale to one pomagają przetrwać.

## WYCZEKIWANIE

Ania nigdy nie była dobra w czekaniu. Mama mówiła o niej, że jest niecierpliwa, Radek, że porywcza, Jola – że szalona. A prawda była taka, że Anna lubiła, kiedy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik i zgodnie z jej planem. Kiedy więc Gustaw mówił, że zadzwoni we wtorek o dwunastej i przez pięć minut po umówionej godzinie się nie odzywał, sama do niego dzwoniła.

– Guderian, słucham? – zaczynał zawsze w ten sam sposób.

Służbowo i bez podawania stanowiska.

– To miło, że słuchasz.

– Miałaś nie dzwonić.

– Miałaś zadzwonić.

– Sprawy służbowe mnie wstrzymały.

– Ale odebrać telefon to jakoś mogłeś?

– Skoro już dzwonił...

Rozmowy telefoniczne inicjowane przez Anię zawsze wyglądały podobnie i kończyły się śmiechem obojga. Te ich słowne przepychanki... Lubili je.

Kiedy Ania rozmawiała z Gustawem przez telefon, Jola patrzyła na nią z nutą zazdrości. Ileż by dała za taką rozmowę z Olkiem! Co prawda rozmawiała z nim – w myślach – czasami nawet chichrała, ale tęskniła za jego głosem, dotykiem, za spontanicznymi przekleństwami, które od czasu do czasu, mimo że się przy niej hamował, wymykały mu się z ust.

– Bardzo go kochasz, prawda? – zapytała Anię, a ta pokiwała głową.

– Tak sobie myślę... Jest dla mnie zbyt dobry.

– Daj spokój. Mężczyzna musi taki być.

– Czasami mi się wydaje, że to jego zachowanie jest nierealne, że tacy mężczyźni nie istnieją, a on tylko odgrywa jakąś rolę.

– Po co miałyby to robić? Po prostu jest w tobie zakochany. A jeśli będziesz go w tym stanie zakochania utrzymywać, to za bardzo się nie zmieni.

– Staram się. I o to, by się mną nie znudził, także. Spacer, kino, teatr, z rzadka rauty. Gustaw woli jednak spędzać ze mną czas w naszym mieszkaniu. To wyjście do Wessely... Wcale nie był zadowolony, że go tam ciągnęłam, ale jak się dowiedział, że będą tylko artyści, to się zgodził. Ja sama też się aż tak nie rwę na przyjęcia, bo choć to mało prawdopodobne, cały czas mam z tyłu głowy myśl, że mogłabym spotkać kogoś z Bydgoszczy albo Fordonu. I co wtedy?

– Jesteś świetną aktorką, poradziłabyś sobie. Już słyszę to pogardliwe prychnięcie na dźwięk słów: „Skądś panią znam”.

– Ćwiczyliśmy takie scenki z Gustawem.

– Więc nie masz się czego obawiać. Poza tym wyglądasz inaczej. Nowa fryzura, mocny makijaż, inne stroje. Rozpoznałam cię tylko dlatego, że znamy się jak siostry. Człowiek z zasobnym portfelem może się zmienić nie do poznania.

– Gustaw i tak dmucha na zimne.

– To dobrze. A będziesz bezpieczna, dopóki będzie mu zależało.



Gustaw zjawiał się w każdy piątek późnym popołudniem i zawsze, nawet w deszczową aurę, zabierał Anię na przejażdżkę. Wokół miasta było dużo urokliwych i mało uczęszczanych tras. Ania uwielbiała ich wypad, a już zwłaszcza wtedy, gdy Gustaw pozwalał jej kierować.

– Gdyby nie to, że nadal chcę zostać pielęgniarzką – powiedziała, siedząc za kierownicą i wciskając na długiej prostej gaz do dechy – spróbowałabym swoich sił w wyścigach samochodowych.

– To byłabyś pierwszą taką kobietą w rodzinie Guderianów.

– I dobrze! Lubię być pierwsza!

Gustaw z dumą zerkał na żonę i nieco z przestraczem na licznik prędkości, bo Ania miała wyjątkowo ciężką nogę.

– Do spokojnych kierowców to ty nie należysz. Zwolnij, proszę.

– Nie jeżdżę szybciej od ciebie.

– Ale ja mam trochę więcej doświadczenia na drodze.

– Doświadczenie doświadczeniem, ale talent też trzeba mieć. A sam mówiłeś, że go mam! – dodała nieco pyszałkowato.

W tej samej chwili, zupełnie jakby cały wszechświat chciał jej udowodnić, że talent to jednak nie wszystko, drogę przecięła im grupa saren. Ania odruchowo nacisnęła na hamulec, opony zapiszczały, a samochód okręcił się wokół własnej osi.

– Puść hamulec! – zawołał Gustaw, a ona natychmiast wykonała polecenie.

Gustaw złapał za kierownicę i wykonał gwałtowny manewr: jeden, drugi. Pomogło. Zatrzymali się. Ania oddychała ciężko.

– Przepraszam.

– Nie masz za co – powiedział Gustaw, choć nieco oschłym tonem i nadal marszcząc brwi. – To dobra lekcja jazdy.

– Byłeś już w takiej sytuacji?

– Kilka razy. Jak się pokonuje długie trasy o każdej porze roku, zdarzają się różne rzeczy. Uczą pokory. – Spojrzał na Anię. – Spisałaś się.

– Ja? Wcale! Przesadziłam z szybkością.

– Fakt, ale nie straciłaś zimnej krwi. Zabrakło ci tylko doświadczenia.

– Czyli talent to jednak nie wszystko.

– Nie. – Zgodził się z nutą satysfakcji. – I dlatego jedź dalej.

Ania uważnie przyjrzała się Gustawowi. Myślała, że stroi sobie z niej żarty, ale wyglądał na gotowego do kontynuowania podróży. Ruszyła więc, tym razem jednak znacznie wolniej.

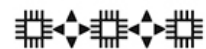
– Teraz jedziesz zupełnie jak babcia Julia – stwierdził. – Elegancko i bezpiecznie.

– Hmm... Twoja babcia byłaby zadowolona, widząc mnie za kierownicą.

– Uuu! I to bardzo. Zawsze ją cieszyło, kiedy kobiety wychodziły przed szereg, bo sama też tak robiła. Jej samotne podróże po Europie, ekstrawaganckie stroje, no i wyprowadzka z rodzinnego domu do nikomu nieznanego Marienwerder...

– Była odważną kobietą.

– Wyjątkowo.



Sobotnio-niedzielne chwile z Gustawem mijały Ani błyskawicznie. Dłużyły jej się tylko te dni, kiedy przywoził ze sobą doktora Schulza. Wtedy Gustaw nie był sobą. W jego zachowaniu próżno było szukać choćby krzty romantyzmu, brakowało serdeczności i czułych słówek. Zachowywał się piekielnie formalnie.

– Przy doktorze Schulzu jesteś całkiem inny, niż kiedy jesteśmy sami – powiedziała któregoś razu Anna.

– To znaczy?

– Zachowujesz się, jakbym była twoją siostrą, a nawet znajomą, a nie żoną.

– Wydaje ci się.

– A mnie się wydaje, że ty doskonale wiesz, o czym mówię. Tylko jak zawsze masz te swoje tajemnice.

Westchnął.

– Wykończysz mnie.

– Dlaczego?

– Bo jesteś bardzo spostrzegawczą i na dodatek ponadprzeciętnie bezpośrednią kobietą. – Powstrzymał się od uśmiechu.

– Tak sobie myślę – odparła frywolnie i zrobiła przekorną minę. – Wciąż powtarzasz, że jestem ponadprzeciętna... I wiesz co? Nawet jakbym nie chciała, to muszę ci uwierzyć.

Gustaw pokręcił głową.

– Nie chcę, by Schulz widział, jak bardzo mi na tobie zależy. – Podeszedł do żony, ujął jej dłoń i pocałował. – Im mniej wie, tym lepiej.

– Przecież ci pomaga.

– Ale nie ma pojęcia, z jakiego powodu. Mówiłem ci, że zrobi wszystko, nie pytając o nic. Taki mamy układ.

Po tej rozmowie Ania z większą wyrozumiałością przyjmowała zachowanie Gustawa, kiedy w ich domu pojawiał się doktor. Sama też stała się przy nim bardziej oziębła względem męża. Za to nocą, kiedy niczego przed nikim nie musieli udawać, nadrabiali wszystkie czułości i cali byli dla siebie.

## ŻYCIE POMIĘDZY

Bez Gustawa Ania z rzadka opuszczała willę, ale dużo rozmawiała przez telefon. Zarówno z mężem, jak i z Michelle oraz Lottą. LaCour najczęściej sprzedawała jej plotki zza teatralnych kulis i opowiadała o postępach w zdobywaniu kontaktów w Berlinie. Dużo się śmiały i gawędziły ze swadą, a ich rozmowy były zupełnie inne niż te z Lottą, która stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Bramen bowiem przeobraziła się w zapaloną nazistkę.

– Naprawdę chętnie bym cię odwiedziła, skarbie, ale ta zima mnie stopuje i nieustannie spływają do mnie kolejne zamówienia. Oczywiście cieszę się, że sukniami dla najważniejszych dam kraju i mundurami dla żołnierzy mogę się przysłużyć Rzeszy Niemieckiej, ale jednocześnie muszę dopilnować tylu spraw, by nie zawieść naszego Führera, że nie mogę sobie pozwolić na żadną wyprawę, nawet do waszego urokliwego Gross Born. W ramach przeprosin przyjmij ode mnie regularne dostawy świeżych owoców, witamin musisz mieć w bród. W twoim stanie liczą się podwójnie!

Te akurat Ania przyjmowała z chęcią, a potem organizowały sobie z Jolą przyjęcia przy stole zastawionym półmiskami pełnymi winogron, pomarańczy, bananów i jabłek.



Czasami Anna zaglądała do komendantowej, by podziękować za ciasto, kankę z mlekiem, świeżą wołowinę lub by wypić z nią herbatę i chwilę porozmawiać. Nosiła się obszernie, na co Margareta Thofern patrzyła z radością i zadowoleniem, bo znaczyło to, że ciąża ma się dobrze. A ta dobrze się miała, ale u Joli, bo wdowa po Olku, ukryta w willi Guderiana, w ciągu dwóch miesięcy przytyła aż osiem kilogramów. Zaokrągliła się na całym



ciele i w końcu zaczęła wyglądać jak ciężarna. Ania bardzo o nią dbała. Nie pozwalała jej gotować ani sprzątać, zabroniła ścielić łóżko, o wywieszaniu prania nie wspominając. Wyręczała ją we wszystkim i czyniła to z wielką przyjemnością, bo kochała Jolę jak siostrę.

Miały swój rytuał. Przy porannej herbacie wspominały Radka, zastanawiając się, jak i gdzie żyje. Obie czuły, że nie umarł i że za jakiś czas ich drogi ponownie się splecą. Przy obiedzie gawędziły o rodzicach Joli i dawnych znajomych, a po kolacji kładły się na łóżku i opowiadały Malutkiej, bo tak najczęściej nazywały Oleńkę, o jej tacie. Jola nie miała zbyt wielkiego pola do popisu, bo znała Olka niedługo. Za to Ania mogła dać upust swoim wspomnieniom: przywoływała z pamięci karkołomne skakanie z mostu do Wisły, niemal zakończone śmiercią, łobuzerskie eskapady do sadowniczego raj, w którym wraz z Radkiem podkradali jabłka, i to w całym sporych ilościach, chwile bokserkiej chwały, kiedy bracia wygrywali sparingi w Astorii, oraz totalnej klęski, gdy złapani na wylewaniu kleju na krzesło belfrowi od rachunków za karę szorowali szkolne toalety...

– Twój tatuś, Malutka, był też bardzo odważny. Mamusia na pewno ci już dużo opowiadała, bo ona zasadniczo sporo o tym wie, ale ja ci opowiem o czymś, czego i jej nie mówiłam.

Jola podekscytowała się, a Malutką jakby to obudziło, bo dotąd spokojna, teraz zaczęła się wiercić w brzuchu mamy.

– Widzę, że nie możesz się doczekać – zaśmiała się Ania. – A zatem było to tak: mieszkaliśmy na skraju Fordonu, do lasu było niedaleko, a w tym lesie znajdował się malowniczo położony dworek Rosenthalów. Opuszczony przed laty, od czasu do czasu bywał schronieniem dla włóczęgów. Niegroźnych, niewadzących, którzy po prostu dachu nad głową szukali. Roboty też, ale w naszej okolicy zawsze było jej mało, więc czasami podkradli coś do jedzenia. I raz jeden podkradli nie temu, co trzeba, bo mściwemu Dziarkowskiemu, który, choć opływał w bogactwo, ni jabłka nie podarował. Wtedy w odwecie postanowił zapolować na włóczęgów.

– Może nie opowiadaj jej takich historii – zatrwożyła się Jola.

– Poczekaj, poczekaj. Ta wcale nie jest taka straszna – uspokoiła ją Ania. – I ten parszywiec, bo inaczej nie potrafię go nazwać, zaczął skrzykiwać na nich ludzi. Fama się poniosła i dotarła do Olka i Radka, czyli twojego taty i twojego stryjka. A oni, jak to mieli w zwyczaju, postanowili coś zrobić, bo czego jak czego, ale niesprawiedliwości ludzkiej nie cierpieli. Czym prędzej popędzili do lasu i przestrzegli włóczęgów, których było wtedy sporo, sami zaś przygotowali na Dziarkowskiego i jego bandę pułapki. Kiedy tamci przyjechali, byli rozjuszeni i gotowi na wszystko, już zmierzali w stronę dworku z wycelowanymi strzelbami. Ale nagle zaczęli się przewracać! Nie dostrzegli, że między drzewami ktoś porozciągał metalowe linki, a do tego wykopał dziury w ziemi i zamaskował je gałęziami! Jeden z bandy spanikował i zaczął strzelać. Po lesie poniosły się kule, a dwie z nich trafiły w ludzi Dziarkowskiego. Skromnie ich pokiereszowały, bo smagnęły po łydkach zaledwie, ale karę dostali. I to dzięki twojemu tatusiowi.

Opowieści o Olku było sporo, bo był wszędzie i lubił łobuzować.

– Dopiero przy twojej mamusi się uspokoił – stwierdziła kiedyś Ania. – Ale to już wiesz, bo ona ci sporo zdążyła naopowiadać, prawda?

Ten wieczorny rytuał jeszcze bardziej je do siebie zbliżył. Poznawały się coraz lepiej i coraz lepiej rozumiały, niemal bez słów. Nie pozwalały sobie na smutek ani na czarnowidztwo. Kiedy jedna miała wątpliwości, kiedy dopadała ją nostalgia, druga stawiała ją do pionu, po ludzku pocieszała albo próbowała tłumaczyć.

– A jeśli nikt z mojej rodziny nie przeżył? Jeśli mama i tata nie żyją? – pytała Jola, bliska łez.

– To możliwe, ale po co nad tym myśleć i się zamartwiać? Serce można wykończyć, a twoje ma jeszcze dla kogo bić.



– A co zrobimy po porodzie? – zapytała pewnego dnia Jola.

– Gustaw obiecał wywieźć cię w bezpieczne miejsce. Jeszcze nie wiem gdzie dokładnie, ale jestem pewna, że on nad tym pracuje. Oficjalnie przy-

znamy, że poroniłam, a ty uciekłaś, korzystając z mojej słabości.

– Brzmi logicznie.

– Taki jest Gustaw.

Jola się zamyśliła.

– Wiem, że nie powinnam się doszukiwać niczego dziwnego w tej sytuacji, ale nie mogę pojąć, dlaczego on się dla mnie naraża. Przecież ja nic dla niego nie znaczę, a jednak dla mojej wolności interweniował u samej Wessely. Jak on ją przekonał?

– Szybko. Jest w tym dobry, a o Wessely się nie martw. Na pewno nie została stratna.

– A co jej powiedział?

– Że uparłam się na ciebie, a kobietom w ciąży się nie odmawia. I takie tam.

– Nie wiem, co bym zrobiła, jeśli by zabrali Malutką.

– Ale nie zabiorą. Nie myśl o tym.

– Znałam jedną Polkę, której po porodzie zabrali syna. Ze szpitala wróciła zmieniona, jakby bez życia. To było takie niehumanitarne...

– Wiem, Jolu, wiem. I ja znałam jedną Polkę, krawcową, której zabrano synka i wywieziono w głąb Rzeszy. – Anna poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. – Jedynym pocieszeniem jest fakt, że mały żyje, ale odbieranie matkom dzieci to prawdziwe bestialstwo. U ciebie tak nie będzie. Twojej Oleńki nikomu nie oddamy. Jej miejsce jest przy tobie.

## OSTATNI OKRUSZEK

Willa Guderiana była bardzo gościnna, a przy tym idealna, by się ukryć. W Gross Born każdy o niej wiedział, ale rzadko kto tu zachodził. Ciekawość u żołnierzy Wehrmachtu nie była cechą dominującą. Na szczęście. Bo gdyby jednak była i co rusz któryś z nich wybierałby się na przechadzki Kommandantenstrasse, Anna i Jola nie mogłyby sobie pozwolić na krótkie chwile odpoczynku w ogrodzie. A kwiecień roku tysiąc dziewięćset czterdziestego był wyjątkowo przyjemny. Ptaki zbierały się w okalających ogrodzenie krzakach i na drzewach, dając koncerty trelu. Kobiety wystawiały więc krzesła i napawały się leśnym spokojem. Jola, z brzuszkiem zawsze ukrytym pod kocem, wreszcie czuła się swobodnie, jak kiedyś.

– Jak na wakacjach w Zaleszczykach – westchnęła, kiedy w popołudniowym słońcu pałaszowały pokrojone w ćwiartki jabłka. – Tak samo błogo. Tylko tam jedliśmy kawony<sup>[34]</sup>. Jakie one były soczyste!

– Nigdy nie byłam w Zaleszczykach, ale pamiętam, jak pokazywałaś zdjęcia, które robił twój tata. Te palmy! Ja nigdy na żywo nie widziałam palm. Tylko w doniczce. Nawet w restauracji Wężyk o taką się postarał. Co prawda wyglądała dość biednie, ale była.

Rozmawiały, śmiały się, jadły do syta. Jakby naprawdę były na wakacjach, z dala od wszystkiego, co złe.

Seria wystrzałów z poligonu zagłuszyła na chwilę ich słowa. Przyzwyczyły się do huków, ale nigdy na niego nie zubojeśniały.

- Już niedługo się zacznie – podjęła Jola, gdy wokoło ucichło.
- Ale co?
- Poród, głuptasie. A co myślałaś?
- Sama nie wiem.

– Kiedy byłam u Wessely, zdarzało mi się marzyć, że jeszcze kiedyś się spotkamy, że będziemy mogły, tak jak tu, siedzieć w ogrodzie, pić kompot i jeść dobre rzeczy. Marzyłam głównie wtedy, gdy było mi ciężko... Te marzenia zawsze poprawiały mi nastrój, dodawały sił.

– Ja nawet nie myślałam o tym, że jeszcze się kiedyś spotkamy. To wydawało się niemożliwe, bo przecież widziałam... Wtedy... – Głęboko westchnęła. – Zamknęłam tamten rozdział. A wiesz, jak zobaczyłam cię wtedy w łazience, to wpierw pomyślałam, że albo jestem pijana, albo że ktoś wrzucił mi pervitin do alkoholu.

Jola się zaśmiała.

– To naprawdę była moja pierwsza myśl.

– Wierzę, bo miałaś minę, jakbyś ducha zobaczyła.

– I powiem ci, że choć w czasie tej wojny wiele razy zwątpiłam w Boga, to wtedy, wracając od Wessely, dziękowałam Mu za to, że żyjesz. I to chyba najgorliwiej w życiu. Jestem pewna, że nasze fordońskie dewotki rzadko bywały żarliwsze niż ja wówczas.

– Ja też dziękowałam Bogu, że cię tam znalazłam. Przecież mnie nie wolno było wchodzić na salony, ale akurat sama Wessely kazała mi przyjść i powiedzieć, kiedy dostawca przywiezie frezje. Przyszłam i spostrzegłam cię w tej sali z fortepianem. Byłaś odwrócona tyłem, ale nawet w afgańskim czadorze bym cię rozpoznała. Przez ten falujący ruch bioder.

– Falujący ruch bioder?

Ania wstała i rozbawiona słowami przyjaciółki, zaczęła się wyginać.

– Czy o to ci chodzi? O takie falowanie?

Jola nie była jej dłużna; sama też wstała, by pokazać, jaki ruch bioder miała na myśli. Śmiały się do rozpuku, aż nagle Jola szybko usiadła.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Ania.

– Chyba tak – stwierdziła Jola po chwili. – Nie powinnam się tak wyginać. Gimnastyka pod koniec ósmego miesiąca ciąży może być niebezpieczna. Właśnie miałam skurcz.

– Nie martw się. Doktor Schulz mówił, że na razie nie ma rozwarcia i że obie z Malutką jesteście bezpieczne.

– Wiem, ale i dobry doktor nie jest w stanie wszystkiego przewidzieć. Są miliony innych okoliczności, które mogą przyspieszyć poród, a ja bym tego za nic w świecie nie chciała. Boję się, bo... Nie mogę jej stracić. Nie mogę stracić ostatniego okruszka po Olku.



Przygotowywały się właśnie do wieczornego rytuału opowieści, kiedy Jola stanęła w drzwiach sypialni.

– To chyba już! – oznajmiła przerażona.

– Jak to już? – Ania natychmiast zerwała się z krzesła i podbiegła do przyjaciółki.

Ta wskazała na mokrą plamę na podłodze.

– Rodzę.

Ania natychmiast przypomniała sobie plan, jaki ustaliła z Gustawem na wypadek przyspieszonego porodu. Podeszła do telefonu i wykręciła znany na pamięć numer.

– Guderian, słucham? – odezwał się.

– Zaczęło się.

– Już?

– Tak! Przyjeżdżajcie!

Ania odłożyła słuchawkę, potarła twarz i zastygła na kilka sekund, by zebrać myśli. Musiała wszystko sobie poukładać, aby nie popełnić żadnego głupiego błędu. Zdawała sobie sprawę, że Gustaw z doktorem zjawią się na miejscu nie wcześniej niż za trzy godziny. I to tylko wówczas, gdy doktor będzie dostępny. A co, jeśli akurat operuje albo jest gdzieś w terenie i Gustaw nie będzie mógł się z nim skontaktować?

Wdech, wydech.

Przypomniała sobie zalecenia z podręcznika dla położnych.

Wdech, wydech.

Przez ostatnie tygodnie studiowała go pilnie i wszystkie rozdziały znała niemal na pamięć. Ale wiedziała, że podręcznik to nie to samo co życie. Ono płątało figle. Wróciła myślami do porodu Lucyny Nadolnej.

Wdech, wydech.

Widziała, jak Lucyna rodziła. Była przy tym od początku do końca, ale co innego widzieć poród, a co innego go odbierać. Zakasała jednak rękawy i przygotowała wszystko według podręcznika oraz wcześniejszych ustaleń z doktorem Schulzem. Poszła do Joli.

– Jak się czujesz?

Jola leżała na łóżku, na plecach, z głową wspartą na poduszkach. Przy jej nogach Ania położyła czyste prześcieradła, a miednicę z wodą postawiła na podłodze. Wszystko jak w książce. Już nie wydawała się przerażona. Wyglądała na spokojną. Nawet się uśmiechała.

– Dobrze. Nic mi nie jest. – Jola gładziła brzuch. – Wiem, że wszystko się uda, bo Olek czuwa i ty jesteś obok, a ja ci ufam.

– Doczekamy do przyjazdu doktora, zobaczysz. W książkach piszą, że od odejścia wód mija jeszcze wiele godzin, zanim się zacznie. Doktor to potwierdził. Sama słyszałaś.

U Joli skurcze pojawiły się jednak znacznie szybciej, niż przewidział doktor, bo już po niecałej godzinie. Ania mierzyła odstępy między nimi, kazała Joli odpoczywać, oddychać, myśleć o miłych rzeczach. Chciała maksymalnie wydłużyć czas do przyjazdu doktora, ale się nie udało, bo skurcze się nasiliły i Ania, chcąc nie chcąc, musiała zostać akuszerką. Ręce starannie umyła specjalnym płynem, który wcześniej przywiózł doktor. Próbowała być spokojna i na zewnątrz jej się to udawało, ale w środku czuła się jak wulkan w fazie erupcji. Nie potrzebowała teraz takich emocji. Wiedziała, że musi się opanować.

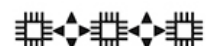
„Uspokój się. Masz robotę do wykonania” – powtarzała sobie niczym mantrę.

Na nic się to jednak zdało, bo jej myśli nadal kotłowały się chaotycznie. Wszystko się zmieniło, kiedy w rozwartym kroczu dostrzegła główkę dziecka. Wtedy krzyknęła:

– Jolu, widzę główkę! Jest główka! Ma czarne włosy!

Zmęczona długotrwałym skurczem, Jola nie odezwała się, lecz stęknęła z ulgą. W głowie Ani pojawiła się oczyszczająca myśl, która wyparła wszystkie nerwy: „Tam jest córka Olka. Nie możesz tego spieprzyć!”.

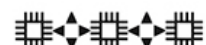
I nie spieprzyła.



To rzeczywiście była dziewczynka, a Ania pomogła jej przyjść na świat. Drobiną, nieco większą od bochenka chleba, o wyjątkowo proporcjonalnej, kształtnej główce, dużych oczach i długich rzęsach, które od razu przyciągały uwagę. Jej skóra nie była pomarszczona ani poplamiona, a różowa, różowiutka niczym płatki kwiatów młodych jabłonek. Dziewczynka płakała donośnie, uspokoiła się jednak, kiedy Jola do niej przemówiła – jakby w słowach matki drzemało jakieś zaklęcie.

– Witaj na świecie, Oleńko – przywitała Jola swoją wysnioną córkę, zapominając natychmiast o udręce porodu. – Od teraz jesteśmy już razem. Ja i ty. A tatuś będzie nad nami czuwał. – Spojrzała w górę, przymknęła oczy i uśmiechnęła się. – Masz piękną córkę, mężu.

Ani ze wzruszenia odebrało mowę. Przytuliła delikatnie obie kobietki i przez chwilę trwały tak, aż Oleńce zaczęło to przeszkadzać, o czym nie omieszkała dać znać donośnym płaczem.



Gustaw z doktorem zjawili się dopiero przed północą, bo Schulz operował i nie mógł zejść z bloku. Kiedy przekroczyli próg willi, Ania pokrótce zrelacjonowała im całą akcję. Doktor dokładnie obejrzał położnicę i noworodka, poprawił zaopatrzenie pępka, sprawdził puls. A potem podszedł do Ani.



– To wielki przywilej móc witać na świecie nowe życie – powiedział, potrząsając jej dłonią, jakby gratulował wielkiego dokonania. – I choć ten świat nie jest teraz najlepszy, przyjęła pani tę piękną dziewczynkę w najlepszy możliwy sposób. Sam bym pewnie nie zrobił tego lepiej. Gratuluję pewnej ręki i życzę, by wykorzystała pani swoje umiejętności w przyszłości. Jeśli wybierze się pani na studia medyczne, a słyszałem o takim pani zamiarze, może pani liczyć na moją rekomendację.

– Zamierzam iść do szkoły pielęgniarstwa.

Pokręcił głową.

– Do szkoły pielęgniarstwa? Proszę rozważyć kierunek lekarski. Ma pani predyspozycje, a i w szpitalach możliwości dla kobiet dzisiaj są. Warto z nich skorzystać.

– To daleka przyszłość, panie Schulz – wtrącił się Gustaw, który dotychczas stał z boku. – Teraz mamy wojnę i inne sprawy zajmują nasze myśli.

– A owszem, panie Guderian, owszem. Nigdy jednak nie można zapominać o tym, do czego zostaliśmy powołani. A mnie się zdaje, że drobne dłonie pani Guderian mogą pomóc w przyjściu na świat niejednemu oseskowi.

Ich rozmowę przerwał płacz Oleńki.

– No! W końcu słyszę moją ulubioną melodię. – Doktor uśmiechnął się zadowolony. – Na moje oko pani córka – mówił do Joli przesadnie wyrażnie i wolno – mimo że trochę za wcześnie na ostateczną opinię, przyszła na świat w pełni zdrowia. Płuca w każdym razie ma silne i serce także.

Schulz, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, został w willi jeszcze jeden dzień. Miał pobyć z młodą matką i noworodkiem, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Nie było może idealnie, bo według doktora Oleńka za mało płakała, a on lubił dzieci krzykliwe, donośne. Dla Gustawa jednak cichy noworodek doskonale wpisywał się w jego misterny plan, który układał od momentu, kiedy dowiedział się o tym, że Jolanta Łabędź przeżyła.

## DWA IMIONA

Gustaw opuścił Gross Born wraz z doktorem, ale obiecał powrócić następnego dnia.

– Najpóźniej za dwa – szepnął do Ani, kiedy się żegnali. – Pamiętaj o naszym planie. Nie wolno, za nic w świecie nie wolno wam nikomu pokazywać dziecka. I róbcie wszystko, żeby nie płakało.

– Oczywiście. Tak zrobimy. Damy radę, Gustawie. Do nas i tak nikt nie zagląda.

– Ale nie wiesz, czy komuś się nie odwidzi i przypadkiem nie zajrzy.

Kiedy więc następnego dnia na progu willi Guderiana pojawiła się żona komendanta Thoferna, Ania zastygła i pomyślała, że Gustaw wypowiedział tamte słowa w złą godzinę. W domu Heinza Guderiana mieszkała od jakichś dwóch miesięcy i oprócz adiutanta komendanta, który przywoził im zakupy, nikt tu nie zachodził. Nikt! Ani celowo, ani przez pomyłkę (choć to ostatnie należało z góry wykluczyć, gdyż willa Guderiana była jednym z najbardziej znanych budynków w Gross Born). A tu nagle, w najmniej pożądanym momencie, na progu staje z rewizytą najważniejsza kobieta w mieście.

– Dzień dobry, pani Thofern. Jak miło panią widzieć. – Anna powitała generałową nadzwyczaj ciepło, na przekór odrętwiającemu strachowi, który ogarnął ją całą.

– Dzień dobry, Anno – odparła komendantowa, spoglądając na jej brzuszek, uwydatniony poduszką, i wręczając pakunek z ciastem. – A od kiedy to sama otwierasz drzwi?

Jakże Ania ucieszyła się na to pytanie! Jakże na nie liczyła!

– Moja służąca zaniemogła.

– Oj... – Pani Thofern szczerze się zmartwiła. – Czy podesłać kogoś do pomocy?

– Nie, nie trzeba. Doktor zalecił, by dwa dni była w izolacji, oczywiście z dala ode mnie. To chyba nic groźnego ani zakaźnego, ale kazał się przyrzec. Tymczasem daję sobie radę. To nawet miła odmiana.

Słowo „zakaźne” zadziało na kobietę dokładnie tak, jak przewidział Gustaw. Pani Thofern zrobiła krok w tył i uśmiechnęła się, jakby tym uśmiechem chciała zatuszować zmieszanie.

– Aaa... Hmm... No właśnie. Bo ja słyszałam, że w nocy przyjechał do was doktor Schulz, i pomyślałam, że coś się stało.

– Przyjechali późno, bo po drodze było coś nie tak z kołem, jakaś awaria. Ale doktor na szczęście zdążył mnie zbadać, a potem obejrzał służącą i postawił diagnozę.

– Ach, teraz wszystko jasne... No nic, w takim razie nie będę przeszkadzać, ale gdybym mogła jakoś pomóc, to oczywiście z chęcią. – Pani Thofern zaczęła się wycofywać ku bramie.

– Dziękuję, będę pamiętać.

Ania z ulgą zamknęła drzwi, a potem długą chwilę opanowywała oddech. Weszła do pokoju Joli, która trzymała w ramionach Oleńkę.

– Tyle dla mnie robisz – wyszeptała jej przyjaciółka.

Anna nadal mierzyła się z przyspieszonym oddechem.

– Bez ciebie nic nie byłoby takie samo – dodała Jola. – Nic by się nie udało.

– To samo zrobiłabyś dla mnie.

Jola pogładziła po główce śpiącą córeczkę.

– Na chrzcie dostanie imiona Aleksandra Anna – powiedziała cichutko. – Po najodważniejszych ludziach, jakich znałam.

Ania poczuła, jak w jej oczach stają łzy.

## NIEPEWNOŚĆ

Gustaw nie pojawił się następnego dnia. Nie było go też dwa dni później ani nawet cztery. Zjawił się dopiero piątego, kiedy Ania truchlała już ze strachu. Nie odbierał bowiem telefonu ani nie dzwonił, nie dał znaku życia. Jola była dla niej wówczas największą opoką, największym wsparciem, bo kiedy Ania wątpiła w pojawienie się Gustawa, Jola stawiała ją do pionu.

– Być może coś się zdarzyło – mówiła. – Ale wiem, po prostu wiem, że Gustaw się pojawi. A intuicja nigdy mnie nie zawodzi.

– A jeśli teraz jest ten pierwszy raz i jednak cię zawodzi?

Jola zaprzeczyła ruchem głowy.

– Na pewno wróci.

– Na pewno to my mamy wojnę! – prychnęła Ania ze złością. – Obrzydliwą i niesprawiedliwą!

– Oczywiście. Nikt temu nie przeczy. – Jola mówiła powoli i spokojnie. – Wojna jest najgorszym złem, ale jeśli zaczniemy tracić wiarę w ludzi, w naród, w dobro, to stanie się jeszcze potworniejsza, bo tym, co nas chroni, są właśnie ta wiara, nadzieja i ufność. Zresztą obojętne, jak to nazwiemy. Bez tego przepadniemy. Więc proszę cię, nie trać wiary w Gustawa. Na pewno ma powód, by milczeć. Ale wróci.

– A jeśli nie?

– To świat nadal będzie się kręcił, a słońce znów wstanie. Z Gustawem lub bez niego, a my będziemy musiały sobie jakoś poradzić.

– Jak możesz tak mówić?

– A jak ty możesz wątpić?! Nie zadawaj głupich pytań, to nie będę głupio odpowiadać! Gustaw wróci, zobaczysz!

Ich kłótnię przerwało ciche kwilenie Oleńki.

To była ich pierwsza kłótnia i obie miały po niej wyrzuty sumienia. Jola, że dała się wytrącić z równowagi, a Ania – że doprowadziła do sprzeczki. Ale ta kłótnia przyniosła też dużo dobrego. Zimny prysznic w postaci mocnych słów zadziałał na Anię otrzęwiająco i sprowokował do wymyślenia planu awaryjnego, na wypadek gdyby Gustaw się jednak nie pojawił. I kiedy zaczęła już obmyślać nowe działania, z podjazdu doszedł ją dźwięk silnika. Zacisnęła powieki, zagryzła wargi, a potem zerwała się i podbiegła do okna.

W ciemnościach wieczoru, na podjeździe, stał samochód Gustawa, a po chwili wysiadł z niego sam Gustaw.

Kiedy Anna znalazła się w holu, Gustaw właśnie otwierał drzwi. Bez słowa, nie zdejmując płaszcza, uściśnął Anię. Mocno, nawet odrobinę boleśnie. Zrozumiała, że coś się stało, że coś było nie tak. Kiedy w końcu od niej odstąpił, spojrzał jej prosto w oczy.

– Wiem, że się denerwowałaś, ale nie mogłem zadzwonić, nie mogłem się z tobą skontaktować. Zrobiło się niebezpiecznie.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem... A poza tym miałem coś do załatwienia.

– Ja tu odchodziłam od zmysłów... My odchodziłyśmy, a ty miałeś coś do załatwienia?!

Gustaw nie odpowiedział, tylko spojrzał na skonsternowaną Anię i odwrócił się na pięcie.

– Zaraz wrócę – rzucił.

Po krótkiej chwili, która dłużyła się Ani niemiłosiernie, był z powrotem, jednak nie sam. Obok niego w holu stał nieco niższy mężczyzna w mundurze SS. Ania natychmiast zeszywniała i z niewiadomego powodu pomyślała straszną rzecz: że Gustaw ich wydał... Że doniósł na nią i na Jolę i że to coś niebezpiecznego, o czym wspominał, to było przesłuchanie, w trakcie którego, podczas tortur, przyznał się do ukrywania wroga Trzeciej Rzeszy. Nerwowo spojrzała na Jolę, potem na Gustawa, w końcu na przybysza. Ten ostatni ściągnął czapkę i uśmiechnął się oszczędnie. Ania utkwiała w nim

spojrzenie, a potem przerzuciła je na męża. Poczuła, jak kręci jej się w głowie.

– Ra... Radek?

W pobladłej i wychudłej twarzy, w zapadniętych i smutnych oczach rozpoznała swojego ukochanego brata. Był lichą kopią fordońskiego przystojniaka, za którym niegdyś uganiały się dziewczyny.

– Witaj, siostró. Witaj, Jolu.

Ania natychmiast przywarła do Radka, a on objął ją ramieniem. Jola też do nich podeszła i na chwilę stali się jednością. Potem Radek pocałował Jolę w czoło i wyszeptał jej coś na ucho.

– Nie mamy zbyt wiele czasu. – Gustaw przerwał im czułości. – Trzeba się zbierać.

– Jak to?

– Jolanta musi stąd wyjechać. Radek zabierze ją w bezpieczne miejsce. Zna plan. Wszystko już ustaliliśmy.

– Jestem spakowana – odezwała się Jola. W każdej chwili była gotowa do nieoczekiwanego wyjazdu. – Potrzebuję raptem kilku minut, żeby ubrać dziecko.

– Napijmy się chociaż herbaty – zaproponowała Ania, a Gustaw spojrzął na zegarek i przyzwalająco skinął głową.

Poszli do salonu, Radek wyraźnie utykał, ale nie okazywał cierpienia.

– Dlaczego masz na sobie mundur SS? Czy ty...?

– To mój pomysł – wyjaśnił Gustaw. – Inaczej Radek nie mógłby się tu pojawić.

– A jak go znalazłeś?

– Szukałem go od momentu, kiedy powiedziałaś, że przeżył. Nie wierzyłem, że w tym całym chaosie uda się go znaleźć, ale musiałem spróbować, bo wiedziałem, że będzie nam potrzebny. Użyłem swoich kontaktów, lecz to nic nie dało. Spróbowałem przekazać wiadomość kanałem, z którego kiedyś korzystaliśmy z Radkiem, ale bez efektu. Pojechałem więc do Brom-

bergu, a tam na pierwszej ulicy natknąłem się właśnie na Radka. Trudno w to uwierzyć, ale tak było.

– Można to uznać za cud – stwierdził Radek. – Za ingerencję jakiejś nadludzkiej siły, bo inaczej nie da się tego wyjaśnić. Od kilku miesięcy żyję w ukryciu, wychodzę tylko nocą, przemieszczam się kanałami, piwnicami. Tamtego dnia szedłem na akcję i dlatego musiałem wyjść w południe. Aż nagle nadjechał Gustaw.

Jola chwyciła się krawędzi stołu.

– A moi rodzice? Wiesz coś o nich? Żyją?

Radek złapał Jolę za dłoń i mocno ucałował, a potem ciepło spojrzał jej w oczy.

– Żyją, żyją, Jolu. Mają się dobrze.

– O Boże! Tak? Gdzie są?

– W Bydgoszczy. Twoja matka to prawdziwa przywódczyni. Razem z Jerzym Kiszковиakiem, tym znanym szybownikiem, tworzy podziemie. Jest bardzo skuteczna i nawiązała kontakty z innymi miastami. Zgadnij, jaki nosi pseudonim!

– Nie mam pojęcia.

– „Jolka”!

Po policzku kobiety spłynęła łza. Szczerze się wzruszyła, bo choć z matką łączyły ją niezbyt zażyłe relacje, Jola kochała ją całym sercem.

– Twój tata też jest z nami. Też działa. Zresztą właśnie do nich pojedziemy. Jeszcze dziś w nocy się z nimi spotkasz.

– To oni wiedzą? I o Oleńce też?

– Jasne.

Gustaw dopił herbatę i ponownie zerknął na zegarek.

– Trzeba już jechać. Weźcie tylko coś do jedzenia na drogę.

Radek złapał Anię za rękę i pociągnął ją na bok, po czym mocno przytulił i zaczął szeptać:

– Żyjesz wśród Niemców i zostań wśród nich tak długo, jak się da. Z naszymi nie jest bezpiecznie. Ale pamiętaj, nie ufaj żadnemu Niemcowi poza Gustawem. Tylko jemu. Nawet gdybyś myślała, że ktoś jest wobec ciebie szczery, nie miej pewności. Słuchaj, ale za nic w świecie nie ufaj. To, co robią Niemcy, jak spiskują, jak wężą i jak głęboko szukają wrogów Hitlera... To jest niewyobrażalne. A będzie tylko gorzej, bo rosną w siłę i chcą nas wszystkich zniszczyć.

Ania poruszyła się nerwowo, ale Radek nie wypuścił jej z objęć.

– Ale nie damy się, o to się nie obawiaj. Jest wojna, a w czasie wojny każdy powinien patrzeć najpierw na siebie, a dopiero później na innych. Więc rób wszystko, byś przeżyła. A po wojnie się znajdziemy. Jak tylko się skończy, przyjedź do Fordonu. W naszym kościele zostawię dla ciebie wiadomość. Jeśli byłabyś tam przede mną, to ty zostaw ją dla mnie.

Pokiwała głową, a on ciągnął dalej:

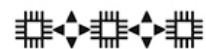
– Trzymaj się Gustawa. Jesteście bezpieczni, dopóki widzą w nim wzorowego nazistę, a w tobie przykładną żonę nazisty.

– Nawet tak nie mów. – Nie kryła oburzenia. – Gustaw nie jest nazistą, a ja... Ja nie jestem żadną żoną nazisty.

– To wiem ja. To wiesz ty – mówił całkiem spokojnie, jakby spodziewał się tak emocjonalnej reakcji siostry. Jego uścisk nie zelżał ani odrobinę. – Ważne, by inni tak was widzieli.

Zamilkli. W głowie Ani kotłowały się myśli. Rozważała słowa brata, a on najwyraźniej tego chciał. Dopiero po chwili dodał:

– Żadnego Niemca nigdy nie byłem tak pewny jak Gustawa. On jest gotów zrobić dla ciebie wszystko, absolutnie wszystko. Wiem, że dla ciebie nawet zabije.



Pożegnała się najpierw z Jolą, co nie było łatwe, bo obie czuły, że to może być ich ostatnia wspólna chwila. Żadna z nich nie powiedziała tego na głos, ale jedna mogła to wyczytać z oczu drugiej. Oleńka spała, więc Ania zaled-



wie cmoknęła ją w czołko, a potem podeszła do brata i spojrzała mu prosto w twarz.

– Słyszałam, co zrobiłeś dla Joli. Słyszałam, że wszystkich naszych wyciągnąłeś z rowu, mimo że sam byłeś ranny. Dla mnie jesteś bohaterem.

– Bohaterami to są Olek, ojciec i ksiądz Polichnowski. Oni oddali za nas życie.

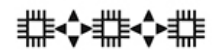
– Nieprawda. Każdy z was jest bohaterem, bo był gotów umrzeć za ojczyznę. Bywaj zdrów, bracie, i... do zobaczenia.

Radek pocałował siostrę w czoło, po ojcowsku, a potem się odwrócił, złapał walizkę Joli i otoczywszy ją ramieniem, wyszedł pod osłoną nocy.

– Wróć za pół godziny – powiedział Gustaw. – Podrzucę ich do ukrytego samochodu, a ty przygotuj, proszę, coś do jedzenia, bo jestem głodny jak zwierz.



Kiedy została sama, myślami powróciła do słów brata. Pierwszy raz ktoś nazwał ją żoną nazisty. Pierwszy raz ktoś tak dobitnie uzmysłowił jej, jak jest postrzegana przez innych. Przenigdy by tak o sobie nie pomyślała. I nie chciała, by mówiono o niej w ten sposób. Była Polką! Patriotką! Córką Jana Łabędzia. Ale... W okolicznościach, w jakich przyszło jej żyć, ta przykrywka wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Anna musiała to zaakceptować. Przynajmniej tymczasowo.



Gustaw wrócił i wtedy usiedli do stołu. Ania nie potrafiła jednak przełknąć ni kęsa. Jej mąż za to zjadł całą porcję, wypił bawarkę i sięgnął po papierosa.

– Mają dobry samochód i świetne papiery. Dojadą bez problemów.

– A czy jest szansa, że Radek da ci znać, kiedy już dojadą?

– Tak. Przyśle pocztówkę z pozdrowieniami od Reinera. – Zaciągnął się papierosem, a kiedy wypuścił kłęb dymu, a robił to bardzo powoli, rzekł: –

Doktor Schulz zniknął, być może został aresztowany.

– Co? Jak to „być może”?

– Nikt nie wie, co się z nim stało, ale wyparował jak kamfora... On i jego kobieta. Próbowałem dowiedzieć się szczegółów, odnaleźć go, ale bezskutecznie.

– Przecież ludzie tak po prostu nie znikają.

– Mamy wojnę, a więc wszystko jest możliwe.

– Mam nadzieję, że uciekli, a nie że zostali aresztowani...

Gustaw nie odpowiedział, a z ust Ani wydostało się bolesne westchnienie.

Dotarło do niej, że Gustawowi w każdej chwili również grozi aresztowanie. Przecież i on kogoś ukrywa. Ją.

– Gustawie. – Podeszła do niego i uklękła u jego kolan. – Przecież ty... Ty możesz... Być jak doktor Schulz.

– To bez znaczenia. – Zamknął jej dłonie w swoich i spojrzał prosto w oczy. – Wiedziałem, z czym się wiąże bycie z tobą, i nie wahałem się ani chwili. Jesteś warta każdej ceny. I realizacji każdego, nawet najbardziej ryzykownego planu.



Kiedy o poranku Ania otworzyła oczy, Gustawa nie było już w łóżku. Znalazła go w kuchni.

– Nie mogłem spać – tłumaczył się.

– A powinieneś. Słabo wyglądasz.

– Usiądź. – Gustaw zignorował jej słowa. – Poroniłaś, ale jesteś z tym pogodzona. Jeśli ktoś będzie ci współczuł – recytował – to mów, że nie powinien, bo jeszcze nadejdzie pora na dziecko. Doktor cię zbadał i będziesz mogła ponownie zająć w ciążę. – Położył przed nią kwitek podpisany przez Schulza. – Zdążył wypisać dokument.

– A jak wytłumaczymy nieobecność Joli?

– Tak jak ustaliliśmy, ucieczką.

– Dobrze.

– A teraz przygotuj się do wyjazdu. Ja pójdę do komendanta, by się pożegnać. W twoim imieniu również. Przy okazji załatwię pewną sprawę w oflagu.

– W tym czasie posprzątam.

– Nie musisz. Jutro przyjdzie tu służba i zrobi to za ciebie.

– Muszę. Chcę mieć pewność, że nie zostawię żadnego śladu po Oleńce.

Gustaw skinął głową, wypił ostatni łyk herbaty i wyszedł.

Kiedy wrócił, Ania była już spakowana. Czekwała na niego w jadalni.

– Spędziłam tutaj najlepszy czas tej wojny – wyznała.

I była to prawda. To właśnie tu Ania po raz pierwszy śmiała się do łez, to tu z Jolą rzucały się mąką w kuchni, to tu po raz pierwszy spała spokojnie, do późnego przedpołudnia, nie budząc się co godzinę, i to tu kochała się z Gustawem jak nigdy dotąd: namiętnie, z pasją, szaleńczo.

– Ja właściwie też.

– Tak? – zdziwiła się i podeszła do niego.

Przygłodziła mu włosy, a on przesunął kciukiem po jej szyi. Złapała go za dłoń, przebiegła po niej palcami, jakby przez dotyk uczyła się jej kształtu. Na koniec przysunęła ją do ust i ucałowała wewnątrz.

– Zawsze będę ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś. Dla Joli, Radka, dla całej mojej rodziny.

– Nie musisz. Ja od ciebie dostałem znacznie więcej.

Spojrzał jej prosto w oczy i dostrzegł w nich coś, co sprawiło, że w jednej chwili zrzucił z siebie płaszcz, ze stóp zzuł buty. Wziął Anię na ręce, zbliżył twarz do jej twarzy, zanurzył się w jej ustach. Nie przestając całować, zaniósł ją do sypialni i położył na łóżko, a potem kochał się z nią dziko. Był taki inny, taki ekscytująco odmieniony. Jakby następnego dnia mieli od siebie odejść i nigdy już się nie zobaczyć.

## AKTORKA PRAWIE DOSKONAŁA

Ania nawet sama przed sobą nie chciała przyznać, że tęskniła za Stettinem, ale kiedy przejeżdżali przez Hansabrücke<sup>[35]</sup> i jej oczom ukazały się zabudowania Starego Miasta z górującym nad wszystkim majestatycznym zamkiem, poczuła radość z powrotu. Ta trwała jednak bardzo krótko. Wszędzie bowiem było pełno flag i szarf ze znienawidzonymi przez nią swastykami. Przed kwartałem wyjeżdżała z nazistowskiego miasta, ale nie tak fanatycznego i nie tak groźnego jak teraz.

Zatrzymała wzrok na dostojnej kobiecie, która szła chodnikiem z dwójką dzieci. Obie pociechy, ubrane w czarne mundurki, lakierki i białe podkolanówki, radośnie wymachiwały nazistowskimi chorągiewkami. Potem spojrzała na starca z laską. Do klapy marynarki miał przypięty duży znaczek ze swastyką. Jego rozmówca także. W sklepowych witrynach wielkie portrety Hitlera, na słupach ogłoszeniowych plakaty z jego wizerunkiem, na chodnikach ludzie pozdrawiający się salutem rzymskim – nazistowski duch był przerażająco wszechobecny. „A może wcześniej było tak samo?”, pomyślała Anna. Może to po prostu ona w spokojnym Gross Born, zamknięta w willi Heinza Guderiana, odwykła od tego wszystkiego.

– Teraz musisz tym bardziej starać się zachować zimną krew – stwierdził Guderian. – Ludzie oszaleli na punkcie Hitlera i na każdym kroku to zobaczysz.

I zobaczyła, a kilka dni później przekonała się również, że te zewnętrzne przejawy uwielbienia dla Hitlera idą w parze z wewnętrznymi przekonaniami mieszkańców Stettina.

– Czuję, że za chwilę cały świat będzie nasz! – powiedziała rozentuzjzmowana Lotta podczas wieczornego spotkania w swoim niedzielnym domu.

Zaprosiła kilkunastu znajomych, a jeszcze paru mieszkających po sąsiedzku samych się wprosiło. Ponieważ jednak przytaszczyli ze sobą ulubione mięsiva i trunki Lotty, gospodyni nie miała nic przeciwko ich niespodziewanej obecności.

– Nasz Führer przynosi chwałę narodowi niemieckiemu w całej Europie! Co ja mówię, na całym świecie. I to, moi drodzy – uniosła kieliszek – jest doskonały powód, by wznieść toast. Za naszego Führera!

– Za Führera! Za Führera! – niosło się po salonie.

Rozmowy o aktualnej sytuacji na froncie zachodnim były głównym tematem spotkania. I to takim, który napawał wszystkich dumą.

– Umówmy się, że słabą Norwegię czy Holandię zjemy na przystawkę – prawiała Lotta. – Francję jako danie główne, a Anglię na deser.

– A potem resztę świata – rzucił jeden z mężczyzn.

– A potem resztę świata! – powtórzyła Lotta.

To spotkanie u Lotty miało w sobie coś z politycznego wiecu NSDAP. Dyskusje o sile i bezwzględności Wehrmachtu i Luftwaffe były dla Ani torturą, ale w pozostałych budziły prawdziwą ekstazę. Ania siedziała przy stole i z przyklejonym uśmiechem wysłuchiwała bałwochwalczych tyrad. Byli wśród gości tacy, którzy szczerze wierzyli w Trzecią Rzeszę, ale w zachowaniu innych dostrzegała sztuczność. Przyklaskiwali głośniejsze, energiczniej kiwali głowami, nawet pokrzykiwali, ale nie mieli przy tym swojego zdania i okazywali dziwny niepokój. Byli też tacy jak Ania i Gustaw: oszczędni w wyrażaniu podziwu dla ojczyzny i dokonań wojsk hitlerowskich. Należał do nich również Johann Fengler, który w przeciwieństwie do swej fanatycznej żony, Magdy, wyglądał nawet na nieco znudzonego.

– Szczerze mówiąc, mam już dość tych wszystkich rautów. *Heil Hitler* i *Heil Hitler* – powiedział do Ani, kiedy siedzieli w ogrodowej altanie. – I widzę, że pani również. Nie dostrzegłem zbyt dużego entuzjazmu na pani licu podczas tych wszystkich przesadnych toastów.

– Nie, nie, nie – zareagowała natychmiast, ale w sposób zdradzający podenerwowanie. – Wierzę w naszego wodza i w Rzeszę Niemiecką. To

ogromne szczęście, że przewodzi nam tak wielka osobowość – plotła wyuczone formułki. – Głęboko w niego wierzę.

– Ależ pani Guderian, przede mną nie musi pani udawać – kontynuował wolno zblazowanym tonem Fengler. – Ja już swoje lata mam i naprawdę dużo widzę.

Ania wzięła głęboki wdech.

– No to tym razem wzrok pana myli.

– Jak pani woli, pani Guderian. Nie ma niczego złego w byciu znudzonym tymi ciągłymi toastami. Nasz Führer oczekuje od nas jedynie posłuszeństwa, a to objawiać się może w różny sposób.

– Co ma pan na myśli? – Upiła łyk szampana.

– Jedni wznoszą głośne toasty, inni działają w ciszy. Ja wolę to drugie.

– Zacnie, panie Fengler.

Spojrzała na niego badawczo, a on na nią. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Wybacz pan, panie Fengler, ale być może mylnie pan zinterpretował moje zachowanie. Jestem zamyślona, to fakt... Bywam cicha, to też fakt. Jednak wynika to z tego, że, jak pan być może wie – spojrzała mu prosto w oczy – straciłam ciężę i jeszcze nie doszłam w pełni do siebie. – Ania posłużyła się argumentem, którego miała używać w ostateczności. Uznała, że owa ostateczność właśnie nastąpiła.

Johann Fengler zaczął się mętnie tłumaczyć i kajać, a Ania odetchnęła. Po chwili zmieniła też partnera do rozmowy, bo na przyjęcie przybyła Michelle LaCour, jak zawsze spóźniona, i uratowała ją od towarzystwa uciążliwego mężczyzny.

– Moja kochana, jakże się cieszę, że w końcu cię widzę. I żałuję, że nie mogłam przybiec do ciebie od razu, kiedy tylko wróciłaś do miasta. Tak bardzo mi przykro z powodu twojej straty. Wierzysz mi?

– Oczywiście. Dlaczego miałabym nie wierzyć?

Michelle uściśniła dłonie Anny.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Nic mi nie jest.

– A...?

– Nic mi nie jest – powtórzyła dobitnie. – Doktor powiedział, że takie sytuacje są czymś normalnym i że za dwa, trzy miesiące mogę znowu starać się o dziecko.

– To wyśmienite wieści. Naprawdę się cieszę. I też mam wspaniałą wiadomość.

– Jesteś w ciąży?

Michelle wybuchnęła śmiechem tak głośnym, że wiele osób spojrzało w jej kierunku. Jednak LaCour nic sobie z tego nie robiła.

– Ja? Ja nigdy nie będę miała dzieci! To nie dla mnie. Mam coś o wiele lepszego. Dostałam rolę! No, rolę. Wessely mi załatwiła. Jest naprawdę mała, właściwie epizod, raptem kilka zdań, ale od czegoś muszę zacząć. Korzyść jest taka, że teraz będę częściej bywała w stolicy. To mnie cieszy najbardziej, bo złapię trochę znajomości, no i tam są najlepsze przyjęcia.

– Zazdroszczę ci.

– Wcale nie musisz. Możesz jeździć ze mną. Nie na każdy spektakl, ale od czasu do czasu?

Ania zapaliła się na myśl o podróży do Berlina, miasta sławionego przez poetów i wychwalanego przez zwykłych ludzi. Miasta, które znajdowało się na liście jej dziecięcych, nierealnych marzeń na równie wysokim miejscu co Paryż. Tak! Ileż by dała, żeby tam pojechać! Żeby zobaczyć słynną Sie-gessäule<sup>[36]</sup>, Brandenburger Tor<sup>[37]</sup>, pospacerować alejami parkowymi barokowego Charlottenburga. Propozycja Michelle sprawiła, że Anna na chwilę oddała się marzeniom, ale tylko na chwilę. Zdała sobie bowiem sprawę, że owszem, chciałaby zobaczyć Berlin, ale nie współczesny, nie ten, który jest siedzibą zła i źródłem zarazy trawiącej jej ojczyznę.

– Wielki świat nie jest dla mnie, Michelle. Stettin mi wystarczy. Może kiedy skończy się wojna...

– Przecież w Berlinie nie ma wojny. Tam jest raj.

Ania chciała powiedzieć, wykrzyknąć nawet, że może i w Berlinie jest raj, ale za to Europę pożera ogień, którego zarzewiem jest właśnie to rajskie miasto. Nie zdążyła jednak otworzyć ust, kiedy u jej boku stanął Gustaw i podjął rozmowę z Michelle.

fbfbf

Lotta żegnała Anię niechętnie. Wolała, by ta została z nią dłużej.

– Nie zdążyliśmy nawet dobrze porozmawiać.

– Jeszcze będzie okazja.

– To na pewno, ale przez ostatni kwartał nie widywałyśmy się tak często, jak bym tego pragnęła, i liczyłam dziś na dłuższą konwersację.

– Chętnie, ale jeszcze nie doszłam do siebie. Zadzwoń i wpadnę na herbatę. No i sukienek nowych mi potrzeba.

– O! – Lotta wyraźnie się ucieszyła. – A ja mam nowe materiały. Będzie z czego szyć. I nowe krawcowe, wiele nowych krawcowych. Są wydajniejsze od poprzednich. I przede wszystkim żadna nie jest ciężarna.

Ania wiedziała o tym, że w zakładzie nie ma już Lucyny Nadolnej, nie ma prasowaczki o szerokich barkach ani zdolnej krojczej. Gustaw jej o tym powiedział, kiedy mieszkali w Gross Born. Nadolną przenieśli na wieś, do małego gospodarstwa. Ania czasami zastanawiała się, jak drobna Lucyna radzi sobie z ciężką pracą na roli albo przy zwierzętach. Miała jednak nadzieję, że, jak zapewniał Gustaw, trafiła do dobrego bauera, który nie robił użytku z bata.

– Aaa! – Lotta wyrwała ją z zamyślenia. – Co ja zresztą będę tu nad krawcowymi rozprawiać. Rasą podludzi nie warto się zajmować.

„Rasą podludzi...” – powtórzyła w myślach Anna, a kiedy jechali z Gustawem samochodem, wylała przed nim swoje żale.

– Jak w ogóle można w taki sposób kogokolwiek kategoryzować? Jak można jednych nazywać podludźmi, a drugich nadludźmi? Dlaczego Lotta tak mówi?



– Przez ostatnie miesiące ciotka bardzo się zradykalizowała. Nie chciałbym, abyś do niej zachodziła teraz zbyt często. Nie będziesz się u niej dobrze czuła, a poza tym bywają tam żony i kochanki wysoko postawionych w SS. Stała się modna i dużo dla nich szyje.

– Zachowuje się tak, jakby była szefową propagandy nazistowskiej. Tylko Hitler i Hitler! Czy ona nie widzi, że ten człowiek niszczy świat? Że jedyne, na czym mu zależy, to władza i że sięga po nią z jakichś chorych pobudek?

– Jasne, że nie widzi. Tak samo jak miliony innych Niemców.

– Ale przecież ona jest wykształcona, obyta.

– Co nie znaczy, że nie ulega wpływom innych wykształconych i obywatych.

Ania zamyśliła się.

– Wiesz... Przypomniałam dziś sobie o Lucynie Nadolnej. Czy dobrze jej tam, na tej wsi...

– Jak wiesz, to nie zależy od miejsca, a od gospodarza. Tak jak ci mówiłem, z dokumentów wynika, że trafiła do bauera z dobrym wywiadem, na małe gospodarstwo. Nic więcej nie wiem, ale już samo to dobrze wróży.

– Mam nadzieję.

Anna przyjęła jego słowa do wiadomości, a on przeklął w duchu. Doskonale wiedział, w jakiej sytuacji obecnie znajdowała się Lucyna Nadolna. Sam przecież wysłał ją do gospodarstwa nieopodal Köslina<sup>[38]</sup>, sam wybrał bauera z nieskalanym wywiadem. Sam zdecydował o jej przyszłości. Wszystko po to, by odciąć Annę od problemów, a relacja z tą robotnicą właśnie tak się Guderianowi malowała. Jako jeden wielki problem.

Choć Gustaw był kłamcą doskonałym, a Anię okłamywał nie pierwszy raz, nadal do tego nie przywykł. Kochał ją i oszukiwanie jej burzyło jego spokój. Gdyby tylko była mu obojętna, gdyby jej widok nie sprawiał, że czuł radość i ulgę, byłoby znacznie łatwiej. Ale czy wtedy zrobiłby dla niej to wszystko? Czy poświęciłby tyle istnień, by ona jedna mogła żyć? Nie. Na pewno nie.

- A słyszałeś, że Michelle zagra w Berlinie? – Ania zmieniła temat.
  - Trudno było nie słyszeć. Rozповідаła o tym na lewo i prawo.
  - Zaprosiła mnie na spektakl. Chciała, bym się z nią wybrała do Berlina.
  - Mam nadzieję, że odmówiłaś?
  - A jak myślisz?
  - Wierzę, że tak właśnie zrobiłaś. Że nie zamierzasz pojechać do miasta, w którym nie mam żadnej władzy.
  - Władzy? To w Stettinie jakąś masz?
  - Tak się mówi – rzucił nieco zmieszany. – Wiesz, o co chodzi.
- Ania się roześmiała.
- Pewnie, że wiem, ale zabrzmiało to tak, jakbyś był co najmniej szefem policji albo – dodała ciszej – szefem Gestapo.
  - Nie żartuj sobie. Nie chciałabyś, żeby tak było.
- Anna natychmiast spoważniała.
- Gdyby tak było... Gdybyś był z Gestapo, nie potrafiłabym z tobą żyć.

## NAJSŁABSZE OGNIWO

Nie było dnia, by Ania nie rozmyślała o Joli, Oleńce i Radku. O tym, czy bezpiecznie dojechali na miejsce. Czy wystarczyło im paliwa? Czy przypadkiem nie zatrzymał ich niemiecki patrol? Czy dotarli do Józefiny i Ryszarda? Czy...? Czy...? Czy...? Tych pytań było wiele, może nawet zbyt wiele. Ucichły, kiedy Guderianom doręczono kartkę z pozdrowieniami z Brombergu od Reintera, Judite i Alexandry oraz wujostwa.

„A więc żyją! Wszyscy!” – pomyślała Anna i poczuła ulgę.

Wówczas jeszcze intensywniej zaczęła o nich myśleć. Widziała Jolę w jarużyńskim ogrodzie, jak trzyma na rękach Oleńkę i wesoło nuci jej swoją ulubioną piosenkę *Sex appeal* Eugeniusza Bodo. Albo jak wieczorową porą przystawia dziewczynkę do nabrzmiałej piersi i karmi do momentu, aż mała przysypia. Gdzieś obok Joli wyobrażała sobie Radka. Zawsze z papierosem w ustach i z niewiadomego powodu w białym podkoszulku, który lata temu zwykł zakładać na treningi boksu. W tych wyobrażeniach Radek miał pogodną twarz chłopaka sprzed wojny, a nie wychudzonego mężczyzny, którego zobaczyła w progu domu w Gross Born.

Myślenie o nich było niczym antidotum na katastrofalne wieści, jakie od początku maja napływały z Europy Zachodniej. „Hitler prowadzi nas do zwycięstwa”, „Europa kłania się Hitlerowi”, „Niemiecka potęga nie do zatrzymania” – krzyczały nagłówki gazet i spikerzy radiowi. Ania traciła nadzieję na szybkie zakończenie wojny i na powstrzymanie Hitlera przed ekspansją na nowe terytoria. Bała się przyznać na głos, że nazistowska dominacja staje się rzeczywistością.

Kiedy Niemcy „zdobyli Paryż”, przez dwa dni nie wychodziła z domu, bo euforyczne nastawienie mieszkańców miasta było dla niej nie do zniesienia. Czuła, jakby jakaś jej część umarła. Pamiętała, jak jej tata mawiał,

że Paryż nigdy nie uklęknie przed Hitlerem. Jan Łabędź bardzo wierzył we francuską potęgę. Jakże się mylił... Wszyscy się mylili, poza Hitlerem.

Gustaw próbował ją pocieszać. Przynosił kwiaty, nastawiał płytę z muzyką taneczną.

– Naprawdę nie mam nastroju – przekonywała go. – To dla mnie najgorszy możliwy scenariusz.

– Dla mnie też.

– Jesteś Niemcem. Co może być w tym dla ciebie najgorszego?

– Naprawdę tak o mnie myślisz? – Spojrzał na nią surowo i zobaczył na jej twarzy zmieszanie. Od razu złagodniał. – Jestem Niemcem, który za żonę ma Polkę. To nie wystarczy?

– Przepraszam. Nie chciałam, ale...

Guderian wyciągnął ją z łóżka i zaprowadził do jadalni. Na środku dużego stołu stał wazon pełen herbacianych róż.

– Nie było twoich ulubionych białych – stwierdził.

– Te też są piękne.

Ciaśniej zawiązała podomkę i usiadła na krześle. Gustaw nalał jej herbaty, podał talerzyk z jabłecznikiem i zajął miejsce naprzeciwko. Przez otwarte okno wlewały się radosne śmiechy z ulicy i entuzjastyczne okrzyki *Heil Hitler*.

– Słyszysz, jacy są szczęśliwi? – Wskazała za okno.

– Słyszę, Anno, słyszę. I trudno im się dziwić. Kraj, w który wierzą, staje się światową potęgą. Pani Koch zaczepiła mnie dziś na korytarzu i choć nigdy nie śmiała nawet tknąć, padła mi w ramiona. Powiedziała, że tak szczęśliwa nie była w całym swoim życiu.

– Ludzie zupełnie zwariowali. Ale masz rację, nie dziwię się Niemcom. Kiedy twój kraj odnosi zwycięstwa, to masz naturalny powód do dumy. Ale dziwię się tym wszystkim milionom ludzi, którzy nie są w stanie stawić Hitlerowi oporu. Dziwię się Paryżowi, który wpuszcza Wehrmacht z niemal wersalskimi manierami. A co, jeśli Hitler rzeczywiście podbije cały świat?

Gustaw pokręcił głową.

– To raczej niemożliwe. Ludzie w końcu przejrzą na oczy, zobaczą krzywdy, jakie dzieją się za sprawą jego decyzji. Na przykład Amerykanie.

– Ale kiedy? Kiedy to nastąpi?

– Chciałbym powiedzieć, że niebawem, ale szczerze mówiąc, chyba musimy uzbroić się w cierpliwość. To raczej nie będzie krótka wojna.

Ania przesunęła palcem po uszku filizanki.

– A jeśli nie będzie już do czego wracać? Jeśli na mapie świata nie będzie miejsca dla Polski?

– I ty to mówisz? Wielka patriotka? Teraz tym bardziej musisz być silniejsza. Teraz nie wolno ci wątpić w swój kraj. Tak jak i mnie w Niemcy, ale nie w te, którymi rządzi chory na zachłanność dyktator, a mądry człowiek szanujący prawa innych. Tak jak ty boję się o przyszłość, o to, co się wydarzy, ale jednocześnie wierzę, że jeszcze będzie normalnie. Bo dopóki jesteśmy razem, dopóty mam nadzieję.

Ania nieoczekiwanie wstała. Podeszła do kredensu, spojrzała na zdjęcie babci Gustawa i wzięła je do ręki.

– Twoja babcia chciałaby, żebym była silna. Pamiętam, jak mówiła, że naród jest tak mocny jak jego najsłabsze ogniwo. A więc muszę być silna, żeby mój kraj odzyskał miejsce na mapie świata, żebyśmy mogli się spotkać z Jolą i Radkiem, z innymi Polakami, i to na polskiej ziemi. Niech się wali, niech się sypie. Nie zwątpię i nie będę najsłabszym ogniwem.

## ZUPEŁNIE INNA KOBIETA

W ciągu następnych tygodni, mimo hiobowych wieści docierających z różnych stron świata, Ania, tak jak postanowiła, nie okazywała słabości. Stała się najsilniejszą wersją Anny Łabędź. Silniejszą od tej, która podniosła się po śmierci mamy. I od tej, która musiała walczyć o powrót ojca do żywych. Nawet od tej, która widziała egzekucję swoich bliskich. Dumnie nosiła głowę, podczas przyjęć uśmiechała się, żartowała, na spektaklach głośno klaskała. Komplementy w stylu: „Jest pani dumą Rzeszy Niemieckiej” czy „Drzemie w pani prawdziwy narodowy socjalizm” przyjmowała z godnością i udawanym zadowoleniem, nawet kiedy padały z ust fanatyków Hitlera, o których miała najgorsze zdanie. Nawet wówczas, gdy słyszała je od Sturmbannführera Edwina Rothmanna, któremu najchętniej odcięłaby język, a może i nie tylko język.

– No i widzi pani, pani Guderian, te tępe Polki nigdy nie odpowiedziałyby w tak wyrafinowany sposób jak pani. Tylko czystej krwi Aryjka tak potrafi – powiedział do niej Rothmann, kiedy niefortunnie posadzono ją obok niego na przyjęciu w Haus Ponath.

Rozmawiali o aktualnej sytuacji w Europie i Ania wyraziła swoje zdanie na temat eugeniki oraz dążenia do stworzenia genetycznie perfekcyjnego społeczeństwa. Oczywiście, nie wierzyła w to, co mówiła, ale karmiony nazistowską papką Rothmann nie mógł tego dostrzec, gdyż obeznana w propagandowych treściach i perfekcyjnie przygotowana przez Gustawa do rozmów na tematy polityczne i społeczne Ania po raz kolejny świetnie odgrywała swoją rolę. I czuła, że może grać przykładną Niemkę nawet kolejny rok, a jeśli trzeba – to i dłużej. Było jej tym łatwiej, że o ile słowem opowiadała się za Trzecią Rzeszą, to czynem tylko za Polską.



Od czasu ostatniej kolacji u Lotty Ania rzadko pokazywała się na salonach. Straciła chęć do bywania w towarzystwie, które pławiło się we frontowych sukcesach Trzeciej Rzeszy. Kiedy Gustaw naciskał, oczywiście pojawiała się u jego boku i sumiennie odgrywała swoją rolę, ale potwornie ją to męczyło. Gdyby jeszcze towarzyszyła jej Michelle, która zawsze potrafiła osłodzić Annie takie wyjścia! Teraz jednak aktorka spędzała więcej czasu w Berlinie niż w Stettinie.

– Przez twoją nieobecność nie bywam na salonach – stwierdziła podczas rozmowy telefonicznej. – Nikogo ciekawego tu nie ma!

– To przyjedź do mnie, do Berlina! – zawołała Michelle. – U mnie same interesujące osoby. Gwiazdy kina, najwybitniejsi artyści, architekci światowego formatu. Zaprzyjaźniłam się z Gründensem, a Wessely to teraz moja najlepsza przyjaciółka.

– Uważaj, bo stanę się zazdrosna – zażartowała Anna.

– Daj spokój! Takiej przyjaźni jak nasza nie da się dorównać. Z tobą przyjaźnię się, bo chcę, a z Paulą, bo to mi się po prostu opłaca.

Rozmowy z Michelle zawsze dodawały Annie energii. Uwielbiała jej towarzystwo nawet przez telefon. Ta kobieta miała w sobie coś tak elektryzującego, czego Ania nie widziała w nikim innym. A już na pewno nie w żadnej z kobiet na kameralnym przyjęciu pożegnalnym, które w swoim atelier zorganizowała Lotta i niemal siłą zmusiła Annę, by się na nim pojawiła. Bramen po latach banicji wracała do podberlińskich włości, miejsca najwspanialszych przeżyć i najgorętszych wspomnień.

– Dzięki przychylności żony samego Reichsführera, Heinricha Himmlera, dzięki temu, że dostrzegł moje wyjątkowe zaangażowanie w rozwój Rzeszy Niemieckiej, odzyskałam rodzinną rezydencję, którą, na moje nieszczęście, przez ostatnie lata władali żydowscy złodzieje. Już ich tam nie ma, a rezydencja została odkażona, bo kto wie, jakie choroby roznoszą ci marnej krwi ludzie! – prychnęła. – Ponoć z karaluchami żyją za pan brat! – Kobiety zachichotały, a po chwili zaczęła się śmiać również Lotta. – Tak, Tak! Macie rację! Teraz trzeba się cieszyć, śmiać i bawić! – Wzniosła kielišek. – Za potęgę Rzeszy Niemieckiej!

Wbrew temu wszystkiemu, co padło wówczas z ust Lotty, Anna zaliczyła przyjęcie do udanych, bo garstka kobiet, które siedziały przy suto zastawionych ławach, bardziej była zainteresowana modą i kinem niż polityką. Wyszła więc stamtąd podwójnie zadowolona. Po pierwsze, przeprowadziła kilka odprężających rozmów o kinowych nowinkach, a po drugie, co tak naprawdę stanowiło dla niej korzyść nadrzędną, pożegnała Lottę, która już w następnym tygodniu miała się przenieść pod Berlin.

W doskonałym nastroju czekała wraz z innymi na taksówkę, kiedy za rogiem kamienicy dostrzegła kobietę, która wyraźnie wolałaby pozostać niezauważona. Ania od razu pomyślała, że to Polka, robotnica. Żadna Niemka nie musiałaby się przecież ukrywać. Ania spojrzała na zegarek. Zbliżała się dwudziesta druga. Późno. Jeśli ta kobieta nie pracowała na nocną zmianę lub nie miała innego logicznego wytłumaczenia na swoją obecność o tej porze na ulicy, czekały ją poważne problemy. Robotnikowi przymusowemu nie wolno było ot tak przechadzać się po mieście.

Ania wyszła z kolejki oczekujących na podwózkę i ruszyła w jej stronę. Na jej piersi dostrzegła naszywkę z literą P, co tylko upewniło ją w przekonaniu, że ma do czynienia z rodaczką.

– Co tu robisz? – zapytała po polsku z wyraźnym niemieckim akcentem, zbliżywszy się do kobiety.

Tamta zdziwiła się. Nieczęsto spotykała eleganckie Niemki mówiące po polsku.

– Wracam z pracy – powiedziała czupurnie, choć wydała się złąkniona.

– O tej porze?

– Tak. Mam dokumenty – rzuciła, ale żadnych nie wyciągnęła.

– To dziwna pora na powrót z pracy. Na której zmianie pracujesz?

– Na właściwej i... mam wszystkie papiery! – oznajmiła, ale Ania wiedziała, że to kłamstwo.

– Dobrze, rozumiem. A gdzie mieszkasz?

– Przy Bugenhagen Strasse<sup>[39]</sup>.



– To kilka przecznic stąd... Pójdę z tobą – oznajmiła, zaskakując i siebie, i Polkę. – Nie uda ci się samej dojść na miejsce. Z drugiej strony – Ania wykonała ruch głową – idzie patrol.

Polka spojrzała w tamtym kierunku, ale próżno było szukać w jej oczach strachu. Była raczej uważna niż przerażona.

– Ze mną jesteś bezpieczna – dodała Anna. – Bugenhagen Strasse? Tam jest twój dom?

– Dom? Tu nie ma mojego domu – butnie odparła kobieta. – Mój dom został w Barcinie – prychnęła. – Ale to na pewno nic pani nie mówi.

Ania zadrżała. Jakże jej to mogło nic nie mówić! Mówiło, i to wiele. Barcin był prawie jak jej dom. Prawie jak Bydgoszcz i jej kochany Fordon. Boże drogi! Stała obok kogoś, kto chodził kiedyś prawie tymi samymi ścieżkami co ona! W jednej chwili dotarło do niej, że los celowo złączył ich drogi.

– Oczywiście, że nic mi nie mówi. Bar... – Zacięła się specjalnie.

– Barcin! – rzuciła śmiało tamta.

Ruszyły. Polka wyraźnie kulała, krzywiąc się przy każdym kroku. Ania chciała, bardzo chciała zapytać o powód, o to, czy nie potrzebuje pomocy, ale wiedziała, że nie powinna. I tak przekroczyła dopuszczalną granicę kontaktu z Polakami.

– Proszę mnie zostawić – oponowała kobieta. – Poradzę sobie sama. Mam dokumenty.

– Nie kłam. Wiem, że nie masz.

– I tak sobie poradzę!

Kobieta była wyjątkowo zuchwała. Zwyczajny człowiek dawno by się zirytował, ale przecież Ania do zwyczajnych nie należała.

– Jak chcesz. Idź więc! Już! – rozkazała tonem nadzorcy, dla podkreślenia mocy swych słów mówiąc trochę po polsku z udawanym akcentem, a trochę po niemiecku.

Polka spojrzała na nią skonsternowana.

– No idź, co się gapisz?! Szybko!

Polka po raz pierwszy wystraszyła się Anny i pospiesznie wykonała polecenie. Ruszyła prawie biegiem i to był błąd. Noga, na którą utykała, wykrzywiła się nagle i kobieta upadła na chodnik. Próbowwała wstać, ale bezskutecznie. W Ani natychmiast obudził się pielęgniarzski duch. Ruszyła w stronę kobiety.

– To nic wielkiego – stwierdziła, gdy sprawdziła kostkę. – Nie jest złamana. Zaraz ci pomogę.

– Pani? Mnie?

– A widzisz tu kogoś innego?

– Ale dlaczego?

Anna nie odpowiedziała, choć chciała rzucić najprostsze zdanie, jakie przyszło jej na myśl: „Bo jesteś człowiekiem”.

Zdjęła z szyi kaszmirowy szal i umiejętnie obwiązała nim nogę. Na skórze kobiety dostrzegła wiele czerwonych plam.

„Egzema” – od razu przypomniała sobie stronę z *Księgi chorób skórnych i wenerologicznych*, gdzie po raz pierwszy przeczytała o tej przypadłości.

– Musisz ją usztywnić i na pewno oszczędzać. A już absolutnie nie wolno ci biegać, rozumiesz? – Niemiecki akcent wychodził jej idealnie. – Naprawdę mieszkasz na Bugenhagen Strasse?

– Tak, tymczasowo.

Ania wzięła kobietę pod ramię i ruszyły uliczkami Stettina, miasta, które ani dla jednej, ani dla drugiej nie było domem.

– Nie jestem twoim wrogiem – powiedziała Anna. – Jestem kobietą tak jak ty i chcę pomóc.

Spojrzała na powyginane palce hardej Polki. Albo musiały być niedawno złamane, albo trawiła je choroba reumatyczna.

– Co ci się stało?

Kobieta zerknęła na swoją dłoń.

– Wypadek w pracy.

– Złamanie?

– Tak.

– Nie jestem lekarzem, ale wygląda na to, że kości źle się zrosły. Doktor powinien to zobaczyć, ponownie złamać i nastawić.

– Złamane pewnie będą jeszcze nie raz, bo nasz wachman nie szczędzi nam kija i bata.

– Bata? – Ania wypowiedziała to słowo tak, jakby nie rozumiała jego znaczenia.

Polka wydała z siebie świst i ruchem ręki pokazała, co ma na myśli. Ale Ania doskonale rozumiała znaczenie słowa „bat”. Pamiętała człowieka, który okładał nim ludzi.

– Wachman was bije? Batem?

Kobieta spojrzała na nią kątem oka, jakby w pytaniu Ani doszukiwała się podstępu.

– A czego mnie pani na spytki bierze, jakby z jakiego urzędu była? Albo... z Gestapo?

– A wyglądam na kogoś z Gestapo?

– I owszem. Oni do współpracy wybierają samych niepozornych.

Anna nabrała powietrza.

– Zapewniam, że nie jestem ani z Gestapo, ani z policji, ani z żadnego urzędu. Po prostu nie wyobrażam sobie, jak można wyżywać się na swoich robotnikach.

– On ma to gdzieś! Temu potworowi nie należy się miano człowieka. To bydlak i mam nadzieję, że kiedyś go ktoś ukatrupi. Oby niehonorowo, bo tylko na taką śmierć zasługuje.

Ania w duchu potaknęła kobiecie, bo i ona życzyła takim ludziom śmierci. Nie lubiła wydawać wyroków, ale uważała, że gnidy zniżające się do przemocy fizycznej nie powinny chodzić po tej ziemi.

Poczuła w piersi ogień. Może Gustaw mógłby zainterweniować w tej sprawie?

– Jak się nazywa wasz wachman?

– Lepiej niech zapyta, jak powinien! Ochlej, świnia, największa szumowina! – wypluła z siebie Polka. – Jest gorszy niż... – Chciała powiedzieć „niż Niemiec”, ale ugryzła się w język. – Nazywa się Dziarkowski... Stefan Dziarkowski.

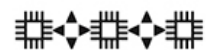
Nie, to niemożliwe... Annie pociemniało przed oczami. Oto dotarło do niej, że w tym dotychczas bezpiecznym dla niej Stettinie pojawiło się zagrożenie. Stefan Dziarkowski znał ją od dziecka, od maleńkiego! I nawet jeśli zmieniła się fizycznie, to i tak istniała szansa, że kiedy ją zobaczy, to ją rozpozna.

Zatrzymały się przed bramą obskurnej kamienicy. Anna odetchnęła uspokajająco, wciąż trawiąc niepokojącą wiadomość o Dziarkowskim. Spojrzała na Polkę i wyciągnęła z torebki czerwoną szminkę.

– Wiem, że to nic wielkiego, ale może chociaż dzięki niej czasami poczujesz się bardziej kobieco.

– Dziękuję! – Tamta szczerze się ucieszyła. – W pracy nie wolno nam się malować, ale... przed snem mogę.

Ania wcisnęła jej jeszcze kilka monet i ruszyła czym prędzej z powrotem w kierunku postoju taksówek.



Kiedy weszła do domu, Gustaw czekał na nią w salonie.

– Długo cię nie było.

– Przepraszam, tak wyszło.

Wiedziała, że się spóźniła, i wiedziała, że Gustaw bardzo tego nie lubił. Usiadła naprzeciwko niego i nie zwlekając, wypaliła:

– Dziarkowski jest w Stettinie.

Gustaw sięgnął po papierosa i zapalił.

– Wiem. Siedzi tu od trzech tygodni.

– Od trzech tygodni? – Anna otworzyła szeroko oczy. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie było potrzeby. Poza tym nie chciałem cię denerwować.

– Denerwować? Przecież on mnie zna! Wie, kim jestem.

Gustaw dziwnie spokojnie zaciągnął się papierosem.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę, ale po pierwsze, on nie mieszka na obrzeżach Stettina, a po drugie, wyglądasz całkiem inaczej. Sama mówiłaś, że jesteś nie do poznania.

– Ale dla kogoś, kto widywał mnie od dziecka, inna fryzura i ubranie nie będą stanowić żadnego kamuflażu!

– Musiałby się spodziewać, że może cię spotkać, a wiesz, że tak nie jest. On myśli, że nie żyjesz. Tak jak cała twoja rodzina i... jego syn.

– Antoni zginął?

– Owszem. Antoni nie żyje.

Ania wstała i podeszła do okna.

– Dziarkowski to jedyny człowiek, któremu szczerze życzę śmierci. Wiem, że proszę o wiele, ale jeśli masz jakiegokolwiek wpływy, błagam, przenieś go gdzie indziej.

– Będę się starał – powiedział Gustaw nie do końca szczerze, bo już poczynił pierwsze kroki, by pozbyć się Dziarkowskiego.

– A tak w ogóle skąd o nim wiesz? – zapytał.

Ania milczała.

– I co robiłaś na Bugenhagen Strasse?

Z niedowierzaniem spojrzała na męża.

– Śledziłaś mnie?

– Znowu się bawisz w dobrą samarytankę? Prosiłem cię, byś tego nie robiła. Byś nie pomagała Polkom. W ten sposób się wystawiasz. Nie możesz tego robić, zrozum, Anno.

– Nie mogę przestać, Gustawie. Tak naprawdę to jedyne, co mogę teraz robić: pomagać. Nie dla mnie bywanie na salonach, ucztowanie na przyjęciach – wyznała. – Ja chcę i muszę robić coś dla innych. Nie potrafię inaczej. Kiedy widzę, że ktoś potrzebuje pomocy, po prostu jej udzielam. Nie ma dla mnie znaczenia, czy jest Polakiem czy Niemcem. Człowiek to czło-

wiek. A to, że pomogłam Polce ze skręconą kostką nie wpaść w ręce patrolu... Nie mogłam inaczej, Gustawie. Ona miałaby problemy.

– Ty też byś je miała. Wszyscy byśmy mieli – rzucił ze złością.

– Poradziłabym sobie. Jestem dobrą aktorką, pamiętasz?

Gustaw wstał i podszedł do żony. Miał groźne spojrzenie, ale ona odwzajemniała mu się hardością.

– Jesteś taka nieugięta.

– Jestem. Nic na to nie poradzę.

Westchnął.

– Wiedziałem, że kiedyś przyjdzie moment, w którym mimo naszej umowy pomożesz jakiejś Polce, Francuzce czy Holenderce. Jakiejś robotnicy, z którą nie powinnaś mieć żadnego kontaktu. Nie znam drugiej kobiety tak wrażliwej na ludzką krzywdę. Choć mamy wojnę i dzisiaj to strasznie głupie i niebezpieczne – złapał kosmyk jej włosów i założył za ucho – to zawsze, ale to zawsze będę cię chronił w każdy możliwy sposób. Będę się starał, by twoje odruchy serca nas nie zgubiły. – Popatrzył jej głęboko w oczy. – Śledziłem cię dziś, owszem. Od kiedy wiem, że Dziarkowski jest w okolicy, mam cię cały czas pod obserwacją. Głównie swoją, ale nie tylko. Dzisiaj coś mi mówiło, że muszę się zjawić przy atelier, zobaczyć, czy wsiądziesz do taksówki. Kiedy dostrzegłem tamtą Polkę, po prostu wiedziałem, że do niej podejdziesz. Nie wahałaś się ani chwili. Byłem na ciebie wściekły, ale czułem również dumę. Bo jesteś taka odważna i cholernie dobra. Kiedy oddałaś jej swój szal, swój ukochany szal, po raz kolejny się przekonałem, że dla ciebie nie liczą się żadne świece, a ludzie. I że będziesz im pomagać, choćby zabroniły ci tego najbardziej wpływowe osoby świata. Taka jesteś. Najwspanialsza i zarazem najniebezpieczniejsza.

– Najniebezpieczniejsza?

– A czy z tobą można czuć się bezpiecznie?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Obiecuj mi jedno – szepnął.

– Tak?

– Jeśli ktokolwiek cię zapyta, dlaczego pomagasz robotnicy, powiesz, że to nie jej pomagasz, lecz starasz się, by Rzesza Niemiecka nie straciła siły roboczej.

– Przecież to jest to samo.

– Ale inaczej brzmi. Dla Niemca w pełni satysfakcjonująco.

– Tyle mogę ci obiecać.

## DZIEWCZYNA Z RYNSZTOKA

Spotkanie z Polką i rozmowa z Gustawem odmieniły życie Anny. Dotarło do niej, że zjawiała się w Stettinie nie po to, by wegetować ani by przecha-  
dzać się po parku czy bawić się na strojnych przyjęciach, lecz by pomagać.  
Przecież właśnie dlatego marzyła o pielęgniarstwie, dlatego chciała nosić  
kitel.

W głowie od razu stworzyła plan. Wiedziała, że najprostszą i najbez-  
pieczniejszą formą pomocy będzie podrzucanie kobietom sprawunków albo  
leków, na przykład na egzeme. Pamiętała, że na skórze Polki było wiele  
zmian, i wiedziała, że nieleczone mogą się zaognić i sprawiać ból, a z bó-  
lem przecież ciężko się pracuje. Zamierzała odnaleźć kobietę z Barcina  
i dać jej maść, którą kupiła w aptece, dlatego chodziła niemal codziennie  
Bugenhagen Strasse. Bezskutecznie. Z kamienicy, którą bacznie obserwo-  
wała, nikt nie wychodził. Nikt też do niej nie wchodził.

Do czasu.

Po kilku dniach tego szpiegostwa spotkała tam... Michelle. Aktorka ni  
stąd, ni zowąd wyszła z bramy i... ruszyła prosto w jej stronę.

– Co ty tutaj robisz, Anno? – zapytała, stanąwszy z nią twarzą w twarz.

– Ja? Co ty tutaj robisz?

– Na pewno nie łążę tam i nazad po szemranej okolicy. Przecież od razu  
widać, że coś kombinujesz.

– A to już nie można spacerować?

– Spacerować owszem, ale to, co ty tu wyczyniasz, to na pewno nie jest  
spacer.

– Ty za to na pewno tu nie mieszkasz – odgryzła się Anna.

– Pewnie, że nie. Wyobrażasz mnie sobie w takiej dziurze? Mnie?



– Więc co tutaj robisz?

– Bywam. Lubię dziewczyny – powiedziała poważnie Michelle, nie odrywając wzroku od Ani. – Nigdy tego nie ukrywałam.

Anię zamurowało. Na jej twarzy musiał się pojawić grymas zaskoczenia, bo Michelle parsknęła śmiechem.

– Żartuję! Robię to samo co ty!

Ania była pod takim wrażeniem, że nie potrafiła wykrzesać z siebie ani słowa. Zamiast tego pokręciła głową. Kompletnie nie rozumiała, co Michelle ma na myśli.

– Pomagam! – wyjaśniła LaCour. – Taka jedna, nazywa się Grażyna Szfraniak... – Polskie głoski zaszeleściły jej na języku. – Powiedziała, że kiedy skręciła kostkę, pomogła jej jakaś Niemka. Pokazała mi kaszmirowy szal, a ja od razu wiedziałam, że to ty. Dlatego ciebie wypatrywałam i dlatego po ciebie wyszłam.

– No i ja właśnie przyszłam po ten szal.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Michelle roześmiała się perliście.

– Oj, Aniu, Aniu... Już ci wierzę! Może był to twój ulubiony szal, ale na pewno nie przyszłabyś po niego tak po prostu. Przede mną nie musisz się kryć. Wiem, że obchodzi cię los tych kobiet. Mnie też. Chodź. – Złapała ją za rękę i pociągnęła w stronę sutereny.

Po chwili znalazły się w dusznym pomieszczeniu, w którym stało osiem metalowych łóżek, kilka regałów i dwie nieduże szafy. Gdyby nie małe okienka wpuszczające wąskie strugi światła i odrapane ściany, pokój wyglądałby jak szpitalna sala.

– Jedna z dziewczyn, które tu śpią, sprząta w Zentralhalle. Poprosiła mnie o pomoc dla koleżanki. Dlatego tu jestem. – Wskazała na łóżko przy ścianie. – Potrzebny jest lekarz, ale skoro się zjawiaś i trochę znasz się na leczeniu... – Zawiesiła głos i spojrzała wyczekująco na Annę, która w jednej chwili poczuła, jak włącza się w niej pielęgniarski dryg.

– Do szpitala nie pójdzie, bo by już stamtąd nie wróciła – dodała Michelle. – Wzięliby ją za dziwkę, a obie wiemy, że to by się dla niej źle skoń-

czyło.

– Co jej jest?

Michelle szepnęła coś do kobiety, a tamta bez zastanowienia podniosła kołdrę i podciągnęła koszulę nocną.

Krocze dziewczyny wyglądało potwornie. Było całe w ranach, jakby ktoś zamiast gąbki do mycia użył tarki. Ania nigdy czegoś podobnego nie widziała na żywo, ale pamiętała, jak Naborow psioczył na jednego klienta burdelu, który poharatał pochwę młodszej siostry Mani Kwiatkowskiej. Ania mogła ocenić krocze kruchej blondynki tylko z zewnątrz, ale z łatwością wyobraziła sobie, jakiego spustoszenia nieczne praktyki seksualne zбочzonego Niemca musiały dokonać w środku.

– Umieram, prawda? – zapytała dziewczyna płynnym niemieckim. – Pali mnie.

Ania złapała ją za rękę i poklepała pocieszycielsko.

– Nic ci nie będzie. Na takie rzeczy ludzie nie umierają. Są lekarstwa.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Medycyna ma już sposób prawie na wszystko. Co prawda nie na urwaną nogę – wysiliła się na uśmiech – ale na rany takie jak u ciebie już tak.

– Nie kłamie pani?

– Nie. Dlaczego miałabym kłamać?

Michelle odciągnęła Annę na stronę i wyszeptała:

– Ten nowy wachman jej to zrobił. Dziarkowski – wypowiedziała niemal idealnie nazwisko.

– Kto?!

– Nie każ mi powtarzać. Nie będę sobie kalać języka nazwiskiem tej szui.

– Dziarkowski? – powtórzyła Ania z wykwinnym niemieckim akcentem.

– Stary cap, niewyżyty kutas, zwał jak zwał, na jedno wychodzi. Jakbym go dorwała, to najpierw bym mu jaja urżnęła, a potem ten sam nóż do gar-

dła przyłożyła.

– Ja też! – rzuciła bojowo Ania, a po chwili dodała: – Za to, co zrobił tej... – spojrzała na blondynkę – ...tej dziewczynie.

– To zwyrodnialec – ciągnęła z obrzydzeniem Michelle. – Otumaniał ją narkotykami, a potem gwałcił przez tydzień i tłukł batem. Nie widziałaś jej pleców. Ponoć skrzyknął kilku i... Szkoda słów. Cud, że to przeżyła. Wyobrażasz sobie, że można być aż tak popieprzonym?

– Tak – odparła Anna zgodnie z prawdą, bo doskonale wiedziała, że Stefan Dziarkowski miał za nic kobiety, niezależnie od ich pochodzenia i statusu. Uważał, że powinny być całkowicie podległe mężczyznom i podporządkowane ich wszelkim zachciankom.

– To znaczy nie – wycofała się po krótkiej chwili. – Nie wyobrażam sobie, że ktokolwiek mógłby w taki sposób traktować drugą osobę. To nieopięte, ale wiem, że takie bestie istnieją. Słyszałam o nich nie raz. Trzeba to gdzieś zgłosić. Przecież jemu nie wolno! To tylko wachman. Nie wolno mu robić takich rzeczy.

– Nie wolno? – Michelle machnęła ręką. – Mało jeszcze wiesz o tym, co się dzieje w mieście. Gustaw trzyma cię pod kloszem i ochrania przed całym tym syfem. Takich potwornych wachmanów jest u nas kilku. Na szczęście tylko kilku, a Dziarkowski – wysyczała to nazwisko z nienawiścią – ponoć przenosi się gdzieś na północ.

Ania pomyślała, że Gustaw po raz kolejny się spisał, ale Michelle dodała:

– I gada wszystkim, że sam Rothmann załatwił mu awans. Nie wiem, czy to prawda, bo może i karnie go przenoszą, ale grunt, że stąd znika.

Ania poczuła się tak, jakby z serca spadł jej jakiś ciężki głaz.

„Przenoszą go” – pomyślała z ulgą, a potem spojrzała na cierpiącą Polkę.

Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła jej czoło z potu.

– Jak masz na imię?

– Małgosia.

– Słuchaj, Małgosiu, musisz dużo pić. Masz gorączkę, stan zapalny, być może wdało się zakażenie. Nie jestem lekarką, ale jeśli pozwolisz, obejrzę

cię dokładnie i postaram się pomóc.

Blondynka pokiwała głową i próbowała się podnieść, ale Ania ją powstrzymała.

– Leż. Ja sobie poradzę.

Michelle na prośbę Ani przyniosła ręcznik i miskę z wodą, a Anna w tym czasie dokładnie umyła ręce, układając w głowie plan, co powinna zrobić i w jakiej kolejności. Czytała książki o chorobach kobiecych, oglądała różne fotografie, pamiętała zasady zaopatrywania ran. Wzięła kilka uspokajających oddechów i jakby była wprawioną pielęgniarką, zaczęła oglądać ciało dziewczyny centymetr po centymetrze. Nie komentowała, choć w środku miotała przekleństwami. Nie zaciskała oczu, choć najchętniej odwróciłaby wzrok.

Przemyśla ciało dziewczyny najdokładniej, jak potrafiła. Plecy rzeczywiście wyglądały fatalnie, jednak to miejsca intymne były najbardziej poranione. Anna nie potrafiła zrozumieć, jak człowiek mógł coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi. Jaką bestią był Dziarkowski, by w taki sposób okaleczyć dziewczynę?

Ania poleciła Michelle skoczyć do aptekarza na rogu po płyn do dezynfekcji, mieszanek ziół na przyspieszenie gojenia ran i na gorączkę oraz opatrunki.

– Powiedz, że koleżanka aktorka się pokaleczyła i lekarz nakazał przemywać, ale zapomniał wypisać kwitu.

Michelle kiwnęła głową i wybiegła z kwatery. W tym czasie Ania oczyściła rany na ciele kobiety. Było ich tak wiele...

– Aptekarz nie pytał o szczegóły – powiedziała LaCour, gdy po niecałym kwadransie wróciła. – Rzuciłam mu kilka gładkich słówek i zrobiłam maślane oczy, a on dał wszystko i jeszcze maść dorzucił, nie żądając za nią zapłaty.

Ania powąchała maść, sprawdziła jej konsystencję i roztarła odrobinę na grzbiecie dłoni. Widziała, jak doktor Naborow tak robił, choć nie miała pojęcia dlaczego. Nie zdążyła zapytać.

Opatrzyła dziewczynę i wytłumaczyła, co Małgosia powinna robić i czym smarować. Poleciała jej też zioła na gorączkę i obiecała wrócić za kilka dni.

Kiedy wyszły z dusznego pokoju, Ania oparła się o ścianę i rozplakała. Michelle objęła ją ramieniem i przytuliła.

– Wiem, wiem, ta dziewczyna jest w strasznym stanie, ale wyjdzie z tego. Nie martw się. Nie damy jej umrzeć.

– Nie o nią mi chodzi – odezwała się Ania po chwili. – I to nie są łyzy rozpacz, a szczęścia. Bo ja zrozumiałam, że chcę to robić. Chcę pomagać. Polkom, Francuzkom, Holenderkom. Kobietom. Mężczyznom też, ale wojenne okrucieństwo w szczególny sposób odciska się na naszej płci. Tak myślę. Mężczyźni idą na front, a kobiety... Jeśli bezpiecznie czekają na swoich mężów, to ich szczęście. Ale jeśli padają ofiarami gwałtów najeźdźców czy nawet swoich, co to czają się na bezbronne i samotne, to ich osobista tragedia. Popatrz na Małgosię... – Zawiesiła głos. – Będę pomagać każdej, zdobędę leki, bandaże. Zacznę studiować książki, żeby robić to jak najlepiej, żeby każdą z nich utrzymać przy życiu jak najdłużej. Żeby zdołały przetrwać.

Michelle z uznaniem skinęła głową.

– Na to liczyłam. Widziałas tylko tę jedną, ale potrzebujących jest więcej. Może nie spotkasz ich codziennie, ale są.

Ania pokiwała głową, a potem ją olśniło.

– A dlaczego ty? Dlaczego ty to robisz, Michelle?

Wyglądało na to, że nie jest to pytanie, na które LaCour chciałyby odpowiadać. Na jej twarzy pojawiło się nagłe zmieszanie.

– Kiedyś, kiedy jeszcze mieszkałam we Francji, ktoś mi pomógł w podłej chwili – wyznała z trudem.

Przez jej boską twarz przemknął cień zawstydzenia.

– Pewna staruszka – kontynuowała jednak, już nieco odważniej – wyciągnęła mnie z rynsztoka i pomogła przeżyć. Bez niej pewnie by mnie tu nie było. Stara Charlotte każdego dnia szukała dziewczyn takich jak ja: pobi-

tych, zgwałconych, pozbawionych ochoty do życia. Zabierała je pod swój skromny dach i stawiała do pionu. Mnie również bardzo pomogła i to dzięki niej ja też czasami pomagam takim dziewczynom.

– Nie miałam pojęcia.

– To nie jest historia, którą opowiadam na wystawnych przyjęciach. Tam jestem elegancką Michelle, a nie dziewczyną uratowaną z rynsztoka. Choć przyznam, że kusi mnie, by wyjawić światu tę historię. Może stałabym się drugą Edith Piaf? Jesteśmy prawie równolatkami, ale ona dzięki opowieści o swojej mrocznej przeszłości zaszła dużo, dużo dalej.

– Nie znam historii Edith, ale myślę, że każdy powinien tworzyć własną. Twoja tworzy się tu, w mieście nad Odrą, a jej w mieście nad Sekwaną.

LaCour chyba potrzebowała takich słów. W jednej chwili jakby strzepnęła z siebie nostalgię, złapała Anię za rękę i pociągnęła do tylnego wyjścia z kamienicy.

Kiedy znalazły się na chodniku, zachowywała się już tak jak zawsze. Wesoło, dumnie, z pewnością siebie. W ani jednym procencie nie przypominała dziewczyny z rynsztoka.

## ANIOŁ STRÓŻ

Małgosia Dec, bo tak nazywała się krucha blondynka, szybko doszła do siebie i szczęśliwie wróciła do pracy w terminie. Ale zdarzały się inne dziewczyny, które potrzebowały pomocy; tę aranżowała Michelle i czyniła to całkiem sprytnie. Umawiała dziewczynę z Anną, udawała, że robi jej zdjęcie, i mówiła, że jeśli komukolwiek powie o udzielonej pomocy, fotografia dostanie się w ręce Gestapo z podpisem „Prostytutka”.

– Nie lubię ich oszukiwać – powiedziała na samym początku Ania, usłyszawszy o tym pomysle.

– A lubisz być martwa? – zakpiła Michelle. – Nie znamy tych kobiet, nie wiemy, z kim bywają albo w którym łóżku sypiają. Lepiej dmuchać na zimne. Musimy bardzo uważać.

Czasami pomoc ograniczała się do dostarczenia podstawowych leków, opatrunków, maści albo diafragm, którymi kobiety zabezpieczały się przed ciążą. Zdarzało się także, że Anna nie potrafiła pomóc, szczególnie gdy chodziło o brutalne gwałty, pobicia czy poronienia. Na te ewentualności Michelle znalazła podstarzałego i nadużywającego alkoholu doktora, który za butelkę napitku przyjmował robotnice w prywatnym lokum na przedmieściach.

Ania była szczęśliwa. W końcu odnalazła się w Stettinie, wreszcie czuła się potrzebna, a to poczucie było dla niej jak antidotum na dramatyczne wieści napływające z wojennego frontu. Martwiła się o to, co działo się z jej bliskimi w Bydgoszczy, i o to, że żadne mocarstwo nie potrafiło zatrzymać działających niczym dobrze naoliwiona maszyna wojsk Hitlera. Chłoneła wszystkie, absolutnie wszystkie wiadomości. Nie mogła spać, kiedy po raz pierwszy usłyszała o nalotach na Wielką Brytanię, a potem skakała z radości, gdy dowiedziała się, że Anglicy, z wydatną pomocą Pola-

ków, przegnali mocarne Luftwaffe. Bolała nad tym, gdy docierały do niej wieści o egzekucjach, łapanekach i eksterminacji rodaków. Miała w sobie wewnętrzną niezgodę na to, by zwykli obywatele cierpieli podczas działań militarnych, choć żal jej też było żołnierzy. Przecież do wojska zaciągano piekarzy, stolarzy, rolników, zwykłych ludzi, których potem przebierano w mundury i wyposażano w broń.

Gustaw ani razu nie sprzeciwił się temu, co Anna robiła wraz z Michelle, nie potępił tego, że naraża siebie i jego, choć każdego dnia się o nią bał.

– Daj spokój, Gustawie – powiedziała Anna asekuracyjnie, by go uspokoić. – Michelle wszystko świetnie obmyśliła. Poza tym wcale się nie narażam. Przecież wiesz, że Michelle jest mistrzynią kamuflażu. Mamy peruki, sztuczne nosy, okulary. Zawsze je zakładamy. Za nic w świecie nikt nas nie rozpozna. Nawet na torturach poda rysopis nieistniejącej osoby.

– Jesteś naiwna, Anno. – Gustaw pokręcił głową. – Nie znasz Gestapo. Swoimi metodami wyciągną zeznania nawet z umarłego.

– Nie strasz mnie, bo to i tak nic nie da. Poza tym czuję, że nic mi się nie stanie.

Gustaw chciał powiedzieć, że owszem, jest bezpieczna. Miał to na końcu języka, ale przecież nie mógł jej wyjawić, że niemal każdego dnia ktoś podąża jej śladem, że strzeże jej, że pilnuje. Nie mógł jej też wyznać, że od pierwszej chwili o wszystkim wiedział, bo cały misterny plan uknuł z Michelle.

Kiedy zobaczył Annę obwiązaną Polce skręconą kostkę, wiedział, że na tym się nie skończy. Że to nie będzie jeden, jedyny raz. Na jej twarzy dostrzegł bowiem uśmiech satysfakcji, taki sam, jaki miała wówczas, gdy pomagała bezdomnym w fordońskim przytułku. Zrozumiał, że musi ją wyprzedzić o krok.

I wyprzedził.

– Tylko nigdy, przenigdy nie wolno ci powiedzieć Annie, że o wszystkim wiem i że o wszystkim mnie informujesz – nakazał Michelle.



– Oczywiście, Gustawie – odparła LaCour, w duchu zacierając ręce. Chciała, marzyła wręcz o tym, by Gustaw miał u niej dług wdzięczności. – Czego tylko sobie życzysz.

Nie lubił, gdy tak mówiła. Jej kusicielski ton był odpowiedni dla zapatrzonych w nią mężczyzn, ale nie dla niego. Owszem, musiał się zgodzić, że LaCour wyróżniała się z tłumu, że była piękna, a jako kobieta miała wszystkie atuty. Dla niego jednak liczyła się tylko Anna. Tylko ona.

## RZADKO, CORAZ RZADZIEJ

Lotta niby rezydowała już pod Berlinem, ale niemal każdego tygodnia bywała w Stettinie, bo jej atelier przy Pölitzer Strasse działało pełną parą. Bramen dopominała się u Ani odwiedzin, choć ta wymigiwała się, jak tylko potrafiła. Bóle głowy, złe samopoczucie, kobiece sprawy. Od kiedy wróciła z Gross Born, nie mogła ścierpieć Lotty Bramen. To uwielbienie starszej pani dla nazistowskiej doktryny, dla Hitlera i ludzi z NSDAP... Ania kochała swoją uciemioną ojczyznę miłością bezwarunkową i trudno było jej wysłuchiwać tyrady o „maluczkich polaczkach”. Żadne prezenty, nowe suknie ani wiedeńskie żurnale nie były w stanie ściągnąć jej do atelier.

– Gdyby to mnie proponowała nową kieckę, miałabym w nosie jej poglądy – stwierdziła Michelle. – Co druga baba w tym mieście wychwala Hitlera, w końcu żyjemy w Rzeszy Niemieckiej i jesteśmy Niemkami.

– Lotta jest specyficzna. – Ania westchnęła.

– To prawda. – Michelle skinęła głową. – Pyszni się znajomością z Emmy Göring i tym, że uszyła dla niej suknię. Słyszałaś, jak mówi o tym konkurencyjnym salonie U Trudi? O właścicielce tylko źle, bo według Lotty tamta jest za miękka dla Polek. A o jej kreacjach jeszcze gorzej, choć dobrze wie, że niektóre żony berlińskich notabli nadal robią u Trudi zakupy.

– Mnie się wydaje, że ona tak mówi, bo jest zazdrosna o urodę właścicielki tamtego salonu. O ile mi wiadomo, Trudi jest od Lotty sporo młodsza.

Michelle mruknęła twierdząco.

– Mimo wszystko i tak sądzę, że przydałaby ci się nowa suknia.

Anna uważała inaczej.

W domu Bramen bywała tylko na dużych przyjęciach, które szczęśliwie dla niej ciotka Gustawa organizowała z rzadka. Na jednym z letnich, przesadnie wystawnych rautów, które Lotta zwyczajowo zaaranżowała w swoim niedzielnym domu, usłyszeli niecodzienny toast:

– Za zdrowie państwa Guderianów! – Lotta wzniosła kieliszek z szampanem, patrząc na młodych znacząco. – By już więcej żadna choroba, niedyspozycja czy sytuacja rodzinna nie stawały na drodze do wspólnego świętowania sukcesów naszych żołnierzy!

Z kolei na wczesnojesiennym przyjęciu, zorganizowanym na cześć Luftwaffe i w związku z obecnością jednego z Oberleutnantów, przechodzącego w Stettinie rekonwalescencję, wznosząc toast, stwierdziła:

– Chciałabym, by na kolejnym przyjęciu nie zabrakło nikogo z obecnych. Nikogo! – Z wyższością spojrzała na Annę i Gustawa. – Również państwa Guderianów, którzy ostatnio wyjątkowo nas zaniedbują. A przecież wznoszenie toastów za powodzenie naszych żołnierzy jest powinnością każdego Aryjczyka!

Guderian przeraził się wówczas spojrzeniem ciotki, bo czego jak czego, ale wroga mieć w niej nie chciał. Postanowił więc obłaskawić ją osobistą wizytą w atelier i naręczem róż, które Lotta przyjęła z zachwytem. Zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen: słuchał, kiwał głową, wyrażał podziw dla słów rozmówczyni, które wylewały się z jej ust szerokim strumieniem, zasypywał komplementami. Na koniec spotkania pozwolił się oprowadzić po zakładzie, w którym pracowało już czterdzieści krawcowych.

– Doprawdy niezwykłą rzecz udało ci się osiągnąć. Tak rozbudowany zakład stawia cię zdecydowanie na pierwszym miejscu w Stettinie. Ba! Na całym Pomorzu! Taki ogromny zespół to wielka sprawa!

– A i owszem, wielka! Żadna tam Trudi czy Rudolph nie mogą się ze mną równać – odparła bez pardonu Lotta. – Powiem ci, Gustawie, że kiedyś postanowiłam być najlepsza, i choć trwało to o dwie dekady za długo, nareszcie mi się udało. A zatem powiedzenie, że dla wytrwałego nie ma nic trudnego, jest względem mojej osoby bardzo na miejscu.

Gustaw długo i gorąco komplementował ciotkę, wypytywał o moce przerobowe zakładu, a potem o berlińską rezydencję, którą Lotta nazywała „perłą Berlina”. Wiedział, że w ten sposób wygładzi szorstkość ich relacji. I nie mylił się, bo ciotka chłoneła jego pochwały niczym wysuszona gąbka wodę. Na koniec zdawała się rozanielona i obłaskawiona, i nawet sama zaczęła prawić Gustawowi komplementy. Guderian zrozumiał, że osiągnął swój cel, i wtedy postanowił poruszyć ostatnią kwestię.

– Wybacz nam te wszystkie nieobecności na twoich przyjęciach i nieobecności w twoim atelier. Ania uwielbiała do ciebie przychodzić, ale ten wyjazd do Gross Born wszystko zmienił.

– Wiem! I sama zachodziłam w głowę dlaczego? Ja rozumiem, że Anna straciła ciężę. Po czymś takim serce matki krwawi długo. Ale nie powinna odpychać pomocnej dłoni, a moja taka właśnie była.

– To ją dużo kosztowało. I jeszcze ta ucieczka służącej...

– Aaa. – Lotta prychnęła. – Służąca to nie problem. Można wziąć drugą. Przecież ty takie rzeczy załatwiasz od ręki. Skoro tamtą wyciągnąłeś od samej Wessely, to i następną zdobyłbyś bez trudu, i to już taką, co to nie trzeba jej niczego pokazywać paluszkami. Ważne, żeby twoja żona odzyskała chęć do życia. Przecież ona nosi twoje nazwisko! Inne kobiety na nią patrzą, ona musi być dla nich wzorem. Wzorem dumnej Aryjki!

– Niedługo wróci do siebie – zapewnił Gustaw.

Ale tak się nie stało.

Co prawda Ania widywała się z Lottą częściej, by zadowalać oczekiwania ciotki, ale wytrawny obserwator w jej zachowaniu wyczułby grę. Nigdy też nie przychodziła do Lotty sama, zawsze towarzyszyli jej Gustaw albo Michelle. Najczęściej aktorka, bo LaCour była wyjątkowo łatwą rozmówczynią i potrafiła się dostosować do retoryki Lotty. Kiedy z ust właścicielki atelier wypływały peany na cześć wojennej taktyki Hitlera, Michelle dorzucała kilka kolejnych zachwyty, choćby na temat nienaganego stroju Führera. Annie takie słowa nie przeszłyby przez gardło. Na szczęście potrafiła grać mimiką, i to na tyle przekonująco, że Lotta była w pełni usatysfakcjonowana.

## SZAROTKA

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia roku Pańskiego tysiąc dziewięćset czterdziestego, kiedy mieszkańcy Stettina szaleli na zakupach tak, jakby wojny wcale nie było, by przygotować wykwintne świąteczne dania oraz spakować do połyskujących kartoników prezenty marzeń, Ania otrzymała anonimowy list w białej kopercie, napisany starannym charakterem pisma.

*Z szacunku dla Pani osoby i tego, co Pani robi, proszę, a nawet błagam o zachowanie szczególnej uwagi. Ma Pani wokół siebie wiele dobrych osób, ale też kilka wężowatych. Jedna jest szczególnie niebezpieczna. Nie znam jej personaliów i nazywam ją Szarotką. Ma dwa oblicza. Każde wrogie.*

*Wiem, że ma Pani wiele do ukrycia. Nie osądzam Pani, bo każdy coś chowa w szafie. Nie na każdego jednak poluje Szarotka. A na Panią i owszem. Ze wszystkich sił pragnie Panią zdemaskować.*

*Proszę na siebie uważać i, co istotne, nikomu nie mówić o tej korespondencji, nawet mężowi.*

*Życzliwy*

Ania przeczytała list kilka razy, nie dowierzając treści, która brzmiała tak zadziwiająco, jakby wyjęto ją z powieści szpiegowskiej. Nawet uśmiechnęła się pod nosem i pomyślała, że ktoś sobie z niej żartuje.

„Szarotka?” – przywołała wizerunek drobnego białego kwiatu, którym zachwycała się na materiale swojej sukienki.

Nie wyrzuciła listu, lecz schowała go do szuflady w swoim sekretarzyku i zupełnie spontanicznie wybrała się na spacer.

Miasto tonęło w białym puchu. Lekki wiaterek porywał śnieżny pył i wykręcał nim piruety. Było mroźnie, ale przyjemnie, bo słońce pieściło pokraśniałe od chłodu policzki. Dzieci obrzucały się śnieżkami, lepiły bałwany, starcy ostrożnie przemierzali chodniki, w kamienicy naprzeciwko dozor-

czyni poprawiała nazistowską szarfę. Policjanci wodzili wzrokiem po przechodniach, obserwując robotników przymusowych, którzy przemykali co rychło, chcąc pozostać niezauważeni. Ale Ania ich widziała. Patrzyła na cienkie drelichowe kurtki, które na pewno nie pasowały do pory roku, i na oznaczenia zdradzające pochodzenie. I wtedy do niej dotarło, że autor listu musiał wiedzieć, że ona pomaga Polkom.

*Z szacunku dla Pani osoby i tego, co Pani robi...*

A cóż ona robiła? Była żoną niemieckiego urzędnika. To nic nie znaczyło. Szacunek mogło wzbudzić jedynie to, że pomaga Polkom. A może się myliła? Może chodziło o coś zgoła innego? O to, kim naprawdę była. Cicho przeklęła, a potem rozejrzała się nerwowo, jakby szukała kogoś, kto mógł ją obserwować i jednocześnie być autorem listu. Nikogo takiego jednak nie dostrzegła. Za to od strony siedziby NSDAP w jej kierunku zmierzał ktoś, kogo zupełnie nie spodziewała się tu spotkać – Michelle LaCour, która machała do niej zamasyście. W rozłożystym płaszczu o ciemnoszmaragdowym kolorze, w długim szalu z lisów nonszalancko zarzuconym na ramię wyglądała jak zwykle. Czyli zjawiskowo.

– Czułam, że cię tu znajdę – powiedziała, witając się z Anną przelotnym całusem w policzek.

– Niemożliwe. Rzadko tu ostatnio bywam.

– A mnie się wydaje, że często. Chodź. – Pociągnęła ją za rękę. – Nie powinienam, ale chcę ci o czymś powiedzieć. Dostałam list.

Ania zadrzała i natychmiast pomyślała, że ten sam „Życzliwy” napisał również do Michelle. Przecież obie pomagały Polkom. Tak! To miało sens! Szczerze się ucieszyła.

Weszły do przytulnej, niemal pustej kawiarenki i zamówiły po bawarce oraz serniku z truskawkami.

– Wessely chce, bym zagrała razem z nią w kolejnym filmie – wyjawiała Michelle. – Ponoć Igo Sym, z którym raz miałam małe tête-à-tête, się za mną wstawił. Napisała mi o tym w liście. Rozumiesz, co to znaczy?! Będę

prawdziwą aktorką filmową! Z rolą drugoplanową, a nie jakimś epizodem jak w *Heimkehr*! Ja! Michelle LaCour! – mówiła szeptem, ale jej ciało niemal eksplodowało od emocji. – Dzwonił już do mnie reżyser. Jestem w siódmym niebie! Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę!

Ania zmarkotniała. Nie o takim liście pragnęła rozmawiać.

– Tego właśnie chciałaś, prawda?

– A kto by nie chciał? Niektórzy mówią, że teatr to ich powołanie, a ja tam im nie wierzę. Każdy marzy o filmie, choćby o małej rólce. Praca przed kamerą to jednak zupełnie co innego. Wiesz, ilu ludzi mnie obejrzy? – Michelle rozpląwała się nad perspektywami rozwoju swojej kariery, nad festiwalami, w których miała wziąć udział, nawet nad nagrodami filmowymi, których ciężar czuła już w swoich rękach.

Nie dostrzegła, że Ania zaledwie potakiwała grzecznościowo, bo myślami była gdzie indziej. Zreflektowała się dopiero po dłuższej chwili i zamilkła.

– Nie cieszysz się ze mną? – zapytała.

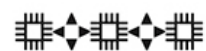
– Cieszę się i z chęcią pójdę do kina na twój film, ale... Kiedy powiedziałaś o tym liście... Po prostu myślałam, że chodziło o coś innego.

– O co?

– Aaa... O wyznanie od jakiegoś adoratora. Liczyłam na jakieś pikantne szczegóły – skłamała.

Michelle uniosła brew, a potem parsknęła śmiechem.

– Od adoratorów to ja dostaję listy codziennie. Są tak nudne i powtarzalne, że ich treść mogłaby cię jedynie uśpić.



Ania wypatrywała kolejnych listów, ale na razie „Życzliwy” milczał. Odebrała za to pocztówkę spisaną ręką Joli z lakonicznym, ale jakże ważnym dla niej przekazem:

*Zdrowych świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku życzą Reiner,  
Judite i Alexandra oraz wujostwo.*

„Nadal żywi!” – ucieszyła się Ania i przytuliła nieco sfatygowany kartonik do piersi. „Nadal żywi...”



Myślami wciąż powracała do anonimowego listu. Dręczyło ją to, że nie wie, kim jest osoba nazywana Szarotką. Wypatrywała jej pośród ludzi, z którymi przebywała. Podejrzewała wszystkich i nikogo. Liczyła na kolejną korespondencję w tej sprawie, ale ta nie nadchodziła. Nadeszły za to święta, które spędziła z Gustawem, z dala od wielkich przyjęć i wykwintnych kolacji. Cieszyli się swoją obecnością; odcięli się od radia i propagandowych haseł, słuchali muzyki, a leżąc na kanapie, tuż obok rozłożystej choinki przybranej światełkami i szklanymi bombkami, czytali felietony z podróży po Australii jakiegoś niemieckiego literata, marząc, że kiedyś oboje tam wyjadą.

– Chciałabym mieć dom z widokiem na Port Jackson.

– Uuu! Wysoko mierzysz!

– Wysoko? – Uniosła głowę i spojrzała na męża. – Słuchaj tego! Oprócz domu chciałabym mieć jacht. Duży, rzecz jasna.

Jego twarz pojaśniała.

– Nazwałabym go „Gustaw”, na twoją cześć.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Tak się składa, że nie chciałbym pływać jachtem, który zostałby tak ochrzczony. Czuję, że nie dałoby się nim poszaleć. Ale jeśli nazwalibyśmy go „Anna”, to co innego. Byłby najszybszą i najbardziej szaloną łajbą w zatoce.

– Więc „Anna i Gustaw”. Tak go nazwiemy – zdecydowała.

Guderian pogładził żonę po dłoni.

– Ale wcześniej weźmiemy ślub. Taki prawdziwy.



Ania uniosła się na łokciach i spojrzała na niego uważnie.

– Ja nie potrzebuję ślubu. Jest dobrze tak, jak jest.

– Naprawdę?

– Przecież już sobie ślubowaliśmy. Może powtórzymy tę przysięgę za dziesięć lat, dobrze?

– Dobrze. Niech będzie za dziesięć.

– Za dwadzieścia też. I za trzydzieści.

– Wtedy będziemy już starzy.

– Nie starzy, a doświadczeni i – pocałowała go w usta – nadal bardzo szczęśliwi!

# IV

## TAM, GDZIE CISZA MIMO BURZY

*Stettin, 1940–1941*

## POWOŁANIE

Ania zdawała sobie sprawę, że żyje w mieście, w którym codzienność wygląda inaczej od tej kilkaset kilometrów dalej. Mimo wojny, którą określano najkrwawszą w historii, nie słyszała strzałów, huku bomb. Nie widziała czołgów jeżdżących ulicami ani nie była świadkiem łapanek cywilów. Dręczyły ją za to wszechobecne swastyki, wizerunki Hitlera, antyżydowskie plakaty. Obrzydzała ludzi wychwalający nazistów i pozdrawiający się gromkim *Heil Hitler*, denerwowali właściciele fabryczek, którzy wyzyskiwali robotników przymusowych i za nawet najdrobniejsze przewinienie denuncjowali gestapowcom. Ci zaś, przy dobrych wiatrach, wymierzali tylko kary cielesne; w gorszych przypadkach przewozili do kompanii karnej, którą pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego roku utworzono nieopodal Stettina, w Pölitz<sup>[40]</sup>, na statku Bremerhaven.

Anna przez cały ten czas pomagała Polkom, choć ostatnio jakby rzadziej. Dziewczyny nauczyły się lepiej dbać o siebie i zabezpieczać na różne okoliczności. Gwałty nadal się zdarzały, ale o ile nie były brutalne, dziewczyny nie wspominały o nich Ani, nie skarżyły się na swój los. Dowiadywała się o tym pokątnie, z plotek. O ciąży za to od razu każda jej mówiła. Szczęśliwie było ich mniej. Ania nie uważała wojny za dobry czas na potomstwo. Noworodki często umierały tuż po przyjściu na świat albo były odbierane i wywożone w głąb Rzeszy. Tylko nieliczne zostawały przy biologicznych matkach.

Dzięki znajomościom Gustawa Ania podjęła kurs dla położnych w słynnej Landesfrauenklinik. Mieszkańcy nazywali ten majestatyczny szpital Storchenburgiem<sup>[41]</sup>, a Ania w pełni się z tą nazwą zgadzała, bo naprawdę dumnie się prezentował na wysokiej skarpie. Cały budynek zachwycił Anię i jednocześnie zdumiał. Nigdy na własne oczy nie widziała obiektu tak no-

woczesnego i pięknego zarazem, w którym najnowsze rozwiązania techniczne zostały wspaniale wkomponowane w zdumiewające wnętrza. Miała wrażenie, że ten obiekt wyprzedzał ich czas, jakby był dziełem natchnionych mistrzów wielu dziedzin.

Pod okiem profesora Siegfrieda Stephana stworzono tu wyjątkowe miejsce do nauki dla lekarzy, pielęgniarek i położnych. Kiedy Ania po raz pierwszy znalazła się na wykładzie z anatomii, który prowadzono w sali teatralnej, zaparło jej dech w piersiach. A potem już tylko chłonęła – słowa oraz obrazy. Zadawała najwięcej pytań ze wszystkich, robiła najdokładniejsze notatki. Była bardzo aktywną słuchaczką. Dzięki temu, że niemal tuż za ścianą znajdowały się sale porodowe, położowe i ambulatoria, teorię mogła wraz z innymi od razu realizować w praktyce. Podglądała wprawne ruchy doświadczonych położnych i doktorów, uczestniczyła w badaniach i obchodach lekarskich.

– To jest absolutnie i bezapelacyjnie moje przeznaczenie – powiedziała pewnego wieczoru do Gustawa. – Choćby nie wiem co, chcę się tym zajmować. Chcę pomagać kobietom i maluchom w przychodzeniu na ten świat.

– To zapisz się do szkoły pielęgniarskiej.

– Po wojnie.

– Ale na co chcesz czekać?

– Nie mam żadnych dokumentów, a tam na pewno potrzebowaliby świadectwa maturalnego.

– Da się załatwić.

– Nie. Nie chcę po raz kolejny brnąć w kłamstwa. Teraz wystarczy mi kurs, ale po wojnie pójdę... – zawahała się – ...na studia medyczne. Jeśli pozwolisz.

– Jeśli pozwolę? – Uniósł brwi w zdziwieniu. – Nie musisz mnie pytać o pozwolenie. To będzie wielki zaszczyt mieć żonę lekarkę.

– Lubię to, co robię w szpitalu. Od dawna chciałam być pielęgniarką, ale teraz wiem, że bardziej pociąga mnie położnictwo. Jestem w tym dobra. –

Rozmarzyła się. – Dzisiaj pomagałam położnej i nawet nie zorientowałam się, że patrzył na nas sam profesor. Potem zawołał mnie do gabinetu, wypytał o kurs. A na koniec powiedział, że doskonale sobie radzę i spośród wszystkich dziewcząt w grupie mam najlepszy instynkt.

– Bo się tym interesujesz, a one tam poszły, bo rodzice je wysłali.

– Być może. Mnie nikt nigdy nigdzie nie wysyłał. Miałam to szczęście, że mogłam sama o sobie decydować.

– I jeśli rzeczywiście zechcesz podjąć studia, to masz we mnie wsparcie. A tymczasem...

Gustaw wyszedł na korytarz i wrócił z aktówką, z której wyjął pakunek. Położył go przed Anią.

Rozpakowała go pospiesznie, a kiedy zobaczyła, że oto trzyma w rękach wymarzony atlas anatomii dla studentów i lekarzy autorstwa Toldta i Hochstettera, z nabożną czcią położyła go na stole, a potem rzuciła się Gustawowi na szyję.

– Dziękuję! Dziękuję! Spełniłeś moje wielkie marzenie.

– Od tego też jestem.

– Też?

Pocałował ją w usta i powtórzył:

– Też.

## NIESPODZIEWANY GOŚĆ

Za oknem ćwierkały ptaki, oznajmiając wszem wobec, że oto nadchodzi wiosna. Przez szeroko otwarte okno do mieszkania wpadało powietrze, w którym czuć było wyczekiwaną przez Anię porę roku. Bo Ania kochała wiosnę zupełnie jak jej mama, która zwykła powtarzać, że wiosna to czas, kiedy ożywa wszystko, co na świecie najpiękniejsze. Chciała, by i ta wiosna, mimo wojny, również taka była. Niech już tylko zakwitną jabłonie...

Przygotowywała obiad, kiedy usłyszała głośne pukanie do drzwi. Bez zastanowienia otworzyła, spodziewając się listonosza. Jakże się zdziwiła, kiedy na progu ujrzała jakiegoś mężczyznę, ale zupełnie niepodobnego do szpakowatego pana Mathiasa.

Bezgłośnie poruszyła ustami.

– Radek?

Jej brat, w mundurze niemieckiego kolejarza, był jeszcze szczuplejszy niż wtedy, kiedy przyjechał po Jolę do Gross Born. Był też bardzo blady, a pod oczami rysowały się wyraźne cienie. Kiedy jednak się uśmiechnął, zobaczyła w nim tamtego zadziornego, nieco szalonego, ale jakże kochanego braciszka.

– O, to pan! Zapraszam do środka! – powiedziała nazbyt głośno, na wypadek, gdyby pani Koch nasłuchiwała.

Zamknęła drzwi i natychmiast uścisnęła brata.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała konspiracyjnym tonem.

Dawna Ania, ta wiecznie uśmiechnięta Ania, wyrzuciłaby z siebie całą wiązkę pytań: Po co przyjechałeś? Na ile?

Dawnej Ani jednak nie było. Zmieniła się, stała się bardziej opanowana, powściągliwa. Jedyne, na co się zebrała, to krótkie:

– Mundur?

Radek lekceważąco machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „To nic ważnego, zupełnie nic”, a potem się rozpromienił.

– Dobrze cię widzieć, siostrzyczko. Bardzo dobrze! – Głos mu drżał i od razu pomyślała, że przyjechał przekazać złe wieści.

– Coś się stało? Coś z Jolą?

– Jola i Olusia mają się dobrze.

– Olusia... Boże drogi! – W jej oku zakręciła się łza. – Ona już duża, co?

– Rośnie jak na drożdżach. Biega, gada, śpiewa. Z urody czysta Jola. Jest taka śliczniutka. Wszędzie jej pełno.

– To akurat chyba po Olku. Jego zawsze wszędzie było pełno. Nawet jak nie musiał, to laźł w najgorsze bagno. A ty go z niego wyciągałeś.

– Brat to brat.

Oboje uśmiechnęli się na wspomnienie Olka i to trochę rozładowało napięcie.

Ania weszła do salonu, a Radek pokuśtykał za nią. Zamknęła okno, nałła kompotu do szklanek. Usiedli naprzeciwko siebie.

– Co znaczy ten mundur?

– To kamuflaż. Obecnie całkiem dobry.

– Mundur niemieckiego kolejarza?

– Żebyś wiedziała. Mogę się w nim swobodnie przemieszczać. Ludzie darzą niemieckich kolejarzy szacunkiem. Rzadko jesteśmy sprawdzani. A nawet gdyby, mam kapitalne papiery volksdeutscha. Niemiecki znam dobrze. Nie muszę perfekcyjnie, w końcu jestem tylko volksdeutschem, a nie Niemcem.

– Ale po co ci to wszystko? – zapytała, choć przewidywała, jaką usłyszy odpowiedź.

– Jestem kurierem.

– Narażasz się.

– Jak każdy, kto walczy o ojczyznę. Ja się cieszę, że jestem przydatny, bo przez moją nogę, która nigdy nie wróci do formy, nie wyślą mnie na front. Dobrze, że choć tak mogę się przysłużyć.

– Papa byłby z ciebie dumny.

Radek pokiwał głową.

– Często o nim myślę. Miałby teraz ręce pełne roboty.

– Tęsknię za nim, wiesz? Nawet za tym jego marudzeniem, którym doprowadzał mnie do szału. Za tymi chwilami nostalgii, kiedy zamykał się w swoim pokoju i nikogo do siebie nie dopuszczał. Chciałabym, by wrócił choć na jeden dzień, bym mogła z nim trochę pobycć, zjeść obiad, porozmawiać...

– Też bym chciał. Zabrałbym go na mecz bokserski.

– Tak! Na mecz! Albo na zawody szybowcowe.

– A tam! Ojciec nie lubił szybowców. Nie pamiętasz, jak mówił, że nie ufa temu, co po ziemi nie chodzi?

– Pewnie, że pamiętam. Samochodów też nie lubił. Cały papa – rzuciła Ania smutno.

– Porządny był z niego człowiek. Dzisiaj o takich coraz ciężiej.

– O bezpieczne miejsca też.

– Fakt. Nigdzie nie jest bezpiecznie. No, może tu, na zachodzie, jest spokój, ale u nas to istne piekło.

– Masz rację – przyznała po chwili. – Ale powiem ci, że nawet w Stettinie trzeba na siebie uważać. Wiesz, że jeszcze niedawno mieszkał tu Dziarkowski?

Radek zrobił wielkie oczy.

– Ten gnojek Antoni?

– Nie, jego ojciec. Był wachmanem. Ale został przeniesiony. A Antek nie żyje.

– Nie żyje... – Radek wyjął papierosa i zapalił. – W końcu jakaś dobra wiadomość... Stary Dziarkowski też powinien zdechnąć. Ma tyle na sumie-



niu.

– Kiedyś na pewno i jego kostucha dopadnie.

– Oby szybciej niż później.

Ania dołała bratu kompotu.

– Wracasz dziś do domu?

– Tak. Mam pociąg o drugiej.

Ania oparła się na łokciach i wstała od stołu.

– To może coś zjesz przed drogą?

– Chętnie. Nie jadłem od wczoraj.

– To co nie mówisz od razu? – Pospieszyła do kuchni, a po chwili wróciła z tacą pełną jedzenia. – Co u was? Opowiadaj. Jak żyjecie?

– Nerwowo, wiadomo, ale w zdrowiu, a to najważniejsze. Moja noga ma się dobrze. Utykam, ale nie boli. Ojciec Joli trochę chorował, bo na płuca mu padło, ale jakoś z tego wyszedł i już jest w porządku. Robimy cały czas to samo. Piszemy, drukujemy i przerzucamy materiały, żeby osłabić morale Wehrmachtu. Działamy jako antyhitlerowski ruch oporu, tyle że nie karabinem, a słowem pisanym. Chyba dobrze nam to wychodzi. Te historyjki... Powiem ci, że w ich wymyślaniu matka Joli nie ma sobie równych, a Jola pomaga jej, ile może, bo Olusia jest wymagająca, oka z niej spuścić nie można. Ja jestem od kolportażu, a ojciec Joli załatwia poligrafię.

– Działacie jak szwajcarski zegarek.

– Jakoś tak.

Radek pałaszował zupę i właśnie sięgnął po skibkę chleba. Powąchał ją i pocałował skórkę.

– Pokroiłam grubiej. Zawsze tak lubiłeś.

– Nadal lubię. Jola też mi tak kroi.

– Mieszkacie razem?

Radek odłożył łyżkę i chrząknął.

– Dobrze, że pytasz, bo i z tym przyjechałem. Bo wiesz... Nie planowałem, nie planowaliśmy, ale my...

Ania po raz pierwszy od chwili, gdy się zjawił, szeroko się uśmiechnęła. Tak dobrze знаła swojego brata, że nie musiał kończyć, a ona i tak wiedziała, co chce jej przekazać. Ileż razy fantazjowała o tym, że Jola i Radek będą razem. Przypomniła sobie, jak przytulił Jolę w Gross Born, z jaką miłością patrzył na nią i na Oleńkę, ździebełko, które dopiero przyszło na świat. Oni naprawdę do siebie pasowali. Oboje poranieni przez los, ale i przez ten sam los cudem uratowani.

– Jak zabrałem Jolę wtedy, z Oleńką, to... Ta droga była długa i my... rozmawialiśmy. Jola mówiła, ja mówiłem, Oleńka spała. I... Ja nie miałbym odwagi, bo to przecież Jola, żona mojego brata – mówił nieskładnie, z trudem oddychał. – Ale Olek wtedy, jak żeśmy szli do rowów, to mi kazał przysiąc, że po wszystkim zajmę się Jolą. Byłem zdziwiony, bo myślałem, że mu się w głowie z tego strachu pomieszało, ale nie. Był przerażająco poważny. Zachodziłem potem w głowę, skąd wiedział, że ja z Jolą przeżyjemy. Że my, a nie on. Nie wiem. – Potarł twarz dłońmi. – No i ja przysięgłem. Jola to słyszała... Przeżyliśmy, bo Olek z ojcem i księdzem Polichnowskim nas zasłonili. Zamieszanie było, dużo lamentu, no i jakoś tak wyszło, że ich plan się powiódł. Ale to już wiesz. – Na chwilę zamilkł. Bezmyślnie pomieszał łyżką w talerzu. Był bardzo spięty.

Ania już chciała przerwać bratu te tortury, już chciała powiedzieć, że się cieszy, że to wielkie szczęście, kiedy wstał i utykając, podszedł do kredensu. Stanął plecami do siostry.

– Ja od zawsze kocham Jolę – wyznał nieoczekiwanie. – Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem, ale Olek był szybszy, a z kobietami to nigdy nie wchodziliśmy sobie w drogę. Patrzyłem z boku, czy jej aby jakiej krzywdy nie robi. – Odwrócił się i spojrzał na Anię, a ta uśmiechnęła się krzepiąco. Odetchnął. Tak jakby obawiał się jej reakcji. – Bo gdyby chciał ją tylko wykorzystać i rzucić, jak nie raz i nie dwa robiliśmy, to bym mu nie pozwolił. Ale on się szczerze zakochał. Pamiętasz, jak ten rower jej zrobił? Albo jak dachówki łatał? Dla żadnej by się na coś takiego nie zdobył. Zakochał się jak małolat. Czyli dokładnie tak samo jak ja. Od kiedy zjawiła się Jola, żadnej nie miałem. No, może przygodnie, ale żadnej na dłużej. Nie po-

trafiłem, kiedy była obok. Cieszyłem się z ich szczęścia, naprawdę, ale i cholernie cierpiałem. Wydaje mi się, że Olek o tym wiedział. To w końcu brat bliźniak, a mówią, że bliźniak bliźniaka wyczuwa najlepiej. I stąd te słowa, stąd ta prośba. Wiedział, że ją kochałem, tak myślę.

Ania nie potrafiła wydobyć z siebie nawet słowa. Po jej policzku spłynęła samotna łza wzruszenia. Patrzyła na Radka, próbując wrócić do całej historii, ale jedno zdanie zagłuszało wszystkie pozostałe: „Od zawsze kocham Jolę”.

Dlaczego tego nie widziała, dlaczego nie dostrzegła ani jednego tęsknego spojrzenia albo zbyt długiego dotyku? Słowa nadto czułego, przesadnego oddania? Wydawało jej się, że dobrze go znała. Był przecież jej ukochanym bratem. Nie żeby nie kochała Olka. Co to, to nie, ale Radek, bardziej opanowany i obyty, był jej po prostu bliższy. A skrywał tak wielką tajemnicę...

Radek zapalił kolejnego papierosa.

– Kiedy dotarło do mnie, zem ocalał, wylazłem z tego rowu. Wygrzebałem się. Inni leżeli. Olka wtedy najlepiej widziałem. Cały był w dziurach. Bez życia. A ja miałem jakieś drgawki, ale dowlokłem się do lasu. Tam padłem i z niemocy chciałem zdechnąć. Ale wtedy dotarło do mnie, że na zdychanie mam jeszcze czas, że skoro ja przeżyłem, to może ktoś jeszcze, ktoś jeszcze. – Zaciągnął się papierosem i bardzo powoli wypuszczał dym. – Kłamię teraz, bo nie myślałem o kimś jeszcze, a tylko o Joli! Tylko o niej! Boże, wybac mi! Wróciłem więc tam i grzebałem w stosie ciał, modląc się, by Jolę wydobyć. Żywą. Choć nigdy nie byłem pobożny, Bóg mnie wysłuchał. Znalazłem ją, bez draśnięcia. Ogłuszona była, oklejona błotem i tym, co z ludzi wypłynęło. Zabrałem ją stamtąd, potem resztę naszych. A potem przez ten patrol dopuściłem do tego, żeśmy się rozdzielili i ona się zgubiła. Odchodziłem od zmysłów, kiedy przepadła w lesie, a gdy od Gustawa dowiedziałem się, że żyje, też o mało nie oszalałem. Ale już ze szczęścia. – Wziął ostatniego macha i zgasił papierosa.

– Olek nad wami czuwał.

– Też tak myślę. – Spojrzał w górę. – I Jola także. Nie śmiałem jej niczego proponować. Nigdy bym chyba tego nie zrobił. Jest przecież wdową

po moim bracie, po bracie, którego kochałem. Ale ona, gdy wracaliśmy z Gross Born, gdy tak dobrze nam się rozmawiało, mimo tego, co wokół, sama przypomniała mi o słowach Olka. – Westchnął przeciągle. – Tym swoim anielskim głosem przypomniała. Wiesz, siostrzyczko, kiedy człowiek jest najszczęśliwszy? Kiedy ma u boku najukochańszą istotę na świecie. A ja mam teraz aż dwie: Jolę i Oleńkę. I my... Chcemy wziąć ślub. – Umilkł i tylko świdrował siostrę wzrokiem. – Jesteś jedynym ocalałym sumieniem Łabędziów, więc muszę cię zapytać o zgodę.

– Mnie? Nie musisz mnie o nic pytać.

– Muszę, bo to nie jest codzienna sytuacja. I razem z Jolą tak ustaliliśmy, że chcemy, byś nam udzieliła błogosławieństwa.

– Zgadzam się! Boże drogi, pewnie, że tak! Jeśli to wam da szczęście, to po stokroć się zgadzam i wierzę, że Olek, gdziekolwiek jest, także się zgadza. I papa, i mama!

Radek podszedł do siostry i uściskał ją serdecznie.

– Znałem twoją odpowiedź, byłem jej pewien, ale i tak chciałem ją usłyszeć – wyszeptał jej we włosy.

– Wariat – skwitowała.

– Cholernie szczęśliwy wariat. Mimo wszystko.



Radek wychodził z mieszkania najedzony i z wałówką na drogę. Ania inaczej by go nie puściła.

– Bywaj – powiedział, zanim otworzył drzwi, i mocno ją przytulił, po czym wziął czapkę kolejarską i wyszedł.

– Do zobaczenia następnym razem – pożegnała go Ania oficjalnie, tym samym przesadnie głośnym tonem, którym go witała.

Radek zatrzymał się, spojrzął na siostrę i zawrócił. Ujął jej dłoń i zgiął się wpół do pocałunku. Wszystko na wypadek, gdyby trzeba było nakarmić wścibskie spojrzenie sąsiadki.

– Możesz bezgranicznie ufać Gustawowi – wyszeptał. – On nas nie zdradzi, choć nie jest tym, za kogo się podaje. Nigdy nie był.

Ania poruszyła się nerwowo, oblizała wargi, pytająco zmarszczyła brwi.

– Co... Co ty mówisz? – zapytała równie cicho co on.

– Porozmawiaj z nim. Ode mnie niczego więcej się nie dowiesz.

Jeszcze raz pocałował ją w dłoń i poszedł, a ona, całkiem zeszywniała, odprowadziła go wzrokiem.

## ŚLEDZTWO

Słowa brata nie dawały Annie spokoju.

„Co to znaczy, że Gustaw nie jest tym, za kogo się podaje? Co Radek miał na myśli? I dlaczego powiedział mi o tym akurat teraz?”

Przez kilka następnych dni uważnie przyglądała się mężowi. Patrzyła mu na ręce, obserwowała jego zachowanie, zerkała w stronę dokumentów, które każdego dnia rozkładał na swoim biurku.

– Co robisz? – zagadnęła późnym wieczorem, kiedy pracował jeszcze w swoim gabinecie.

– Jak zawsze to samo. Muszę prześledzić akta.

Podeszła do biurka. Gustaw zwyczajowo zamykał wtedy teczki i odsuwał je na bok. Teraz zrobił tak samo.

– Czy wy wszyscy wyrabiacie tam nadgodziny?

– Nie, wszyscy chyba nie, ale niektórzy muszą.

– Na przykład ty?

– Na przykład ja.

– A czy zamiast sprawdzania teczek nie mógłbyś sprawdzić, co tam sły-chać u żony w sypialni? – zapytała zalotnie, rozsiadając się na biurku.

Gustaw złapał ją za biodra i przysunął do siebie, dłonią przemierzając jej nagie udo. Anna wykorzystała moment jego nieuwagi i niby niezdarnie, a jednak z premedytacją zrzuciła jedną z teczek na ziemię. Jej zawartość się rozsypała. Gustaw zerwał się na równe nogi i rzucił do zbierania zdjęć, kartek i formularzy, jakby od tego zależało jego życie.

– Co ty robisz?! – fuknął.

– Och, przecież nie chciałam – odezwała się niczym trzpiotka. – Przepraszam.

Spojrzał na nią podejrzliwie, bo ten ton głosu zupełnie do niej nie pasował.

– Uważaj, bo to nie są zabawki. I... zejź z biurka – nakazał tonem tak ostrym, że po plecach Ani przebiegł zimny dreszcz. – A najlepiej poczekaj w sypialni. Zaraz do ciebie przyjdę.

Patrzyła na męża, na jego napięte ciało, na to, jak ściska w rękach teczki, jakby były czymś najcenniejszym na świecie. Teczki? Czymś najcenniejszym?

„Co w nich jest?”

Wyszła z gabinetu z głową pełną pytań i planem działania. Doświadczenie nauczyło ją, że plany, które powstają w jej głowie impulsywnie, zawsze są najlepsze.

Kiedy następnego dnia Gustaw wyszedł do pracy, udała się do jego gabinetu i zaczęła się rozglądać. Wszystko tu знаła na pamięć, każdą rysę na blacie, każde wgniecenie w drewnianych płozach fotela. Nie zaglądała jednak nigdy do szuflad, nie sprawdzała zawartości szafy. Gustaw ją o to prosił, a ona tę prośbę uszanowała. Raz jeden, choć potem piekliła się na siebie ogromnie, zerknęła do szafy. Były tam akta osób o polskich nazwiskach. Równo ułożone, z zachowaniem kolejności alfabetycznej, wyglądały jak katalog biblioteczny. Nie zdziwiło jej to ani trochę, bo wiedziała, że Gustaw zajmuje się polskimi robotnikami.

Szarpnęła za drzwiczki szafy, ale były zamknięte. Spróbowała wysunąć szufladę w kredensie. Ani drgnęła. Wszystkie szafki zamknięto na klucz, a ona nie miała pojęcia, gdzie ten klucz może być. Zaczęła go szukać nerwowo, bo w tamtej chwili za nic już miała złożoną Gustawowi obietnicę. Chciała zajrzeć do szafy, biurka i szuflad. Musiała to zrobić, bo coś jej mówiło, że w środku znajdzie odpowiedź na dręczące ją słowa brata: „On nie jest tym, za kogo się podaje”.

„A więc kim jest? Kim jest mój Gustaw?”

Musiała się tego dowiedzieć.

Bardzo dokładnie przeszukała cały pokój, ale nie znalazła żadnej skrytki, zgrubienia, żadnego tajemniczego miejsca, w którym Gustaw mógłby ukryć klucz. Poczuli się rozczarowana i wtedy zatrzymała wzrok na obrazie. Od razu przypomniała sobie powieści kryminalne, w których zaczytywała się w szkole powszechnej. Pełna nadziei zdjęła obraz i kciukiem naznaczała ramę. Niczego tam jednak nie znalazła. Zrezygnowana poszła do kuchni; spojrzała na suszące się przy zlewie sztucce i nagle podjęła decyzję. Przecież mogłaby podważyć zamki nożem! Olek jej kiedyś pokazywał, jak to robić. Nie zastanawiając się zbyt długo, przeszła do działania. Wzięła jeden z noży i najdelikatniej, jak potrafiła, podważała zamek za zamkiem.

Po kwadransie siedziała na podłodze i histerycznie się śmiała. Wszystkie, absolutnie wszystkie półki były puste, puściuteńkie.

„A zatem nad czym po nocach pracował Gustaw?” – zastanawiała się, zamykając drzwiczki.

Wróciła do salonu i złapała za telefon. Wykręciła numer, który znała na pamięć, ale po drugiej stronie łączy nikt się nie odezwał.

– Gdzie jesteś, Gustawie? – zapytała, odkładając słuchawkę.

Powinien tam być, powinien odebrać. O tej porze zawsze odbierał. Ubrała się pośpiesznie i wyszła z mieszkania. Miała jeden cel: dotrzeć do pracy Gustawa i natychmiast, teraz, już, zadać mu pytanie, kim tak naprawdę jest. Nie miała powodów, by mu nie ufać, choć zawsze czuła, że skrywa przed nią tajemnice. Te wszystkie niedopowiedzenia, półsłówka, okruchy milczenia. Tłumaczyła to tym, że ją chronił. Ale może nie powinna?

Na Barnimplatz<sup>[42]</sup> dotarła rekordowo szybko, bo w pół godziny. Szła prędko, niemal biegła. Stała przed monumentalnym budynkiem urzędu, próbując uspokoić oddech oraz myśli. Wzrokiem zaczęła szukać stoewera Gustawa, ale go nie dostrzegła. Pomyślała, że wyjechał na spotkanie na mieście i może dlatego nie odbierał od niej telefonu. Ta myśl powinna ją uspokoić, ale tak się nie stało, bo dotarło do niej, że nie ma najmniejszej pewności co do tego, że Gustaw pracował w budynku przy Barnimplatz. Do cholery! Mówił jej o tym, podawał nawet numer pokoju. Dwieście pięć, na



drugim piętrze. Ale nigdy tego nie sprawdziła. Nigdy nie odwiedziła go w pracy! Nigdy nie przysłała choćby z kanapkami, których zapomniałby z domu. Bo Gustaw nigdy niczego nie zapomniął. Nigdy!

Przez chwilę jeszcze stała i rozglądała się. Kręciło się tu sporo ludzi, głównie kobiet. Żadnych mundurowych ani mężczyzn pod krawatem. Obešla budynek dookoła, chcąc się upewnić, że w żadnej bocznej alejce nie ma samochodu Gustawa.

Nie było.

Wyprostowała się, poprawiła sukienkę, przyglądała włosy, a na usta nałożyła drugą warstwę karminowej szminki. Weszła do budynku Arbeit-samtu<sup>[43]</sup> i od razu skierowała się do portierni.

– Dzień dobry. Przyszedłam do Gustawa Guderiana. Jestem jego żoną.

– Dzień dobry. – Mężczyzna o ponurym obliczu i wąskim, spiczastym nosie wbijał wzrok w Anię. – Gustaw Guderian? – upewnił się, przemierzając kościstym paluchem po zapiskach w księdze.

– Tak, dokładnie. Mam dla niego...

– Nie ma go dzisiaj – przerwał jej.

– A gdzie jest?

– Nie mam pojęcia. Po prostu dzisiaj go nie było – powiedział oschle.

– W takim razie dziękuję i do widzenia.

Opuszczała budynek, mając w głowie mętlik. Była jednak zdeterminowana, by jak najszybciej poznać prawdę. Nie zamierzała niczego zostawiać domysłom.

## DRUGA TWARZ

Następnego dnia opuściła mieszkanie wraz z Gustawem, pod pretekstem, że wybiera się na spacer. Tak naprawdę wsiadła do umówionej taksówki, która czekała na nią za rogiem, i pojechała za autem męża.

Taksówkarz uprzejmie zapytał, dokąd ma jechać, ona zaś lakonicznie odparła, że przed siebie.

– Jeszcze nie wiem, dokąd dokładnie, proszę pana – dodała. – Jak zobaczę odpowiednie miejsce, powiem, by się pan zatrzymał. Tymczasem proszę jechać prosto. – Nie odrywała oczu od stoewera Gustawa. – Teraz w prawo – rzuciła, gdy stoewer skręcił.

– To mi wygląda na Hakenterrasse<sup>[44]</sup> – stwierdził taksówkarz.

– Być może, ale... – Anna mruknęła przeciągle, a potem oznajmiła tonem rozkapryszonej damy salonowej: – Czy ja wiem, po którym trotuarze dziś będę spacerować? Proszę jechać.

Kilka przecznic dalej, nieopodal Grabower Anlagen, straciła jednak samochód Gustawa z oczu i nieco zrezygnowana poleciała kierowcy, by się zatrzymał, po czym zapłaciła i wysiadła.

Rozejrzała się w nadziei na to, że dostrzeże gdzieś czarnego stoewera. Wspięła się na palce. Za ogrodzeniem parceli znajdowała się siedziba... Gestapo. Anna struchlała. Gustaw mówił jej, że jedzie prosto do Arbeitsamtu i będzie tam przez cały dzień. Upewniała się dwa razy. Czyli okłamał ją, patrząc jej prosto w oczy.

Wzięła uspokajający wdech, bo serce niemal wyskakiwało jej z piersi, a potem oparła się o mur, próbując opanować emocje. Nagle poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciła się i oniemiała.

– Johann Fengler? Co pan tu robi?

– O to samo mógłbym zapytać panią.

– Mnie? Ja... Ja...

Mężczyzna spoglądał na nią z pewnym rozbawieniem.

– Niesie pani mężowi kanapki?

– Co? Nie! Przecież Gustaw pracuje w Arbeitsamcie, a tu jest...

– Wiem, co tu jest, droga pani Anno. Naprawdę sporo wiem. Znacznie więcej, niżby niektórzy myśleli i chcieli, bym wiedział. – Zachichotał, jakby właśnie opowiedział Ani sprośny dowcip. – I mogę trochę pani opowiadać o tym, co wiem. – Nadstawił ramię. – Kawa?

– O tej porze? Wszystko jeszcze zamknięte.

Uśmiechnął się zdawkowo.

– Znam pewne miejsce.

Ruszyli prosto, wzdłuż ogrodzenia, a następnie skręcili w prawo i weszli do budynku Gestapo. Ania musiała zblednąć, bo Fengler szepnął w jej stronę:

– Proszę pamiętać, że jest pani doskonałą aktorką.

Spojrzała na niego i zmusiła się do uśmiechu. Mężczyzna bez trudu wprowadził ją na piętro, a potem do pokoju. Nikomu nie musiał się przedstawiać, przed nikim tłumaczyć.

– Zapraszam – powiedział, wskazując krzesło przy długim stole, pośrodku którego stało gipsowe popiersie Adolfa Hitlera. – To jak? Kawa?

Ania przystała na tę propozycję, a Fengler zlecił sekretarce przyniesienie dwóch filiżanek kawy.

– Dlaczego mnie pan tu przyprowadził? Po co?

– Miała pani ochotę na wizytę w kawiarni.

– Proszę sobie ze mnie nie żartować.

– Ależ ja jestem śmiertelnie poważny. W takim miejscu na żadne żarty nie mógłbym sobie po prostu pozwolić.

Jakże Fengler inaczej teraz brzmiał! Tak... przerażająco, mrocznie. Jakby wejście do siedziby Gestapo całkowicie go odmieniło. Nic już nie zostało

z pocieszego tonu, nawet skromnego uśmiechu. Oczy też miał inne, jakby ciemniejsze.

– Chciała się pani napić kawy, a ponieważ słusznie pani zauważyła, że o tak wczesnej porze żadna kawiarnia nie jest otwarta, mój gabinet był jedynym możliwym wyborem.

– Pana gabinet?

– Od niedawna – rzucił dumnie. – I jak się pani podoba?

Ania nawet się nie rozejrzała.

– W ogóle mi się nie podoba, panie Fengler – syknęła cicho.

– W tym miejscu wolałbym, by zwracała się pani do mnie Hauptsturmführer, pani Guderian.

Mówiąc to, położył palec wskazujący na ustach, a potem ledwie zauważalnym gestem wskazał na ściany. Ania od razu pojęła, że muszą być na podsłuchu. Nie wiedziała, w co gra Fengler, ale postanowiła grać razem z nim.

– Oczywiście, z przyjemnością, panie Hauptsturmführer. I przepraszam za to niedopatrzenie. Pana gabinet robi doprawdy wspaniałe wrażenie.

– A zatem, pani Guderian, mówi pani, że ktoś podaje się za przyjaciela Rzeszy Niemieckiej, a tak naprawdę szkodzi naszej najwspanialszej ojczyźnie. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. – Że pomaga polskim robotnikom w ucieczkach, że wspiera akcje sabotażu, a nawet do nich namawia. – Nadal nie pytał, a stwierdzał. – Że łoży na ich leczenie, dostarcza leki...

Ania struchlała. Fengler przecież mówił o niej. O niej i o Michelle.

– Że ten ktoś utrzymuje, że jest Aryjczykiem, a tak naprawdę płynie w nim krew podludzi... Hmm... – W tym momencie do pomieszczenia weszła sekretarka z kawą i Fengler na chwilę przerwał monolog. – To wszystko bardzo ciekawe, pani Guderian, bardzo, ale... – Roześmiał się szyderczo. Tak samo śmiał się Horst i to był śmiech, który nie zwiastował niczego dobrego. – My to wszystko wiemy! Przecież nasz aparat wywiadowczy jest najlepszy nie tylko w Europie, ale i na świecie, pani Guderian, i pani powinna wiedzieć to najlepiej, żyjąc pośród przyjaciół Hitlera, jako

jedna z wiernych kobiet Rzeszy! My wiemy, że ta osoba jest wśród nas! Ścigamy Szarotkę nie od dziś!

Zamilkł, a Anna z wrażenia przesłoniła usta dłońmi.

„Szarotkę?!”

Czyżby to on, ten korpulentny, pocieszny mężczyzna, wysłał jej list? Dlaczego? Z jakiego powodu? I po co ta cała maskarada? Dlaczego nie powiedział jej o tym wcześniej, kiedyś, albo chociaż na ulicy, w miejscu bez podsłuchu, tylko tu, w centrum piekła, w Gestapo?

Mężczyzna głośno siorbnął kawę, wwiercając wzrok w Annę.

– Przykro mi, że więcej nie potrafię powiedzieć, Hauptsturmführer – odezwała się – ale będę się miała na baczności i jeśli dojdą mnie słuchy o tym, gdzie znajduje się – przełknęła ślinę – Szarotka, natychmiast dam panu znać.

– To chyba oczywiste, pani Guderian. Innego rozwiązania nawet nie biorę pod uwagę. Jest pani oddaną obywatelką i dobro Rzeszy Niemieckiej przecież leży pani na sercu.

Fengler wyciągnął z szuflady świstek papieru, po czym spisał na nim jej zeznania i kazał je podpisać. Zrobiła to, choć najchętniej przedarłaby dokument na pół. Ten jeden podpis sprawił, że stała się współpracowniczką Gestapo, konfidentką, donosicielką... A przecież przysięgała sobie, że nigdy, ale to przenigdy nie wejdzie w ten system. Że prędzej zginie albo komuś zada śmierć! Czują się podle, ale spojrzała na Fenglera, który porozumiewawczo zmrużył oczy i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „To nic, nie przejmuj się”.

– Odprowadzę panią, a nawet więcej: odwiozę do domu. Bo wraca pani teraz do swojego domu, prawda?

– Tak.

– A zatem... – Dopił kawę i polecił gestem Ani zrobić to samo. – Nie traćmy czasu.

Opuszczali budynek w milczeniu. Dopiero kiedy znaleźli się na zewnątrz, Fengler się odezwał.

– Była pani idealna.

Ania zerknęła na niego z ukosa, bo ponownie usłyszała ciepły, miękki głos. Nie kryła zaskoczenia, a on... dumy. Cicho zachichotał.

– Przepraszam, musiałem być taki oficjalny. Nie lubię, ale cóż.

– Nic z tego nie rozumiem. Zupełnie nic.

– Zaraz wszystko wytłumaczę. Tylko wsiądźmy do mojego samochodu. Tam jest bezpiecznie.

Zamknął za nią drzwi do mercedesa zaparkowanego przed budynkiem, a kiedy ruszyli, przez pewien czas nic nie mówił. Ania też milczała, choć pragnęła zadać mężczyźnie wiele pytań.

W ostatniej chwili pomyślała jednak, że Fengler zarzucił na nią sieć. Znała jego wcześniejsze gierki. Te dziwne pytania o Rigę...

Czekała więc.

I słusznie.

– Musi mi pani obiecać, że ta rozmowa, że wszystko, co dziś zaszło, zostanie między nami.

– Nie wiem, czy powinnam.

– Zapewniam, że tak.

– Dobrze, obiecuję – odpowiedziała po chwili.

– A zatem... To ja napisałem do pani list.

– Domyśliłam się.

– Zamierzałem więcej, ale wyjechałem, a potem... Potem wszystko się zmieniło, nabrało tempa i sprawy przybrały zły obrót. Kiedyś w Stettinie było spokojnie, nudno nawet, ale odkąd pojawiła się Michelle, sielankę szlag jasny trafił. Zaczęły się intrygi i szantaże, a dla konkurentek Michelle, w tym mojej żony, czas zazdrości i nienawiści. Bo Michelle nie jest zwykłą piękną kobietą, lecz boginią – westchnął – i to jest fakt, a nie opinia. Nic dziwnego, że wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Magda nie cierpiała jej od samego początku i od samego początku nalegała, bym załatwił La-Cour przeniesienie do Berlina, a najlepiej jeszcze dalej. Skoro jej dziad był

Francuzem, może jechać pod zachodnią granicę Rzeszy. Tak mówiła moja Magda. Wiedziałem, że Michelle nigdy w życiu nie zgodziłaby się na żadną inną ofertę poza Berlinem, więc postarałem się o propozycję z tamtejszego teatru. Liczyłem na to, że zniknie z mojego życia, ale tak się nie stało. Michelle za bardzo ciągnęło w pani stronę. Owszem, przyjęła ofertę z Berlina, a Wessely jadła z ręki, ale nie wyjechała na stałe. Byłem zły, a moja żona wściekła. Nie żeby jakoś szczególnie zależało mi na zadowoleniu Magdy, bo to kobieta ze wszech miar zepsuta – wyznał szczerze, co Annę wprowadziło w zdumienie – ale dała mi wspaniałego syna, który dziś walczy na froncie u boku generała Heinza Guderiana i który napawa mnie dumą. A to jest dla mnie powód do dozgonnej wdzięczności.

– Heinza Guderiana?

– Tak, stryja pani męża. Zasadniczo, skoro weszła pani do rodziny, to także pani stryj – mruknął przeciągle, po czym dodał tonem, który słyszała wcześniej w siedzibie Gestapo: – Ale tylko pod warunkiem, że weszła pani do rodziny.

– Oczywiście, że weszłam.

– A zatem, pani Guderian, Heinz to również pani stryj. Nazwisko zobowiązuje.

Ania wyczuła coś niepokojącego w jego głosie, jakby ją znowu sprawdził. Starła się jednak zachować spokój.

– A więc Michelle nie wyjechała, Magda się wściekała, a pani – ciągnął Fengler – zaczęła niszczyć mój osobisty spokój, pani Guderian.

– Ja? Niby czym? Pochodzeniem?

Prychnął ze śmiechem.

– Niech pani da spokój z tą Rigą. Przecież oboje dobrze wiemy, że pani noga nigdy tam nie powstała. Nie mam jednak pani za złe tego drobnego nadużycia.

– Ależ wypraszam sobie! Jak pan może?! Co to za insynuacje?

Popatrzył na nią pobłaźliwie.

– Zróbmy tak, pani Anno. Ja będę mówił, a pani nie musi w żaden sposób się do tego ustosunkowywać, oponować ani się pogrążyć. Powiem swoje i proszę mi uwierzyć, na końcu będzie pani ze wszech miar zadowolona. O ile pozwoli mi pani do tego końca dociągnąć, pani Guderian.

– Dobrze.

– A zatem...

Właśnie znaleźli się w dzielnicy, w której mieszkała, ale nie zatrzymali się, lecz podążyli dalej, w stronę Westendu<sup>[45]</sup>. Ania nie spytała, dokąd jadą, bo intuicja podpowiadała jej, że mimo wszystko nie musi bać się Fenglera.

– Nie mam pani za złe tej szopki z Rigą. Każdy ratuje się, jak może. Ja ratuję się bourbonem, przyjęciami i zdobywaniem kolejnych obrazów francuskich impresjonistów. Przyznam, że do tego celu nadużywam również stanowiska i podążam nie do końca uznanymi drogami pozyskiwania dzieł. W zeszłym tygodniu dotarło do mnie wymarzone malowidło Moneta *Plaża w Trouville*. Jak dobrze pani wie, nie jest to pierwsze dzieło tego artysty w moich zbiorach. Nic nie poradzę, że lubię, ba!, Kocham francuskie malarstwo, a w tych dość mrocznych czasach jest ono dla mnie zbawieniem. Tak, tak! Moja żona z kolei nie cierpi impresjonistów. Ona kocha diamenty, perły i młodych, przystojnych nazistów. Tym się ratuje. Za to Michelle LaCour ratuje się pracą na dwa fronty. – Zamilkł i zerknął na Annę, a potem wypiął pierś niczym dumny kogut, bo na twarzy kobiety dostrzegł spodziewane zdumienie. – Z jednej strony Michelle jest przykładną Niemką i denuncjuje Polaków, z drugiej zaś, najwyraźniej dla odkupienia win, pomaga tym samym Polakom, organizując ich ucieczki i podrzucając drobiazgi, które sprawiają, że życie tych ludzi staje się odrobinę łatwiejsze. Kilka długich miesięcy nad tym pracowaliśmy, nim pojęliśmy, kim tak naprawdę jest Michelle LaCour.

– Michelle jest podwójną agentką?

– Dla Niemców Szarotką, dla Polaków Łabędziem.

Anna miała wrażenie, że się przesłyszała.



– Co? Czym?

– Szarotka pani nie zaskoczyła, a zatem chodzi o Łabędzia...

– Tak ją nazywają? Tak nazywają Michelle?

– Tak sama każe się nazywać.

– Łabędziem? – upewniła się Anna, a Fengler potwierdził.

Ania poczuła, jak krew z niej odpływa, jak słabnie. W głowie zaczęło jej się kręcić i... straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, leżała na otomanie w willi Fenglera, w otoczeniu dzieł impresjonistów, w tajemnym pokoiku bez okien, do którego zaprowadził ją kiedyś sam Fengler. Podeszła do drzwi, lecz okazały się zamknięte. Zaczęła szarpać za klamkę, nic to jednak nie dało.

„Do diabła! – przeklęła w myślach. – W co ten człowiek gra?! O co mu chodzi?”

Z powrotem usiadła na otomanie i zaczęła się zastanawiać nad swoim położeniem, kiedy z nagłą zalały ją wspomnienia Fenglerowych słów. Nie miała pojęcia, czy może mu ufać. Czy powinna wierzyć jego słowom, a przede wszystkim temu, że Michelle działa na dwa fronty, że jest Szarotką i... Łabędziem?

„Łabędź... Dlaczego akurat Łabędź? Czy Michelle coś o mnie wie? A może to Fengler poznał moją tajemnicę? Może dotarł do jakichś dokumentów? W końcu pracuje w Gestapo. A może zwęszył jakieś zapiski Gustawa...? Może...?”

Pytaniom nie było końca. Poczuła, że pęka jej od nich głowa. Wstała więc, bo zapragnęła natychmiast się wydostać z tego dusznego pomieszczenia. Bardzo uważnie zaczęła macać ściany pokoju, z nadzieją, że znajdzie ukryte drzwi, tajemne przejście. Była w końcu w domu Fenglera, a on szczylił się tym, że jest w nim wiele na pierwszy rzut oka niewidocznych przejść. Jak się okazało, w impresjonistycznej kapliczce Fenglera też takie było. W ścianie Anna odkryła ruchomy element podobny do kołatki. Kiedy pociągnęła za niego, coś stuknęło, zgrzytnęło, skrzypnęło, a potem regał

z książkami się przesunął. W Anię uderzyły piwniczny chłód i wilgoć. Stała w progu i dostrzegła kręte schody w dół.

Prowadziły do wąskiego i długiego pomieszczenia, na którego końcu tliła się słaba żarówka. Anna rozejrzała się dookoła. Jej oczy przywykły już do ciemności, choć gdyby mogła wybierać, wolałaby nie widzieć tego, co znajdowało się na ścianach. Łańcuchy, okowy, żelazne pęta. Zmroziło ją przerażenie, wszystko to wyglądało jak średniowieczna sala tortur. Brakowało tylko dyb, inkwizytorskiego krzesła i butów pokutnych oraz... jakiegoś trupa. I kata.

Jeden krok. Drugi. Żadnych drzwi, tylko nikłe światło w oddali. Serce podchodziło jej do gardła. Szła powoli wzdłuż ściany, a kiedy dotarła do źródła blasku, zobaczyła, że wydobywa się ono spod potężnych metalowych drzwi. Nie wiedziała, czy powinna iść dalej, nie miała pojęcia, co ją za nimi czeka, ale chciała, naprawdę chciała już zakończyć tę całą maskaradę. Złapała za klamkę, ale zanim ją nacisnęła, obejrzała się jeszcze. Zdało jej się, że słyszy czyjś oddech. Korytarz był jednak pusty.

Weszła do środka, do ciemnego przedpokoju z kilkoma krzesłami i stolikiem. Pomieszczenie wyglądało jak poczekalnia. Ściany były ciemnoszare i obite grubym materiałem przypominającym gąbkę. Zza drzwi z naprzeciwka dochodził jednostajny dźwięk. Anna odważnie nacisnęła klamkę i poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios strumieniem oślepiającego światła i ogłuszającego dźwięku. Odruchowo zmrużyła oczy i zasłoniła uszy rękoma. Nie miała pojęcia, że światło i dźwięk mogą boleć. A jednak.

Ktoś szarpnął ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Co ty tutaj robisz? – usłyszała jak przez mgłę, a po chwili dużo wyraźniej: – Co ty tutaj robisz?!

Otworzyła oczy. Naprzeciwko niej stał Gustaw. Była pewna, że to on, choć w pierwszej chwili pomyślała, że ma omamy. Ten Gustaw nie był tak elegancki jak jej mąż. W rozchełstanej koszuli, z podwiniętymi rękawami, spocony i z rozwichrzonymi włosami.

– Co ty tutaj robisz? – powtórzył pytanie, pospiesznie wypinając kable ze stojącej na stole małej konsoli.

Dziwnie się zachowywał, nerwowo. Rozejrzała się. Znajdowali się w niewielkim pokoju bez okien, z jedną ścianą ze szkła, przez które do środka dostawało się intensywne światło. Przy ścianie stał długi stół, a na nim akta z doczepionymi zdjęciami. Takie same jak te, które kiedyś widziała w szafie Gustawa. Ania od razu pomyślała, że to musi być sala przesłuchań, ale potem odezwał się w niej głos zwątpienia. Wiedziała, że takie pomieszczenia znajdują się w siedzibie Gestapo; słyszała pokątnie o bezwzględnych praktykach gestapowców, o technikach przesłuchań. Ale przecież nie byli w siedzibie Gestapo, a w domu Fenglera.

– Kim ty jesteś, Gustawie? Kim ty...? – Zatrwożyła się, bo u pasa Gustawa dostrzegła kaburę z bronią. Wiedziała, że jej mąż ma broń, pokazywał jej kiedyś nawet, jak się nią posługiwać, ale przy niej nigdy jej nie nosił. – Kim ty, do cholery, jesteś?

– Nie powinno cię tu być – rzucił, nie zważając na jej pytania. – Skąd się tu wzięłaś?

– Fengler mnie przywiózł i zamknął w pokoju z obrazami.

– I nie mogłaś usiedzieć w miejscu? Wracaj tam natychmiast, tam będziesz bezpieczna. Potem... – Gustaw wyłączył ostre światło w pomieszczeniu za szybą. – Potem do ciebie przyjdę.

– Do cholery, Gustawie! Nie wyjdę stąd, dopóki mi nie powiesz, co ty tutaj robisz! Torturujesz ludzi?

Zerknęła za szybą. W świetle żarówki dostrzegła, że w drugim pomieszczeniu, na krześle, siedzi krępy mężczyzna. Miał związane i mocno wygięte do tyłu ręce, był nagi, a jego ciało znaczyły liczne krwiste pręgi.

– Jeśli nie muszę, nie torturuję.

– Jeśli nie musisz? – powtórzyła. – Co to znaczy?

– Dokładnie to, co usłyszałaś.

– Boże drogi! A ja naiwnie myślałam, że spędzasz czas przy biurku i wypisujesz jakieś kwity, protokoły i pisma – prychnęła.

– To też robię.

– Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? „To też robię”?! – Przedrzeźniała go. – Przecież mówiłeś, że jesteś urzędnikiem, że przybijasz pieczętki tu i tam, wysyłasz gońców, chodzisz na zebrania, załatwiasz sprawy po urzędach! Nie za pomocą pięści!

– Nigdy tak nie mówiłem. To ty tak mówiłaś.

– A ty nigdy nie wyprowadziłaś mnie z błędu.

– Dla twojego bezpieczeństwa.

– Mam dość tej twojej ochrony! Chcę szczerości. Mówiłam ci nieraz, że tajemnice mi nie służą.

– Tajemnice są dla ciebie najlepszym buforem bezpieczeństwa. Gdybyś знаła całą prawdę, sama dla siebie byłabyś zagrożeniem.

Anna skrzyżowała ręce na piersi.

– Powiedz mi całą prawdę i się przekonamy, Gustawie. Teraz już nie ma odwrotu.

– Odwrotu nie ma, ale można się zatrzymać i nie brnąć dalej.

– Nie rozumiesz! Już nie możemy się zatrzymać! Musisz mi wszystko wytłumaczyć! Teraz, tutaj!

– To nie jest dobre miejsce na jakiegokolwiek tłumaczenia.

– A gdzie będzie lepsze? W naszym mieszkaniu? Czy może w siedzibie Gestapo?

Spojrzał na nią uważnie.

– Fengler przekonywał mnie, że to nie twój samochód widziałam, ale ja wiem, że to ty, prawda?

Gustaw na końcu języka miał już kolejne kłamstwo, ale Anna spojrzała na niego tak, że zamiast tego powiedział:

– Tak, masz rację. Pracuję w Gestapo. Tak jak Rothmann i Horst, ale nie działałam jak oni.

– Czyli jesteś mniej okrutny od nich, tak? A twoje tortury są jak wakacje nad Bałtykiem?

– Przestań! To strasznie głupie, co mówisz.

– Strasznie głupie jest to, że nadal nie chcesz mi w pełni zaufać. Mnie! Chociaż ja oddałam w twoje ręce swoje życie, życie Joli, Oleńki i Radka. Życie swoich najbliższych.

– A ja nie? Myślisz, że ja niczego nie ryzykuję? Myślisz, że moje życie nie wisi na włosku? Do cholery, Anno! Jesteś krótkowzroczna! Widzisz tylko czubek własnego nosa, a nie zastanowiłaś się, dlaczego Fengler trafił na ciebie akurat dziś? Nie pomyślałaś, że to wszystko mój zamysł, że działamy razem?

Z kieszeni spodni wyciągnął złożoną na czworo kartkę i rzucił ją Ani. Rozłożyła ją i zobaczyła zeznanie, które podpisała w gabinecie Fenglera.

– Otoczyłem cię parasolem, byś mogła przeżyć, bo nigdy, przenigdy na nikim tak bardzo mi nie zależało. Poza tym złożyłem przysięgę przed babcią, że zawsze będę cię chronił, nawet za cenę własnego życia. – Spojrzał na nią ostro, a ona przełknęła ślinę. – I to robię! Chronię ciebie! Nie siebie, nie urząd, stanowiska czy rodzinę! Ciebie! To, że nie mówię ci całej prawdy... Nie robię tego dla własnego dobra, uwierz mi! Wolałbym wszystko ci wyjawić i pozbyć się tego cholernego ciężaru, który jest mi niczym garb. I to garb, który rozrasta się z każdym kolejnym kłamstwem, z każdą kolejną tajemnicą.

Spojrzał w szybę, a potem na Anię. Podeszedł do drzwi i położył dłoń na klamce.

– Proszę, zobacz, przed czym cię chronię.

Otworzył drzwi. Ania wstała i odważnie weszła do środka. Spojrzała na związanego mężczyznę. Nie rozpoznała go, ale za to on rozpoznał ją.

– A więc to prawda! – usłyszała po polsku.

Po jej plecach przebiegł zimny dreszcz, bo od razu przypisała ów głos do twarzy.

„Stefan Dziarkowski” – pomyślała z odrazą.

Przed oczami wyświetliły jej się obrazy z przeszłości. Dziarkowski śmiągający w jej stronę batem, grożący jej rodzinie, naśmiewający się z Mani

Kwiatkowskiej, dumnie krocący ulicami miasta po amnestii... Nienawidziła go za całe zło, które wyrządził fordoniakom, i cieszyła się, tak, czuła radość, że oto ten potwór, na którego w jej rodzinnych stronach nie było mocnych, znalazł się w potrzasku.

Dziarkowski zaczął rechotać. Głośno, chrapliwie, przerażająco.

– Zamknij się! – wrzasnął Gustaw.

– Łabędziówna!

Rechotał dalej.

– Zamknij mordę, mówię!

– Łabędzióóównaaa! Ty mała kurewkooo!

Ania nerwowo spojrzała na Gustawa, a on ani drgnął, wbijając w więźnia miażdżące spojrzenie.

– Już ja cię urządzę, sprzedawczyku jebany! Łabędziowie wszyscy mieli zdechnąć, byli na liście, a ty żeś tę najmłodszą kurwę se przygarnął? – Dziarkowski darł się na cały głos. – Dobrze, że o wszystkim napisałem Rothmannowi! A jak wróci, to powiem, gdzie zostawiłem list! Powiem i będziecie skończeni! – Splunął w stronę Gustawa.

Gustaw podszedł do niego i zdzielił go pięścią w twarz. Musiał przy tym przytrzymać krzesło, bo w przeciwnym wypadku runęłoby razem z Dziarkowskim na podłogę. Mężczyzna wypluł krew i dalej rechotał. Ileż w tym gardłowym, ohydny dźwięku było pogardy! Ile drwiny!

– Polska kurwa i niemiecki kutas! Ja pierdolę!

Twarz Gustawa nagle stężała. Spojrzał wymownie na Annę.

– Chronię cię przed takimi jak on – powiedział, zachodząc Dziarkowskiego od tyłu. Cały czas patrzył na żonę. – I jestem gotowy na wszystko.

Dziarkowski zamilkł i zaczął poruszać się nerwowo, ale Guderianowi nie przeszkodziło to w złapaniu go za szyję.

Nie przestawał patrzeć na Annę.

Chwył był mocny, lecz nie na tyle, by uciszyć Dziarkowskiego, który darł się jeszcze w niebogłosy po niemiecku i wzywał Rothmanna, jakby co

najmniej znajdował się zaraz za drzwiami. A może myślał, że jest w siedzibie Gestapo? Może... Gustaw wzmocnił uścisk i Dziarkowski zamilkł, z trudem łapiąc oddech.

Gustaw nadal patrzyła na Annę.

Był skupiony, śmiertelnie poważny. Wykonał jeden mocny ruch. Anna usłyszała chrzęst i aż się wzdrygnęła. Utkwiła wzrok w bladej twarzy Dziarkowskiego, w twarzy, która była teraz bez życia.

Gustaw rozwiązał mu ręce i nogi. Ciało mężczyzny bezwładnie osunęło się na podłogę i zaległo w wykrzywionej pozie.

Guderian podszedł do Ani, złapał ją za dłonie i mocno uściskał.

– Naprawdę zrobię wszystko, by cię chronić. I dlatego musisz stąd jak najszybciej zniknąć. Niedługo pojawi się Rothmann, nie może cię tu zobaczyć.

– Co mam zrobić?

– Wróć do mieszkania i nikomu, absolutnie nikomu nie otwieraj – mówił rozkazującym tonem. – Nie odbieraj telefonu. Zachowuj się tak cicho, jakby cię nie było. I spakuj nas w jedną walizkę, musimy wyjechać.

– Do Gross Born?

– Nie, to by było zbyt oczywiste. Pojedziemy w zupełnie inne miejsce. Czekać na mnie w domu. – Pokazał jej kolejne drzwi. – Tędy wyjdiesz na zewnątrz.

Pokiwała głową, spoglądając Gustawowi w oczy. Chciała zobaczyć mężczyznę, którego pokochała, dla którego gotowa była zrobić wszystko. Ale jego źrenice były obce, demoniczne, jakby należały do kogoś innego. Już nawet nie człowieka.

Nie chciała, by te słowa wypłynęły z jej ust, ale to się po prostu stało.

– Właśnie kogoś zabiłeś.

Zmrużył oczy.

– Nie pierwszy raz.

## PRAWDA O SMAKU ŁEZ

Niecierpliwie czekała na Gustawa, siedząc jak na rozżarzonych węglach. Po powrocie zaraz siebie i jego spakowała i opadła na sofę, wpatrując się w drzwi. Myśli zalewały jej głowę, pytania potęgowały strach. Bo jakże miała się nie bać, kiedy na własne oczy widziała, jak Gustaw zabija człowieka? Z zimną krwią, z premedytacją. Rozumiała, że miał jasny i oczywisty powód, ale mimo wszystko drżała na wspomnienie bezwiednie opadającego na podłogę ciała Dziarkowskiego. A potem drżała na myśl o tym, że Gustaw się z tego nie wywinie. Przecież zabił istotnego dla Rzeszy człowieka, a to nie jest coś, co mogłoby przejść bez echa. Jak można z czegoś takiego wybrnąć? Oczami wyobraźni zobaczyła go zakutego w kajdany, osadzonego w celi. A potem przypomniała sobie, jak powiedział, że zabił nie pierwszy raz, i olśniło ją.

„Przecież Gustaw pracuje dla Gestapo! Nic mu nie może grozić nawet za zabicie volksdeutscha. Nie może, na pewno!”

Gustaw wrócił przed osiemnastą, ubrany w strój, w którym wychodził do pracy. Pachniał wodą toaletową, włosy miał w idealnym ładzie. Gustaw Guderian w najlepszym wydaniu. Tylko oczy zdradzały, że coś było nie tak.

Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, zupełnie bez życia, jakby zaraz miał zemdleć. Wziął głęboki wdech i ruszył w stronę Ani. Nie odezwał się. Ona też milczała. Przycisnął ją mocno do siebie i wtulił twarz w jej włosy, zaciągając się jej zapachem. Ania usłyszała jego szarpany oddech. Płakał. Opanowany, rzadko okazujący emocje mąż płakał. W końcu wyszeptał jej we włosy:

– Mamy godzinę. Muszę ci dużo opowiedzieć.

Usiedli do stołu. Ania wyczekująco spoglądała na Gustawa.



– Kiedy przyjeżdżałem do Fordonu, wcale nie pracowałem w Arbeitsamcie – zaczął. – Byłem policjantem i jeździłem do waszego więzienia na przesłuchania. Okazałem się w tym tak skuteczny, że niestety przeniesiono mnie do Stettina, ale nie do policji, a do... Arbeitsamtu. Miałem się zająć wyłapaniem skorumpowanych urzędników. Znowu świetnie mi szło i to, co mi zlecano, wykonywałem w czasie dwa razy szybszym od współpracowników. Wszystko po to, by za nadgodziny móc odebrać dni wolne i przyjechać do ciebie, do Fordonu. Po wybuchu wojny zostałem w Arbeitsamcie. Przeniesiono mnie do specjalnej komórki, która nie podlega nikomu w urzędzie, a samemu Berlinowi. Oficjalnie przyjmuję transporty robotników przymusowych. Nieoficjalnie prowadzę dochodzenia dla Gestapo w sprawie urzędniczych nadużyć dotyczących ich rozdziału, przesłuchuję właścicieli fabryk i wachmanów, czasami samych robotników. Przydzielono mi te zadania, bo najlepiej ze wszystkich mówię po polsku. Poza tym – zawiesił głos – znam się też na boksie... Byłem przecież bokserem i choć mój łokieć nigdy nie będzie w pełni sprawny, do przesłuchań wystarczy. Bywam brutalny, potrafię bić do nieprzytomności – powiedział przez niemal zaciśnięte zęby. – Bywam bardzo przekonujący i jestem w stanie wydobyć z ludzi wszelkie informacje. Gestapo wysoko mnie ocenia. Awansowałem. Teraz pracuję jako Obersturmführer, ale wkrótce mam ponownie awansować. Nie lubię tej pracy, jednak czasami w pracy nie chodzi o lubienie. Czasami trzeba robić coś, czego się nie lubi, by ocalić kogoś, kogo się kocha.

Zapanowała cisza. Ania trawiła słowa Gustawa, a on obserwował jej reakcję.

– A Fengler?

– Jest naszym sprzymierzeńcem.

– Ale dlaczego?

– Po pierwsze, ze względu na dług, jaki ma u mnie. Jego syn poszedł na wojnę, ale dzięki mojemu wstawiennictwu służy u boku mojego stryja i jest bezpieczny. Po drugie, Fengler tylko z pozoru jest łysiejącym, nieco ślamazarnym panem z brzuszkiem. Tak naprawdę to człowiek całkiem gibki i ponadprzeciętnie inteligentny. Nienawidzi nazistów, nigdy ich nie lubił, a od

kiedy zwabili w swe sidła jego żonę, gardzi nimi tak dalece, że postanowił służyć rządowi polskiemu jako agent. Był ponoć najcenniejszym wywiadowcą „Bombaju”<sup>[46]</sup>.

– Fengler? Przecież on pracuje w Gestapo.

– W ten sposób jest podwójnie cenny, bo ma dostęp do ważnych dokumentów.

Przez chwilę jeszcze opowiadał o Fenglerze, a potem nagle rzucił:

– Michelle też jest cenna.

– Cenna? Fengler nazwał ją zdrajczynią.

– Między agentem cennym a zradzieckim istnieje bardzo cienka granica. Michelle non stop ją przekracza. Jest piekielnie niebezpieczna i absolutnie poza jakąkolwiek kontrolą. O ile mam jakikolwiek wpływ na Fenglera, na Michelle nie mam żadnego. Ona jest kobietą bez przeszłości, nie ma żadnej kartoteki, urzędowego wpisu, punktu zaczepienia. To, co o sobie opowiada... To wszystko bzdury. Nic się nie zgadza, poza jednym. Rzeczywiście ktoś kiedyś pomógł jej zaistnieć na scenie, odkrył jej talent aktorski i językowy. Tylko to. Michelle jest bardzo sprytna. Drugiej takiej lisicy nie znam. Wpadliśmy na jej trop dzięki przesłuchaniom Dziarkowskiego. Zmiękczyliśmy go narkotykami. Gadał o Michelle jak najęty.

– O tym, że Michelle każe na siebie mówić Łabędź, też?

– O tym też.

– Dlaczego akurat Łabędź? Nie wydaje ci się to dziwne?

– Jasne, że tak, ale to przypadek. Sprawdziłem to na wszystkie sposoby i nie odkryłem żadnego związku z tobą.

Ania westchnęła. Poruszyła się niespokojnie na krześle, machinalnie gładząc dłońmi serwetę.

– Ile osób zabiłeś?

Długo milczał. Długo zastanawiał się, co powinien powiedzieć.

– Nie potrafię tego jednoznacznie określić, bo jeśli miałbym wskazać te, które zabiłem z własnej ręki, to cztery, ale jeśli te, które skazałem na śmierć, to wiele, bardzo wiele. Policzyć bym nie potrafił.

- A ile ocalałeś? – zapytała nieoczekiwanie.
- Zbyt mało, bym śmiał o nich w ogóle wspominać.
- Spróbuj.
- Nie. Ocalenie nie jest czymś, co da się porachować na liczydło. Powinno być ludzkim odruchem. Odruchem serca i rozumu.

Ania patrzyła na Gustawa. Chciała zobaczyć w nim potwora, znalazła zaś człowieka, który nie pragnął dla siebie usprawiedliwienia, nie szukał wybaczenia ani łaski, lecz czekał pokornie na potępienie.

– Możesz mnie nienawidzić za to, co powiedziałem, i za to, co dziś zobaczyłaś. Nie będę cię winił, bo jedynym winowajcą w tej sytuacji jestem ja. Ale wiedz, że nigdy, ale to przenigdy nie zniszczyłem człowieka dobrego. Z całych sił starałem się, by szlachetni ocaleli, by to ich było na wierzchu, a nie podłych i okrutnych. Nie zawsze mi się to udawało. Twoja rodzina zginęła i do końca moich dni będę to sobie wypominał, bo mogłem ich uratować. Gdybym zabił jednego oficera... Ale nie zabiłem, choć to podły człowiek, a oni zginęli, mimo że dobrzy z nich byli ludzie. – Westchnął. – Dziś zabiłem Stefana Dziarkowskiego, wcześniej jego syna. Obaj zasługiwali na śmierć. O gorszych ludzi ciężko. Wcześniej zabiłem... – zawahał się – ...doktora Schulza i jego kobietę. Musiałem to zrobić, bo grozili, że cię wydadzą. – Sięgnął po papierosa i zapalił. – Nie jestem stary ani zbyt doświadczony. Nie jestem mędrcom, ani nawet człowiekiem, którego można zwać mądrym. Ale jedno wiem. Dobro nie zawsze zwycięża, ale o dobro zawsze warto walczyć. I dlatego walczę o ciebie. O to, byś przetrwała, bo zawsze byłaś dla mnie chodzącym dobrem. Aniołem, którego Bóg zesłał na ten parszywy ziemski padół jako przeciwwagę dla typów najpodlejszych i najokrutniejszych. Dla zła, które dzisiaj ma twarz sąsiada i przyjaciela. Dlatego też czasami chronię ludzi, którzy są ofiarami wojny i trafiają tu jako robotnicy przymusowi – mówił wolno i dobitnie. – Nie chcę się wybielać, bo czernidła z mych rąk żadnym proszkiem nie wywabię, ale dzięki temu, że przyjmowałem transporty ludzi, mogłem choć niektórych, słabszych czy starszych, ocalić od piekła albo śmierci. Kierowałem ich do łagodniejszych wachmanów, do fabryk o niskim rygorze, tam, gdzie będą

mieli co jeść i gdzie spać. Gdzie będą mogli godnie trwać w oczekiwaniu na koniec tej okrutnej wojny. Mam doskonałą pamięć, idealny słuch, sokoli wzrok. Jestem stworzony do pracy w służbach, do pracy przy niszczeniu ludzi. Ale nie żałuję, bo dzięki temu mogłem ocalić ciebie. Gdybym nie był tym, kim jestem, nic by nam się nie udało. Ani dokumenty Anny Schmidt, ani nasz akt ślubu, ani twoje nowe życie w Stettinie.

Zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa.

– Jedyne, czego żałuję, to to, że nie odważyłem się wcześniej powiedzieć ci prawdy. Dopiero teraz. Gdy sama się przekonałaś, kim jestem.

– Więc dlaczego teraz mi to mówisz, Gustawie? Tyle czasu się kryłeś, milczałeś, kłamałeś, a dziś po prostu usiadłeś i wszystko mi wyznałeś... Po co?

– Bo to prawda. Nie jej chciałaś?

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Teraz już nie skrywam przed tobą sekretów. Żadnych. Ani jednego. Każdą kłamliwą szatę z siebie zrzuciłem. Jestem nagi, Anno. Staję przed tobą bezbronny jak dziecko wyjęte z ciała matki i położone na jej piersi. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz.

Nie chciała płakać, ale łzy same cisnęły jej się do oczu. Nie chciała też nic mówić, jednak nie potrafiła utrzymać języka na wodzy. Podeszła do męża i uklękła u jego kolan. I on opadł na kolana.

Wtulili się w siebie niczym dwoje zagubionych ludzi, którzy nagle odnaleźli się pośród piekielnych czeluści.

– Czułam, że masz tajemnice. Wiedziałam, Gustawie, od samego początku wiedziałam, ale nie miałam pojęcia, że takie. Myślałam, że chodzi o inne sprawy. Że o interesy, które na boku kręciłeś, by zapewnić nam dostatnie życie. Nie miałam pojęcia... Nieoczekiwanie zjawił się Radek i to on... – mówiła pospiesznie, gładząc go po policzkach. – On mi powiedział, że jesteś kimś innym, niż mówisz. I dlatego przyszłam. Musiałam.

– Radek wiedział od początku. On jeden się domyślił. Już w Fordonie skojarzył, że pracowałem w kryminalnej, choć w ukrywaniu się byłem mi-

strzem. Sprawdził wszystko swoimi kanałami i doszedł do tego, że przyjeżdżałem do Fordonu, żeby w więzieniu prowadzić przesłuchania. Taka była prawda, nie mogłem zaprzeczyć. Zażądał spotkania, więc umówiliśmy się w Wiślanej, kiedy akurat nie miałaś zmiany. Nie pytał o szczegóły ani o powody. Przyjął do wiadomości, tylko kazał mi przysiąc, że nigdy nikogo nie zabiję dla przyjemności. Słowa dotrzymałem. Nawet zabijając tego śmiecia Dziarkowskiego, nie czułem się z tym dobrze.

Ujął dłonie Ani i złożył na nich długi pocałunek, a potem znów chciał mówić – powiedzieć, że dla niej poszedłby na wojnę z całym światem, że zabiłby każdego, kto by jej groził, ale nie musiał wypowiadać już ani słowa, bo ona wiedziała. Ona zawsze wszystko wiedziała.

Jego żona.

Jego Anna.

## CZAS OSTATNI

Gustaw wielokrotnie wyobrażał sobie scenę, w której Anna dowiaduje się prawdy o jego pracy i go opuszcza. Bez krzyku, ale z trzaskaniem drzwi. Pamiętał jej słowa, kiedy mówiła, że nigdy nie potrafiłaby żyć z kimś, kto pracuje w Gestapo. A on nie dość, że wyznał, że tam pracuje, to jeszcze przyznał się do zabijania.

Choć Radek przekonywał go, że Ania pojmie to wszystko i nadal będzie przy nim trwać, nie do końca w to wierzył i dlatego tak długo zwlekał z powiedzeniem prawdy o sobie.

Otrzymał wybaczenie, a nawet znacznie więcej: najpiękniejszy tydzień życia. Tydzień na Rügen<sup>[47]</sup>, w malowniczej wiosce Vitt, gdzie flagi ze swastyką powiewały na niewielu domostwach, gdzie ludzie żyli w rytmie zgodnym z naturą i nie pytali, kto zaczął.

Samochód Gustaw zostawił u zaprzyjaźnionych rybaków. Dla niepoznaki, jak powiedział. Sami zaś zamieszkali na uboczu, w domu ze strzechą i z rozległym ogrodem z herbacianymi różami na pergolach i klombami szarotek wzdłuż kamienistych alejek. Z okien widać było Bałtyk i strome białe klify. Spacerowali brzegiem morza, podziwiali zachody i wschody słońca, kochali się o świcie i o zmierzchu. Słuchali muzyki, pili wino, byli razem. Nie czuli wojny, nie rozmawiali o niej, nie czytali gazet, nie wspominali Fenglera, LaCour, Rothmanna. Podarowali sobie siedem dni wspólnego życia bez wojny. Oboje o niej myśleli, ale nie śmieli swych myśli ubrać w słowa.

– Czyli tak to będzie, kiedy ona się już skończy. Ta piekielna wojna – powiedziała Anna, tuląc się do ramienia męża, kiedy ostatniego wieczoru spacerowali po plaży.

– Tak. Zabiorę cię, gdzie tylko będziesz chciała. Ciebie i nasze dzieci.

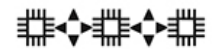
– Dzieci?

– A nie chcesz? Wydawało mi się...

– Gustawie! – przerwała mu. – Jasne, że chcę. Bardzo. Dzieci! Kocham dzieci, a ty... Ty będziesz wspaniałym ojcem! Oboje będziemy świetnymi rodzicami!

Przez chwilę brzmiała jak dawna Ania. Ta trajkotka, ta szalona ambitna dziewczyna z pomysłami jak z powieści. Ta, w której Gustaw się zakochał i której ślubował „na dobre i na złe”.

Pomyślał, że taką Anię kochał najbardziej i z taką chciałby spędzić życie. Choćby i najkrótsze.



Siedzieli na werandzie, spakowani i gotowi do drogi, pijąc pożegnalną herbatę. Za chwilę ich sielanka miała się skończyć.

– Nie wrócimy do Stettina – stwierdził nagle Gustaw.

– Jak to „nie wrócimy”? Przecież masz tam pracę, służbę. Chcesz to rzucić?

– Chcę być z tobą, a w Stettinie nie mamy już przyszłości. Jedziemy do Zurychu, a stamtąd do Australii. Babcia zostawiła mi spory majątek, więc kupiłem dom z widokiem na Port Jackson.

– Port Jackson? – zawołała podekscytowana, ale po chwili zwątpiła. – To strasznie daleko...

– A czy odległość ma jakiegokolwiek znaczenie, jeśli myśli się o wolności?

– Nie... Masz rację... To bez znaczenia. A czy...? Czy to przez to, że... że zabiłeś Dziarkowskiego?

– Śmierć Dziarkowskiego tylko przypieczętowała moją decyzję. Szykowałem nas do tego wyjazdu już jakiś czas. Tak dokładnie to zacząłem wszystko przygotowywać z chwilą, gdy wyjechałaś do Gross Born. Obawiałem się Rothmanna. Dlatego namówiłem Fenglera, by wcisnął się do Gestapo. Potrzebowałem tam człowieka na pełen etat, który byłby moimi uszami i oczami. Co prawda Rothmann to mój szef, powinienem mu ufać,

a on mnie. Jednak między nami nigdy nie było szczególnego porozumienia. A dzięki Fenglerowi wiem, że Rothmann szukał na mnie haków, śledził mnie i że przesadnie zajmowała go twoja osoba.

– Wiesz, że będą cię szukać. Że będą szukać nas. I że prawdopodobne jest, że znajdą.

– Nie będą szukać i nie znajdą. Fengler to załatwi. Nie martw się. Dokumenty są już spreparowane.

– Zginęliśmy?

– Wolę myśleć, że staliśmy się feniksami, a na antypodach odrodzimy się z popiołów z nowymi personaliami.

– Brzmi bajkowo.

Gustaw westchnął.

– Ale nie myśl, że to będzie bajka. Musimy być bardzo czujni, bo tak naprawdę nie mam pojęcia, co nas czeka. W schowku w aucie jest instrukcja, dokumenty, wszystkie dane i trochę kosztowności na start. Po drodze wszystkiego się nauczysz. Masz w tym doświadczenie.

Ania spojrzała w morze. Niespokojne fale rozbijały się o brzeg i ten niepokój jej się udzielił. Po raz kolejny miała stać się kimś innym, a nawet nie wiedziała kim.

„Musisz żyć, jakieś Łabędź” – przypomniała sobie słowa ojca, a nawet wyobraziła sobie, jak je wypowiada, jak patrzy na nią ciepło i lekko poklepuje ją po dłoni.

– Dobrze, Gustawie. Zgadzam się na wszystko, ale... – Zawahała się. – Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Bo egoistycznie chciałem cię mieć tylko dla siebie. Gdybym ci powiedział, myślałabyś wyłącznie o wyjeździe.

– To nie w porządku. Ty mogłeś myśleć, a ja nie? – rzuciła żartobliwym tonem, chcąc nieco rozładować napięcie. – A przecież mogliśmy razem snuć plany o przyszłości w domu z widokiem na Port Jackson... Będziemy jedli śniadanie, obiad i kolację, mając przed oczami widok jak z pocztówki.

Guderian roześmiał się i pokręcił głową.



– Chyba nigdy nie będę miał ciebie dość.

– To dobrze?

– Najlepiej.

Przy furtce nieoczekiwanie zjawił się chłopak od rybaków. Rzucił rower i wbiegł na posesję.

– Miałem dać znać, jak bedo jechać jakie dziwne, duże, czarne. No to jado, panie. Szukajo czego. Prosto tu jado. Po drodze pytał o was taki elegant. Sam żem słyszał.

Gustaw wręczył chłopakowi banknot i odprawił go, po czym ujął Anię za rękę i zabrał do środka.

– Nie myślałem, że Rothmann nas znajdzie, a jednak – rzekł zdenerwowany. – Coś musiało pójść nie tak. Nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy. Nikt poza Fenglerem, ale on by nas nie zdradził. Nieważne, teraz to bez znaczenia. Posłuchaj, plan jest taki. Zamkniesz się w sypialni i kiedy Rothmann się pojawi, wyskoczysz przez okno i pobiegiesz do rybaków, prosto do samochodu. Poczekaś tam na mnie aż do zmierzchu. Przeczytasz wszystkie instrukcje, dokumenty, druki ze schowka. I... – zawahał się. – Jeśli nie przyjdę, uciekniesz sama.

– Bez ciebie nigdzie nie pojedę. Jeśli mam uciekać, to tylko z tobą!

– Anno! – Ujął jej dłonie, ucałował obrączkę, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, który widywała, kiedy wpatrywał się w nią o poranku. – Zrobię wszystko, by wrócić, ale jeszcze więcej, by cię ochronić. Obiecuj mi, że uciekniesz sama, jeśli nie zjawię się przed zmierzchem.

Pokręciła głową z determinacją.

– Nie! Tego nie mogę zrobić.

Gustaw przetarł czoło, jakby było spocone, choć tak naprawdę biło od niego chłodem. W głowie układał zdania, którymi chciał przekonać żonę do zmiany decyzji, ale nie zdołał ich z siebie wydobyć, bo z drogi doszedł ich warkot silnika.

## ZAZDROŚĆ, MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Guderian rozsiadł się w fotelu i czekał na Edwina Rothmanna. Wiedział, że przyjedzie sam. Po cóż miałby zabierać kogokolwiek, skoro zamierzał wydobyć z Gustawa informacje o sztabkach złota, które zupełnie przysłoniły mu rzeczywistość i które stanowiły jego największą słabość. Rothmann kochał świecidełka. Nosił sygnety, na szyi gruby platynowy łańcuch, w mankietach platynowe spinki, w sejfie zaś trzymał hebanową szkatułkę z szufladkami, w których przechowywał zdobyczne precjoza: rubiny, szafiry, szmaragdy. Brakowało mu tylko złota w sztabach. I tę obsesję Sturmbannführera na ich punkcie Guderian starannie wykorzystał, wmawiając mu, że Dziarkowski jest w posiadaniu znacznej ilości złota i że jeśli Rothmann zgodzi się na przewiezienie Dziarkowskiego do domu Fenglera i na jego śmierć, Guderian dostarczy mu sztabki skonfiskowane wcześniej wachmanowi, a teraz ukryte w bezpiecznym miejscu.

Rothmann z impetem wtargnął do środka. Gustaw nawet nie drgnął.

– Wiesz, że tym razem będziesz miał problemy, Guderian? – parsknął z wyższością. – Że tym razem już nic ci nie ujdzie na sucho? Żadne cudowne zasługi dla Rzeszy Niemieckiej, żadne rodzinne koneksje ci nie pomogą!

– A więc pójdziemy na dno razem.

– Jakoś mi się nie wydaje. W najlepszym razie cię zdegradują, ale ona życia nie zachowa. Wiem o tej Polce, tej waszej niby służącej. I o twojej żoneczce też.

Na to Gustaw nie był gotowy. Spodziewał się, że Rothmann będzie mu zarzucał przywłaszczenie sztabek złota, kłamstwo, kradzież, ale nic ponadto.

– O czym ty mówisz, Rothmann?

– Zróbmy tak. Oddasz mi moje złoto, a ja podaruję ci, powiedzmy... dwie godziny, żebyś mógł uciec. A potem wyślę za tobą psy, w tym mojego najlepszego ogara, Horsta. Jak ci się uda, to zwiejesz, choć na twoim miejscu wielkich nadziei bym sobie nie robił.

Gustaw siedział oniemiały. Rothmann prychnął z satysfakcją.

– Coś zbladłeś, Guderian. Nie doceniłeś mnie, czuję się tym wręcz urażony. Myślałeś, że co? Że nie mam swoich sposobów, żeby dojść prawdy? A jak niby znalazłbym się na takim stanowisku, gdybym tego nie potrafił? Może nie mam wysoko postawionego stryjka ani bogatej rodziny, a do wszystkiego doszedłem pracą własnych rąk, bo od małego musiałem tępych skurwysynom obijać mordy, ale przynajmniej dużo osiągnąłem. – Kilka razy postukał palcem w skroń. – Bo wiedziałem, jakimi ludźmi powinienem się otaczać. Ja tam bym nigdy na Fenglera nie postawił. Wymiękł przy pierwszych gwoździach Horsta i wszystko nam wyśpiewał. O twoim planie na ucieczkę też.

– Co mu zrobiłeś?

– Ja? Ja nic. Mam czyste ręczki. Horst za to dobrze się bawił z grubaskiem. Zapewniam cię, że tłuścioch... cierpiał. Cholernie cierpiał, piszcząc niczym zarzynane prosię. Narobił pod siebie, chciał całować po stopach. – Rothmann wzdrygnął się z obrzydzeniem. – Czego to on nam nie naobiecował...

– Jesteś podły.

– A ty głupi, bo myślałeś, że możesz zmienić Polkę na swoją modłę. A ona zawsze do swoich będzie lgnęła. Polaczkom będzie pomagać, dziwki opatrywać. Leki im podrzucać i do tego starego pijaczyny wysyłać. Wszystko za twoje pieniądze, Guderian. Za twoje. Czyli tak naprawdę za pieniądze Rzeszy Niemieckiej. A to – pogroził palcem – już niedopuszczalne, Guderian! Niedopuszczalne! – Podszedł do okna i lekko uchylił firankę. Gustaw wstał. – To jak? Chcesz te dwie godziny?

Przez krótką, bardzo krótką chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Guderian chciał dobyć broń, ale zupełnie zapomniał, że wcześniej położył ją na kredensie. Rothmann za to

miał swoją przy sobie. Strzelił. Raz, drugi, trzeci. Prosto w brzuch Gustawa. Mężczyzna zwał się na podłogę. Nie stracił świadomości. Przyłożył ręce do brzucha, a potem zerknął na dłonie. Dostrzegł ciemną krew. Doskonale wiedział, co to znaczy.

Rothmann w ogóle się nie przejął i zaczął robić w pokoju kipisz. Przeglądał szuflady, sprawdzał szafki, wybebeszył walizkę. W chwili, gdy grzebał w spodniach charczącego Guderiana w poszukiwaniu kluczy do komody, do środka wpadła Michelle LaCour. Pisnęła z przerażenia.

– Coś ty zrobił?! Coś ty, kurwa, zrobił, Edwin! Nie jego miałeś zabić, a ją! Ją miałeś zabić! Tak się umawialiśmy! Obiecałeś, że jego ocalisz! On miał być mój!

Padła obok Gustawa i zaczęła go gładzić po policzkach, łapać w pasie, uciskać rany, by zatamować krwawienie.

– Wyciągnę cię z tego, Gustawie. Wyciągnę – powtarzała jak mantrę. – Przeżyjesz, tylko się nie poddawaj.

Wstała i wzięła kilka wdechów, próbując wymyślić jakiś plan. W głowie miała jednak pustkę.

– Zostaw go – warknął Rothmann. – To już trup. Lepiej pomóż mi znaleźć sztabki. Ustawią nas na zawsze.

– W dupie mam twoje sztabki! Ja chciałam tylko jego. Obiecałeś mi! Miał być mój! Gustaw miał być mój!

Wstała i podeszła do Rothmanna z taką miną, jakby chciała trzasnąć go w twarz. Zaśmiał się.

– No co? Teraz jest twój. Bierz go sobie, a najlepiej zostań tu z nim. Zerznąłem cię z Horstem, więc już mnie nie interesujesz.

W Michelle coś pękło; trzasnęła Rothmanna w twarz. Zdumiony mężczyzna dotknął policzka i już w odwecie chciał się zamachnąć, kiedy Michelle go uprzedziła. Z całych sił pchnęła go, a on się zachwiał. Próbował złapać równowagę, ale nastąpił na szklane kulki, które wcześniej wysypały się z szuflady, i poślizgnął się na nich tak, że wyrznął o podłogę. Jego ciało gruchnęło o drewniane deski, a skroń uderzyła w zrzuconą z kredensu me-

talową kasetkę. Michelle usłyszała trzask, chrupot i jęk. A potem zapadła cisza. Martwa cisza.

I tak oto na jednej podłodze leżało dwóch mężczyzn. Jeden na pewno już nie żył, drugi kończył żywot. Michelle była skonsternowana, spoglądając na zmianę to na Rothmanna, to na Guderiana. Stała, jakby i ona traciła ducha. Ocknęła się, dopiero gdy dostrzegła wycelowaną w siebie broń.

– Anna? Co...? Co ty robisz? Odłóż to, bo jeszcze może wystrzelić, a przecież wcale tego nie chcesz. Daj spokój, to ja, Michelle. Przecież...

Ania nie odpowiedziała. Z zimną krwią kilkakrotnie nacisnęła spust. Nie celowała jednak w głowę ani w brzuch. Nie chciała zabić, ale pragnęła zabrać LaCour coś, co tamta kochała w sobie najbardziej i co napawało ją dumą.

Michelle padła na podłogę, wyjąc z bólu i przeklinając Annę oraz cały świat, a potem zemdląca. Anna na wszelki wypadek związała jej ręce, zakneblowała usta, po czym uklękła przy Gustawie. Nie rozpacziała, musiała działać. Dokładnie obejrzała rany i z przerażeniem odkryła, że są bardzo rozległe, zbyt rozległe. Nie poddawała się jednak. Nie ona. Przecież zawsze walczyła jak lwica. Nawet o obcych, a tu przecież chodziło o życie najbliższego jej człowieka.

Wiedziała, że musi być szybka. Zaraz zlecą się ludzie. Wystrzały w tej cichej ostoji nie były czymś na porządku dziennym. Ktoś na pewno je usłyszał.

Tamowała krwawienie ręcznikiem, kiedy Gustaw nagle odzyskał świadomość.

– Moja Anna... – wyszeptał, sprawiając, że z jej oczu popłynęły rzęsiste łzy. – Zawsze marzyłem o śmierci u boku ukochanej.

– Nie mów o śmierci! Ty nie umierasz, Gustawie! Nie umierasz! Rozumiesz? Ja nie pozwolę! Nie pozwolę!

Uścisnął jej dłoń najmocniej, jak potrafił, czyli bardzo, bardzo słabo.

– Mówią, że w życiu liczą się tylko chwile, a mnie trafiły się dwa lata z tobą. Całe dwa lata.

– Nic nie mów! Jeszcze wiele przed nami, zobaczysz.

Chciała wstać, ale jej nie pozwolił. Patrzył na nią jak wówczas, gdy składali sobie przysięgę. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy wyznawali sobie miłość.

– Jesteś moja – wyszeptał.

– A ty mój. Tak, na zawsze, Gustawie.

– Moja... Moja Anna... Moja najdroższa Anna Łabędź.

– Anna Guderian.

Uśmiechnął się słabo, a jego oczy nagle przygasły.

– Nie! Nie zgadzam się, Gustawie! Nie odchodź!

– Nie odchodzę. Zawsze będę przy tobie, a ty przy mnie. Jesteśmy jednością, pamiętasz?

Przymknął powieki, zwolnił uścisk, głowa powoli opadła mu na bok. Wydał z siebie ostatnie tchnienie, a ona przy nim trwała, do końca, tak jak sobie ślubowali.

A potem została sama.

Samiusieńka.

Bez niego.

V

ROZLICZENIE Z PRZESZŁOŚCIĄ

*Szczecin, rok 2000*

## PRAWDA I TYLKO PRAWDA

Zdecydowałam się nie nagrywać programu o Gustawie. Na początku chciałam, i to bardzo, bo nazywanie go katem i oprawcą Polaków było brutalnym nadużyciem. Nie był katem, choć zabijał. Nie był oprawcą, choć skazywał na śmierć. Powrót do miasta duchów uświadomił mi jednak, że nie do mnie należy ocena, za jakiego należy go postrzegać. Za bardzo go kochałam, a przecież ktoś, kto kocha, potrafi wybielić nawet najczarniejsze postęпки tej drugiej osoby.

Artur Wolny nie był zadowolony z mojej decyzji. Ha! Wręcz się wściekł. I właściwie mu się nie dziwiłam. Gdyby ktoś w taki sam sposób wystawił mnie do wiatru, też bym się wkurzyła.

– Nigdy nie zdarzyło się panu, że rozmówca wycofał się z nagrania?

– Nie, nigdy! Mnie się takie rzeczy nie zdarzają – odparł hardo, jak zawsze.

– To znaczy, że jeszcze jest pan mało doświadczonym dziennikarzem – rzuciłam kąśliwie.

Drażnił mnie ten człowiek, ale było mi go też żal. Stracił materiał, być może całkiem dobry.

– Nie dość, że narobiła mi pani kłopotów, to jeszcze mnie pani obraża?

– Jeśli prawda pana obraża, to... Cóż... W niezbyt jasnych barwach widzę pana przyszłość, panie Wolny, choć oczywiście życzę panu jak najlepiej.

Kiedy odłożyłam telefon na widełki, podeszłam do okna i znowu spojrzałam tam, gdzie kiedyś stał Teatr Miejski. Przymknęłam powieki, by ostatni raz powrócić wspomnieniami do miejsca, które w Stettinie kochałam najbardziej, które było świadkiem moich łez szczęścia i smutku. Które pomogło mi przetrwać.



Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu. Poczłapałam do fotela, usiadłam i sięgnęłam po słuchawkę. Tylko jedna osoba mogła do mnie dzwonić na ten numer.

– Na pewno dzisiaj wracasz?

Tomasz Redmer brzmiał jak zawsze łagodnie. Nie musiałam widzieć jego twarzy, a i tak czułam, że się uśmiecha.

– Tak. O czternastej mam pociąg. Za chwilę zadzwonię po taksówkę i spokojnie poczekam na dworcu.

– Dwie godziny?

– Mam swoje lata, wszystko robię dwa razy wolniej. Więc dla mnie to tylko godzina.

Tomasz zaśmiał się i opowiedział dowcip o seniorach. Wysłuchałam i grzecznościowo zachichotałam, choć szczerze mówiąc, te jego żarty nigdy mnie nie bawiły. Zresztą od lat rzadko się śmiałam.

– Przyjadę cię odebrać.

– Nie musisz.

– Ale będę.

Przed dwunastą znalazłam się na dworcu. Gwarno było, ludzie pędzili do pociągów, kupowali gazety, kawę. W przejściu podziemnym, kiedy szłam już z biletem w rękę na peron, dostrzegłam chłopców, którzy stali przy plakacie kinowym z Leonardem DiCaprio i dorysowywali mu soczystego węża, pękając przy tym ze śmiechu.

„Młodość... Rządzi się swoimi prawami” – pomyślałam i pokolebałam się na peron drugi.

Usiadłam na ławce i rozejrzałam się. Pusto było. I dobrze. Chciałam ten czas spędzić w samotności, dręcząc się widokiem wysokiej ceglanej ściany oddzielającej dworzec od znajdującej się wyżej ulicy. Wiedziałam, że już nigdy tu nie wrócę, więc patrzyłam na nią, a raczej katowałam się widokiem, który przywoływał krwawe wspomnienie sprzed wielu, bardzo wielu lat. To była swoista kara za grzechy, za niewybaczalne postęпки, które tylko

z pozoru uszły mi na sucho. Od tamtych wydarzeń drenowały moją duszę i nie dawały spać.

Poczułam na ramieniu delikatny uścisk. Kiedy odwróciłam głowę, z wrażenia wypuściłam z ręki bilet.

– Tomasz? Co ty tutaj robisz? Przecież... Jak to?

– To jakieś novum u ciebie. Tyle pytań, taka ciekawość świata.

Tomasz Redmer podniósł bilet i podał mi go. Usiadł obok.

– Wiedziałem, że cię tu zastanę. W żadnym innym miejscu, tylko właśnie tutaj.

– Co? – Nadal niedowierzałam własnym oczom. – Co ty robisz w Szczecinie? Przecież miałeś odebrać mnie z dworca.

– Ale nie powiedziałem z którego.

– Fakt – westchnęłam. – A więc co tu robisz?

– Odbieram cię z dworca – stwierdził wesoło.

– A tak serio?

Jego twarz się zmieniła. Spoważniał, pogładził po brodzie.

– To miejsce, ta ściana... Nie tylko ty pod powiekami widzisz chłopców, których potem rozstrzelano.

Spojrzałam na niego nerwowo, a on nawet nie drgnął. Patrzył na ścianę i mówił dalej w tym swoim spokojnym, Redmerowym stylu:

– Ja straciłem tam brata bliźniaka, a ty zaledwie spokój ducha...

Zamilkł, a ja nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa. Siedzieliśmy obok siebie i wpatrywaliśmy się w czerwone cegły.

– Kim ty jesteś? – odezwałam się w końcu.

– Ja? – Spojrzał na mnie przenikliwie, a potem skierował wzrok na moje kolana, które wiele, wiele lat temu strzaskało kilka kul. – Ja nigdy nie ukrywałem swojej tożsamości, ale ty owszem. Panno... Michelle LaCour.

Westchnęłam głośno. Jakże dawno nikt nie nazwał mnie moim prawdziwym imieniem. Ile to już lat? Hmm... Pięćdziesiąt dziewięć? Chyba tak, chyba nadal dobrze rachuję. Pięćdziesiąt dziewięć lat bez imienia, które

uwielbiałam, i nazwiska, którym się pyszniłam. I bez prostych, sprawnych, kształtnych nóg, które niejednemu zawróciły w głowie. Drobnusieńka kara za zło wyrządzone temu, którego najbardziej kochałam, i tej, której najmocniej nienawidziłam. Gustawowi i Annie.

Kochałam, bo serce było głupie, a oczy głodne.

Nienawidziłam, bo zazdrość zalała moją duszę, a zemsta przesłoniła zdrowy rozsądek.

Zazdrościłam Annie wszystkiego.

Najpierw ojca.

Tego, że był. Że po prostu był, że go miała. Bo dlaczego akurat ona, a nie ja? Jan Łabędź tak samo należał do mnie jak i do niej. Przecież w moich żyłach płynęła jego krew! Był moim ojcem, choć nigdy nie dotknął mej dłoni.

Zazdrościłam jej też domu. Przecież mógł być moim domem, a ona... zamiast mnie mogła ze swoją matką klepać biedę, mieszkać kątem u krewnych, szukać jedzenia po śmietnikach. Ona, nie ja! Moja matka była najwspanialszą kobietą, jaką znałam, ale miała słabość, która zniszczyła jej życie, nasze życie. Za bardzo kochała Jana Łabędzia i nawet na łożu śmierci nie mówiła o nikim innym, tylko o nim.

Najbardziej ze wszystkiego zazdrościłam jej jednak Gustawa Guderiana. Tego oddania, miłości tak niemożliwej, czystej, że aż trudnej do opisania. Ja nigdy nie byłam tak kochana. Nigdy. A chciwie tego pragnęłam. Wmawiałam wszystkim, że miłość nie jest dla mnie, że dzieci i rodzina to nie mój świat. A tak naprawdę chciałam tej miłości, męża, dzieci, domu. Tak bardzo chciałam! Poznałam Gustawa tu, w Stettinie, kiedy przyjechał do Lotty Bramen na jakąś rodzinną uroczystość. Spotkałam go przypadkiem, gdy spacerował wokół Teatru Miejskiego. Oczu nie mogłam od niego oderwać. A przecież to ja byłam tą, od której nie odrywano wzroku. To ja, odkąd wyszłam z rynsztoka i uciekłam z Francji, odkąd zaczęłam parać się śpiewem i aktorstwem, rozkochiwałam w sobie mężczyzn. Tym razem jednak to ja zostałam rozkochana. Gustaw przesłonił mi cały świat. Marzyłam o nim, o choćby krótkiej rozmowie, dotyku, muśnięciu warg. Czekałam jego powrotu, obmyślając bliższe poznanie. Potrafiłam rzucać czar na męż-

czynn, byłam w tym mistrzynią. Chciałam go rzucić i na Gustawa, ale gdy wrócił, nie miałam już na co liczyć, bo był zmieniony, zakochany, obojętny na jakiegokolwiek zachęty.

– Nic nie powiesz? – Głos Tomasza wyrwał mnie z zamyślenia. – Nie za-protestujesz?

– Nie. To prawda. Nazywam się Michelle LaCour. Od kiedy wiesz?

– Od początku.

– Od początku? I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Prosiła mnie o to Anna Łabędź. Profesor Anna Łabędź.

– Anna...? – Tylko na tyle było mnie stać.

„Profesor... Anna... Łabędź...?” – powtórzyłam w myślach, głośno prze-łykając ślinę.

– Anna była wybitną ginekolożką i położniczką – tłumaczył, a ja słucha-łam z lekko otwartymi ustami, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

Tomasz Redmer, mój lekarz i przyjaciel – choć teraz zwątpiłam, czy po-winnam tak o nim myśleć – znał nie tylko tajemnice mego ciała, ale rów-nież tajemnice ukryte na dnie mojej duszy.

– W swojej specjalizacji osiągnęła wszystko, co dało się osiągnąć. Była znana i podziwiana.

– Jak to? – Nagle mnie olśniło. – Niemożliwe, przecież szukałam jej wszędzie. Nie mogłam jej przeoczyć.

– Ale nie szukałaś w Port Jackson, w Australii. Wyjechała tam razem z bratem i bratową. I z ich córką. Tam skończyła studia, oczywiście z wy-różnieniem. Wszystko robiła – uśmiechnął się – z wyróżnieniem. Do Polski nigdy nie wróciła. Nawet do Europy nie zawitała. Całe życie spędziła w Australii. Była lekarką obdarzoną wyjątkową intuicją. Miała też nadzwyc-zajne zdolności metodyczne, które szybko zostały dostrzeżone. Wycho-wała wiele roczników lekarzy i położnych. Zawsze z otwartością patrzyła na pacjentki. To dla nich stworzyła program leczenia niepłodności. I dzięki temu programowi ją poznałem. Byłem wtedy lekarzem z niewielkim do-świadczeniem, a ona już po habilitacji, ze wspaniałymi dokonaniem na

koncie. Poprosiłem o pomoc dla mojej żony i siebie, bo nie mogliśmy mieć dzieci. W tamtych latach w Polsce o leczeniu niepłodności nie było mowy, a w Australii osiągnięcia były wielkie. Anna wysłuchała mojej historii i objęła nas programem, a potem to już wiesz... Doczekaliśmy się dwóch wspa-  
niałych chłopców. Zawdzięczam jej bardzo wiele. Również smak prawdziwej przyjaźni, bo pozostawaliśmy w zażyłej relacji do ostatnich jej dni. Kiedy odchodziła, opowiedziała mi swoją i twoją historię. Tak jakoś naturalnie w to wszystko wplotła się również moja, bo Anna wspomniała także o egzekucji na dworcu. – Westchnął. – Wiem, że to ty wydałaś Niemcom tych chłopców... W tym mojego brata... Szarotko.

Umilkł, a mnie zakręciło się w głowie. Musiałam chwycić się brzegu ławki.

– Potem Anna poprosiła, bym się tobą zaopiekował – odezwał się Tomasz. – I mimo że w czasie wojny współpracowałaś z Gestapo i skazałaś mojego brata na śmierć za kradzież diamentów, których, rzecz jasna, nigdy na oczy nie widział, zająłem się tobą. Annie nie mogłem odmówić.

– Kazała ci się mną zaopiekować?

– Tak. Była hojna. Przez całe życie śledziła twoje poczynania. I nawet po jego zakończeniu chciała mieć na ciebie oko.

– Nie rozumiem. Po co?

– Cóż, nie pytałem. Wiedziałem, że skoro coś robiła, to miała w tym jakiś cel. A ja jej ufałem. I dotrzymałem słowa. Zająłem się tobą najlepiej, jak umiałem. Spełniłem wszystkie prośby Anny. Nawet tę dotyczącą Artura Wolnego.

– Tego dziennikarza?

– Tak. To moja sprawka. A raczej Anny. Ona chciała, bym cię sprowokował do przyjazdu do Szczecina dokładnie teraz.

– Mogłam przecież nie dożyć – stwierdziłam zgryźliwie.

– Mogłaś, ale robiłem wszystko, byś jednak dotrwała. – Zaśmiał się. – Długo to planowałem. Szukałem odpowiedniego człowieka i Artur Wolny wydał mi się idealny. Przesłałem mu fałszywe dokumenty, licząc, że złapie

się na haczyk. Rzecz jasna, bez trudu połknął przynętę. Młodzi ludzie tak bardzo pragną dziś pieniędzy i rozgłosu, że nie potrafią analizować i nie dostrzegają podwójnego dna. Wolny okazał się wyjątkowo łatwy do zmanipulowania – cmoknął. – Co prawda to będzie go słono kosztować. Do stacji już wpłynęła oficjalna skarga na program o Gustawie Guderianie. Skarga poparta bardzo wiarygodnymi dokumentami.

– I to wystarczy, by oczyścić Gustawa?

– Tak. Nie musisz się o to martwić. Zresztą cóż takiego powiedział Artur Wolny? Że Gustaw był katem i oprawcą Polaków. A nie podał nawet jego daty urodzenia. Nie pokazał w mediach jego zdjęcia. Bo niczego takiego nie miał. Po wojnie Anna zadbała o to, by wszelkie dokumenty na temat Gustawa zniknęły. Wszystkie.

– A gdybym jednak opowiedziała całą prawdę?

Pokręcił głową.

– Anna uważała, że nigdy jej nie wyznasz. Że być może początkowo będziesz się do tego rwała, ale ostatecznie zachowasz ją dla siebie.

– Skąd wiedziała?

– Bo w pewnym sensie cię kochała. Jak siostrę. – Sięgnął do kieszeni małej torby podróżnej i wyciągnął kopertę. – Prosiła, bym ci to przekazał.

Niepewnie przyjąłem podarek i przez chwilę obracałem go w dłoniach. Spojrzałem na Tomasza, a on zachęcił mnie ruchem głowy, bym otworzyła. Zrobiłam to z drżącym sercem.

*Michelle,*

*pisząc ten list, uśmiecham się, bo nie żywię już do Ciebie urazy. Nauczyłam się wybaczać każdemu. Nawet najgorszemu wrogowi. Nawet Tobie. Nienawiść nie pozwoliłaby mi cieszyć się każdym dniem, radować oceanicznym wiatrem, delektować sokiem z pomarańczy zerwanych z drzewka we własnym ogrodzie. Nienawiść by mnie zaślepiała, więc wybaczyłam.*

*Kiedy Cię poznałam, coś mi mówiło, bym Ci nie ufała, ale Ty miałeś w sobie taki wdzięk, taki czar, że i ja, choć czujność miałam zapisaną w genach, przepałam i poddałam się Twemu urokowi. Jak niemal każdy. Kochałam Cię. Byłaś mi*

*tak bliska! Myślałam, że także oddana. Traktowałam Cię jak siostrę! O, ironio! Przecież nią byłaś, ale wtedy o tym nie wiedziałam.*

*Mój Papa nigdy nam się nie przyznał, że we Francji nie tylko walczył, ale też kochał. To była jego tajemnica. Czy wiedział o Tobie? Nie wiem, nie mam pojęcia, ale Twoją matkę wspominał ciepło. Znając mojego dość oszczędnego w wyrażaniu emocji Papę, rzekłabym, że ją kochał. Powiedział mi o tym ojciec Joli. Jedynie on znał prawdę, bo Papa wyjawiał mu ją w chwili słabości, a potem poprosił, by zachował ją dla siebie. Szczęśliwie Ryszard Pietranek nie dotrzymał obietnicy i zdradził mi historię Jana Łabędzia i Edith LaCour. Wtedy wszystko i dla mnie stało się jaśniejsze. Wtedy pojęłam, że byliśmy siostrami z ojca. Że dlatego chciałaś mnie zniszczyć. Bo ja miałam ojca, dobrą rodzinę, wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa, a Ty nie. Gdy to wszystko zrozumiałam, postanowiłam Ci wybaczyć i zaopiekować się Tobą – jak siostra. Zniszczyłam Ci kolana, więc zajęłam się nimi, posyłając na Twą drogę dobrotliwego doktora Redmera, mojego druha. Chyba lepszego anioła stróża nie mogłabym Ci znaleźć.*

*Żałuję tylko jednego, Michelle: że poznałyśmy się w czasach niegotowych na szczerość. W czasach, w których wartości były fałsz i kłamstwo. Jakże inaczej mogłoby potoczyć się nasze życie, gdyby przemawiała przez nie prawda! Może byłybyśmy oddanymi sobie siostrami? Szczerymi przyjaciółkami? Może...*

*Wiele razy myślałam o Tobie i o tym, co zrobiłaś. Ja nie potrafiłabym zabić własnego ojca, a Ty wpisałaś go na listę śmierci. A zabić ukochanego? Wydaje się niemożliwe, ale najwyraźniej tylko dla mnie, bo to Ty odebrałaś Gustawowi życie, choć z pistoletu strzelał ktoś inny.*

*Na sumieniu masz wielu. Chłopców z dworca, których wskazałaś jako złodziei diamentów, choć sama te diamenty zagrabiłaś. Fenglera... Jego przy okazji też pogrzebałaś. I wszystkie, wszystkie Polki, którym pomogłyśmy. Każdą z nich odesłałaś na tamten świat, nawet tę, która uczyła Cię polskiego... Wiem o tym. Więc po co o nie tak walczyłyśmy? Po co je ratowałyśmy? Znajduję tylko jedną odpowiedź – chciałaś mnie omamić, a Gustawowi się przypodobać! Bo przecież razem ze mną narażałaś się na wrogie spojrzenia! W rzeczywistości jednak to Ty byłaś największym wrogiem tych niewinnych Polek. Kazałaś im mówić o sobie Łabędź, a przecież byłaś bezwzględna Szarotką, działającą na usługach Sturmbannführera Edwina Rothmanna. Teraz to wiem. Po wojnie wynajęłam specjalną ekipę do poszukiwań zbrodniarzy wojennych. Przez kilka lat podążali Twoim tropem i dzięki temu wiem, kim jesteś, wiem, że mnie szukałaś. Znam całą Twoją historię. No, może prawie całą. Jestem przekonana, że jakąś jej część udało Ci się jednak ukryć przed światem. W końcu jesteś Michelle LaCour. Masz talent do śpiewu i języków. Ale przede wszystkim jesteś doskonałą, przedoskonałą aktorką.*

*Skoro czytasz ten list, to znak, że nie ma mnie już na tym świecie. Jednak gdzieś Tam, daleko, będę na Ciebie czekać. Za życia na ziemi nie odważyłam się spojrzeć*

*Ci prosto w oczy, ale Tam, gdziekolwiek to jest, będę gotowa. Jestem tego pewna.*

*Tymczasem bywaj zdrowa, Michelle. Choroby już Ci nie życzę.*

*Do zobaczenia.*

*Twoja siostra, Anna*

*PS Nigdy nie byłaś i nie będziesz Łabędziem. Zawsze byłaś, jesteś i będziesz Szarotką.*

Kiedy skończyłam czytać, policzki miałam rozpalone od emocji, oczy pełne łez, a wargi rozedrgane. Byłam zdenerwowana, poruszona, zaskoczona – czułam wszystkie te emocje naraz. Odłożyłam list na kolana i ukryłam twarz w dłoniach. Długo tak siedziałam, oddychając ciężko.

Nie widziałam ludzi, którzy tłumnie gromadzili się na peronie, nie słyszałam ich śmiechów ani słów.

– Przez cały ten czas wiedziałeś? – zapytałam w końcu cicho, spoglądając na Tomasza.

Pokiwał głową.

– A mimo to mi pomagałeś?

Ponownie potwierdził.

– Ja bym nie potrafiła wybaczyć morderczyni swojego brata. Sama nigdy sobie nie wybaczyłam.

– Musisz zatem spróbować.

– Dla mnie już za późno na wybaczenie.

– Mylisz się. Na wybaczenie nigdy nie jest za późno.

Prychnęłam ledwie słyszalnie.

– Jesteś idealistą. Zupełnie jak oni.

– Jestem zwykłym człowiekiem. Jak oni. I tak jak oni, nie jestem krystaliczny. Nikt z nas nie jest. Ja też mam na koncie grzechy.

– Ale nie takiego kalibru jak ja.

– Grzech to grzech. Każdy pali. I dlatego trzeba umieć sobie wybaczać. Tym bardziej jeśli inni nam wybaczą.



– Wiesz? – Sięgnęłam po portfel i wyciągnęłam z niego czarno-białą fotografię. Pokazałam ją Tomaszowi. – To ja, Anna i Gustaw. Każde z nas miało tajemnice. Jedno większe, drugie mniejsze. Na tej fotografii byliśmy radośni, pozornie beztroscy, iluzorycznie szczęśliwi. To jedyne zdjęcie z przeszłości, jakie mam, jedyny łącznik z tym, co kochałam i czego zarazem nienawidziłam. A raczej z tym, którego kochałam, i z tą, której nienawidziłam. Katuję się tym zdjęciem, karmię nim wyrzuty sumienia.

– Więc przestań to robić.

– Myślisz, że to takie łatwe?

– Tak. Tak właśnie myślę.

Na chwilę umilkliśmy. Moją uwagę przykuła filigranowa brunetka w czerwonej sukience z dużym, chyba nawet zbyt głębokim dekoltem. Jakże przypominała mi mnie samą. Przymknęłam oczy. Pod powiekami wyświetliły mi się sceny sprzed lat.

Niewinny pocałunek z Jeanem-Pierre'em.

Namiętna noc z Matthieu.

Pierwsza, najgorsza doba w rynsztoku.

Przyjazd do Stettina.

Pani Iris w kapeluszu z ogromnym rondem i pan Lindorf kłaniający jej się w pas.

Pierwsze i ostatnie spotkanie z Gustawem...

Udana ucieczka przed Gestapo, które dowiedziało się o tym, że byłam podwójną agentką i że ukradłam diamenty.

Wreszcie – nierozważna wizyta w Szczecinie rok po zakończeniu wojny – po to, by odszukać Annę i...

Otworzyłam oczy, bo oto usłyszałam nadjeżdżający pociąg. Spojrzałam w jego stronę i nagle zerwałam się niczym dziecko, które biegnie ratować piłkę spod kół samochodu. Tomasz ruszył za mną, ale byłam sprytniejsza. Lawirowałam między podróżnymi oczekującymi na pociąg. Zatrzymałam się dopiero na skraju peronu. Czubki moich butów wystawały poza jego krawędź.

– Co robisz?! – Na ramieniu poczułam silny uścisk Tomasza.

Ktoś krzyknął: „Uwaga!”. Ktoś inny pisnął. Ludzie wlepili w nas spojrzenia, licząc na sensację. A ja spojrzałam na Tomasza i pokręciłam głową. Miałam ochotę mu powiedzieć: „Jednak słabo mnie znasz”. Strząsnęłam z ramienia jego dłoń, a potem podarłam zdjęcie i skrawki rzuciłam na tory.

Pociąg wjechał na peron, a pęd wiatru porwał okruchy pamięci. Powiodłam za nimi wzrokiem. Nawet gdy już ich nie widziałam, nadal za nimi patrzyłam. Jakbym obawiała się utracić kontakt z tym, co przez tyle lat miałam zawsze przy sobie, co w pewnym sensie stało się częścią mnie.

Spojrzałam w prawo. Tomasz cały czas tam był. Wokół nas kotłowali się ludzie. Dało się słyszeć przekleństwo, jakieś dziecko zapłakało w oddali. Ciężko westchnęłam, a potem powiedziałam z trudem:

– Może teraz sobie wybaczę. Może będzie mi łatwiej. Skoro Anna mi wybaczyła... I ty również. Ale nigdy, przenigdy nie wybaczę sobie jednego. Tego, że stałam się Szarotką. Bo jedyne, czego pragnęłam, to być Łabędziem.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ I OSTATNIEJ

*Szczecin–Podjuchy, 29 czerwca 2022*

## OD AUTORKI

Od samego początku, od chwili, gdy w 2018 roku w mojej głowie pojawiła się postać Anny Łabędź, wiedziałam, że opowieść o niej zawrę w dwóch tomach. Historia tej kobiety rosła w mojej wyobraźni, bawiła mnie, drażniła, smuciła i cieszyła. Słowem: bulgotała (tak nazywam proces dojrzewania do zapisu), by w końcu sprowokować do samego pisania. A było ono potwornie długie (obydwa tomy zajęły mi aż czternaście miesięcy pracy i objęły około miliona znaków!). Wiele tygodni spędziłam na badaniu materiałów źródłowych, rozmowach z historykami i pasjonatami tematu, na czytaniu książek historycznych, literatury popularnej z historią w tle, gazet sprzed lat, na oglądaniu starych pocztówek i fotografii, filmów dokumentalnych i wojennych oraz materiałów archiwalnych. Zwiedzałam, podglądałam, pytałam, słuchałam. Wszystko po to, by stworzyć opowieść, która poruszy, skłoni do refleksji, rozbawi, oburzy. Czy mi się udało? Mam nadzieję, że tak, ale ocenę zostawiam Tobie, Czytelniku. Ja zrobiłam wszystko, by tak było, a po cichu dodam, że kocham tę historię miłością niebywałą.

*Żona nazisty*, kontynuacja *Łabędzia*, jest powieścią fikcyjną, lecz inspirowaną realiami niemieckiego Szczecina i Bornego Sulinowa z lat 1939–1941. Staralam się możliwie najbardziej ją uwiarygodnić, zachowując oryginalne nazwy ulic i obiektów, ich wystrój i klimat. Wspominam postaci prawdziwe, niektóre bardzo znane, inne nieco zapomniane. Na kartach powieści pojawiają się więc: Paula Wessely, Gustaf Gründgens, Heinrich Pohnath, Margarete i Wilhelm Thofernowie, Siegfried Stephan. Najwięcej uwagi poświęciłam jednak sylwetkom zwykłych mieszkańców, których emocje, pragnienia i lęki starałam się oddać najdokładniej, bo to oni byli dla mnie najważniejsi.

*Żona nazisty* nie powstałaby, gdyby nie wielkie wsparcie, jakie otrzymałam w trakcie pisania. Z tego miejsca pragnę serdecznie podziękować mojej Rodzinie, w szczególności: mężowi, synowi, siostrze i rodzicom, którzy zawsze są przy mnie i służą dobrym słowem; przyjaciołom, koleżankom i kolegom po piórze za motywujące rozmowy; zespołowi DELVE (nieustająco!), który daje mi przestrzeń do pisania. Ludziom kultury, bibliotekarzom i księgarzom, dziennikarzom i wszystkim, którzy wspierają mnie w promocji moich książek i organizacji spotkań autorskich. Historykom: doktorowi Tomaszowi Ślepowrońskiemu oraz doktorowi Michałowi Paziewskiemu, za dzielenie się wiedzą i naprowadzanie na właściwą drogę, gdy błądziłam. Dariuszowi Tederce za opowieść o historii Bornego Sulinowa. Monice Szymanik, pasjonatce Szczecina i kamienicznych fasad, za rozmowę o atmosferze świąt roku 1939.

Bardzo dziękuję społeczności Fordonu za gorące przyjęcie *Łabędzia*, a Damianowi Rączce za inspirujący i wzruszający spacer po Fordonie śladami Ani Łabędź. Nigdy go nie zapomnę.

Niskie ukłony kieruję w stronę dwóch stacji radiowych: Radia Super FM ze Szczecina oraz Polskiego Radia PiK z Bydgoszczy, które na swoich antenach postanowiły wyemitować *Łabędzia* w niezwyklej interpretacji Joanny Gajór.

Serdeczne podziękowania składam moim pierwszym Czytelnikom: Katarzynie Chojnackiej-Musiał (przed jej surowe oczy zawsze trafia najsurowsza surówka), Grażynie Wróbel, Renacie Wit, Kamili Pępiak-Kowalskiej, Iwone Mokrzejckiej, Justynie Redmer, Marcie Reszke i mojemu mężowi Tomaszowi za wiele wskazówek, uwag i budujących słów.

Ogromne „dziękuję” przesyłam mojej przeczolonej redaktorce, Malwinie Kozłowskiej. Jesteś czuła i pełna zrozumienia dla bohaterów – zupełnie jakbyś była ich psychoterapeutką, spowiednikiem i kumplem w jednym. *Żona nazisty* to dziesiąty przystanek w naszej wspólnej podróży przez ocean emocji i słów – i liczę, że absolutnie nie ostatni.

Serdeczne podziękowania kieruję w stronę całego zespołu Wydawnictwa Marginesy za zaufanie i wsparcie w procesie wydawniczym oraz promocyj-

nym.

Dziękuję mojej cudownej społeczności na Facebooku i na Instagramie. Każdego dnia czuję Waszą obecność i wsparcie, a to, wobec długiego (a w moim przypadku nawet przydługiego) procesu zapisu, jest absolutnie bezcenne. Knucicielki i Knuciele – w Waszą stronę ślę wielkie przytulasy!

Na końcu pragnę podziękować Tobie, moja droga Czytelniczko, i Tobie, mój drogi Czytelniku – za to, że kupujesz, wypożyczasz i czytasz moje książki. Legalnie. Za to, że dzielisz się odczuciami po lekturze, piszesz recenzje, opinie, rekomendacje. Bez Ciebie nie byłoby moich powieści, a jest ich już trzynaście! Dziękuję i nieustająco życzę Ci wspaniałej, emocjonującej i zaskakującej podróży śladami moich bohaterów!

Sylwia

Zapraszam Cię do mojego wirtualnego świata:

[sylwia.trojanowska.com.pl](http://sylwia.trojanowska.com.pl)

[facebook.com/Sylwia.Trojanowska.pisarz](https://facebook.com/Sylwia.Trojanowska.pisarz)

[facebook.com/groups/274983242930256](https://facebook.com/groups/274983242930256)

[instagram.com/sylwiatrojanowska.pisarka](https://instagram.com/sylwiatrojanowska.pisarka)

## PRZYPISY

- [1] Grabower Anlagen (niem.) – obecnie Park im. Stefana Żeromskiego.
- [2] Haus Ponath (niem.) – dawniej obiekt rozrywkowy, obecnie z przeważającą funkcją handlową (CH Kaskada).
- [3] Stettin (niem.) – Szczecin.
- [4] König-Albert Strasse (niem.) – obecnie ulica Śląska.
- [5] Riga (niem.) – Ryga.
- [6] Niemiecka tradycyjna potrawa jednogarnkowa, najczęściej z mięsem, ziemniakami i innymi warzywami.
- [7] Marienwerder (niem.) – Kwidzyn.
- [8] München (niem.) – Monachium.
- [9] Selbstschutz (niem. Samoobrona) – niemiecka organizacja paramilitarna złożona z niemieckiej mniejszości narodowej mieszkającej na terytorium II RP, mająca na celu eksterminację Polaków, w szczególności grup inteligenckich i naukowych; powołana 26 września 1939 roku rozkazem Heinricha Himmlera.
- [10] Frauenburg (niem.) – Frombork.
- [11] Kaiser-Wilhelm Strasse (niem.) – obecnie aleja Papieża Jana Pawła II.
- [12] Schwarzwälder Kirschtorte (niem.) – tort szwarcwaldzki, nazywany także Czar-nym Lasem; jedno z najpopularniejszych niemieckich ciast.
- [13] Pölitzer Strasse (niem.) – obecnie aleja Wyzwolenia.
- [14] Stoewer – popularna marka samochodów produkowanych w Szczecinie w latach 1901–1940.
- [15] Preussisches Staatstheater (niem.) – Państwowy Teatr Pruski w Berlinie.
- [16] Geheimnisse und Lügen (niem.) – Sekrety i Kłamstwa, fikcyjna kawiarnia wystę-pująca w powieści autorstwa Sylwii Trojanowskiej pt. *Sekrety i kłamstwa*.

- [17] *Foie gras* (fr.) – pasztet z gęsich wątróbek.
- [18] Hoerningweg (niem.) – obecnie ulica Skalista.
- [19] Podejuch (niem.) – Podjuchy.
- [20] Swinemünde (niem.) – Świnoujście.
- [21] Gross Born (niem.) – Borne Sulinowo.
- [22] Dunkerstrasse (niem.) – obecnie ulica Marii Konopnickiej.
- [23] Wieczny kalendarz.
- [24] Bromberg (niem.) – Bydgoszcz.
- [25] Zentralhalle (niem.) – Hala Centralna, obecnie nieistniejąca już hala widowiskowa. Z powodzeniem funkcjonowała w Szczecinie w latach 1889–1944 przy dzisiejszej ulicy Edmunda Bałuki 14–16.
- [26] Sonderfahndungsbuch Polen (niem.) – specjalna lista z nazwiskami Polaków ściganych listem gończym, zwana także listą proskrypcyjną lub księgą gończą. Była alfabetycznym spisem Polaków, wrogów Trzeciej Rzeszy, przeznaczonych do likwidacji. Zawierała około sześćdziesięciu jeden tysięcy nazwisk.
- [27] Oberster Richter des Deutschen Volkes (niem.) – Najwyższy Sędzia Narodu Niemieckiego, tytuł, którym określano Adolfa Hitlera po „nocy długich noży” w 1934 roku.
- [28] Quistorp Park (niem.) – obecnie Park im. Jana Kasprowicza.
- [29] Nieistniejące, nowoczesne i ekskluzywne osiedle Szczecina, będące obecnie częścią dzielnicy Pogodno, które miało swój centralny punkt na obecnym placu Jakuba Wujka.
- [30] Landesfrauenklinik (niem.) – niegdyś słynna klinika położnicza mieszcząca się przy obecnej ulicy Księdza Piotra Skargi 9–11, w murach 109. Szpitala Wojskowego w Szczecinie.
- [31] Pielburger See (niem.) – obecnie jezioro Pile.
- [32] Offizierheim (niem.) – obecnie Dom Oficera w Bornem Sulinowie.
- [33] Kommandantenstrasse (niem.) – obecnie ulica Jeziorna w Bornem Sulinowie.
- [34] Kawon (dawn.) – arbuz.
- [35] Hansabrücke (niem.) – obecnie w tym samym miejscu znajduje się most Długi.

- [36] Siegessäule (niem.) – kolumna Zwycięstwa.
- [37] Brandenburger Tor (niem.) – Brama Brandenburska.
- [38] Köslin (niem.) – Koszalin.
- [39] Bugenhagen Strasse (niem.) – nieistniejąca już ulica Księżnej Dobrosławy, obecnie odnoga alei Wyzwolenia.
- [40] Pölitz (niem.) – Police.
- [41] Storchenburg (niem.) – Bocianie Gniazdo, Bociani Gród.
- [42] Barnimplatz (niem.) – obecnie ulica Księżnej Przybysławy.
- [43] Arbeitsamt (niem.) – urząd pracy.
- [44] Hakenterrasse (niem.) – obecnie Wały Chrobrego.
- [45] Westend (niem.) – obecnie Łękno, osiedle na terenie Szczecina.
- [46] „Bombaj” – kryptonim polskiej placówki wywiadowczej działającej w Stettinie w latach 1935–1937.
- [47] Rügen (niem.) – Rugia.